

Irena Matuszkiewicz

Przebudzenie

I czasem myślę, że ja tylko spał, że całe życie moje było snem - zbudzę się, raj ten odnajdę, com miał w dzieciństwie mem...

Kazimierz Przerwa - Tetmajer

Od autorki

W tej powieści prawda przeplata się z fikcją literacką. Główna bohaterka, Jadwiga, jest postacią autentyczną, chociaż występuje pod zmienionym nazwiskiem. Jej losy, nieco tylko zbeletryzowane, również są prawdziwe, co nie odnosi się już do członków rodziny, a także przyjaciół i koleżanek.

Opisując Tucholę z pierwszej połowy ubiegłego wieku, korzystałam z następujących publikacji wydanych staraniem Miejskiej Biblioteki Publicznej i Borowiackiego Towarzystwa Kultury w Tucholi: Maria Ollick: „Wybitni, niepospolici, zasłużeni, znani i nieznani, czasem zapomniani przedstawiciele regionu”, Tuchola 2004, oraz „Małych i grapa. Tradycja, specjały kuchni i inne ciekawostki z Borów Tucholskich”, Tuchola 2007, a także z publikacji Wacława Kozłowskiego „Rzemiosło tucholskie na przestrzeni wieków”, Tuchola 2003.

Zależało mi bardzo, aby oddać klimat miasta, w którym bohaterka spędziła dzieciństwo i młodość. Stąd, obok bohaterów fikcyjnych, pojawiają się „wybitni, niepospolici, zasłużeni”, a wśród nich burmistrz Stanisław Saganowski, Walerian Gabrych, Paweł Pawelski, redaktor Jan Lewandowski i inni. Związane z nimi zdarzenia są dziełem wyobraźni autorki.

Sanatorium (1)

Życie wcale nie jest takie złe, zwłaszcza jeżeli patrzeć na nie od tyłu. Trzeba tylko nauczyć się uciekać w siebie. Można siedzieć, można leżeć, czyli fizycznie tkwić w bezruchu i jednocześnie uciekać. Jadwiga robiła takie sztuczki jeszcze na Łaziennej. Tam uciekała dla przyjemności, czasem z nudów albo ze zwykłej chęci przeniesienia się w inny, przyjazny świat. Zostawiała sobie tylko dobre wspomnienia, złe odkładała w niepamięć. Tu, w sanatorium, próbowała uciec od wszystkiego, co było nowe i przez to niepokojące. Od jasnych ścian pokoju, od talerza z nietkniętą kiełbasą i sąsiadek skulonych na łóżkach. Leon powiedział, że to osiemdziesięciolatki. Takie smarkate i takie leniwe, myślała z niechęcią. Miała prawo tak myśleć, bo w ich wieku sama robiła zakupy i gotowała. Co to jest osiemdziesiąt lat! To zaledwie wiek dojrzały, nie starość przecież.

- I czemu to parówka nietknięta?

Przy nocnym stoliku pojawiła się nagle i bezszelestnie krępa postać. Oho, nowa Truda, pomyślała Jadwiga. Truda trzymała w ręku talerzyk, z którym najwyraźniej nie wiedziała, co zrobić: zostawić czy wynieść. Patrzyła na Jadwigę z niemym potępieniem, jakby zostawianie jedzenia było grzechem. Mówiła coś, poruszała ustami, tyle że Jadwidze nie chciało się słuchać.

- Nie lubi pani parówek?

Głośne pytanie przedarło się przez watę ciszy i w ciszy utonęło. Niech sobie Truda myśli, że Jadwidze padło na uszy.

Niech sobie myśli, co chce, byle przyniosła porządne śniadanie.

- Mam to zabrać?

Wciąż stała przy nocnym stoliku w niezdecydowanej pozycji. Rękę z talerzykiem wyciągała do Jadwigi z nadzieją, że stanie się cud i zimna kiełbaska zniknie.

- Ja, ja, zabrać! - przytaknęła Jadwiga.
- Opadnie pani z sił. Trzeba jeść - perswadowała Truda.
- Dawno nie jadłam golonki ani wieprzowej pieczeni - przypomniała sobie Jadwiga, ale powiedziała po swojemu: Eisbein und Braten.

Truda widać zrozumiała, cofnęła rękę i wyszła.

Jadwiga była w sanatorium niecały tydzień i zauważyła, że wszyscy tu dziwnie bali się dobrego jedzenia. Zresztą podobnie było na Łaziennej. Jej prawdziwa Truda i Leon wciąż karmili ją chudymi serkami, chudym mięsem, gotowanymi rybami, jednym słowem paskudztwem. Domowy lekarz od dawna straszył miażdżycą, cukrzycą, sklerozą i lichowie, czym jeszcze. Za to brał pieniądze, żeby straszyć, bo o leczeniu nie miał pojęcia i na ból w kościach lekarstwa nie znalazł.

Teraz Jadwiga postanowiła przechytryć tych w sanatorium. Jak nie będzie jadła tego, co podają, to będą musieli podać to, co ona zechce, bo przecież nie zamorzą jej głodem. Zrobiła próbę z parówką. Pozwoliła sobie na taki gest, ponieważ Leon obiecał jej przynieść coś dobrego.

Poprawiła się na łóżku i szczerzej otuliła szlafrokiem. Choć za oknem świeciło słońce, w pokoju czuło się wyraźny chłód. Czekiła na Leona, żeby z nim wrócić do domu. Dostyc miała sanatorium, do którego trafiła przez upór brata. Namówił ją na podreperowanie zdrowia, więc reperowała, co miała innego do roboty. Była już na kilku masażach, na lampach i jakichś uzdrawiających kąpielach, a nogi jak rwały, tak rwały, zwłaszcza w nocy. Gdyby nie to rwanie i ból w krzyżu, wróciłaby na Łazienną sama, bez niczyjej łaski.

Leon przyszedł po obiedzie. Z miejsca rzuciła się na niego z wymówkami.

- Nie zostanę tu ani godziny dłużej! - oznajmiła zdecydowanym tonem. - Tu kradną! Zginęła mi kawa i lusterko.

Zajrzał do szafki.

- Popatrz, jest kawa - powiedział.

- Phi! - wzruszyła ramionami. - Wystraszyli się i musieli podrzucić. Chcę wracać do domu.

Usiadł obok niej, przykrył ręką jej dłoń i chwilę milczał.

- To nie jest takie proste - odrzekł wreszcie. - Tu masz najlepszą opiekę, jaką sobie można wymarzyć, leczysz nogi, musisz jeszcze trochę wytrzymać. Na Łaziennej zacząłem remont, nie wezmę cię do bałaganu.

- To mi powiedz, co ja mam tu robić? Nawet pogadać nie mam z kim.

- Co ci z gadania, jak ty nie słyszysz?

Cały czas mówił bardzo głośno i wyraźnie, z ustami przy jej uchu.

- No, ja, nie słyszę, ale na spacer mogłabym pójść. Słońce świeci, jest ciepło. Tylko nie mam płaszcza ani butów.

- Spacerowaliśmy wczoraj po korytarzu, daleko zaszłaś? Do drzwi sąsiedniego pokoju i musieliśmy wracać.

- To co ja mam robić? - spytała płaczliwie.

- To samo, co robiłaś w domu.

Kiedy wychodził, była już mniej zbuntowana. Na korytarzu zaczepiła go siostra zakonna.

- I co, panie Pawle, jak pan znajduje mamę?

- Nie pamiętam już, kiedy rozmawiała tak logicznie - przyznał. - Gdyby nie to, że wciąż bierze mnie za swojego brata, pomyślałbym, że zmierza ku lepszemu. Jedno mnie tylko zastanawia: dlaczego tak uparcie trwa w przekonaniu, że nie ma syna? Mojej żony Leokadii nie wspomina, wnuczki Anety prawie nie znała, ale ja byłem z nią dzień w dzień od kilku lat, a ona widzi we mnie brata. Zastanawiające, prawda?

- Leon to był jej ukochany brat?

- Zagadka polega na tym, że nie. Wybrała sobie brata, z którym w przeszłości najmniej była związana, i to on ją odwiedza, jego chce widzieć.

- Niezbadane są zakamarki ludzkiej duszy. Coś w tym musi być, tylko my nie wiemy, co. Z Bogiem!

Paweł przyjeżdżał do matki codziennie. Posiedział godzinę, czasem dłużej i cierpliwie wysłuchiwał niekończących się skarg.

- Następnym razem przynieś mi sznur, to się powieszę! - mówiła Jadwiga wojowniczym tonem.

- Dlaczego chcesz się wieszać?

- Z nudów. Ani wyjść na spacer, ani z kim porozmawiać. Spacer i rozmowa stały się jej obsesją.

Któregoś dnia pielęgniarka wprowadziła do pokoju małą, drobną staruszkę. Była pomarszczona, prawie łysa, na policzku miała duże znamię, coś jakby narośl.

- Przeprowadziłam pani koleżankę - krzyknęła Jadwidze do ucha.

- Koleżankę?

Jadwiga spojrzała na staruszkę najpierw obojętnie, potem z zainteresowaniem, wreszcie rozjaśniła się cała, jakby słońce na nią padło.

- Klara?! - wykrzyknęła z niedowierzaniem. - Moja Klara! Tamta nie panowała nad drzeniem głowy i chcąc nie chcąc potakiwała. Delikatny, jakby zawstydzony uśmiech rozjaśnił i jej twarz. Trzęsącą ręką pogładziła Jadwigę po szlafroku. Z wielką ochotą pozwoliła pielęgniarce, by usadowiła ją na łóżku. Dwie pomarszczone dłonie odszukały się i połączyły w uścisku. Kobiety patrzyły na siebie załzawionymi oczami, w których dało się wyczytać radość.

- Leon, to jest Klara Mischke - mówiła Jadwiga, a łzy płynęły jej po policzkach. - Poczęstuj ją cukierkiem, tym dobrym, w czekoladzie.

Staruszka, nazwana Klarą, nie odmówiła cukierka. Jadwiga pogładziła ją po głowie. Siedziały tak chwilę, gładząc się i ściskając za ręce. Pielęgniarka dała znak Pawłowi. Stanęli przy drzwiach.

- No, panie Pawle - powiedziała cicho - na tym łóżku siedzi teraz dwieście pięć lat. Pani Józefa też nie słyszy, więc jest nadzieja, że jakoś się dogadają. Im nie tyle potrzebne są słowa, ile bliskość i dotyk drugiego człowieka.

A dwieście pięć lat na jednym łóżku nie mogło się sobą nacieszyć.

- Klarunia, Kuźmińska mi mówiła, że ty nie żyjesz. Głupot nagadała jak zawsze. Pamiętasz Agnieszkę Kuźmińską? - dopytywała się Jadwiga.

Staruszka, uporczywie nazywana Klarunia, kiwała głową i odsłaniała w uśmiechu bezzębne dziąsła. Wreszcie i ona przemówiła. Głos miała cichy, chropowaty.

- Lompy z szafinierki zabrał, ancug zabrał i jeszcze klampe, nyte i putona. Pindel mi ostawił i szatory (Ubranie z bieliźniarki zabrał, garnitur zabrał i jeszcze krowę, świnię i indora. Starą torbę mi zostawił i lachy (gwara borowiacka z okolic Tucholi).).

- Musiałam urodzić się po raz drugi, żeby znowu cię spotkać - ciągnęła Jadwiga. - Pamiętasz, jak na pensji Trębicka nakrzyczała na mnie za niemiecki akcent? Kuźmińska też mi dokuczała, tylko ty jedna mnie broniłaś. Całe życie ktoś się mojego akcentu czepiał. Niepotrzebnie, całkiem niepotrzebnie. Opowiem ci wszystko.

Klarunia kiwała głową wyraźnie potakując.

- Jak to szło? Ten wiersz, co go mówiłam na pensji? - Jadwiga przymknęła oczy i po chwili zastanowienia zaczęła

mówić: - „Pamiętam ciche, jasne, złote dni... co mi się dzisiaj zdają snem... zbudzę się, raj ten odnajdę... w dzieciństwie mem...”(Fragment wiersza Kazimierza Przerwy - Tetmajera)

Pielęgniarka z niedowierzaniem patrzyła na Pawła. Wiele staruszek spotkała w domu opieki, ale chyba żadna w wieku stu dwu lat nie recytowała wierszy.

Jadwiga była coraz bardziej zmęczona. Pamiętała ludzi i zdarzenia, bo przeszłość nie miała dla niej tajemnic, tylko sił brakowało, żeby uporządkować bezładny potok słów, które cisnęły się na usta. W głowie wszystko układało się logicznie, od pierwszego momentu po... przedostatni.

Wejście do raju

Urodziła się dziesiątego grudnia 1906 roku w mieście, które w tamtych czasach nazywało się z niemiecka Tuchel. Miała szczęście, bo przyszła na świat we własnym gnieździe. Zanim jeszcze w 1904 roku pruski sejm uznał Polaków za obywateli gorszej kategorii i zabronił im stawiania własnych domów, ojciec Jadzi, Franciszek Jaskólski, wzięty der Ofensetzer (zdun (niem.)), zdążył wybudować przy ulicy Seminaryjnej bardzo ładny, piętrowy dom. Postawił go w centrum miasta, na wprost seminarium nauczycielskiego, od którego ulica otrzymała nazwę. Jednak w życiu tak bywa, że powodzeniom w jednej dziedzinie lubią towarzyszyć niepowodzenia w innej. Kiedy już się wydawało, że człowiek pracowity i z głową na karku potrafi jakoś żyć nawet w niewoli, pruski sejm zakazał mówienia po polsku na kazaniach i na lekcjach religii. Jednym cięciem administracyjnym zlikwidował ostatnie dwie oazy polskości. Wtedy to akurat zmarło się Leokadii Jaskólskiej, z domu Dębskiej. Nad grobem ksiądz zaczął szwargotać po niemiecku, a Franciszek, syn zmarłej, załamał się ostatecznie. Zrozumiał, że sam nie wygra walki z germanizacją. Ponieważ miał lekką skłonność do patosu, powiedział przy kolacji mniej więcej tak: „Człowiek jeden ma język i jednym powinien gadać, najlepiej ojczystym. Bóg widać chciał inaczej, bo ziemską władzę nad nami oddał Niemcowi, to i Niemcowi musimy być posłuszni. Najważniejsze, żeby duszy diabłu nie sprzedać i rodzinnego kraju nie opuścić”.

Nakazał żonie i synowi Józefowi, żeby w domu mówili po niemiecku, zmienił nazwisko na Franz Jaskolski i w ten oto sposób, choć korzenie miał polskie i ani kawałka Niemca w rodzie, zgrabnie dostosował się do warunków stawianych przez pruski sejm. Żona była z domu Kosowska, matka Dębska, i kto wie, czy ta matka nie przewróciła się w grobie.

W każdym razie, jak Franz postanowił, tak się stało. Na szczęście wiary nie zmienił, rodzina pozostała katolicka, i jedynie to mogło babkę Dębską udobruchać.

W poniedziałek 10 grudnia 1906 roku Franz zaczął remont pieca w gorzelni. Piece powinno się remontować jesienią, ale nie zawsze wszystko wychodzi zgodnie z ludzkimi życzeniami. Coś pękło, coś trzasnęło, dym zamiast do komina, drzwiczkami zaczął walić i potrzebny był zdun. Żona, jak co ranka, podała mu śniadanie, drugie zapakowała do chlebaka. Postękiwała przy tym, chwytając się za brzuch, bo spodziewała się czwartego dziecka, i chodziła na ostatnich nogach. Franz dobrze znosił wszystkie cięższe, nic go nie bolało, nic mu nie dokuczało, więc i tym razem nie przejął się zbyt żoninym pojękiwaniem, wciągnął kożuch na grzbiet i wyszedł w zimny, grudniowy poranek.

- Geh in Gottes Namen! (Idź z Bogiem! (niem.)) - krzyknęła za nim.

Ledwie zniknął za furtką, obudziła najstarszego syna, kazała mu przynieść ze spiżarni wielki kocioł do gotowania bielizny i napełnić go wodą. Ogień pod blachą wesoło tańczył, w kuchni zrobiło się ciepło i przytulnie. Potem jeszcze kazała napalić w sypialni, a sama ułożyła w stosik czyste prześcieradła i ręczniki. Z kufra wyciągnęła puchowy Federdeckbett (becik (niem.)), który przez lato i jesień starannie wietrzyła. Oblekła go w białą powłoczkę zdobioną mereżkami. Znowu sięgnęła do kufra po kaftaniki i barchanowe pieluszki.

- Teraz, synek - przykazała - potrzebna będzie die Hebamme (akuszerka (niem.)). Idź na Chojnicką, poproś, żeby przyszła. Potem zabierzesz braci na sanki. Dzisiaj do szkoły nie pójdziesz.

- Gut! Ja, ja! (Dobrze! Tak, tak. (niem.)) - wykrzyknął przejęty Józef.

Miał czternaście lat i dobrze wiedział, co będzie dalej. Za jego pamięci rodziło się już trzecie dziecko. Nim wybiegł, przytulił się do matki i ucałował jej rękę. Był najczulszym z synów, najbardziej kochającym i kochanym. Leo i Anton ledwie wtedy z pieluch wyrosli.

- Idź, synek, idź! - poprosiła.

Bóle się nasilały, a przy chłopaku nie chciała jęczeć. Rozmawiali sobie szeptem, po niemiecku, jak przykazał ojciec. Jakiś czas później krzyczała już po polsku. Wzywała na pomoc Matkę Boską, wszystkich świętych, zwłaszcza zaś swoją patronkę świętą Felicję.

Po trzech godzinach zmagania akuszerka zwycięskim ruchem uniosła do góry wymazane krwią maleństwo, które darło się na cały głos.

To była Jadwiga, zwana w domu Jadzią.

Nikt oczywiście nie może pamiętać dnia swoich narodzin, ale Jadzi zawsze się wydawało, że dziesiątego grudnia wystąpiła w podwójnej roli: rodziła się i jednocześnie stała z boku i patrzyła, co robią inni. Sam poród jej umknął. Nie lubiła widoku krwi, więc tak bardzo się nie przyglądała, zapamiętała natomiast kąpiel i pierwsze ubieranie. Akuszerka włożyła jej biały kaftanik, spętała nogi pieluszką i cały ten mały tobolek owinęła w puchowy becik. Leżała sobie Jadzia koło mamy, a bracia nie mogli się nadziwić, że jest mała jak lalka.

- Ona już zawsze będzie taka pomarszczona? - pytał Leo.

- Wyrośnie, będzie ładna - pocieszał go Józef. Dwuletni Anton niewiele chyba rozumiał z całego zamieszania, stał z innymi wokół łóżka i ciekawie zaglądał do becika.

- Kleines Kind, fuj! (Dzidzius fuj! (niem.)) - oznajmił.

- Śliczna jest, co ty mówisz! - zaprotestowała matka.

Leo nie podzielał jej zachwyty, Anton zaś jeszcze ze dwa razy powtórzył swoje „fuj”. Jeden Józef, pewnie dlatego, że

dużo starszy, zgodził się z matką i wyglądało na to, że zgodził się szczerze.

Potem przyszedł Vater. Ten się dopiero zachwycił! Stał jak oniemiały, policzki zrobiły mu się mokre ze wzruszenia. Nawet matka, która znała ojca najdłużej, nie widziała go nigdy płaczącego. Należał do twardych mężczyzn, co znaczyło, że nie był też zbyt czuły ani współczujący. Dopiero złagodniał pod wpływem córki. Może nie od razu, ale z czasem na pewno.

Ojciec bardzo lubił wspominać moment, kiedy pierwszy raz zobaczył swoją małą królową. Za każdym razem zmieniał coś w tym opowiadaniu, bo nie był zbyt dobrym gawędziarzem i mylił fakty. Mama też lubiła opowiadać o dniu narodzin Jadzi i bracia także. Ona słuchała i zaczynała wierzyć, że pamięta łzy ojca, to paskudne „fuj”, które się wyrwało bratu, i jeszcze wiele innych szczegółów. Na przykład sprzeczkę rodziców o imię.

Kiedy się okazało, że Felizitas Jaskolski jest w błogosławnym stanie, ojciec zażyczył sobie córkę. Trzech dziedziców nazwiska już miał, zatęsknił więc za dziewczynką. Był na tyle wspaniałomyślny, że wybór imienia pozostawił żonie. Przy chłopakach nie miała nic do gadania.

- Będzie Jadwiga, na cześć polskiej królowej - powiedziała żona.

Franz głową kiwnął i więcej do imienia nie wracali. Kiedy dziecko się urodziło i trzeba je było w urzędzie zapisać, potem zaś przygotować do chrztu, zagadnął żonę:

- To co, nie zmieniłaś zdania, wciąż chcesz, żeby była Gretchen? (Małgosia (niem.))

- Mówiłam o Jadwidze - zaprotestowała natychmiast. - Na cześć polskiej królowej.

- Kręcisz, kobieto. Mówiłaś, że Małgorzata, na cześć... - zawiesił głos - na cześć świętej patronki Tucholi - dokończył z widoczną ulgą.

- Ja wybieram imię dla córki czy ty? - fuknęła ostro Felicja.

Była kobietą cichą, uległą mężowi, ale w głębi ducha bardzo stanowczą, żeby nie powiedzieć upartą. To kobiecy rozum kazał jej trzymać upór na wodzy, żeby mąż nawet się nie domyślił, kto faktycznie rządzi w domu. Franz też był stanowczy, żeby nie powiedzieć apodyktyczny, lecz sprytem nie dorównywał żonie. Upajał się władzą, gdy tymczasem Felicja, małymi kroczkami, robiła swoje. Tym razem jednak nie było czasu na małe kroczki. Imię dla dziecka należało wybrać szybko, więc Felicja odważyła się na jawny i głośny protest, nie tyle przeciwko świętej Małgorzacie, ile przeciwko Franzowi. Zaskoczony mąż stulił uszy. Na krótko, co prawda, bo ledwie Jadwiga trochę podrosła, zaczął ją nazywać swoją królową i był coraz bardziej przekonany, że to on wybrał córce imię.

Z Jadwigi, królowej Polski wypadało być dumnym, podobnie jak z czasów, w których żyła. „Polska była kiedyś potęgą”, lubił powtarzać Franz i natychmiast dodawał parę nieprzychylnych uwag pod adresem tych, którzy kraj zgubili. Winą obarczał pazerną magnaterię, zacofaną szlachtę i bezwzględnych Rosjan. Ci ostatni zawsze byli najgorsi i zawsze winni bez względu na czasy i okoliczności. Franz miał swoje spojrzenie na historię kraju, z którego się wywodził, i nic nie było w stanie tego spojrzenia odmienić. Polakami też się nie zachwycił. Twierdził, że tylko w gębie są mocni, lepsi do przechwałek niż do roboty i za bardzo skłonni do lamentów. Choćby sąsiad Zajączkowski. Ten ledwie z wizytą zajrzał, od progu zawodził, że niewola, że ucisk i z głodu umrzeć przyjdzie. Tu lamentował, a tu oczy tak mu biegały po

kątach, że ledwie je w głowie utrzymał. Podpatrzył raz, jak Franz kafle przywiózł na taczkach i zamknął w stajence. Po godzinie wrócił z policją. Franz papier pokazał, z którego wynikało, że kafle są kupione legalnie z przeznaczeniem na remont pieca w pruskim urzędzie. Wszystko się zgadzało, pieczętki, podpisy i sztuki. Przodownik dał w pysk Zajączkowskiemu i powiedział: „Albo będziesz dobrze patrzył, albo przestaniemy ci płacić”. Franz do reszty znieubił wtedy sąsiada i za próg przestał go wpuszczać, bo niczym się tak nie brzydził, jak kradzieżą i donosicielstwem. Prusacy nieraz go pytali o różne domy, w których remonty robił. Odpowiedź miał jedną: „Tylko w piece zaglądam, o piecach możemy pogadać”.

Taki był Franz Jaskolski. Można powiedzieć: skomplikowany człowiek.

Pensja (1)

Spotkanie z Klarą podziało na Jadwigę ożywczo, znowu była młoda i wróciła na pensję. Nie chciała już uciekać ani się wieszać, układała sobie w głowie, co koniecznie musi powiedzieć przyjaciółce i czekając na nią bardzo się niecierpliwiła.

Paweł dawno już nie widział matki tak ożywionej.

- Zamówiłem dla ciebie fotelik na kółkach - powiedział, całując ją na powitanie.

- Fotelik? - spytała bez większego zainteresowania. - Nie wiesz czasem, czemu Klary jeszcze nie ma? Niepotrzebnie nas rozdzielili, zawsze mieszkaliśmy w tej samej sali, łóżko w łóżko. Można się było wychylić, pogadać. Poszedłbyś może do niej, co?

Pani Józefa siedziała na krześle, kiwała się i miedliła w ustach wciąż jedno zdanie. Na widok Pawła trochę się ożywiła, widać nie zapomniła do końca spotkania z nową koleżanką. Dała się poprowadzić do Jadwigi. I znowu usiadły razem na jednym łóżku, chwyciły się za ręce i zaglądały sobie z czułością w oczy.

- Myślałam już, że się obraziłaś - powiedziała Jadwiga. - Ale ty jesteś dobra, ty się nawet nie obrażasz, jak mnie się listów nie chce pisać, co? Pamiętasz, jak mnie nazwałaś leniem? Darowałam ci tego lenia, bo miałaś dużo racji.

- Lompy zabrał, ancug zabrał i jeszcze klampe i putona. Pindel mi ostawił i szatory - zamruczała Klarunia.

- Zanim cię poznałam - ciągnęła Jadwiga - nie miałam prawdziwych koleżanek. Henriette była nieprawdziwa i druga Jadzia też jakaś taka... Dzieciństwo za to miałam piękne. Twój ojciec cię bił, a mój nawet mnie nie tknął. Może raz dał mi klapsa. Cudne miałam dzieciństwo.

Otwarty raj

Jadzia chowała się zdrowo i rosła pięknie. Jeszcze nie skończyła roku, a już mówiła: „nie”, „daj”, „chcę”, co świadczyło, że będzie z niej kiedyś panna z charakterem. Ledwie trochę podrosła, matka próbowała nauczyć ją polskiego pacierza i choćby najprostszych zwrotów, żeby, podobnie jak bracia, dogadywała się z polskimi rówieśnikami.

- Nie kręć dzieciakowi w głowie! - sprzeciwił się zdecydowanie Vater. - Chłopaki mają twarde tyłki, a ona pójdzie do niemieckiej szkoły i za gadanie po polsku będzie obrywała po łapach. Nikt, z wyjątkiem ojca, nie ma prawa jej nawet szturchnąć.

- Wokół jest dużo polskich dzieci - broniła się Felicja. - Nic nie zaszkodzi, jak pogada ze swoimi po polsku.

- Są też niemieckie, niech się z nimi bawi! - uciał mąż i już miał wyjść z pokoju, jednak zawrócił, bo temat wydawał mu się szczególnie ważny. - Bóg rozumie każdą mowę, a pannie wystarczy jeden język, byle go dobrze znała. Polacy wszystko robią po łebkach. Uczą się też po łebkach. Dwa słowa polskie, jedno niemieckie i eine kleine zajaczek przez pole gelaufen (Niezbyt gramatyczna zbitka polsko - niemiecka: jakiś mały zajaczek przez pole uciekać.). Niemiecka solidność wyjdzie małej na dobre. Ja ci to mówię.

- Skoro mówisz, to niech i będzie twoja wola.

Klękała więc Jadzia wieczorem obok matki przed wielkim krzyżem i z ulgą odmawiała Vaterunser (Ojcze nasz... (niem.)). Brzmiało swojsko i zrozumiale. Potem zegnała się i wskakiwała do łóżka. Matka klęczała jeszcze chwilę z twarzą ukrytą w dłoniach, coś tam sobie szeptała, i chyba nie po niemiecku, ale tego już Jadzia nie była pewna.

Felizitas Jaskolski swój rozum miała. Nie był to rozum na skalę wielkiej, światowej polityki, na pewno jednak obejmował rodzinę i dom. Od wielkich spraw był mąż. Skoro

on mówił, że dla dobra rodziny trzeba się dostosować do warunków, to widać miał rację. Dzięki Franzowi żyli dostatnio, wychowywali dzieci na porządnych ludzi, może więc grzechem byłoby żądać więcej, i jeszcze więcej. Tak sobie rozumowała Felizitas, godząc się z wolą męża. Czasem tylko, zwykle po jakiejś przykryj rozmowie z kobietami w sklepie lub na ulicy, dawała upust swoim wątpliwościom.

- Nie wiem, czy to mądrze, tylko z Niemcami przestawać. Oni nas nigdy za swoich nie wezmą, za to Polaków sobie zrazimy. Jakby tak coś się zmieniło i nastały rządy polskie, możemy mieć przykrości.

- O czym ty opowiadasz, kobieto? - zdumiał się Franz. - Za naszego życia ani za życia naszych dzieci nic się nie zmieni. Ciesz się, że nie przyszło nam żyć pod Ruskimi, bo tam dopiero nędza i zacofanie.

O Rosjanach Franz myślał jota w jotę tak samo, jak jego niemieccy koledzy, z którymi lubił się spotykać w restauracji Schwarzkopfa. Wcale przy tym nie ukrywał, że woli wychylić kufel piwa z Klausem i Fritzem niż, dajmy na to, z Kazikiem. Niemcy byli dobrymi rzemieślnikami, pogodnymi ludźmi bez kompleksów i wiecznych pretensji do świata. Jak pracowali, to pracowali, jak się bawili, to wesoło. Ale nawet z nimi nie przesiadywał zbyt często, bo niewiele zostawało mu czasu na towarzyskie rozrywki. Po całym dniu ciężkiej i brudnej pracy najchętniej ucinał sobie drzemkę w fotelu. Jeśli nie drzemał, to patrzył na zabawy małej Jadzi. Pęczniał z dumy, że taka pojętna i zapowiada się na prawdziwą piękność.

Wtedy, w wieku kilku lat, była pięknnością jedynie w zakochanych oczach ojca. Jasne, prawie białe włosy matka splatała jej w warkoczyki i upinała nad czołem w koronkę. Przy mocno puciołowatej buzi nie była to fryzura zbyt twarzowa. Jadzia miała apetyt i dobrze wyglądała, co znaczy,

że nie należała do szczupłych dziewczynek. Można nawet powiedzieć, że grzeszyła nadwagą.

Z dziewczynkami tak już jest, że te o buziach aniołków nie zawsze wyrastają na piękne kobiety, gdy tymczasem niezbyt śliczne, małe poczwarki potrafią z latami przemienić się w zjawiskowe motyle. Franz Jaskolski właśnie coś takiego przewidywał i cierpliwie czekał na narodziny swojego motyla.

Mała Jadwiga nie zadręczała się wyglądem ani tuszą i była zadowolona ze swojego odbicia w lustrze. O wiele bardziej martwiła się tym, że nie ma koleżanek. Jeżeli wracała do domu z pytaniem: Was ist das głupia Niemra? (Co to jest... (niem.)), wiadomo było, że bawiła się z polskimi dziećmi. Jeśli wracała z siniakami na nogach, to znaczyło, że Martin i Karl Kornmahlerowie próbowali Polaczkę ins Bockshorn jagen (w kozi róg zapędzić (niem.)). Raz Niemra, raz Polaczka, ta dwoistość prześladowała ją jeszcze w dorosłym życiu. Tyle tylko że dorosła Jadwiga przestała się zadręczać swoim twardym akcentem i germanizmami. W dzieciństwie jednak cierpiała na syndrom odrzucenia i nie mogła się zdecydować, po której stronie tak naprawdę chciałaby być. Odżyła dopiero w szkole, gdzie jako Hedwig Jaskolski figurowała w rejestrze klasowym pod numerem ósmym. Ku swojemu zdumieniu odkryła, że jest lepiej ubrana od wielu koleżanek, a z językiem wykładowym radzi sobie nie gorzej niż Niemki. Jak na sześciolatkę było to znaczące odkrycie.

- Dzisiaj znowu Frau (pani (niem.)) mnie pochwaliła. Mnie i Henriette - wołała od progu i już rozglądała się, co by tu dobrego zjeść, bo łasuchem była wielkim.

- Nie zmyślasz? Nie kłamiesz, żeby się pochwalić? - pytał surowo ojciec.

- So wahr ein Got lebr! (Jak Boga kocham! (niem.)) - zapewniała, bijąc się jedną ręką w piersi, drugą pakując suszoną śliwkę do buzi.

- Nie wzywaj bożego imienia nadaremnie i nigdy nie kłam - karcił ją ojciec, ale dłoń wyciągał do pogłaskania i twarz mu się rozjaśniała.

Z wzywaniem bożego imienia różnie bywało, bo wśród dziewczynek panowała moda na przysięganie się, jednak kłamać, to już Jadzia nigdy nie kłamała. Była prawdomówna aż do przesady.

Henriette, koleżanka z ławki i pierwsza przyjaciółka od serca, miała dziwny zwyczaj komplementowania nauczycielki. Jadzia nie rozumiała intencji, dostrzegała jedynie fałsz.

- O, jaką piękną ma pani bluzkę - mówiła Henia. - Od razu widać, że nowa i chyba bardzo droga.

Jadzia nie mogła pozostać obojętna na tak wyraźne kłamstwo, musiała wtrącić swoje trzy grosze.

- Nie jest nowa, bo ma cerę na przodzie i dwie plamki.

Z czasem pani coraz rzadziej chwaliła Jadzię, coraz częściej Henię. To również było trudne do ogarnięcia, ponieważ na lekcjach Henia wykazywała się klasyczną wręcz tępotą.

- Dlaczego pani na inne dzieci krzyczy, a nie słyszy, że Henriette duka i nie umie czytać? - pytała wieczorem ojca.

- Na pewno słyszy, tylko... Bo ja wiem? Może nie chce jej martwić? Nie wolno krytykować dorosłych.

- Wiem. Najlepiej będzie, jak sama panią spytam - oświadczała rezolutnie Jadzia.

Franz tarł policzki, aż zarost skrzypiał, targał rzadkie włosy i wzbijał się na wyżyny dydaktyki, żeby wytłumaczyć smarkuli, że nie o wszystko można pytać i nie wszystko trzeba mówić, bo to, co się wydaje prawdą, wcale prawdą być nie musi. Ale czy to tłumaczył mętnie, czy sam się zasupał w wyjaśnieniach, dość że Jadzia wyciągnęła z tej przemowy ryzykowny wniosek.

- Rozumiem - powiedziała z ulgą. - Dorośli mogą kłamać, ile chcą, a dzieci tylko czasem.

Franza zawiodły nerwy. Uciekł się do najskuteczniejszej metody wychowawczej, jaką znał. Przełożył córkę przez kolano i bardzo okrężną drogą, za pomocą trzech klapsów, próbował wbić jej do głowy podstawową zasadę, że kłamstwo jest grzechem.

- Teraz przeproś ojca, że go zdenerwowałaś, i powtórz: dlaczego nie wolno kłamać?

- Bo to boli... i grzech - chlipnęła, trąc obolały tyłek.

Vater rzadko sięgał po pas, choć, podobnie jak inni sąsiedzi, uważał drylunek (lanie (gwar.)) za metodę wychowawczą równą takiemu choćby tłumaczeniu. Tłumaczyło się najpierw, karbowano skórę potem, bo nie znano innego sposobu, by wychować dziecko na porządnego człowieka. Każde lanie urastało do rangi wielkiej celebry. Delikwent osobiście ustawiał taboret na środku kuchni, przynosił pas, ściągał portki, po egzekucji zaś przepraszał, całując ojcowską rękę. Jadzia nigdy nie była bohaterką celebry. Dostała raptem kilka razy, nie za mocno i nigdy pasem. Częściej obrywało się młodszym synom, głównie za wykroczenia przeciw dekalogowi. Wiadomo, że w wieku szkolnym cudzołożyć nie cudzołożyli, zabijać nie zabijali, ale już z resztą przykazań nie zawsze było im po drodze. Jabłka w sadzie za płotem zwykle smakowały lepiej niż własne, czasem też dochodziła do głosu zazdrość. Mała to była zazdrość, na miarę dziecięcych wyobrażeń, jednak grzeszna, czyli naganna.

- Szanuj, co masz, a jak zobaczę, że po cudze łapę wyciągasz, wygarbuję tyłek równo! - powtarzał groźnie Vater.

Potem nawet powtarzać nie musiał. Szeroki ojcowski pas spokojnie wisiał w kuchni, w kąciку higienicznym, i służył wyłącznie do ostrzenia brzytwy. Kilkunastolatków Franz już

nie bił, i to wcale nie dlatego, że wszyscy trzej sporo go przerośli. Nie bił, bo nie zachodziła taka potrzeba.

Spokojnie się żyło Jaskolskim w Tuchel. Spokojnie i dostatnio. W mieście były jeszcze trzy inne warsztaty zduńskie, jednak Franz, jako fachowiec, cieszył się najlepszą opinią. Syn Józef, po skończeniu szkoły powszechnej, zaczął u ojca naukę zawodu. Pracowali razem i mogli przyjmować większe zlecenia, co wiązało się z większymi pieniędzmi. Wtedy to u Jaskolskich pojawiła się służąca Nastka. Służąca świadczyła o zamożności domu i podnosiła jego prestiż. Matka wybrała Nastkę spośród kilku dziewczyn ubiegających się o pracę.

- Paskudniejszej już nie znalazłaś? - zdziwił się ojciec.

- Ona nie do oglądania, tylko do roboty - powiedziała matka. - Taka przynajmniej naszym synom w głowie nie zawróci.

Nastka niewiele umiała, była za to dość bystra i chętna do pracy. Początkowo Felicja chodziła za nią krok w krok i pokazywała, jak czyścić mosiężne klamki, jak przycinać knot w lampie naftowej i jak rozpalać w piecu, żeby za dużo drewek nie zużyć. Kłopot z Nastką był jeden, za to dość poważny: nie mówiła po niemiecku, a i po polsku niewiele się dało zrozumieć z jej gadania.

- Co umiesz gotować? - spytała pierwszego dnia Felicja. Spytała oczywiście po polsku. Nastka zastanowiła się przez moment:

- Każdy jeden maltych moga wysztafirować. Halam wody i bulwóf z zaklepónko ugotuje, jak pani chca (Mogę przyrzadzić każdy posiłek. Przyniosę wody i ugotuję zupę z ziemniakami, jeśli pani chce (gwara borowiacka).).

Jadzia nie pojęła ani słowa. Felicja patrzyła na dziewczynę ze zdumieniem i nawet Franz podniósł głowę znad gazety.

- Dziwnie ty gadasz - powiedział.

Nastka była zaskoczona nie mniej od chlebobawców.

- Jak dziwnie? Po borowiacku, po naszymu gadam - odpowiedziała z przestraczem. I jeszcze dodała: - u nas powiadają: a chato by sia wyper swoji mowy, to jakby sia matki wyper (a kto by się wyparł swojej mowy, to jakby się matki wyparł (gwara borowiacka).).

- Nic nie rozumiem - Franz wzruszył ramionami. I rzeczywiście wyglądało na to, że nie rozumie.

Nastka była od brudnej roboty. Palila w piecach, szorowała do białości drewniane podłogi, myła okna, prała i pomagała w kuchni przy cięższych pracach. Felicja pilnie patrzyła jej na ręce i póty kazała glansować szybkę, póki nie była z efektu zadowolona. Chwaliła rzadko albo prawie wcale.

- Patrz, Jadzia, i się ucz, bo kiedyś i ty będziesz panią domu - mówiła do siedmioletniej córki niczym do dorosłej. - To my mamy być zadowolone ze służącej, nie służąca z nas. Jak już wydajemy ciężko zarobione męzowskie pieniądze, musimy mieć pewność, że je dobrze wydałyśmy. Tylko wiesz, wszystkiego na służącą nie można zrzucać.

Felicja nie zrzucała na Nastkę gotowania, robienia przetworów ani pieczenia ciast. Sama była świetną gospodynią, przy tym kobietą dość prostą, nienawykłą do pańskich obyczajów. Takie nie wyobrażają sobie życia w bezczynności. Zresztą kto by ugotował smaczniej i tłuszciej od niej? Przecież nie Nastka, która wywodziła się z wielkiej biedoty i musiała szukać zajęcia u obcych. Zaklepankę, czyli najprostszą zupę zaciągniętą mąką, może umiała zrobić, ale nie porządny rosół czy choćby ryby z patelni w zalewie octowej. U Jaskolskich zaklepankę jadało się czasem w poście, poza postem nigdy. „Lepiej zapłacić piekarzowi niż aptekarzowi” - powtarzała Felicja, co znaczyło, że nikt mądry nie oszczędza na jedzeniu. Skąd niby mężczyźni mieli brać siłę do pracy, a dzieci do rośnięcia, jak nie z pożywnej strawy.

Jadzia ani lubiła Nastkę, ani jej nie lubiła. Czasem, z nudów, chętnie by sobie z nią pogadała, tylko nie wiedziała, po jakiemu. Nastka z uporem trzymała się swojej gwary. Jedynie matka Jadzi potrafiła ją zrozumieć, i to nie zawsze.

- Ja bym kazała jej mówić po niemiecku - powiedziała kiedyś dziewczynka.

- Niby dlaczego? - zdziwiła się matka. - Gdybym ją najęła do towarzystwa, to tak, ale ona jest do roboty. Im mniej gada, tym więcej robi. Zresztą ma osiemnaście lat i za stara na naukę.

W wieku siedmiu lat Jadzia też uważała, że osiemnastolatka to prawie staruszka. Tym bardziej więc dziwiło ją, że stara Nastka zachowuje się czasem jak małe dziecko, na przykład kreśli na piersi znak krzyża, ilekroć zegar wybija godziny. Tak ją to intrygowało, aż w końcu spytała ojca.

- Dlaczego ona żegna się co godzinę?

- W życiu nie widziała stojącego, rzeźbionego zegara i pewnie myśli, że to biją dzwony kościelne. Bo widzisz, córka, my żyjemy...

Franz nigdy nie przepuścił okazji do wygłoszenia krótkiej choćby pochwały życia, jakie prowadzili. Dumny był z domu, z wielkiego szafkowego zegara i solidnych mebli. Dumny był, że zapewniał swojej rodzinie luksusy, o których innym ludziom nawet się nie śniło. Mówiąc o innych, miał na myśli miejską biedotę, bo tę wiejską stawiał tak nisko, że nawet nie chciało mu się o niej wspominać. Co go mogła obchodzić rodzina jakiejś tam Nastki z Rudzkiego Mostu. Skoro jednak córka pytała, opowiedział, jak to jest na wsi.

Jadzia aż się wzdrygała na myśl, że gdzieś tam, w drewnianej chałupie, gdzie tylko sień i izba bez podłogi, gnieździ się cała wielka rodzina pospołu z krowami i kurami. Zaraz też ucałowała ojca w rękę z wielkiej wdzięczności, że

jej tak żyć nie kazał. Od tej rozmowy Nastka ciekawiła ją jeszcze bardziej. Ona, Jadzia, za nic nie mieszkałaby w rozwalającej się chałupie, uciekłyby albo co. Nastka też niby uciekła. W kuchni na Seminaryjnej, za przepierzeniem z niebieskiego perkalu, miała własne łóżko z czystą pościelą, nawet przytyła trochę u Jaskolskich, ale zamiast się cieszyć, co drugą niedzielę pędziła piechotą do Rudzkiego Mostu, do swoich. Po co biegła i czemu wracała markotna, tego Jadzia nie rozumiała. I tych różnych tęsknych piosenek wyśpiewywanych po każdym powrocie też nie rozumiała. Za to jedną śpiewkę, mniej smętną od innych, sama polubiła za łatwy refren.

Łożanił so stary kłodziej

Fale riti, riti rum

Łuna gleja, a łun złodziej

Fale riti, riti rum Fale riti rum...

Bywało, że czasem na pauzie sobie zanuciła „fale riti, riti, rum”, a koleżanki powtarzały łatwą melodię i śmieszne słowa, których nie rozumiały ani Polki, ani Niemki.

Na początku XX wieku Tuchola była miastem dwujęzycznym, co nie bardzo zgadzało się z intencjami zaborcy. Polacy, mimo zakazów i kar, trzymali się swojego języka, Niemcy swojego, jednak żyjąc razem, przejmowali nawzajem najpotrzebniejsze zwroty i słowa. W urzędach, w szkołach mówiło się po niemiecku, ale kupcy i rzemieślnicy nie byli aż tak rygorystyczni jak rząd pruski. Na tym dwujęzycznym tle Jaskolscy może do wyjątków nie należeli, choć na pewno do mniejszości. Niewiele było domów polskich, które przyjęły język niemiecki za swój. Franzowi też niezupełnie germanizacja wyszła. Jego synowie całkiem nieźle dogadywali się z polskimi kolegami i nawet Jadzia podchwyciła przy koleżankach parę zwrotów, chociaż jej polszczyzna mocno kulała. Typowy eine kleine zajaczek.

Jadzi to wystarczało. Skończyła z wyróżnieniem drugi oddział, zaczynały się wakacje i nic nie wskazywało na to, by język niemiecki miał zejść do podziemia.

Wiadomość o zamachu w Sarajewie dotarła do Tucholi z jednodniowym, może nawet dwudniowym opóźnieniem.

- U rzeźnika mówili, że jakiś Rusek zamordował austriackiego księcia i jego żonę - powiedziała przy kolacji matka. - Możliwe, żeby z tego była wojna?

- Nie Rusek tylko Serb - sprostował Franz. - Żadnej wojny nie będzie, przynajmniej u nas. Wiesz chociaż, gdzie leży Serbia?

- Gdzie?

- Daleko.

- Ja to się boję, żeby naszego Józka do wojska nie wzięli.

- Niby dlaczego w austriackiej sprawie mieliby brać do wojska poddanych niemieckiego cesarza? Jak będzie trzeba, Austriacy znajdą sobie żołnierzy na swoich ziemiach. Wszyscy są zdania, że to się rozejdzie po kościach.

Mówiąc „wszyscy”, Franz miał na myśli swoich kolegów, z którymi toczył długie rozmowy w restauracji Schwarzkopfa, gdzie w witrażowych oknach puszyły się pruskie gapy. Nic nie mogło tym gapom zagrozić, tak przynajmniej uważali mężczyźni, popijając piwo z wielkich kufli. Żaden z nich nie był politykiem, kierowali się jedynie zdrowym rozsądkiem. Wielu prawdziwych polityków też początkowo nie wierzyło, by konflikt serbsko - austriacki przerodził się w wojnę między zaborcami.

Nadchodzący miesiąc rozwiał wszelkie wątpliwości. 28 lipca 1914 roku wybuchła wojna i już nikt nie mógł przewidzieć, co przyniesie Tucholi i każdemu mieszkańcowi z osobna. Nawet Franz nie próbował prorokować. Zgodził się z żoną, że trzeba kupić na zapas trochę kaszy, mąki, cukru i

czego się da. Na podobny pomysł wpadli też inni mieszkańcy i wkrótce sklepy świeciły pustkami.

Przyszło i to najgorsze. Młody Jaskolski dostał powołanie do pruskiej armii. Na początek jechał bardzo blisko, ledwie do Służewa, potem chyba na front, bo gdzież by indziej. Cała rodzina odprowadziła go na dworzec. W długim wojskowym płaszczu i metalowym hełmie ze śmiesznym dzyndzołkiem na czubku Józef wyglądał zupełnie inaczej niż dotąd. Jadzia patrzyła na brata jak na obcego człowieka. Wszyscy młodzi mężczyźni na peronie wyglądali podobnie i gdyby Józef oddalił się na dwa kroki, nie umiałaby go rozpoznać. Dlatego uchwyciła się poły jego płaszcza i nie chciała puścić nawet wtedy, kiedy nadeszła pora wsiadania do wagonu. Choć była już dużą dziewczynką, ojciec wziął ją na rękę, żeby mogła bratu pomachać chusteczką. Machała energicznie, aż ją ręka zabolęła.

Z pierwszych lat wojny Jadzia najbardziej zapamiętała pożegnanie Józefa. Potem były paczki dla żołnierzy. O tych paczkach zaczęło się mówić w szkole w drugim roku wojny, gdzieś tak jesienią.

- Naszym obowiązkiem jest pomóc żołnierzom - powiedziała uroczyście nauczycielka i jeszcze dodała, że zbliża się zima i bez ciepłych onuc, rękawic i szalików żołnierze mogą nawet przegrać.

Jadzia nie była zbyt dobra w robótkach, więc zgłosiła się do dziergania szala.

- Jaskolski, to wstyd, żeby taka dobra uczennica próbowała się wykpić najprostszym zadaniem. Powinnaś mieć więcej ambicji. Ty będziesz robiła rękawiczki. Z palcami, oczywiście, żeby żołnierz mógł strzelać - zdecydowała pani.

Wy tłumaczyła, jak się robi te rękawiczki, jednak co innego patrzeć i słuchać, a co innego samodzielnie machać pięcioma drutami. Dla jedenastolatki była to praca wyjątkowo

skomplikowana. Jadzia, owszem, starała się, choć nie na tyle mocno, żeby zliczyć wszystkie oczka i prawidłowo je podzielić. Kiedy wreszcie mogła przymierzyć lewą rękawiczkę, wpadła w popłoch. Zamiast pięciu palców wyszły cztery i nie chciało być inaczej, mimo że liczyła je parę razy. Eine kleine zajaczek, powiedziałby ojciec i dodałby na pewno, że to typowa fuszerka. Powinna poprawić, lecz na to już nie wystarczyło jej ochoty ani czasu. Drugą wydziergała o wiele staranniej i z duszą na ramieniu oddała obie. Na szczęście pani niczego nie zauważyła i rękawiczka z czterema palcami pojechała na front razem z innymi darami. Jadzia najpierw się ucieszyła z dobrego stopnia, potem jednak obsiadły ją wyrzuty sumienia. Im bliżej było wieczoru, tym sumienie mocniej dokuczało. Nie mogła zasnąć. Leżała w łóżku z otwartymi oczami i kalkulowała, co będzie, jeśli właściciel czteropalczastej rękawiczki chybi do celu i Niemcy rzeczywiście przegrają wojnę. Aż się spociła ze strachu. Najchętniej powierzyłaby swój sekret ojcu i zrzuciła z ramion wielki ciężar. Niestety, musiałaby też przyznać się do fuszerki. W takiej sytuacji nie mogła liczyć na zrozumienie, już prędzej na pierwsze w życiu solidne lanie. Ojciec przy każdej okazji wbijał dzieciom do głów prostą prawdę, że każdą pracę muszą wykonywać najlepiej, jak potrafią. A gdyby tak, kalkulowała sobie, przewracając się z boku na bok, gdyby któryś żołnierz stracił na wojnie jeden palec, właśnie ten najmniejszy, to moja rękawiczka pasowałaby w sam raz. Wytłumaczenie było nad podziw proste i bardzo skuteczne. Odetchnęła z ulgą, nawet poczuła przyływ dumy, że jako jedyna w klasie pomyślała o frontowych inwalidach. Przekonanie samej siebie, że się zrobiło coś dobrze, chociaż zrobiło się źle, to wielka sztuka. Dzięki czteropalczastej rękawiczce Jadzia posiadała tę sztukę w wieku dziewięciu lat.

Wojna trwała. Zapobiegliwa Felicja starała się, żeby rodzinie niczego nie zabrakło, jednak brakowało wszystkim wokół, więc im także. Zwłaszcza jedzenia. Franz niby wciąż miał pracę i zarabiał, tylko nie było czego kupować, a i pieniądź wciąż tracił na wartości. Nastka, zanim na dobre wróciła do Rudzkiego Mostu, przyniosła ze wsi kilka kurczaków i Felicja zaczęła je hodować w ogrodzie. Nauczyła się robić powidła bez cukru, obiady bez mięsa, nawet prać bez mydła. Wszystko teraz było na jej głowie. Należała do kobiet, które nie poddają się łatwo i w trudnych warunkach wykazują nadszpodziewaną wręcz pomysłowość. Wstawała skoro świt, nakładała na suknię wielki płócienny fartuch, na głowie wiązała chusteczkę, tak jak nauczyła się od Niemek, i przez cały dzień kręciła się po domu. Jeżeli coś naprawdę ją trapiło, to wojenne losy najstarszego syna. Kiedy jeszcze stacjonował w Służewie, przysłał zdjęcie. Po jednej stronie grupka roześmianych chwatów w pruskich mundurach, na odwrocie wiadomość nabazgrana ołówkiem, że jest zdrowy, ma się dobrze i niedługo wyrusza na prawdziwą wojnę. Całkiem jakby się do tej wojny palił. Drugi list przyszedł z Rumunii i korespondencja się urwała. Żeby nie myśleć o najgorszym, Felicja pracowała bez chwili odpoczynku. Poza tym musiała jeszcze upilnować trójkę młodszych dzieci.

Leo i Anton wykazywali szczenięcą wręcz ruchliwość. Wszędzie ich było pełno, tylko nie w domu. Najczęściej pędzili aż pod obóz jeniecki, jednak nie potrafili powiedzieć, czego tam szukają. Znosili do domu wieści z całego miasta, często tak nieprawdopodobne, że wyglądały na zwyczajne kłamstwa. Musiała ich karcić, lecz w domu utrzymać nie mogła. Widać wojna miała zły wpływ także na domową dyscyplinę. Z kolei Jadzia zrobiła się strasznym piecuchem i nawet do szkoły wychodziła niechętnie. Tak było źle, i tak też niedobrze.

- Dlaczego ty, dziecko, wciąż sama i sama? - dopytywała się Felicja. - Nie masz koleżanek?

- Dziewczyny są głupie.

- Wszystkie są głupie?

- Tak. Lydia skarży, Sophie się nie myje, Christine kłamie. Ja nie będę się z nimi bawiła, ja ich nie lubię.

Gdyby tę rozmowę prowadził Franz, najpewniej zgodziłby się z córką i jeszcze ją utulił. Felicja była ostrożniejsza i mniej łatwowierna. Zaczęła drażnić i wypytywać, a Jadzia nie radziła sobie z odpowiedziami. Siedziała naburmuszona i czerwona jak burak.

- Czy ty czasem nie dajesz fałszywego świadectwa przeciwko bliźniemu swemu? - spytała groźnie matka.

Jadzia wybuchnęła głośnym płaczem.

- Nie dam ci kary, bo dostałaś za swoje, siedzisz sama, kiedy inne dziewczynki bawią się razem. Jak nie będziesz miła dla ludzi, ludzie nie będą mili dla ciebie. Zapamiętaj sobie te słowa - powiedziała Felicja, wychodząc z pokoju.

Jadzia płakała już na dobre. Czuła się bardzo skrzywdzona. Nie lubiła koleżanek, wołała zabawy z chłopcami, tylko że chłopcy też jej nie lubili. Z wyjątkiem braci, oczywiście.

Wieczorem, kiedy Jadzia powinna dawno spać, Felicja powiedziała do męża:

- Martwię się o naszą córkę. Rośnie na samoluba, nie garnie się do ludzi.

- A ty się garniesz? - zdziwił się Franz. - Po tobie ma taki skryty charakter, nie po mnie. Wyrośnie, zmądrzeje i zobaczysz, jakie będzie miała powodzenie. Kawalerom jedna rzecz w głowie: posag. Żeby koza miała pieniądze, to by się z nią żenili, a co dopiero z taką panną jak moja Jadzia. Z bogatą i piękną.

- Przewracasz jej w głowie tą pięknnością.

- Jest ładna, a będzie piękna, wspomnisz moje słowa. Urodę wzięła po mnie.

- Każ jej wąsik zapuścić, to będziecie całkiem nie do odróżnienia - zdobyła się na rzadką u niej ironię Felicja.

- Z zazdrości tak gadasz, bo sama urodą nie grzeszysz. Powtarzam ci: moja córka będzie piękna i zamożna.

- Zamożna, jeśli wojna nas całkiem nie zrujnuje - dodała przytomnie Felicja.

- Wojna się skończy, odbijemy od dna i będzie jak dawniej! - Franz ziewnął i zakończył rozmowę.

Słowa ojca były dla Jadzi balsamem. Usypiała w przekonaniu, że nikogo na świecie tak nie kocha, jak jego właśnie.

Wkrótce drobne towarzyskie zmartwienia, podobnie jak wielka polityka, zeszyły na plan dalszy. Nic nie było ważne, przynajmniej dla dzieci, tylko Weihnachten (Boże Narodzenie (niem.)). Zbliżały się drugie wojenne święta, dużo skromniejsze niż te pokojowe, choć równie uroczyste. Felicja zaczęła gruntowne porządki w całym domu. Zajrzała w każdy kąt, do każdej szafy i kredensu. Wyjęła naczynia, porcelanę i szkło, by je starannie umyć. Franz zniósł ze strychu kosz z zabawkami choinkowymi i nakazał dzieciom, żeby przejrzały ozdoby i naprawiły to, co dało się naprawić, a więc papierowe łańcuchy, jeże i gwiazdki. Sam zajął się malowaniem orzechów i przywiązywaniem nitki do małych, zimowych jabłuszek. Zgodnie pracowali przy wielkim kuchennym stole. Vater korzystał z okazji, że dzieci były obok, i wspominał święta zapamiętane z dzieciństwa. Zamiast choinki ubierało się wtedy drzewa w sadzie, a w rogu pokoju obowiązkowo musiał stanąć słomiany chochoł na znak, że stary rok dobiega końca.

- To tatko nie miał nigdy choinki? - zdziwiła się Jadzia.

- Ano, nie miałem. W Wigilię rano ojciec szedł do lasu i cichcem przynosił trochę gałęzi, które potem stroiliśmy ciastkami i jeszcze czymś chyba... Patrzcie, nie pamiętam!

- Dlaczego cichcem?

- Tak kazał stary zwyczaj. Gałęzie to jedyna rzecz, którą można było ukraść, żeby zapewnić rodzinie dostatek.

- A teraz? - spytał Anton.

- Dalej nic się nie zmieniło - roześmiał się Vater.

W Wigilię z samego rana wymknął się do lasu i kiedy dzieci wstały, w bawialni królował dorodny świerk.

- Der Christbaum!(Choinka! (niem.)) - szepnęła Jadzia, składając nabożnie ręce.

Po bardzo skromnym, postnym śniadaniu, złożonym z chleba i marmolady, zaczęło się ubieranie choinki. Vater mówił, że ubierają wspólnie, ale nie dał dzieciom zbliżyć się do drzewka. Sam wieszał papierowe zabawki, jabłka i pierniczki, które na tę okazję matka specjalnie upiekła. Robił to starannie i z wielką precyzją.

- Wy byście tak nie umieli - powtarzał. Najwyraźniej wspomnienia rozbudziły w nim duszę dziecka i teraz to dziecko musiało się nacieszyć świętami.

Z kuchni przez całe przedpołudnie docierały wspaniałe zapachy. Wigilijna wieczerza miała być drugim posiłkiem dnia i nikomu, nawet Jadzi, nie wolno było tasować. Po zapachach jedynie poznawali, co matka szykuje na kolację. Pachniało grzybami, grochem, kapustą i kiszka ziemniaczaną, ulubionym daniem ojca.

- Gwiazdor chyba nie przerazi się wojny i przyjdzie do nas? - dopytywała się Jadzia.

- Rok temu był, to i teraz przyjdzie. Uważaj tylko, żeby ci różgi nie przyniósł - żartował ojciec.

Jadzia była spokojna o różgę. Nawet gdyby Gwiazdorowi coś się pokręciło, to Vater prędzej by mu przyłożył, niż pozwolił tknąć córkę.

- Ciekawe, czy w obozie też będą mieli Wigilię? - zastanowił się Anton.

- A ciebie co to interesuje? - zdumiał się ojciec.

- Nic, ale chciałbym, żeby mieli. Są tu sami, bez rodzin - bronił się słabo Anton.

- To są jeńcy wojenni, walczyli przeciwko naszemu cesarstwu, przeciwko tobie, mnie, Jadzi. I ty im chcesz święta urządzać? Może jeszcze Gwiazdora z podarkami wyślesz do obozu? Mein Sohn ist Dummkopf! (Mój syn jest głupcem! (niem.))

Jadzia dawno nie widziała ojca tak zirytowanego. Chociaż bardzo kochała Antona, poczuła złość. Dzień był uroczysty, wieczór zapowiadał się wspaniały i całkiem niepotrzebnie ten prawdziwy Dummkopf popsuł ojcu humor. Vater był wybuchowy i nie umiał się złościć sam. Na szczęście mama wygoniła Antona do drewnutni po szczapki i wyjęła z szafy biały, sztywno wykrochmalony obrus.

Wielki, rozkładany stół na dwanaście osób zawsze najpiękniej wyglądał w Boże Narodzenie i na Wielkanoc. Za każdym razem trochę inaczej, ale pięknie. Matka ustawiła sześć nakryć, w tym jedno dla niespodziewanego gościa. Nim postawiła szósty talerzyk, przytuliła go do piersi i pogłaskała. Zrobiła to szybko, nerwowo, jednak ojciec wykazał się spostrzegawczością.

- Nie ma się co roztkliwiać! Nasz syn walczy, bo taki jest obowiązek mężczyzny - powiedział twardym głosem, chociaż oczy miał dziwnie szkliste.

Matka w milczeniu ustawiała na stole półmiski, wśród nich, na środku, talerzyk z cienko pokrojonymi kromkami. Nie udało jej się kupić opłatka, za to zdobyła cały bochenek

białego chleba. Przełamali się tym chlebem prawie w milczeniu. Wszyscy, łącznie z małą Jadzią, myśleli o tym samym: żeby Józef jak najprędzej wrócił do domu cały i zdrowy. Kiedy w połowie kolacji rozległo się głośnie pukanie do drzwi, matka drgnęła. Przez moment miała nadzieję, że tam w górze jej modlitwy zostały wysłuchane. A przecież powinna wiedzieć, że to tylko Gwiazdor. Sama się z nim umawiała. To znaczy umawiała się z sąsiadem Jaworkiem, który od kilku lat był etatowym Gwiazdorem na Seminaryjnej.

W drzwiach stanął wielki chłop w kozuchu i futrzanej czapie. Twarz miał wysmarowaną sadzami i wyglądał bardzo groźnie. Jeszcze większą grozę budziły różgi wystające z worka. Leo z Antonem zaczęli się poszturchiwać, jedynie Jadzia patrzyła z przestraszeniem. Wierzyła w Gwiazdorów i nie wierzyła, ten jednak wyglądał prawdziwie. Spodziewała się dostać nową sukienkę, a może i pantofelki, wołała więc nie wyskakiwać z wątpliwościami.

- Grzeczna byłaś?

Gwiazdor zaczął przepytywanie od najmłodszej latorośli.

- Ja, ja! - przytaknęła gorliwie i z lękiem spojrzała na mamę, czy aby nie zechce ujawniać jakichś drobnych grzeszków.

- Przeżegnaj się i powiedz „Ojciec nasz!” - zarządził Gwiazdor.

- Im Namen des Vaters und des Sohnes und des Heiligen Geistes (W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego (niem.)) - zaczęła z przejęciem, kreśląc na piersi wielki krzyż.

- Po polsku nie umiesz?

- Nein! (Nie! (niem.)) - odpowiedziała spokojnie, bo odmawianie pacierza po niemiecku było dla niej tak oczywiste, jak to, że jadła łyżką i spała w łóżku. - Vaterunser... - ciągnęła bez mrugnięcia okiem.

Gwiazdor pokręcił głową. Umazana sadzami twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Podniósł rękę, jakby chciał jej przerwać, ale ostre, znaczące chrząknięcie ojca widać przywołało go do porządku.

- Pięknie. Bardzo pięknie - mruknął, kiedy zwycięsko wykrzyknęła „Amen”. - Masz tu upominek.

- Taki mały? - spytała zawiedziona.

- Za niemiecki pacierz więcej się nie należy. To jest... Drugie ostre chrząknięcie Franza nie pozwoliło mu skończyć.

Jadzia z dygnięciem przyjęła niewielką paczuszkę, on zaś przerzucił swoje zainteresowanie na Leona.

- A ty, kawalerze, jak się sprawujesz?

- Gut (Dobrze (niem.)) - mruknął Leo.

Miał prawie piętnaście lat i takie przepytywanie, dobre dla dzieciaków, było mu mocno nie w smak.

- Siedzisz przykładnie w domu, pomagasz mamie, opiekujesz się rodziną, kiedy ojciec w pracy? - drążył Gwiazdor.

- No... - zawahał się Leo - no, mało siedzę w domu. Mam do załatwienia sporo spraw na mieście.

- Pracujesz? Pomagasz rodzinie?

- Nie! - wyskoczył niepytany Anton. - My chodzimy pod obóz jeniecki, tam gdzie rozstrzelują ludzi, a potem na cmentarz, żeby sprawdzić, ilu zabili. Ten nowy cmentarz jest w lesie, jak się idzie na Rudzki Most.

- Wiem, gdzie jest cmentarz...

- Genug davon! (Dosyć o tym! (niem.)) - krzyknął Vater.

Zerwał się na równe nogi z twarzą dziwnie skurczoną, co było zapowiedzią wielkiego wybuchu. Gwiazdor na wszelki wypadek też wstał. Był dużo wyższy od Franza i lepiej zbudowany, ale nie przyszedł do Jaskolskich, żeby popisywać się siłą i chwytać za bary z gospodarzem. Przyszedł na prośbę Felicji, żeby rozdać prezenty i ludowym zwyczajem

przeegzaminować dzieci z dobrych uczynków i pacierza. Dość pośpiesznie wyciągał z worka dwa skromne zawiniątka, których jeszcze nie zdążył wręczyć.

- Packe dich! (Wynoś się! (niem.)) - wrzasnął Franz.

Nie było potrzeby aż tak krzyczeć. Gwiazdor opuścił niegościnne mieszkanie dobrowolnie i dość pośpiesznie. Leo i Anton spoglądali na siebie ze strachem w oczach. Jedynie Jadzia nie pojmowała przyczyny zamieszania. Zdenerwowała się dopiero po rozpakowaniu paczki.

- Nie chciałam wełnianej czapki, chciałam sukienkę! - powiedziała płaczliwym głosem.

Taki głosik zawsze bardzo wzruszał ojca. Może i zawsze, lecz nie tym razem. Franz nawet nie spojrzął na córkę. Patrzył na żonę - i to na nią przelał całą złość.

- Kogo ty do domu przyprowadziłaś, Donnerwetter! (Do stu piorunów! (niem.)) On chce mnie uczyć, po jakimu moje dziecko ma pacierze gadać! On mnie, ten niedojda! Po całych dniach, Donnerwetter, w chałupie siedzisz, nic nie robisz, to chociaż synów powinnaś dopilnować. Pod obozem nie ma dla nich miejsca, Donnerwetter! Postrzelić ich tam mogą, zabić niechcący mogą. Zapamiętaj sobie: Antona masz za furtkę nie wypuszczać! Leo po świętach zacznie jeździć ze mną do roboty!

Nikt nie ważył się głośniejszemu odetchnąć. Kiedy Vater zaczynał rzucać ciężkimi przekleństwami, i to trzy razy z rzędu, żartów nie było. Nie chwycił za pas tylko dlatego, że uszanował dzień świąteczny. Był typowym cholerykiem, musiał natychmiast wyrzucić z siebie całą złość. Posiedział jeszcze chwilę, posapał, wreszcie ochłonął i sięgnął po kuch (ciasto (gwar.)).

Było po awanturze.

- Wypadałoby pokolędować - powiedział, zgarniając z patery drugą porcję ciasta.

Felicja zwilżyła językiem wyschnięte wargi.

- Stille Nacht, heilige Nacht (Cicha noc, święta noc... (niem.))... - zanuciła drżącym głosem.

Śpiewali sobie w wielkiej zgodzie prawie godzinę. Na choince, w blasku świeczek, migotały kolorowe gwiazdki i czerwone jabłuszka. Było pięknie. Felicja w końcu wstała, żeby pozbierać talerze, sięgnęła nawet po dwa najbliższe i nagle przycupnęła ponownie na brzegu krzesła, jakby coś sobie przypomniwała.

- „Lulajże, Jezuniu, lulajże lulaj...” - zaśpiewała najpierw cicho, potem z każdą linijką coraz głośniej.

Żadne z dzieci nie mogło jej towarzyszyć, bo też żadne nie znało polskich słów Nieoczekiwanie Franz wsparł żonę swoim barytonem.

- „Lulajże, Jezuniu, moja perełko...” - śpiewali już razem.

W pamięci Jadzi lata wojny zlały się w jedną całość. Ciężkie to były czasy, może nie tyle głodne, ile ubogie w dobre jedzenie, ładne ubrania i prezenty. Doniesienia z frontu ani ją ziębiły, ani parzyły. Wiedziała, że wojska niemieckie i austro - węgierskie chcą pobić ententę, czyli na pewno Rosję, Francję i Anglię, jednak nie rozumiała, dlaczego aż tak bardzo im na tym zależy. W szkole, na lekcji historii, owszem, mówiło się o wojnie. Nauczycielka wychwalała waleczność żołnierzy niemieckich, dokładnie omawiała każde zwycięstwo, umniejszała każdą porażkę, lecz na pauzie koleżanki opowiadały zupełnie coś innego. Zwłaszcza Polki. Ona właśnie zdążyła się zaprzyjaźnić z drugą Jadzią i za wszelką cenę chciała cokolwiek zrozumieć, żeby nie wyjść na głuptasa. Ojciec uparcie powtarzał, że Polacy jak zwykle się łudzą, a będzie jak było. Jadzia nie miała nic przeciwko temu, żeby wróciły stare, dobre czasy sprzed wojny i żeby Józef wreszcie wrócił do domu.

Kiedy kończyła naukę w szkole powszechnej, pani od historii nie była już tak pewna niemieckiego zwycięstwa. Losy wojny wyraźnie przechylały się na stronę państw ententy

- Zobaczysz, będziemy mieli własne, niepodległe państwo
- cieszyła się druga Jadzia.

Podobną wiadomość przyniósł do domu ojciec.

- Czy ty wiesz - zagadnął do żony - że teraz Polacy mają tu rządzić?

- A nie mówiłam?

- Co niby mówiłaś? Co mogłaś mówić, jeśli nawet ja czegoś podobnego nie podejrzewałem? Już ja widzę te ich rządy, te kłótnie, podchody, wzajemne podgryzania. Nic z tego nie wyjdzie, wspomnisz moje słowa. Chaos będzie większy niż przed stworzeniem świata.

Najbliższa przyszłość udowodniła, że Franz, przepowiadając chaos, nie był najlepszym prorokiem. Jego rodacy dobrze wykorzystali te czternaście miesięcy, jakie upłynęły od podpisania pokoju do faktycznego wyzwolenia miasta. Obyło się bez zamieszek i ofiar. Wszyscy niemieccy urzędnicy wynieśli się jednego dnia, następnego ranka wymaszerował z miasta rozbrojony oddział Grenzschtzu (Straż graniczna (niem.)), a kilka godzin później wkroczyło polskie wojsko. Polska administracja cywilna, powołana i przeszkolona wcześniej, tylko czekała na objęcie urzędów. Nie było już Tuchel, była Tuchola i wielkie nadzieje rozbudzone wśród Polaków

- Klaus szykuje się z rodziną do wyjazdu - powiedział któregoś dnia ojciec. - Nawet dom już sprzedał jakiemuś piekarzowi.

Minę miał zgnębioną. To, że wyjechali urzędnicy i nauczyciele, było zrozumiałe. Odsunięto ich od pracy, przestali być potrzebni, więc musieli poszukać innego miejsca na ziemi. Ale czemu miał się wynosić doskonały rzemieślnik,

urodzony i wychowany w Tucholi, do tego zaprzyjaźniony z Franzem?

- Sam zdecydował, czy go wypychają? - spytała przytomnie Felicja.

- Upiera się, że tu dla Niemców życia nie będzie.

- A ty jak mówisz?

- Skąd niby mam to wiedzieć?! - fuknął ze złością.

Klaus wkrótce wyjechał. W jego kamienicy nowy właściciel otworzył piekarnię. Franciszek jeszcze długo nie pozwalał Felicji kupować chleba u Latzkego, zupełnie jakby to Latzke przegonił Klause z Tucholi. A przecież wcale tak nie było. Niewielu tucholskich Niemców poszło w ślady Klause. Może nie mieli dokąd jechać, może nie chcieli. Karty rozdawane przez moźnych tego świata nie zawsze pasują graczom. Ba, czasem nie pasują samym rozdającym. Czy Keiser (cesarz (niem.)) Wilhelm II przypuszczał, że po przegranej wojnie i upadku cesarstwa będzie musiał szukać schronienia w Holandii? Na tym w zasadzie kończy się podobieństwo losów prostego krawca i wielkiego cesarza.

Jedni szykowali się i wyjeżdżali, inni wracali z wojny. Niestety nie wszyscy. Wiele rodzin pogrążyło się w żałobie, wiele wciąż czekało z nadzieją. Felicja coraz dłużej klęczała przy wieczornym pacierzu, Franz sposepniał i jakby zmałał. Więcej milczeli niż rozmawiali, i to milczenie udzieliło się nawet dzieciom. Atmosfera w domu zrobiła się gęsta od wyczekiwania. Jadzia zwierzyła się Antonowi, że dzień, w którym ich brat wróci z wojny, będzie najszczęśliwszym dniem w jej życiu, szczęśliwszym nawet niż dzień ślubu. Miała zaledwie czternaście lat, o małżeństwie raczej nie myślała, natomiast o Józefie codziennie. Jego zdjęcie stało w serwantce za szkłem. Podchodziła do fotografii i przypominała sobie, jaki był wysoki i ładny, jakie miał piękne ciemne włosy.

Któregoś dnia siedziała w kuchni i łuskała groch. Ktoś zapukał.

- Herein! (Proszę! (niem.)) - krzyknęła i dalej łuskała groch. Obojętnym wzrokiem obrzuciła wchodzącego mężczyznę.

Wyglądał nędznie, lecz takie to były czasy, że większość ludzi donaszała stare łachy i też wyglądała nędznie.

- Jak w sprawie pieca, to ojca nie ma w domu - powiedziała niezbyt przychylnie, żeby obcy nie chciał przypadkiem zaczekać.

- Nie poznajesz mnie? - spytał.

- Nie! - Pokręciła głową i spojrzała uważniej.

Dopiero kiedy odsłonił w uśmiechu duże, piękne zęby Jaskólskich, coś jej zaświtało w głowie. Odpowiedziała zalęknionym uśmiechem, choć dalej nie była pewna, czy ten chudy, zarosnięty i mocno brudny mężczyzna, to na pewno ten, na którego czekają.

Drzwi gwałtownie się otworzyły i wbiegła zdyszana matka. Broda jej się trzęsła, łzy płynęły po twarzy.

- Ja cię, synek, poznałam na ulicy, jak tu szedłeś. Po chodzie, po plecach cię poznałam - mówiła wśród łez.

Jadzia bardzo bolała nad tym, że przez własne gapiostwo zniszczyła najpiękniejszy dzień swego życia.

- Aż tak mocno się zmieniłem? - spytał przy kolacji Józef.

- Tak mocno brat się nie zmienił, za to bardzo się postarzał - odpowiedziała z wrodzoną sobie szczerością.

Rodzina znowu była w komplecie.

Pensja (2)

Paweł przez dwa dni nie zaglądał do matki. Pojechał do Tucholi pożegnać Zosię, córkę Antona. Zosia odchodziła pierwsza z trzeciego już pokolenia Jaskólskich. Mało ją znał, prawdę mówiąc, spotykali się wcześniej głównie na uroczystościach pogrzebowych. Z Jaskólskimi widywał się przynajmniej na pogrzebach, natomiast z rodziną ojca stracił wszelki kontakt. Matka, po śmierci męża, jakoś do Jastańskich nie ciągnęła. Sama nie wiedziała, ilu ich jeszcze żyje i gdzie, rzadko też o nich opowiadała. Jeżeli już, to o Władku z Sochaczewa, u którego spędziła z mężem pierwszy miesiąc wojny. Wspominała tego Władka i jego żonę Helenkę dość sympatycznie, jednak ich powojenne losy wcale jej nie interesowały. Po wojnie miała swoje własne zmartwienia.

Zosia odchodziła po ciężkiej chorobie i śmierć wydawała się dla niej wybawieniem.

- Z naszej półki biorą - powiedział Stach Jaskólski, kiedy opuszczali cmentarz.

Paweł zrobił trochę zdjęć nowej Tucholi z myślą, że po obróbce pokaże je matce. Zastał ją rozkojarzoną bardziej niż zwykle. Czekwała na odwiedzinę przyjaciółki, denerwowała się, że tamta ją zaniedbuje.

- Niedługo już przywiozę ci fotelik na kółkach - powiedział Paweł. - Pojedziemy sobie na spacer.

- Na spacer? - zdziwiła się. - Ty, Leon, chyba masz sklerozę. Codziennie ci mówię, że bolą mnie nogi i nie mogę chodzić, a ty mnie na spacer ciągniesz.

- Nie będziesz szła, tylko jechała.

- Wolałabym porozmawiać z Klarą.

Przyprowadził Klarę do matki i usadził na łóżku. Jadwiga tylko na to czekała.

- Zmieniłaś się, Klara, bardzo się zmieniłaś. Ja jestem do rozpoznania, ale ty nie. Po tej myszce na policzku cię

poznałam. I patrz, znowu jesteśmy na pensji. Nie wiem tylko, czemu zakonnice zmieniły suknie na szare? Czarne były praktyczniejsze. Może się tylko przebrały, jak myślisz?

- Lompy zabrał, ancug i klampe. Pindel mi ostawił i szatory - odparła szeptem Klara.

- Pamiętasz ty, jak Róża chciała uciekać? - ożywiła się nagle Jadwiga. - My też byśmy mogły. Na całe szczęście nie zmieniłam łóżka, wciąż śpię pod oknem. Leon przyniósłby sznur, najpierw ja bym zeskoczyła, potem ty i niechby nas siostry szukały. To tylko parter, dałybyśmy radę. Róża chciała skakać z piętra i też mówiła, że da radę. Na pensji to było życie, co? Dlatego wróciłam. Ty też?

Jasne dnie

Franz Jaskolski, a właściwie od zakończenia wojny znowu Franciszek Jaskólski, miał teraz w warsztacie pomocnika i ucznia, jako że dwaj starsi synowie postanowili iść w ślady ojca. Przynajmniej z fachem. Anton natomiast zdecydował, że zostanie kupcem, Jadzia nie bardzo myślała o dalszej nauce. Nie z tępoty ani z lenistwa, raczej z rozsądku. Znajomość języka na poziomie eine kleine zajączek nie dawała jej szans na skończenie polskiego gimnazjum. Siedziała w domu i przy matce uczyła się, jak być dobrą gospodynią. Ojciec nie wydawał się tym zachwycony. Nie był, co prawda, zwolennikiem przesadnego kształcenia kobiet, lecz wobec córki miał wielkie plany. Chciał z niej zrobić prawdziwą damę. Oczywiście matka zadbała, żeby się nie garbiła, siedziała prosto, jadła nożem i widelcem, a przede wszystkim utrzymywała wokół siebie porządek, jednak dama powinna wiedzieć i umieć trochę więcej.

- Czego matka mogła cię nauczyć, to już nauczyła - powiedział. - Wiedz, że na marmeladzie i kapuśniaku życie się nie kończy. Musisz nabrać ogłady, nauczyć się ciekawie rozmawiać i tańczyć. Matka na pewno ci nie pomoże, bo tańczyć nie umie i od ludzi stroni.

Z wielkich aspiracji Franciszka Jaskólskiego zrodził się pomysł, żeby od września Jadzia pojechała do Chojnic na pensję dla panien z dobrych domów. Przyjmowano tam dziewczynki z ukończoną szkołą powszechną. Pensja była dwuletnia, dość droga, za to prowadzona przez siostry zakonne, co pobożnemu Franciszkowi bardzo odpowiadało. Siostrzom z kolei powinna odpowiadać jego córka, ponieważ spełniała najważniejsze warunki stawiane uczennicom: była dobrze urodzoną katoliczką. Jadzia z ciężkim sercem szykowała się do opuszczenia domu. Co prawda na dwa lata, lecz dziewczynie, która przez piętnaście lat spała w jednym

tylko łóżku, te dwa lata wydawały się wiecznością. Marudziła, próbowała różnych sztuczek, żeby zmiękczyć ojca i przeciągnąć matkę na swoją stronę.

- Wytrzymasz. Jesteś moją nieodrodną córką i wiem, że wytrzymasz! - powtarzał Franz.

Też mu było markotno, że straci z oczu swoją ukochaną królewnę, ale nie zamierzał oszczędzać na jej edukacji. Wydatki szły spore. Musiał myśleć o opłaceniu czesnego i odpowiedniej wyprawce. Potrzebna była bielizna, przede wszystkim zaś mundurek, zgodny z wymaganiami szkoły. Uczennice pensji nosiły granatowe bluzy z marynarskim kołnierzem obszytym białymi tasiemkami i zakończonym sporą kokardą, spódnice zakrywające kolana, plisowane lub z lekkim kloszem, czarne pończochy, czarne pantofle, a na głowie berety z emblematem szkoły.

- Szkoda, że nie ma Klause, on by ci dopiero uszył mundurek! - wzdychał ojciec.

Klaus był męskim krawcem, specjalizował się w ciężkich pelisach i garniturach, lecz dla ojca wciąż pozostawał najlepszy. Matka zaprowadziła Jadzię do pracowni Sprawskiego, który słynął z doskonałego kroju damskich kostiumów. Wiadomo było, że jak Sprawski uszyje żakiet, to nawet zwalista i niezgrabna kobieta będzie wyglądała jak wycięta z żurnala. Franciszek o tym nie wiedział, bo nie znał się na damskiej modzie.

W domu Jadzia natychmiast przymierzyła mundurek, żeby i ojciec mógł zobaczyć.

- Sam popatrz, leży niczym druga skóra! - zachwycała się matka.

Jadzia stała przed lustrem i z trudem poznawała tę pannę po drugiej stronie tafli. Tamta wyglądała bardzo dorośle i jednocześnie obco, gdy tymczasem Jadzia wciąż czuła się

dziewczynką. No, może nawet panienką, ale to, co o sobie myślała, nie miało nic wspólnego z dorosłością.

- Phi! - ojciec wykrzywił usta. - Zgrabna, to i leży na niej dobrze. W pasie tylko za szeroko.

- Fason jest zbluzowany tak ma być.

- Fason! - prychnął. - Krawiec sobie nie poradził, i tyle. Zobaczyłabyś mundurek od Klause. No, ale nogi to moja Jadzia ma jak utoczone.

- Po tobie - przytaknęła matka z lekkim uśmieszkiem. - Łysiny tylko po tobie nie wzięła i teraz kłopot, co zrobić z warkoczem. Najgorsze będzie mycie głowy, sama sobie nie poradzi. Młode panienki chętnie obcinają włosy, może by ona też? Włosy nie zęby, odrosną.

Pytała z udanym lękiem, żeby nie rozsierdzić męża, jedynie pozwolić mu zdecydować w sprawie, która już dawno była przesądzona. Jadzia dosyć miała warkoczy, marzyła o krótkiej, modnej fryzurze i wciąż o tym mówiła. Matce mówiła, bo ojcu nie śmiała. Jak większość mężczyzn, Franciszek kojarzył długie włosy z kobiecością i niechętnym okiem patrzył na modnisie z dumą obnoszące po ulicach krótkie fryzury. Od krótkich włosów zdecydowanie wolał krótkie spódnice. Przynajmniej u młodych kobiet, bo te starsze mogły sobie robić, co chciały. Żona dawno już pozbyła się długich włosów i prawie tego nie zauważył. W domu zwykle nosiła chusteczkę, na większe wyjścia, na przykład do kościoła, wkładała na głowę siatkę, która chroniła włosy przed potarganiem, i było dobrze. Jednak żona to nie córka.

- Proszę taty, tato nie wie, ile czasu zajmuje czesanie. Będę musiała wstawać pół godziny wcześniej - powiedziała płaczliwie Jadzia.

Spojrzał na nią spod zmarszczonych brwi, pomyślał chwilę i kiwnął głową.

- Jak masz mieć tyle kłopotu z jednym warkoczem, to go obetnij. Najwyżej po szkole znowu zapuścisz włosy - zgodził się łaskawie.

Możliwość obcięcia włosów była jedyną jasną stroną wyjazdu do Chojnic. Już następnego dnia Jadzia poszła z matką na Świecką do zakładu Kuntza.

- Ciąć? - upewnił się mistrz. - Nie szkoda panience takich ładnych, grubych włosów?

- Ciąć, ciąć! Na policzkach chcę mieć wywinięte haczyki.

Opuszczając dom, Jadzia czuła wielki strach przed nowym. W głębi duszy wierzyła w siebie, rodzice i bracia też w nią wierzyli, jednak strachu przełamać nie umiała. Ojciec odwiózł ją do Chojnic dzień przed rozpoczęciem roku szkolnego. W drodze na pensję wstąpili do cukierni, żeby choć trochę opóźnić chwilę pożegnania. Jemu też było nielekkko, nadrabiał miną, próbował żartować. Powoli i w skupieniu jedli ciastka tortowe.

- Tylko mi się tu za kawalerami nie oglądaj!

- Dobrze, proszę taty - zgodziła się potulnie i natychmiast sprostowała. - Przecież tato wybrał dla mnie żeńską szkołę.

- A widzisz! Twój ojciec zawsze wie, co robi.

Jadzia bez przekonania dziobała widelczykiem ciastko. W każdej innej sytuacji bez mrugnięcia okiem zjadłaby trzy takie. Niestety, to nie była sytuacja „każda inna”, tylko pożegnanie. Rozmowa nie bardzo się kleiła. Franciszek wyjął z kieszonki wielki okrągły zegarek z dewizką, potrząsnął nim, jakby bardzo się dziwił, że czas tak nieubłaganie biegnie. Musieli się pośpieszyć. Za godzinę miał pociąg powrotny.

Dotarli wreszcie do wysokiego, szarego gmachu. Jadzia zwolniła kroku, wreszcie stanęła niepewnie. Ojciec zdecydowanym ruchem nacisnął klamkę wielkich drzwi i pociągnął córkę za sobą. Zatrzymali się w holu. Dalej już żaden mężczyzna, nie tylko kawaler, nie miał prawa wstępu.

Pochyliła się do ojcowskich rąk, by je ucałować i oblać Izami, które nieproszone cisnęły się do oczu.

- Nie płacz, córka, nie płacz! - poprosił. - Pokaż im wszystkim, tym tutaj, że jesteś Jaskólska. Moja krew. Bierz walizkę i idź!

- Dobrze, proszę taty! - chlipnęła.

Objął ją mocno, aż zaboląło. Sam z trudem panował nad wzruszeniem.

Młodziutka zakonnica poprowadziła nową uczennicę na piętro, by wskazać jej pokój. Jadzia z duszą na ramieniu stanęła na progu sali, która od tej pory miała być jej domem.

- Dzień dobry - powiedziała zachrypniętym z emocji głosem. . - Tu nie mówimy „dzień dobry”, tylko: „Niech będzie pochwalony” - pouczyła ją wysoka, chuda panienka.

Siedziały sobie we trzy na jednym łóżku i wesoło o czymś rozprawiły. Patrzyły na nową z ciekawością i odrobiną wyższości. Zdążyły się już zadomowić i poznać, gdy tymczasem ona wciąż była obca.

Jadzia stała w drzwiach niepewna, czy zakonnica się nie pomyliła, wskazując jej drzwi dziesięcioosobowej sali. W domu tylko dwaj młodsi bracia dzielili pokój, ale już najstarszy brat i ona mieszkali oddzielnie. Tu miałyby spać z dziewięcioma innymi, całkiem obcymi dziewczynkami? Nie mogło jej się to pomieścić w głowie.

- Wyglądasz, jakbyś chciała uciec - roześmiała się ładna czarnulka.

- Wybierz sobie łóżko i chodź do nas - powiedziała inna, dla odmiany ruda i piegowata.

Jedno łóżko było oddzielone od reszty parawanem i Jadzia postanowiła je zająć.

- Nie, nie! - krzyknęły koleżanki jednogłośnie. - Tam śpi panna Agata, nasza opiekunka. - Wieczorem ją poznasz. Tu wszystko się robi pod nadzorem, jeśli byś nie wiedziała.

Dodały jeszcze coś, czego nie zrozumiała. Z rezygnacją przysiadła na łóżku pod oknem. Przejechała ręką po kocu i aż się wzdrygnęła, taki był szorstki. Musiała zebrać myśli. Bodaj pierwszy raz poczuła żal do ojca. Wciąż powtarzał, że wie, co robi i nigdy się nie myli, jednak gdyby tak było, to albo Niemcy powinni nadal w Polsce rządzić, albo ona powinna lepiej znać ojczysty język. Bała się podejść do nowych koleżanek, bała się otworzyć usta, żeby jej nie wyśmiały i nie odrzuciły.

- Chodź do nas! - ponowiła prośbę ruda.

- Ale dumna - mruknęła chyba ta wysoka i chuda. Jadzia usłyszała tylko „dumm” i aż się zatrzęsała z tłumionej irytacji.

- Wer ist dumm? (Kto jest głupi! (niem.)) - spytała zaczepnie.

Panienki spojrzały po sobie i wybuchnęły śmiechem. Nie był to śmiech złośliwy, raczej wesoły.

- Ładnie to wymyśliłaś - powiedziała czarnulka. - Nie, wcale nie myślimy, że jesteś dumna i zadzierasz nosa. Dwie godziny temu też nie wiedziałyśmy, od czego zacząć rozmowę.

Jadzia pojęła piąte przez dziesiąte, ucieszyła się jednak, że nikt jej na powitanie od głupich nie wyzywa. Uśmiechnęła się do koleżanek i pozostała na łóżku pod oknem. Te trzy rozprawały całkiem swobodnie, szybko, bez zastanawiania się nad każdym słowem, a przecież też musiały kończyć niemiecką szkołę, inaczej być nie mogło.

Do wieczora cała sala zapełniła się nowymi uczennicami. Dwie z nich, Marta i Stefania, podobnie jak Jadzia, przyjechały z Tucholi. Pamiętała je ze szkoły powszechnej, jednak koleżankami były tylko z nazwy, więc nie padła im w ramiona. Wysoka i chuda panienska, ta, która pouczyła Jadzię, że należy mówić „Niech będzie pochwalony”, najwyraźniej miała w sobie cechy przywódcze. Minuty nie mogła usiedzieć

na miejscu, naradzała się z czarnulką i rudą, wreszcie wskoczyła na krzesło.

- Słuchajcie! - krzyknęła. - Proponuję, żebyśmy po kolei się przedstawiły i powiedziały coś o sobie. Zawsze lepiej żyć wśród znajomych niż obcych. Mam rację? Jasne, że tak. Nazywam się Agnieszka Kuźmińska i pochodzę z okolic Raciąża, ze starego, dobrego ziemiaństwa, mocno dziś zubożalego. Został nam jeden niewielki folwark. Mam mnóstwo zainteresowań, często je zmieniam i nie umiem powiedzieć, co mnie dziś najbardziej ciekawi. Może filozofia? Niech będzie, że filozofia.

Zeskoczyła z krzesła i ustąpiła miejsca czarnulce.

- Nazywam się Marysia Sobótkówna i - roześmiała się - i nie wiem, co mam dalej mówić? Nie mam takiego daru jak Agnieszka. Mój tato jest lekarzem, mama nie pracuje. Mam jeszcze dwie młodsze siostry. Najbardziej interesuje mnie poezja. Nie piszę wierszy, bo nie umiem, ale uwielbiam je czytać i przeżywać. Te z was, która kochają Asnyka i Tetmajera, zostaną moimi rywalkami. Posłuchajcie tylko:

Jednego serca! Tak mało, tak mało, Jednego serca trzeba mi na ziemi! Co by przy moim miłością zadrzało... (Adam Asnyk, „Sonet".)

Sfrunęła na podłogę, robiąc miejsce piegowatej i rudej pannie, z którą zdążyła się już zaprzyjaźnić wcześniej.

- Nazywam się Róża Bekawska i mam wątpliwości, czy Marysia ze swoimi zainteresowaniami dobrze trafiła - powiedziała, zerkając figlarnie na koleżankę.

Trzy, może cztery panny zrozumiały aluzję i skwitowały ją śmiechem. Reszta wybałuszała oczy w przerażeniu. Nie obchodziła ich Marysia ani wiersz, myślały raczej o prezentacji. Jadwiga też sztywniała ze strachu, ale nie dlatego, że miała mówić o sobie, tylko dlatego, że nie umiała tego zrobić. Nie bardzo rozumiała, co mówiły koleżanki,

gorączkowo zbierała myśli i próbowała przełożyć je na kilka prostych zdań.

Już czwarta albo i piąta pensjonarka wskakiwała na krzesło. Jedna lubiła gotować, druga chciała przetańczyć życie, a Jadwiga pragnęłaby zapaść się pod ziemię, żeby tylko nie stawać na wprost tych swobodnych, wygadanych panienek. Zresztą nie wszystkie były swobodne. Plątały się, nie wiedziały, co mówić, może nawet mówiły same głupstwa, bo inne w tym czasie dawały sobie znaki i chichotały. Dla Jadwigi nie miało znaczenia, co mówiły, ważne, że po polsku.

Na krześle stanęła sąsiadka zajmująca łóżko obok, niezbyt urodziwa, drobna panienka z niewielką myszką na policzku.

- Wybaczcie - powiedziała ładnym, melodyjnym głosem - ale częściej mówiłam: ich heisse niż „nazywam się”. Teraz powiem tak: nazywam się Klara Mischke. Tata jest Niemiec, mama Polka i ja czuję się Polka. Przyszłam na ta pensja, żeby pogłębić język i obyczaje.

Skończyła i jakoś nikt się nie śmiał. Jedna tylko, gruba Wanda, ta, która parę minut wcześniej plotła coś bez sensu, wydeła pogardliwie usta. Jedna się nie liczyła. Jadwiga poczuła przypływ odwagi. Znalazła się na krześle, zanim zdążyła pomyśleć, co robi. I dobrze, bo gdyby za długo myślała, nie wydukałaby słowa.

- Ja nazywam się Jadwiga Jaskólska. Przyjechałam z Tucholi. Mogę powiedzieć to samo, co Klara: chcę dobrze mówić po polsku. Teraz mówię źle i wiem to.

Pierwsze lody zostały przełamane. Przynajmniej na gruncie towarzyskim, a to już było bardzo dużo.

Jadzia dość szybko pojęła, że na pensji, którą dla niej wybrał ojciec, najprędzej i najskuteczniej nauczy się modlić. Każdego ranka o wpół do siódmej siostra dyżurna obchodziła sypialnie i budziła uczennice. W pośpiechu, zimną wodą, zmywały z siebie resztki snu, czesały się i ubierały pod

czujnym okiem panny Agaty, opiekunki sali. Musiały bardzo uważać, żeby swoją golizną nie zgorszyć koleżanek. Potem karnie, dwójkami, schodziły do kaplicy, gdzie ksiądz odprawiał dla nich skróconą mszę. Przed każdym posiłkiem obowiązywała wspólna modlitwa. Życie toczyło się według kalendarza obrzędowego: w listopadzie Święto Zmarłych, potem adwent, przygotowania do Bożego Narodzenia i tak dalej. Czczono też obowiązkowo wszystkie dni Maryjne. Religijność uznawana była za najwyższy przymiot pańienek dobrze urodzonych, co bardzo mocno podkreślał w czasie religii ksiądz katecheta.

Lekcje rozpoczynały się o ósmej. W programie były przedmioty ogólnokształcące, ze szczególnym uwzględnieniem dwóch nieobecnych w szkołach niemieckich, to jest historii i języka polskiego. Panienki uczyły się też dobrych manier, higieny, nowoczesnego zarządzania domem i paru innych, niewątpliwie przydatnych rzeczy, jak choćby haftu wypukłego czy robienia firanek za pomocą kołeczka i iglicy. Siostry zakonne przysposabiały wychowanki do tradycyjnie pojmowanej roli Polki katolickiej, żony i matki, unikając skrętnie jakichkolwiek wstydlivych tematów. Raz w tygodniu były lekcje ruchu i tańca.

Już w pierwszych dniach dały o sobie znać wyraźne różnice między uczennicami. Przede wszystkim językowe, ale nie tylko, bo poziom wiedzy też był mocno zróżnicowany. Marysia Sobótkówna na przykład słyszała o Przybyszewskim i nagiej duszy, znała ze sto wierszy na pamięć i przeczytała pewnie tyle samo powieści, a gruba Wanda upierała się, że Norwid był pianistą. Róża Bekawska przed wojną zwiedziła z matką całą Europę, a Jadzia nigdy dotąd nie wychyliła nosa z Tucholi. Nauczyciele sporo mieli pracy, żeby przygotować te wszystkie pańienki z dobrych domów do życia w rodzinie i na salonach.

- Chodzimy lekko, nie szuramy nogami, prostujemy plecy! Z wdziękiem, z gracją! - krzyczała aż do zachrypnięcia nauczycielka ruchu i tańca. - Bekawska świetnie, Jaskólska nieźle, Szrubówna fatalnie. Moje dziecko, koń dorożkarski ma więcej wdzięku niż ty.

Zgnębiona Szrubówna występowała na środek sali i ze łzami w oczach słuchała ostrej krytyki. Rosła jakoś tak nieproporcjonalnie, że ręce i nogi nie pasowały do reszty tułowia i tylko przeszkadzały w zgrabnym chodzeniu.

Jadzia lubiła te lekcje. Nie musiała wsłuchiwać się w każde słowo nauczycielki, wystarczyło, że patrzyła uważnie na jej ruchy i wiernie je powtarzała. Poza tym tylko tu zbierała pochwały za prostą postawę i ładny sposób siadania. Z wielką niecierpliwością czekała na naukę tańca, zapowiedzianą po lekcjach ruchu. Inne przedmioty nie szły jej tak dobrze, zwłaszcza polski i historia.

Na lekcjach polskiego, ku swojemu zdumieniu, dowiedziała się, że nawet te koleżanki, którym dotąd zazdrościła znajomości języka, wcale nie mówiły poprawnie. Ich polszczyzna daleka była od doskonałości, tak przynajmniej oceniała nauczycielka. Do chlubnych wyjątków zaliczała Marysię Sobótkównę, Agnieszkę Kuźmińską, Różę Bekawską i dwie czy trzy uczennice dochodzące z Chojnic.

- Moje panienki, nie ubieracie płaszcza, a już nie daj Boże mantła, ubieracie siebie, wkładając płaszcz. Nie dostałyście na fryszyk nudli z mlekiem, tylko dostałyście na śniadanie makaron z mlekiem. Czy to jasne?

Kiwały głowami, że jasne, lecz w tych głowach aż kłębiło się od pomieszania słów polskich, niemieckich i gwarowych. Na spacerach Wanda zawsze chciała iść na srej (na skróty (gwar.)), Stefania złościła się, że w pokoju jest szajseraj (okropny bałagan (gwar.)) i pilnowała ordnungu (porządku (niem.)).

Uczennice, których polszczyzna była ledwie raczkująca, chodziły na dodatkowe lekcje. Z nimi Jadwiga bez trudu dogadywała się po niemiecku, była jednak na tyle mądra, by wiedzieć, że koleżanka z tych kręgów niewiele jej pomoże. Coraz częściej spoglądała w kierunku grupki nazywanej przez koleżanki „trójprzymierzem”. Agnieszka, Marysia i Róża od początku trzymały się razem i raczej nie szukały nowych przyjaźni. Przekonała się o tym, próbując zagadać do Agnieszki.

- Jaskólska albo mówisz do mnie po polsku, albo wcale! - mruknęła niechętnie.

- Przecież rozumiesz, co mówię.

- Księciu Bogusławowi Radziwiłłowi usta pierzchły od mówienia po polsku, mnie od słuchania ciebie puchną uszy. Nie zmuszaj mnie do mówienia językiem odwiecznego polskiego wroga - zakończyła nieco patetycznie.

- Jeżeli księżę Radziwiłł mógł po niemiecku, to ja...

- On tylko po francusku, a ja francuski znam słabo.

To była jedyna dłuższa rozmowa w języku niemieckim, w jaką Agnieszka dała się wciągnąć. Jedyna i od razu policzek. Jadzia poczuła się odtrącona i zlekceważona. Żałowała, że nie zaczęła od Róży, która wydawała się bardziej przystępna. Któregoś dnia Róża sama zagadała do Jadzi, nawet obdarzyła ją komplementem. Cesały się przed jednym lustrem.

- Masz piękne włosy - powiedziała Róża. - Oddałabym nie wiem co za taki kolor.

Jadzia nie miała już tak białych włosów, jak kiedyś w dzieciństwie. Teraz na jej głowie pyszniła się złota szopa o prześlicznym połysku. Spojrzała na Różę ze współczuciem.

- Rozumiem cię, rude włosy są wyjątkowo paskudne. I jeszcze te piegi.

Powiedziała tylko to, co czuła i widziała, bez żadnych złych intencji. Mówiła prawdę.

Róża wpięła wsuwkę w swoje niesforne loki i bez słowa odeszła od lustra. Myślała pewnie, że Jadzia zacznie kłamać podobnie jak nauczycielka, która wykładała na pensji historię malarstwa. Zaledwie kilka lekcji, nic ważnego, ale właśnie ona zachwyciła się Różą i porównywała ją do kobiet z portretów. Tamte damy, niestety też były brzydkie. Jadzia nie skomentowała tego głośno, przy całej klasie, wyłącznie z uwagi na Różę. Teraz, w cztery oczy, musiała powiedzieć prawdę i powiedziała.

Wkrótce zaszło coś, co na pewien czas podzieliło panny z pierwszego rocznika na dwie zażarcie dyskutujące grupy. Na lekcji polskiego, przy okazji omawiania „Konrada Wallenroda”, wypłynęło pojęcie patriotyzmu. Nauczycielka, pani Wyrwowa, nie zostawiała uczennicom swobody przy analizowaniu utworów oraz treści, jakie ze sobą niosły. Dyktowała do zeszytów interpretację jedynie słuszną i tej musiały się trzymać przy odpowiedziach.

- Piszcie moje, panny - powiedziała. - Mickiewicz uczy nas, że największą powinnością każdego Polaka na ziemi jest miłość ojczyzny, która nakazuje bronić kraju wszelkimi sposobami, zarówno tymi, które przynoszą chwałę, jak i tymi, które ściągają hańbę. Zdemaskowany Wallenrod składa ojczyźnie ofiarę ze swojego życia. Jest to wielki przejaw patriotyzmu.

Wanda Kordonówna, która nigdy pierwsza nie wyrywała się do odpowiedzi, widać pomyślała głośno, bo nagle w ciszy rozległ się jej zdziwiony głos.

- Dużo ojczyźnie przyjdzie z trupa.

Pani Wyrwowa zastygła na środku klasy. Była tak zaskoczona, że odstąpiła od dyktowania i bodaj pierwszy raz pozwoliła na dyskusję.

- A jak ty pojmujesz patriotyzm? - spytała. - Słuchamy, wyjaśnij nam, bo jesteśmy bardzo ciekawe.

- No - ciągnęła niezbyt speszona Wanda - miłość można okazywać bez umierania, najlepiej pracując dobrze albo...

Rozejrzała się niepewnie po klasie, bo choć spieszyć ją było trudno, to z wyrażeniem myśli miała niejaki kłopoty. Pani Wyrwowa też się rozglądała i jej wzrok spoczął na Jadzi.

- A ty, jak rozumiesz patriotyzm? - spytała.

Jadzia posłusznie podniosła się, choć w głowie miała istny mętlik. Jej ojciec też nie miał dobrego zdania o umieraniu za ojczyznę, czuła jednak, że nauczycielka ani trochę nie zgadza się z taką opinią.

- Mój tato mówi - zaczęła drżącym głosem - że patriotyzm to: diabłu duszy nie sprzedać i trwać na ojczystej ziemi, bez względu na to, co się dzieje.

- Trwać! - fuknęła nauczycielka. - Trwać to stanowczo za mało. Trzeba nam działać.

Marysia Sobótkówna podniosła rękę do góry.

- Już Krasicki w „Hymnie do miłości ojczyzny” uczył nas, jak pojmować patriotyzm - powiedziała i dołożyła cytat: - „Święta miłości kochanej ojczyzny... Byle cię można wspomóc, byle wspierać, nie żał żyć w nędzy, nie żał i umierać”.

Pani Wyrwowa promieniała. Biskup Ignacy Krasicki był tu największym autorytetem. Dokończyła, co zostało jeszcze do podyktowania, i poleciła zamknąć kajety. Prawdziwa dyskusja rozgorzała dopiero w sali i ona właśnie podzieliła uczennice na dwa obozy. Jeden był za trwaniem i uczciwą, codzienną pracą, drugi za słodyczą umierania.

Na pensji Jadzia czuła się osamotniona. W Tucholi mogła nie lubić koleżanek, bo to nielubienie w niczym jej nie przeszkadzało. Wracła do domu i resztę dnia spędzała wśród najbliższych. Tutaj, czy na lekcjach, czy w sali, wciąż była otoczona obcymi, których tak naprawdę nie obchodziło, co się z nią dzieje. Nie miała ani z kim porozmawiać, ani komu się

zwierzyć. I co najgorsze, nie mogła powiedzieć, jak kiedyś w dzieciństwie, że koleżanki są głupie. Pewnie że głupich nie brakowało, lecz były też takie, którym nawet ona zazdrościła wiedzy, choć nie powinna. Wywodziła się z domu, gdzie od dziecka wpajano jej, że zazdrość jest grzechem.

Ostatnio nauczyciele coraz częściej chwalili Klarę Mischke. Ta Mischke nie dość, że wiedziała wszystko, o co ją pytali, to jeszcze robiła niesamowite postępy w nauce języka. Wystarczyło kilka miesięcy, żeby nadrobiła czternastoletnie zaległości.

- Nie rozumiem, jak ty to godzisz? - spytała kiedyś Jadzia.

- Co godzę?

- Msze, ciągle modlitwy, lekcje i jeszcze cichą naukę w naszym rozgadanym pokoju. Ja też się uczę, ale przeszkadza mi hałas, zaczynam się mylić i jak chcę powiedzieć coś szybko, to muszę po niemiecku.

Siedziały same w sali, co zdarzało się wyjątkowo rzadko. Nikt się nie kręcił, nie chichotał.

- Twój ojciec jest Niemcem?

- Nie. Tato chciał, żebym w szkole miała łatwiej, więc rodzice zaczęli w domu mówić po niemiecku.

- To znaczy, że ty się uczyłaś języka z wyboru i na spokojnie. Ja z musu. Za każde polskie słowo dostawałam od ojca rzemieniem po nogach, po plecach, gdzie trafił.

- Ojciec bił cię rzemieniem? - spytała zdumiona Jadzia.

- Jeszcze jak! Bił mnie i mamę. Powtarzał, że pracuje na nas i ma obowiązek stawiać nam wymagania. Poza domem był bardzo szanowanym wysokim urzędnikiem, inżynierem z zawodu.

- Nie żyje?

- Zostawił nas i wrócił do Niemiec. Podobno polska rodzina przeszkadzała mu w karierze. Bardzo dobrze, że wyjechał, bo dziadkowie darowali mamie... To znaczy, tak

naprawdę nigdy nie darowali. Przyjęli nas do siebie, jednak nie ma dnia, żeby nie wytykali mamie samowoli i mezaliansu. Rozumiesz, szlachecka córka ze starego polskiego rodu i prosty Niemiec, tyle że wykształcony. Bałam się go i nienawidziłam, był przerażający. Jak wpadał w złość, twarz mu się tak dziwnie wykrzywiała, jakby za moment chciał kogoś pogryźć. - Wstrząsnęła się z odrazą. - Nienawidzę wszystkiego, co niemieckie, języka też. Teraz rozumiesz, dlaczego tak szybko uczę się polskiego?

- Grosser Gott! (Wielki Boże! (niem.)) - szepnęła Jadzia przejęta zgrozą.

Nieoczekiwanie dla samej siebie objęła Klarę i przytuliła. Nie mogło jej się pomieścić w głowie, że obok dobrych, kochających ojców trafiają się potwory. Z tego przytulenia i współczucia zrodziło się bliskie koleżeństwo. Klara też czuła się samotna i szukała bratniej duszy.

Wszystkie trybiki maszyny, zwanej pensją, działały bez zarzutu. Siostry były niezłymi organizatorkami i bardzo poważnie traktowały swoją opiekuńczą rolę. Dbały zwłaszcza o to, by wychowanki miały jak najmniej wolnego czasu i nie zaprzętały sobie kilkunastoletnich głów sprawami zbędnymi. One dopiero miały zostać żonami i matkami, na razie były nieopierzonymi podfruwajkami, które należało chronić nie tylko przed grzechem, ale także przed samą myślą o grzechu. Uczennice pozostawały więc pod ciągłym nadzorem tak na spacerze, jak i w salach sypialnych. Opiekunka za przepierzeniem czuwała nad rozmowami i wkraczała natychmiast, gdy uznała temat za niebezpieczny dla młodych umysłów. Niebezpieczne w zasadzie było wszystko, czym panny się interesowały. Wiadomo przecież, że wieczorami nie chciało im się rozprawiać o niedoli chłopca pańszczyźnianego ani o Kongresie Wiedeńskim. Jeżeli już miał być chłop, to pojmowany jako kawaler do wzięcia, a jeżeli wiedeński, to

tylko walc. Były to naiwne rozmowy, pełne achów, ochów i budzącego się zainteresowania płcią przeciwną. Na spacerach dreptały tak, jak im przykazano, to znaczy wyprostowane, z oczami skromnie spuszczone w dół. To nie do wiary, ile można zobaczyć po bokach, obserwując jedynie czubki własnych butów. Zauważyły każdego przystojnego i nieprzystojnego kawalera, wiedziały, który był w mundurze, który po cywilnemu. Po spacerze rozprawiły o nich z wielkim zacięciem, choć jeszcze bez wypieków.

Jadzię trochę śmieszyły te rozmowy. Miała w domu dwóch braci (Józef się nie liczył jako dorosły) i wcale nie uważała, by życie z nimi pod jednym dachem było czymś nadzwyczajnym. Bracia mieli swoje tajemnice, ona swoje, czasem się poczubili, czasem trzymali sztamę, i to wszystko. Ale żeby zaraz wzdychać na widok takiego choćby Leona? Nie, to jej się nie mieściło w głowie.

W powietrzu czuć było wiosnę. Dziewczęta były rozkojarzone i po wiosennemu rozleniwione, nauczyciele przeciwnie: gonili z materiałem, przepytawali, zmuszali do powtórek. Któregoś dnia, pod nieobecność w sali panny Agaty, Marysia zaczęła mówić wiersz:

W twego ciała precudownej czarze życie kipi jak złociste wino: trzykroć, trzykroć ten będzie szczęśliwy, komu dasz się nim upić, dziewczyno (Kazimierz Przerwa - Tetmajer, „W twego ciała...”).

- Przestań! To są straszne świństwa - powiedziała Marta. Te, które słuchały z otwartymi buziami, zaczęły sykać.

- To piękny wiersz Tetmajera, gdzie ty tu widzisz świństwa? - zdumiała się Marysia.

- Może i ładny, ale nie dla nas. W naszym wieku nie wypada mówić o ciele ani o picciu wina. Grzech! - upierała się Marta.

Podniósł się wielki jazgot. „Trójprzymierze” poparło Marysię, jedna panna stanęła murem za Martą i grzechem, reszta nie bardzo rozumiała poetyckie przenośnie, więc przezornie zamilkła.

- Grzech! Grzech! - powtarzała Marta.

Panna Agata weszła do sali akurat w momencie, gdy przy głosie był grzech.

- O czym to panienki rozprawiają tak głośno? Co jest grzechem? - spytała czujnie.

Próbowały się wykręcić, że o niczym wielkim nie rozmawiały, że to było tak sobie, na wyrost. Nie dała się zbyć. Położyła dłoń na ramieniu Marty i czekała.

- Mówiłam... mówiłam, że picie wina jest grzechem - wyjaśniła, czerwieniąc się po nasadę włosów.

Panna Agata odetchnęła. To były jej słowa, które pensjonarka tylko powtórzyła.

Inne uczennice milczały.

Po tym niezbyt miłym incydencie Marysia zaprzestała głośnych recytacji. Jedynie przyjaciółki z „trójprzymierza” korzystały z jej znajomości poezji. Na pauzach, kiedy cała pensja zażywała spaceru, snując się karnie po korytarzu, para za parą, „trójprzymierze” chroniło się we wnęce okiennej. Dwie zasłuchane, jedna poruszająca ustami i wtedy pewne było jak amen w pacierzu, że chłoną słowa poety, który przemawiał do nich ustami Marysi. Niedługo przemawiał, bo opiekunki miały sokole oczy i natychmiast rozpędzały każdą szepczącą grupkę.

- Panienki, co to za sekrety? Spacerujemy, spacerujemy!

- To już nawet porozmawiać nie wolno?! - buntowała się Agnieszka.

Opiekunki nie zawracały sobie głowy odpowiedzią, w milczeniu zgarniały nieposłuszne panienki i popychały ku spacerującym. Regulamin pensji wyraźnie zabraniał szeptania

po kątach. Powiedziane było tak: od wysłuchiwania sekretnych wyznań i przemyśleń jest ksiądz spowiednik, to zaś, co ważne, a nie objęte tajemnicą spowiedzi, ma być przedstawione w czasie wieczornych rozmów w sali. Te wieczorne podsumowania dnia były prawdziwą zmorą uczennic mieszkających na pensji. Panna Agata stawała na wprost i kazała im opowiadać, co robiły, o czym myślały, co je nurtowało, co przeszkadzało w sumiennym wypełnianiu obowiązków. Panny uparcie milczały, opiekunka czekała, cenne minuty uciekały. Nic budującego, kompletnie nic nie wynikało z wieczornych podsumowań.

Wkrótce, ale to było już w maju, inne sprawy zaprzątnęły głowy uczennic. Siostra przełożona zapowiedziała nie lada atrakcję: wycieczkę do Poznania na pierwsze targi, imprezę całkiem nową i zapowiadającą się bardzo ciekawie.

Pojechały na początku czerwca, dwa dni przed zamknięciem, żeby uniknąć nadmiernego tłoku. Towarzyszyły im opiekunki i nauczyciel geografii, który wziął na siebie rolę przewodnika.

- Panienki, patrzemy w prawo! Ta wspaniała budowla to Wieża Górnosłaska, wzniesiona w 1911 roku z okazji Wystawy Wschodnioniemieckiej.

Podziwiały wieżę, podziwiały pawilony i prezentowane w nich maszyny. Maszyny stały wszędzie, i to był jedyny minus. Cała reszta udała się wspaniale, zwłaszcza spacer po pięknym, tętniącym życiem Poznaniu, gdzie na ulicach jeździły najprawdziwsze tramwaje. I wspólna fotografia też była nie lada atrakcją. Ileż to potem było biegania i zbierania podpisów. Na odwrocie zdjęcia każda smarowała swoje imię i nazwisko, i tak dwadzieścia sześć razy, bo tyle panienek pojechało na wycieczkę.

Nadeszły wreszcie upragnione wakacje. Wszystkie czekały na tę chwilę przez dziesięć miesięcy. Pakowały się

teraz w pośpiechu, wymieniały adresy i żyły wyjazdem. Klara, zamiast układać rzeczy w walizce, pilnie studiowała kartkę, którą dostała od Agnieszki.

- Uczysz się jej adresu na pamięć? - zdziwiła się Jadzia.

- Widziałaś kiedyś taki długi adres? - roześmiała się Klara, machając kartką. - Poprosiłam Agnieszkę o listę książek, które warto przeczytać. Jak chcesz, to ci przepiszę?

Jadzia spojrzała niepewnie.

- Mamy w domu kilka książek niemieckich.

- Musisz czytać po polsku. Mogę ci polecić coś, co znam, na przykład „W pustyni i w puszczy”. Przczytałam w czasie zimowych ferii, świetna powieść.

- Jak świetna, to też spróbuję - zgodziła się Jadzia. - Napiszesz do mnie?

- Tak, ale jeśli mi odpiszesz po niemiecku, to pamiętaj, we wrześniu twoje uduszone ciało zawisnie za oknem. - Spojrzała wymownie na Jadzię. - Zazdroszczę ci, będziesz w dużo lepszej sytuacji niż ja.

- Uduszona i za oknem?

- Nie! - roześmiała się Klara. - Zazdroszczę ci wakacji. W Tucholi masz Stefanię i Martę, a ja wracam na wieś i siedzę sama przez dwa miesiące. Zamierzam dużo czytać, tylko nie wiem, gdzie zdobędę te wszystkie książki spisane przez Agnieszkę. Po ojcu zostały same niemieckie, u dziadków są tylko poradniki rolnicze, jedno i drugie wcale mnie nie interesują. Będę musiała poszukać kogoś uczonego w miasteczku. W Tucholi pewnie jest biblioteka?

- Jasne! - przytaknęła Jadzia.

Przytaknęła odruchowo, na wyrost, ponieważ nie miała ani pewności, ani też ochoty, by marnować wakacje na szukanie takich dziwnych miejsc. Jednak bardzo współczuła Klarze. Samotność wydała jej się nagle czymś przykrym i nie do zniesienia. Zanim trafiła na pensję, też nie miała koleżanek,

teraz na szczęście wszystko się zmieniło. Wprawdzie Stefania i Marta nie mogły zastąpić Klary, ale były w zasięgu kilku ulic. Stefanię polubiła już wcześniej za humor i skłonność do figlów, za Martą nie przepadała. Marta wydawała się nudna, wszędzie tropiła grzech, więc „trójprzymierze” nazwało ją grzechotką, i tak już zostało. Ostatnio jednak grzechotka jakby się zmieniła i mniej interesowała cudzymi winami. Jak głęboka była to przemiana, okazało się w drodze do domu.

Miały wracać we trzy pod opieką ojca Jadzi. Coś tam jednak wypadło, Franciszek nie mógł przyjechać i wysłał najstarszego syna. Wracały więc z Józefem, mężczyzną co prawda dorosłym, ale wciąż jeszcze młodym, przystojnym i miłym, który nawet nie przewidywał, co go w tej podróży czeka. Ledwie usiedli w wagonie, w Martę wstąpił diabeł lub raczej przekorny diabełek, wyhodowany na pensji prowadzonej przez siostry zakonne.

Wymagania stawiane panienkom z dobrych domów były surowe i nie podlegały dyskusji. Wychowanki musiały przyjąć za pewnik, że jako przyszłe żony i matki zostały stworzone do celów wielkich, co wiązało się, rzecz jasna, z wielkimi obowiązkami wobec Boga, ojczyzny, męża i dzieci. O przyjemnościach mówiło się niewiele, a jeżeli już, to tylko o tych płynących z modlitwy i patrzenia na rosnące pociechy. Miłość małżeńską w zasadzie gwarantował ślub, więc temat nie nadawał się do drażenia. Dużo więcej można było powiedzieć - wyłącznie w kategoriach powinności i obowiązków - o najważniejszym dla uczennic okresie, kiedy z panien będą się przemieniać w narzeczone, potem zaś mężatki. Siostry nauczały, że to miał być okres wielkiej skromności. Wciskały podopieczne w tak ciasny gorset nakazów i zasad, że odrobina swobody stała się koniecznością. Poza lekcjami, w rzadkich chwilach wytchnienia, panienki radziły się jedna drugiej, wszystkie

jednakowo mądre, jak zrobić dobre wrażenie na wybranym mężczyźnie, jak pozyskać jego względy albo sprawić, żeby się oświadczył. I tak powstał swoisty kodeks uwodzenia, chyba nieznany nigdzie indziej poza salą panny Agaty. Opiekunka nie miała z tym nic wspólnego, to dziewczęta pod jej nieobecność ustaliły, że do młodych mężczyzn należy przemawiać oczami. Oczy są zwierciadłem duszy, zapewniała Marysia Sobótkówna, zatem panny, sprzecząc się zawzięcie, ustaliły, że jedno spojrzenie spod rzęs znaczy „zwróciłeś moją uwagę”, dwa szybkie spojrzenia, jedno po drugim „przemów do mnie, czekam”, trzy takie spojrzenia posuwały niewinny flirt odrobinę dalej. Ponieważ nie wypadało patrzeć mężczyźnie prosto w oczy, panny musiały zerkać spod opuszczonych powiek, co było niebywale trudne. Trzepotały więc rzęsami jak w czasie kurzawy, zezowały na boki, wyczyniając przy tym dziwne sztuczki z ustami, które powinny być złożone w dziobek. Zalotne spojrzenie poparte uśmiechem było wykluczone i uznane za niewłaściwe. Trudno dojść dlaczego, ale tak stanowił pensjonarski kodeks. I właśnie te zasady miały zostać wypróbowane na Józefie.

Pociąg ruszył, Marta trąciła Stefanię w bok i obie ruszyły do ataku. Jadzia, ze zrozumiałych względów, nie mogła brać w tym udziału i nie została przez koleżanki dopuszczona do tajemnicy. W pierwszym odruchu chciała bronić brata, i gdyby na miejscu dorosłego Józefa siedział Anton, przerwałaby zabawę, jednak Józef mógł się bronić sam. Parę razy złapała jego rozbawione spojrzenie i sama zaczęła się krtusić ze śmiechu.

- Dobrze moje panny, teraz popatrzcie na mnie! - powiedział, kiedy już wyczerpały dość skromny repertuar i zaczęły się powtarzać. - Bardzo proszę!

Spuściły oczy natychmiast, bo wpatrywanie się w mężczyznę było wyraźnym uchybieniem przeciwko skromności.

- Przecież was nie zjem.

Pierwsza uniosła głowę Stefania, po niej Marta.

- Śliczne oczy, proste, a już myślałem, że panienki mają zęza i nerwowe tiki. To teraz powiedzcie, co miały znaczyć te dziwne miny?

Jadzia chichotała już całkiem jawnie.

- To brat nie wie? Ćwiczyły uwodzenie - powiedziała, krztusząc się ze śmiechu. - Na kimś trzeba spróbować.

- Siostry was chyba tego nie uczyły?

- Jasne że nie. Dla nich to grzech. Józef wydawał się lekko zgorszony.

- Grzech może jeszcze nie - powiedział wolno - ale takimi minami wystraszyście wszystkich kawalerów w Tucholi. Jest jakiś porządek na świecie, według którego to mężczyzna stara się o względy panny, nigdy odwrotnie.

- Tego nie byliśmy pewne - mruknęła Jadzia, nie precyzując, czego tak naprawdę nie były pewne.

Do domu dotarli późnym popołudniem. Po gorących powitaniach Jadzia na chwilę zniknęła w swoim pokoju. Usiadła na łóżku i z ulgą rozejrzała się po znajomych kątach. Nie było to jakieś piękne, wytworne wnętrze. Całe umeblowanie składało się z żelaznego łóżka nakrytego kapą w różyczki, starej szafy, sfatygowanej komódki z całkiem innego kompletu oraz stolika służącego do odrabiania lekcji. Proste, zwykłe mebelki, prosta firanka i dywanik z gałganków. Jakże ona kochała to wszystko! Po wielkiej dziesięcioosobowej sali, do której w końcu musiała przywyknąć, znowu poczuła, co to znaczy własny kąt. Z zamyślenia wyrwały ją szybkie kroki na schodach. Do pokoju zajrzał Anton.

- Kolacja! Nie każ na siebie długo czekać, bo umieram z głodu.

- Wszyscy już są?

- Nie wszyscy, bo ciebie ani mnie tam nie ma - wyjaśnił z komiczną powagą. - Jak wychodziłem z jadalni, Józef trzymał mowę.

Zerwała się natychmiast, trochę niespokojna, czy najstarszy brat nie zabawia rodziców opowieścią, jak to uwodziły go w pociągu dwie panienki z dobrych domów. Ojciec i mama byli ludźmi starej daty i raczej z niechęcią patrzyli na to, co ogólnie nazywało się postępem, a więc na rozluźnienie obyczajów czy choćby dyskusje o równych prawach dla kobiet. Oboje byli zadowoleni ze starych porządków, to znaczy ojciec na pewno, mama zaś nigdy nie wspominała, że jest niezadowolona ze swojej roli w rodzinie.

Przy kolacji Jadzia musiała dokładnie opowiedzieć o życiu na pensji, o postępach w nauce i o koleżankach. Najwięcej mówiła o Klarze, bo Klara była jej najbliższa.

- Mnie się ta panna nie podoba! - stwierdził ojciec.

- Bo tato jej nie zna. Jest bardzo ambitna, pracowita i szczerą - broniła koleżanki Jadzia.

- Ładna mi szczerkość! Pannica szkaluje ojca, któremu zawdzięcza życie, a ty nazywasz to szczerkością?

- Nie wszyscy ojcowie, proszę taty, są tacy dobrzy jak tato. Herr Mischke bił Klarę, bił jej mamę, w końcu je zostawił i wyjechał. Gdyby był dobry, to by po nim tęskniły.

- Musiało być zupełnie inaczej - zaprotestował z przekonaniem Franciszek. - Wykształcony Niemiec, urzędnik i inżynier na pewno wiedział, co robi. To są jednak cudze sprawy i nie będziemy w nie wchodzić. Powtarzam ci, że mnie się gadanie tej panny nie podoba. I twoja przyjaźń z nią też mi się nie podoba. Dłużej żyję od ciebie i wiem, co mówię.

Jadzia siedziała zgnębiona. Straciła ochotę do opowiadania o pensji i bodaj pierwszy raz w życiu bardziej wierzyła koleżance niż rodzonemu ojcu. Skąd mógł wiedzieć, jak było naprawdę? Irytowała ją ta niezachwiana pewność siebie, ale była karną córką, poza tym bała się, żeby Józef nie dolał oliwy do ognia. Gdyby ojciec zakazał jej spotkań ze Stefanią i Martą, musiałyby samotnie spędzać wakacje. Brat jednak dyskretnie milczał, co nie znaczy, że zapomniał o niewinnym incydencie. Zajrzał do siostry, kiedy już leżała w łóżku. Jego zdanie na temat tego, co wypada, a co nie wypada młodym panienkom, było bardzo zbieżne ze zdaniem zakonnic. Przemawiał jej do rozsądku, prosił, tłumaczył, przestrzegał.

- To była tylko zabawa, proszę brata - broniła się Jadzia.

- Panienki w waszym wieku powinny jeszcze bawić się lalkami, zapamiętaj to sobie.

- Zapamiętam - mruknęła niezbyt skruszona. Trochę ją rozbawiło, że Józef najwidoczniej zapomniał, ile miała lat. - Niech mi brat powie, czy naprawdę rodzice zawsze mają rację i nigdy się nie mylą? Pytam tak ogólnie, bo czasem mi się wydaje...

Zamilkła ze strachu, że może powiedzieć o jedno słowo za dużo i zostanie posądzona o krnąbrność lub niewdzięczność. Józef był mądry, dużo czytał, miał kolegów, z którymi często dyskutował, i czasami Jadzia odnosiła wrażenie, że nie zawsze zgadzał się z ojcem.

- Tak! - odpowiedział z niewielkim wahaniem. - Rodzice mają rację zgodnie z wiedzą, jaką posiadają, ale nieomylny jest tylko Bóg.

- Dziękuję - szepnęła sennie.

Po dniu pełnym wrażeń oczy jej się same zamykały.

Szkolny mundurek został odłożony do starannego wyczyszczenia i odprasowania. Jadzia z wielką ulgą włożyła

ulubioną letnią sukienkę z błękitnego płócienka i zbiegła na dół.

- Grosser Gott! - Matka załamała ręce. - Widuję na ulicy panny w krótkich sukienkach, ale nie przed kolana. I jeszcze to...

Spojrzała wymownie na dekolt córki. W miejscu, gdzie rok temu sterczały dwa małe pagórki, rysował się zgrabny biuścik. Stanik sukienki trzeszczał w szwach, podkreślając całkiem niepotrzebnie okrągłości, które starannie zakrywała szkolna bluza.

- Tak nie możesz wyjść nawet do ogrodu. Trzeba cię ubrać - zdecydowała mama.

Jadzia nie wydawała się zmartwiona ani wydatkami, ani tym bardziej zakupami. Ojciec też zbytnio się nie przejął. Nie był rozrzutny, lecz córce niczego nie żałował.

- Jak się ma dzieci, trzeba mieć i na dzieci - powiedział wieczorem i hojną ręką wyłożył pieniądze.

Nie śpiesząc się, obeszły sklepy w Rynku, potem na Świeckiej i Chojnickiej. Jadzia ze zdziwieniem rozglądała się po dobrze znanych ulicach. Chwilami nie poznawała własnego miasta. Rok jej nie było, a tu proszę: nowe sklepy, nowe warsztaty, kamienice porządnie odmalowane, same zmiany.

- Tata mówił, że jak Niemców zabraknie, to miasto zginie. Chyba się pomylił, prawda, proszę mamy?

- Rodzice się nie myślą, zapamiętaj to sobie. Ja myślę, że dobrze mówił. Na razie Polacy chcą pokazać, co potrafią. Skąd jednak wiadomo, na jak długo starczy im ochoty? Lepiej ty mi powiedz, jak ci jest w tych Chojnicach?

- Myślałam, proszę mamy, że będzie gorzej. Najwięcej kłopotów miałam z polskim. Bałam się, że sobie nie poradzę. Teraz znowu się boję, że przez wakacje wszystko zapomnę.

- Ano, tata przywykł do niemieckiego i tak już zostało, że w domu po niemiecku, w pracy po polsku. Bo widzisz, ojciec

jest leniwy - zreflektowała się, że nie powinna tak mówić do córki. - W języku leniwy, to chciałam powiedzieć. W robocie, broń Boże, robota to mu się w rękach pali, jak to zdunowi. A ty może zacznij co czytać, żeby poćwiczyć polski i nie wyjść z wprawy jak ojciec.

- Chciałabym kupić książkę z poezjami - ożywiła się Jadzia.

- Na co ci, córka, poezja? Praktyczniej poradnik kupić albo gazetę.

W końcu nie kupiły ani poradnika, ani gazety, bo dużo czasu zmitrężyły na przymierzaniu sukienek.

Jadzia lubiła siedzieć w domu, ale już nie tak bardzo jak kiedyś. Niosło ją do miasta, do koleżanek i nie wiadomo, gdzie jeszcze. Była jednak panienką z porządnego domu, na dodatek w wieku określanym jako niebezpieczny i w żadnym wypadku nie mogła biegać samopas. Pewnie przyszłoby jej spędzić wakacje w ogródku na kontemplowaniu istotnych różnic między takim choćby jabłkiem a śliwką, gdyby nie Anton. Najmłodszy z braci był uczniem szkoły kupiecko - handlowej i choć do dorosłości trochę mu brakowało, cieszył się zaufaniem rodziców. Ograniczonym zaufaniem, ma się rozumieć, jednak z braku innych opiekunów, to na nim spoczął ciężar towarzyszenia siostrze w godzinach przedpołudniowych i popołudniowych. Wieczory w ogóle nie wchodziły w rachubę.

- Wreszcie docenisz, co to znaczy mieć starszego brata! - mądrzył się Anton.

Nie wydawał się zmartwiony nowymi obowiązkami. Przesadnie szczęśliwy też nie był, bo pewnie od czasu do czasu chciałby wyskoczyć gdzieś tylko z kolegami, jednak Jadzia nie dawała się zbyć byle odmową. W Tucholi brakowało miejsc spacerowych, jakichś pięknych parków czy promenad, było za to jezioro Zamkowe, Głębozeczek i rzeczka

Kicz. Doprawdy, amatorzy kąpeli nie mieli prawa narzekać. Tyle tylko, że panienom nie wypadało się publicznie kąpać, mogły sobie najwyżej posiedzieć w cieniu, ewentualnie zamoczyć nogi do pół łydki, nie wyżej, bo zadzieranie sukienki urągało dobrym obyczajom. Wybrali się kiedyś nad Kicz ze Stefanią. Anton od razu wskoczył do wody, panienki udeptywały mułek przy brzegu. Brodziły sobie, chichotały w najlepsze, dopóki ich towarzysz nie przyплыnął. Całą trójką wyszli na brzeg.

- Co ja tam mam? - Jadzia zainteresowała się swoją łydką.

- Pijawkę - powiedział spokojnie Anton.

Myślała, że to żarty. Przejechała dłonią po nodze i namacalnie się przekonała, że bratu trzeba wierzyć. W palcach trzymała napompowaną krwią, wijącą się obrzydliwość. Wrzasnęła, co miała nie wrzasnąć, ale w prawdziwą histerię wpadła Stefania. Nie pomogły prośby ani ochlapywanie wodą. Dopiero kiedy Jadzia zagroziła, że wsadzi jej pijawkę za koszulę, przestała krzyczeć.

- Od ugryzienia robactwa można umrzeć - powiedziała Stefania, trzęsąc się ze strachu.

Anton wybuchnął śmiechem. W Kiczy zawsze były pijawki i każdy pływak o tym wiedział. Ściągało się je, wrzucało do wody i po kłopocie.

- Mówisz, że nic mi nie będzie? - upewniła się Jadzia.

- Ależ będzie! Ludzie przystawiają sobie pijawki, jak mają za dużo złej krwi, więc teraz powinnaś być milsza.

Pogroziła bratu palcem, zapomniała o strachu i śmieli się razem.

Od czasu historii z pijawkami panienki straciły ochotę na kąpiel, nawet tak szczątkową, jak moczenie nóg. Wtedy Anton wpadł na pomysł wieczorków towarzyskich. On miał kolegów, a siostra koleżanki, nic nie stało na przeszkodzie, żeby zaczęli się umawiać w domach. Takie młodzieżowe

spotkania pod okiem dorosłych nie budziły niczyjego zgorszenia. W ogrodzie Jaskólskich stanął nawet duży stół, specjalnie wkopany przez ojca na użytek młodzieży. Przy tym stole można było wypić wodę z sokiem, zagrać w domino albo pogadać. Matka miała zbyt dużo pracy, żeby nieustannie towarzyszyć młodym, ale popatrywała na nich przez otwarte okno kuchenne. Widok z okna upewniał ją, że spotkania pod orzechem są równie niewinne jak dziecięce zabawy. Panienki po jednej stronie stołu, kawalerowie po drugiej, bez najmniejszej ochoty do łączenia się w pary.

Pewnego, szczególnie upalnego popołudnia siedzieli w ogrodzie w piątkę: Anton grał z Karlem w warcaby, Marta z uwagą wpatrywała się w szachownicę, Jadzia ze Stefanią usiadły na trawie pod jabłonką.

- Patrz tylko na grzechotkę - szepnęła Stefania. - Udaje, że zna się na warcabach. Śmieszne, co? Tak naprawdę to nie odrywa oczu od Karla. Co ona widzi w tym Niemcu?

- No to co, że Niemiec? - obruszyła się Jadzia. - Karl Kornmahler przyjaźni się z Antonem od dziecka. Zresztą ja też go lubię. To dobry Niemiec.

- Mój tato mówi, że nie ma dobrych Niemców.

- Mój tato mówi całkiem inaczej i co?

Nie chciało im się roztrząsać tej kwestii zbyt dokładnie. Słońce przygrzewało, pod jabłonką panował miły cień i szkoda było czasu na sprzeczki. Wolały dyskretnie obserwować starania grzechotki. Widać zapamiętała lekcję z pociągu, bo ani razu nie zrobiła koszmarnego zeza.

- Aż się wierzyć nie chce - szepnęła Jadzia - że to ta sama Marta, która nie dała Marysi Sobótkównie powiedzieć wiersza do końca.

Stefania z politowaniem pokiwała głową.

- Uwierzyłaś w jej wielkie oburzenie?

- Była zgorszona.

- Akurat! Wy myślicie, że Marta jest taka święta, a to nieprawda. Ona lubi być górą, lubi zwracać na siebie uwagę. Nie bardzo ma czym, to zajęła się cudzymi grzechami. Słysząc ją w całej sali, koleżanki o niej mówią, niektóre nawet się boją i Marta pęcznieje z dumy.

- Mówisz poważnie?

Jadzia była tak zaskoczona, że zapomniała o dyskrecji.

- Ciii - upomniała ją Stefania. - No pewnie! Znam ją dłużej niż ty. Ona bardzo chce mieć stałego wielbiciela. Chyba uparła się na Karla, bo nie opuszcza go na krok. Ciekawe, co w nim widzi? Ja to lubię brunetów, a ty?

- Nie wiem... - zawahała się Jadzia.

- Z kolegów Antona, tych, co tu przychodzą, który ci się podoba najbardziej?

- Żaden.

- No dobrze, ale gdybyś musiała spośród nich wybrać najładniejszego.

- Jak mi się żaden nie podoba, to jak mogę wybrać najładniejszego? - zdziwiła się szczerze Jadzia.

Towarzyskie spotkania w domu Marty Wolickiej wyglądały inaczej niż u Jaskólskich. Młodzież zasiadała w bawialni, na miękkich kanapach, co już było lekko onieśmielające. Pani Wolicka ustawiała na stole dzbanki z kompotem i patery z kuchem. Wychodząc z pokoju, nigdy nie domykała drzwi. Rysia, najstarsza siostra Marty, siadała przy pianinie.

- Czemu nie tańczycie? - pytała zdziwiona. - Nie znacie walczyka ani poleczki?

Panienki znały, owszem, z lekcji tańca na pensji, ale żadna nie tańczyła jeszcze z mężczyzną. Chichotały zawstydzone, zerkwały spod rzęs na zakłopotanych kawalerów i nie bardzo wiedziały, co robić. Kawalerowie udawali, że nie w głowie im jakieś głupie wygibasy na środku pokoju. Próbowali nawet

rozmawiać na poważne tematy. Jadzia wierciła się przez chwilę niespokojna, wreszcie przy walcu zerwała się z kanapy i wyciągnęła rękę do Antona.

- Daj spokój, nie umiem tańczyć - burknął i zaczerwienił się po uszy.

- No to co? Pokażę ci krok i sam zobaczysz, że to wcale nie takie trudne.

Było trudne, spodobało się jednak męskiej części towarzystwa i po chwili już trzy pary kręciły się na środku, wpadając na siebie i potykając się o własne nogi.

Rysia była zachwycona. Wstała od pianina i pokazała, jak się wiruje w tempie trzy czwarte, żeby było bezpiecznie i żeby nikogo nie zdeptać. Chłopcy nie od razu pojęli, jednak z lekcji na lekcję radzili sobie coraz lepiej.

Lipiec minął błyskawicznie, sierpień zszedł na nauce tańca i wakacje się skończyły. Jadzia zdjęła z szafy walizkę i zaczęła szykować rzeczy do spakowania. Na jedną kupkę kładła ręczniki, na drugą nocne koszule z długimi rękawami i tasiemkami przy szyi, na trzecią bieliznę i pierwsze staniczki, z których była bardzo dumna. Taki staniczek to prawie przepustka do dorosłości, a dorosłość zaczynała pociągać ją coraz bardziej. Jawiła się jako nieprzerwane pasmo uciech. Tańce do rana, niekoniecznie w domu Wolickich, spaceru przy księżycu, obiady w restauracji, majówki za miastem, jednym słowem bajeczne życie. W tle pojawiał się też jakiś narzeczony, na razie bez konkretnych rysów, za to miły i przystojny. Na pewno nie był to żaden z chłopców, z którymi spędziła bardzo udane wakacje. Ten jeden jedyny musiał być wyjątkowy. Nie wiedziała dokładnie, co to znaczy, przeczuwała jednak, że szczęście jej nie ominie i na samą myśl o tym serce zaczynało żywiej bić.

Nie chciało jej się wyjeżdżać z domu, jednak myśl o pensji wcale nie była przerażająca. Życie w grupie miało swój urok,

całkiem różny od domowego. Jeżeli coś naprawdę ją męczyło, to wspomnienie Klary. Obiecywały sobie, że będą korespondować, i na obietnicach się skończyło. Jadzia nie miała nic na swoje usprawiedliwienie. Głupio tak podejść do koleżanki i powiedzieć: „Przepraszam, nie chciałaś czytać po niemiecku, mnie się nie chciało pisać po polsku, więc milczałam sobie przez całe wakacje”. Tak nie mogła powiedzieć, chociaż była to szczerza prawda. Jadzia lubiła mówić prawdę prosto w oczy, ale nie o sobie.

Gryzła się do kolacji.

- Pomyśl, córka - powiedział ojciec - czy po powrocie na pensję chcesz się kolegować z tą panną, o której tyle tu opowiadałaś. Pisywałyście do siebie? Mam nadzieję, że nie.

- Dostałam od niej dwa listy i nie odpowiedziałam na żaden - wyznała zgodnie z prawdą.

- Bardzo dobrze! - ucieszył się ojciec.

Jadzia była zadowolona, że nie zawiodła ojca, jednak nie zamierzała zrywać przyjaźni z Klarą. Obiecała sobie tylko, że nigdy więcej nie będzie opowiadała w domu o swojej najbliższej koleżance.

Drugie rozstanie z domem nie było tak bolesne jak pierwsze. Mamie i Jadzi łzy się w oczach zakręciły, nawet Anton miał niewyraźną minę, obyło się jednak bez płaczu.

- Rok minie, nawet nie zauważycie kiedy - powiedział ojciec i chwycił walizkę córki.

Nie lubił mazgajstwa i martwiło go, że Józef i Anton odziedziczyli naturę po matce. Była w nich jakaś miękkość, która go irytowała. Jedynie Leon wdał się w niego. I chyba Jadzia.

Uczennice zjeżdżały się przez cały dzień. Każdą wchodzącą do sali witały gromkie okrzyki. Potem były uściski, paplanie, okręcanie biedaczki na wszystkie strony, żeby zobaczyć jak bardzo urosła. Wszystkie się trochę

zmieniły i wydorosłały, najbardziej chyba Róża Bekawska, która spędziła miesiąc u rodziny w Paryżu. Jadzia, przeciwniczka rudych włosów, musiała przyznać w duchu, że Róża wygląda prawie ładnie. Inne koleżanki mówiły, że pięknie.

Klara przyjechała ostatnia.

- Jaskólska, w ogóle z tobą nie rozmawiam! - krzyknęła na powitanie. Za moment wisiała Jadzi na szyi. - Jak powiem po polsku, możesz nie zrozumieć. Du bist der Faulenzer! (Leń jesteś! (niem.)) Nie chciało ci się usiąść do listu, prawda? I książki też nie przeczytałaś?

Jadzia uściskała ją i niczego więcej nie musiała tłumaczyć. Rozumiały się bez słów.

To nie do wiary, jak dwa krótkie miesiące potrafią odmienić młode panienki, i to nie tylko zewnątrz. Niby wciąż były te same, jednak nie takie same. W rozmowach, oprócz wielkiej egzaltacji, coraz częściej przewijały się męskie imiona. Staś powiedział, Witek był cudowny, Wacek miał oczy jak gwiazdy.

- Karol błagał mnie o pocałunek. Gdyby poprosił jeszcze raz, przysięgam wam, że dałabym się namówić - zachichotała nerwowo Marta.

Stefania puściła do Jadzi oko z drugiego końca sali i zakryła usta ręką, żeby się nie roześmiać. Jadzia lubiła jasne sytuacje.

- Marta, mówisz o Karlu Kornmahlerze? - spytała głośno.

- Co cię obchodzi, o kim mówię?

- Nie obchodzi mnie, tylko zastanawiam się, kiedy on cię błagał, jeżeli wciąż przed tobą uciekał?

- Wcale nie! - krzyknęła Marta.

Szykowało się jedno z tych ostrych spięć, które od czasu do czasu, wcale nie tak rzadko, wstrząsały ścianami sali. Panny sprzeczały się, gniewały i godziły, co nie było niczym

dziwnym. Teraz też zirytowana Marta szukała właściwych słów, żeby dopiec Jadzi. Nie zdążyła, bo do głosu dorwała się Wanda. Ona jedna prawie wcale się nie zmieniła. Wciąż była bardzo zasadnicza i wciąż przypominała niewielki, za to masywny klocek.

- O czym wy mówicie? - spytała zaskoczona. - Mężczyzna musi utrzymać dom. Do tego niepotrzebny księżyc w pełni ani gwiazdka na niebie, tylko solidny zawód, pieniądze i głowa na karku. Okropne z was reumatyczki.

- Kto? - spytała Stefania.

- To nie wiesz? Mickiewicz, Słowacki i to całe niepotrzebne wzdychanie.

Śmiech koleżanek wcale jej nie speszył, straciła wątek dopiero, kiedy Agnieszka spadła z łóżka, a do sali weszła panna Agata.

W milczeniu przerywanym tłumionymi chichotami dziewczęta wzięły się do rozpakowywania walizek i układania rzeczy w szafkach.

W nowym roku szkolnym doszedł przedmiot, o którym mówiło się w skrócie: elegancja. Zaledwie kilka godzin, jednak panienki bardzo dużo obiecywały sobie po wykładach. Trochę rozczarowała je nauczycielka. Spodziewały się kobiety pięknej i młodej, bo taka kojarzyła im się z prawdziwą damą. Panna Trębicka była chuda, spowita w czerń i, niestety, miała już chyba ze trzydzieści lat, więc wydawała się stara. Weszła do klasy wyprostowana jak świeca, nie zajęła miejsca za stołem, tylko stanęła między pierwszymi ławkami i uważnie przyjrzała się uczennicom.

- Jak myślicie, czy elegancka pani domu może podejmować gości w negliżu? - spytała.

- Nago? - szepnęła z przerażeniem któraś z pensjonarek. Koleżanki z miejsca zaczęły ją uciszać i posykiwać. Panna Trębicka nie wydawała się zgorszona.

- Negliż - wyjaśniła - to poranny lub wieczorowy ubiór, przeznaczony wyłącznie na użytek domowy, zatem dużo swobodniejszy od stroju dziennego. Koszulka nocna, lizeska, ładny peniuar. Pytam ponownie, czy w takim stroju możemy podejmować gości?

- Nie, nie! - krzyczały jedna przez drugą.

Panna Trębicka spokojnie przeczekała falę protestów, uśmiechnęła się nawet lekko, po czym dała znak ręką, że chce prowadzić wykład dalej.

- W szafie eleganckiej kobiety musi się znaleźć choćby jedna półka na piękną bieliznę nocną. Wytworna koszulka nocna, koronkowy peniuar idealnie pasują do sypialni i w takim stroju spokojnie możemy podjąć herbatą kogoś z rodziny lub przyjaciółkę. Mężczyzn, zwłaszcza obcych, przyjmujemy w stroju kompletnym, bacząc pilnie na staranne uczesanie. Strój dzienny przedpołudniowy różni się od popołudniowego, a ten może być domowy lub wizytowy.

Pensjonarki z wielkim zapałem chłoneły wiedzę przekazywaną im przez nauczycielkę. Chciały być eleganckimi paniami domu i do ich kobiecej wyobraźni mocno przemawiały koronkowe peniuary, kapelusze, rękawiczki, kostiumy, a także fryzury.

- Ostrzegam was, moje panny, przed trwałą ondulacją, która niszczy włosy i grozi poparzeniem skóry. Lepsze są tradycyjne papiloty. Nie dawajcie się też ponieść modzie, nie obcinajcie włosów zbyt krótko, bo to was upodobni do mężczyzn. Bycie kobietą jest wielkim przywilejem, trzeba tylko umieć z niego korzystać - zawiesiła na moment głos - i mieć ku temu okazję. Krótkim włosom wróżę krótki żywot, niedługo znów do łask wrócą piękne loki, wspomnicie moje słowa. Przy regularnych rysach pięknie wyglądają włosy szczesane do tyłu i upięte. Są jakieś pytania?

Jadzia podniosła rękę do góry.

- Chciałabym wiedzieć, co to znaczy, że ktoś ma regularne rysy?

Panna Trębicka spojrzała na nią uważnie.

- Jesteś Niemką?

- Nie.

- To dlaczego mówisz z takim okropnym niemieckim akcentem? Zrób z tym coś, bo to uwłaczające dla Polki.

Jadzia rzadko się peszyła, teraz jednak, pod uważnym, nieprzychylnym wzrokiem nauczycielki, oblała się rumieńcem. Nie знаła słowa „uwłaczające”, domyślała się jedynie, że to nie komplement. Przez krótką sekundę walczyła ze sobą: usiąść, czy domagać się odpowiedzi.

- Ja pytałam, jakie to są regularne rysy? - powtórzyła nieco zaczepnym tonem.

- Na pewno nie twoje. Masz zbyt wydatny nos.

W tym momencie Jadzia przestała lubić pannę Trębicką. Była zadowolona ze swojego nosa, z twarzy i akcentu. Uwaga nauczycielki mocno ją uraziła.

Po każdej lekcji z panną Trębicką dziewczęta same zadawały sobie pracę domową i ćwiczyły się w elegancji. Szalały i błaznowały wieczorami, bo ranki nie nadawały się do zabawy. Nie trzeba było dużo, wystarczyło trochę wyobraźni, by płócienne, pozbawione szczątkowego wdzięku koszule zamienić w haftowane jedwabiem peniuary. Jedyny kłopot miały z gośćmi. Wszystkie panny chciały podejmować, żadna nie chciała składać wizyty. Czasem udawało się nakłonić Wandę.

- Wandusia, bądź przyjaciółką, wpadnij do mnie na poranną filiżankę herbaty - błagała Marta.

- Że też wy zawsze musicie coś głupiego wymyślić - biadoliła Wanda. - Mam w nosie herbatkę na niby. Albo mi jutro oddasz deser, albo pij sobie sama!

W ciągu jednego wieczoru Wanda potrafiła zarobić trzy, cztery desery.

Panna Agata niechętnym okiem patrzyła na zabawy podopiecznych. Co prawda panienki przygotowywane były do życia świeckiego, nie zakonnego, więc zabawy w przyjęcia nie niosły zagrożeń moralnych, z wyjątkiem może jednego: za dużo w nich było strojów, ploteczek i blichtru, za mało duchowości. Siostron zakonnym oraz opiekunkom bardzo zależało, żeby przyszłe matki Polki nie stały się pustymi kobietkami. Wkraczała więc panna Agata w sam środek przyjęcia.

- Dosyć, panienki, dosyć! - mówiła, klaszcząc w dłonie, żeby ją lepiej słyszały. - Teraz pora zająć się duchem. Pomedytujcie chwilę, zastanówcie się, co w życiu jest ważniejsze: ładna pościel czy modlitwa.

- Jedno drugiego nie wyklucza, a porównanie jest niewłaściwe - powiedziała butnie Agnieszka.

- Zareczam ci, że bardzo właściwe! - zachnęła się panna Agata. - Dlaczego to nigdy nie słyszę, żebyście przeżywały mądre nauki księdza katechety, za to wciąż słyszę o zaleceniach panny Trębickiej?

- Bo mądre nauki księdza, przynajmniej dla mnie, są zbyt mądre. Będę je zgłębiała przez całe życie i pewnie nie zgłębię. A panna Trębicka uczy nas rzeczy codziennych i zrozumiałych, które powinniśmy poznać jak najszybciej - wyjaśniła Agnieszka.

Panna Agata zbierała myśli i próbowała nie dać po sobie poznać, jak bardzo nie lubi, gdy ktoś jej się sprzeciwia.

- Panna Trębicka uczy was rzeczy, bez których doskonale można się w życiu obyć. Wy możecie tego jeszcze nie wiedzieć, ona powinna, bo dostała od Boga już niejeden znak. Tak to jest, kiedy rozpieszczone panny z bogatych domów chcą być damami, a nie pokornymi służkami. Niemcy

skonfiskowali rodzinny majątek, narzeczony zginął pod Verdun i świat runął jej na głowę. Nie wyciągnęła z tych doświadczeń właściwych wniosków. Zamiast szukać pocieszenia w modlitwie, uczy was tego, co jej szczęścia nie przyniosło. Uważajcie, bo same nie wiecie, co los wam szykuje.

Skończyła, strzepnęła jakiś niewidoczny pyłek z rękawa i zniknęła za parawanem. Nie była z siebie zadowolona. Nie chciała opowiadać podopiecznym o pannie Trębickiej. Samo tak jakoś wyszło za sprawą przemądrzałej Agnieszki Kuźmińskiej.

Dni miały niepostrzeżenie i ani się panny obejrzały, jak nadszedł adwent, czas postu i wstrzemięźliwości od uciech. O post zadbała pensja, jeżeli natomiast chodziło o uciechy, nie było się przed czym powstrzymywać, chyba że przed spacerami, lecz te należały do obowiązków. Dziewczętom potrzebny był ruch na świeżym powietrzu, maszerowały więc dwójkami przez ulice miasta niczym granatowa, milcząca procesja. Miały oddychać pełną piersią, nie rozmawiać, nie rozglądać się na boki. Dyskretnie łamały te zakazy i szeptały między sobą, choćby o spodziewanym rozpadzie „trójprzymierza”.

Niepisana zasada obowiązująca na pensji mówiła, że przyjaźnie są trwałe niczym małżeństwa. Jeśli się przyjaźń rozpadała, to trudno, ale wszelkie skoki w bok były uznawane za jawną zdradę. I właśnie Róża Bekawska, należąca do „trójprzymierza”, dopuściła się zdrady. Całkiem nagle zaprzyjaźniła się z Emilią, uczennicą mieszkającą w Chojnicach. Na pauzach były nierozłączne i wciąż coś do siebie szeptały. „Trójprzymierze” powinno się na Różę obrazić, jednak z jakichś powodów tego nie robiło. Zaintrygowane panny snuły różne przypuszczenia. Spacer dostarczył im nowego żeru.

Szły sobie przepisowo, para za parą. Żadnej jakoś nie przeszkadzały mokre liście pod nogami, żadna nie straciła nagle równowagi i nie osunęła się na chodnik, tylko Róża. Z przeciwka nadchodził mężczyzna, zobaczył, co się dzieje, i pomógł podnieść omdlałą pannę. Przytrzymał ją potem, a panna Agata z wrażenia nie wiedziała, czy klepać Różę po twarzy, czy raczej wyswobodzić ją z ramion nieznajomego. Co ją szarpnęła, to Róża natychmiast osuwała się na chodnik. Opiekunki innych sal też próbowały pomóc i zrobiło się niezłe zamieszanie.

- Panienki, zawracamy, zawracamy! - krzyczała panna Agata, chociaż był to dopiero początek spaceru.

Wreszcie Róża oprzytomniała na tyle, że mogła samodzielnie stanąć. Agnieszka z Marysią ujęły ją pod ręce i dociągnęły do drzwi pensji.

- Dobrze, że ten przechodzień nam się trafił, prawda? Widziałaś, jak ją chwycił? Jak piórko - mówiła cicho Jadzia.

- Trzeba było jeszcze popatrzeć na jego twarz. On nie piórko chwycił, tylko skarb. Głowę dam, że to nie był przypadek - odparła Klara.

- Żartujesz? - Jadzia o mało nie spadła ze schodów.

- Pomyśl tylko, Róża, choć szczupła i drobna, silna jest jak nie wiem co. Nie wierzę w jej omdlenie. Przewróciła się z wrażenia, źle stąpnęła i poleciała na śliskiej płytce. Może ten mężczyznę miał czekać w innym miejscu, może pojawił się za wcześniej i ją zaskoczył? Jestem pewna, że oni się znają od dawna.

- Skąd mogła wiedzieć, gdzie on będzie czekać i kiedy? - zdziwiła się Jadzia.

- Z listów. Co tak patrzysz? Oczywiście, że nie przysyłał ich na pensję do matki przełożonej, tylko na adres Emilki.

- Myślisz, że... Jak ty na to wpadłaś?

- To nic wielkiego - mruknęła skromnie Klara. - Kiedy jeszcze ojciec był z nami, nauczyłam się patrzeć i słuchać. Przypadkowo odkryłam, że ma romans z jedną Niemką, siedziałam cicho i modliłam się, żeby sobie do niej poszedł i zostawił nas w spokoju. Mamie nic nie powiedziałam ze strachu, bo mogłaby próbować go zatrzymać. Raz w święta ojciec wyciągnął nas na spacer. On, który nie cierpiał rodzinnych spacerów, rozumiesz? Ta Niemka pojawiła się przed nami. Zobaczyłam ją, ale niczego nie podejrzewałam, dopiero kiedy się potknęła i zaczęła jęczeć, że skręciła nogę, coś mi zaświtało. Obok był postój dorożek, ojciec wykazał się wielką troską i odwiózł tę potkniętą do szpitala. Wrócił w nocy. Jeszcze następnego dnia jego marynarka śmierdziała na odległość bzem.

- Grosser Gott! - jęknęła Jadzia. - I co, wyjechał z nią?

- Sam wyjechał. Ona długo wystawała pod naszym domem, jakby nie mogła uwierzyć, że ją też zostawił. Wiesz co? - Klara zmieniła nagle temat. - Nie mów nikomu o moich podejrzeniach. Lubię Różę i wolałabym uniknąć plotek na jej temat.

Jadzia z powagą skinęła głową. Co innego wiedzieć to i owo, a co innego rozgłaszać cudze tajemnice. W jej domu plotki były uważane za wykroczenie przeciwko bliźniemu swemu.

Przez cały wieczór panienki miały o czym szeptać. Niektóre zazdrościły Róży. Kawaler był bardzo przystojny, tylko trochę stary. Oceniały go na trzydzieści lat, może nawet na trzydzieści jeden. Róża milczała, Agnieszka i Marysia udawały, że nic się nie stało, to i reszta wkrótce zajęła się innymi sprawami.

Czas mijał. Jadzia, przygwożdżona ostro przez historyczkę, prawie całkiem zapomniała o świecie współczesnym. Któregoś dnia wkuwała na pamięć daty i

nawet nie skojarzyła, że to właśnie jej Róża daje jakieś dziwne znaki.

- Wyjdź do łazienki! - syknęła, przechodząc obok.

Wyszły jedna po drugiej, każda ze swoim mydłem i ręcznikiem, żeby nie podpaść pannie Agacie. Wlały wody do misek i czekały, aż zostaną same.

- Mam wielkie zmartwienie - szepnęła Róża. - Moja przyjaciółka jest umierająca, a przełożona nie chce mnie puścić do domu. Gdyby matka albo siostra, to co innego, ale podobno na przyjaciółkę dzień wolny się nie należy. Muszę jechać, rozumiesz, muszę!

- Rzeczywiście kłopot - przyznała zmartwiona Jadzia.

- Wymyśliłam coś! - powiedziała Róża nieco żywszym tonem. - Potrzebna mi tylko twoja pomoc. Śpisz pod oknem, więc wieczorem przywiążemy sznur do wezgłowia, a w nocy, jak panna Agata zaśnie, po cichu zejdem po sznurze na dół. To tylko pierwsze piętro, dam radę. Przez ogrodzenie też przeskoczę, nie ma obawy. Ty zamkniesz okno i zwiniesz sznur.

- Jak wrócisz?

Róża zastanowiła się przez chwilę i wyglądało to tak, jakby w ogóle nie uwzględniała powrotu. Westchnęła ciężko.

- Ojciec mnie przywiezie i wszystko wytłumaczy matce przełożonej. To co, pomożesz mi?

- Kiedy?

- Dzisiejszej nocy. Tylko nie mów nikomu, nawet Klarze, błagam!

- Agnieszka i Marysia wiedzą?

Róża wylała wodę do zlewu i zaczęła starannie wycierać ręce.

- Dzisiaj w nocy, pamiętaj - powiedziała, wychodząc z łazienki.

Jadzia wciąż stała nad swoją miską. Serce waliło jej z każdą minutą głośniej. Dzięki Klarze wiedziała więcej, niż Róża mogła podejrzewać. Właściwie wiedziała wszystko, nawet to, że umierająca przyjaciółka zamieni się tej nocy w przystojnego kawalera, który... Który co? Niestety, tego najważniejszego właśnie nie wiedziała: kim był, co zamierzał ani też, jak ta cała awantura skończy się dla Róży i dla niej, dla Jadzi. Trzymała ręce w miednicy i czuła się tak, jakby to nie ręce, lecz głowa była pod wodą. Listopadowa zawierucha za oknem nie pomagała w zebraniu myśli, tylko przypominała o dodatkowych kłopotach. Szatnie na dole były zamknięte, Róża nie mogła więc wynieść palta ani kaloszy, co znaczyło, że wymknie się z pensji w papuciach, mundurku i bez pieniędzy, bo pieniądze trzymała w depozycie panna Agata. Jak na nową drogę życia i psią pogodę, było to stanowczo za mało. Praktyczna Jadzia aż się wzdrygnęła, przewidując anginę, katar i licho wie, co jeszcze, chociaż stokroć gorsza od chorób wydawała się niesława czekająca Różę po takiej ucieczce.

Pomóc, nie pomóc, pomóc, nie pomóc, zastanawiała się Jadzia, przebierając palcami pod wodą. Wyszło, że nie pomagać, co trochę ją uspokoiło, jednak nie rozwiąło wątpliwości. Koniecznie chciała z kimś porozmawiać, najlepiej z Klarą lub z Agnieszka. Jak na złość, obie były na dodatkowych kompletach. Przez moment, przez jeden jedyny momencik, pomyślała o pannie Agacie. Gdyby jej powiedziała, może udałoby się zapobiec nieszczęściu, bo nieszczęście wydawało się nieuniknione. Otrząsnęła się gwałtownie. Wśród uczennic donosicielstwo traktowane było jako największe przewinienie, równe kradzieży. Starsze dziewczęta uprzedzały młodsze i żadna donosicielka nie miała na pensji życia. Jadzia nie chciała się znaleźć na marginesie, otoczona ogólną niechęcią i wzgardliwym milczeniem.

Do łazienki weszły dwie rozchichotane panienki i trzeba było wreszcie opłukać miskę i wytrzeć ręce. Los najwyraźniej jej sprzyjał. Na korytarzu natknęła się na grupę koleżanek wracających z kompletów. Dała znak Agnieszce, a Klarę pociągnęła za rękę. Nikt nie zauważył, że znikają w niszy okiennej, gdzie od biedy mogły się na krótko schować. Agnieszka wydawała się mocno znękana i nieskora do rozmowy.

- Znasz plany Róży? - spytała Jadzia bez zbędnych wstępów. - Tylko mi nie mów o umierającej przyjaciółce, szkoda czasu. Widziałam już tę przyjaciółkę na spacerze, kiedy ratowała Różę z omdlenia.

- O czym ty mówisz? - zdziwiła się Klara.

Na wyjaśnienia nie było czasu. Jadzia dała znak, że powie później, i patrzyła ponagłajaco na Agnieszkę.

- To znaczy, że rozmawiała z tobą? - westchnęła Agnieszka.

- Ona chyba uważa mnie za głupią, jeżeli myśli, że uwierzę w takie bajeczki - szeptała gorączkowo Jadzia. - Wybiera się do domu w papuciach, bez mantla, bez pieniędzy, na dodatek ciemną nocą. Chce uciec, tyle wiem sama, i liczy na moją pomoc, tyle zdążyła powiedzieć. Jednak to, co wymyśliła, nie trzyma się kupy. Taki eine kleine zajaczek przez pole gelaufen.

- Co takiego?

- Byle jaki plan, to miałam na myśli.

- Więc o to chodzi! - mruknęła Klara. - Plan może byle jaki, dla Róży jednak wygodny. Ona za wszelką cenę chce się wydostać z budynku, reszta jej nie interesuje. A ten męczyzna będzie czekał pod bramą?

- W dorożce - szepnęła Agnieszka. - Dla niej to sprawa życia i śmierci. Myślisz, że nie próbowałyśmy z Marysią przemówić jej do rozumu! Równie dobrze mogłybyśmy gadać

do ściany. Nie wyjdzie przez okno, to wyfrunie drzwiami...
Czy tam odwrotnie.

- Oknem chce uciekać dzisiaj, jak jej nie wypuścimy, może do jutra oprzytomnieje. Albo on znudzi się czekaniem.

Agnieszka z powątpiewaniem pokręciła głową.

- To trwa już rok. W tym czasie Rudolf zdążył się oświadczyć i rodzice zdążyli mu odmówić. Raz na zawsze. Mają dla Róży innego kandydata, powiązanego interesami z fabryką ojca. Nie wiem, jak twój, w każdym razie moi rodzice uważają się za nieomylnych, Róży też, i to jest najgorsze. Gdyby był choć cień nadziei... ale nie ma.

- To Niemiec? - spytała Klara.

- Dlaczego tak myślisz?

- Wanda by powiedziała, że to taki niemiecki reumatyzm - uśmiechnęła się przelotnie. - Wielki zdobywca bierze, co chce, bo i tak mu się wszystko należy.

- Myślisz, że Polacy są inni?

- Dajcie spokój - zdenerwowała się Jadzia. - Zaraz nas ktoś nakryje. Wiesz coś o tym mężczyźnie?

- No... jest Niemcem, ale urodzonym w Polsce. Wiem o nim tyle, co Róża powiedziała. Ona jest zakochana i widzi same zalety. Takich idealnych mężczyzn chyba nie ma? Zresztą sama nie wiem.

- Musicie wybić jej z głowy nocną ucieczkę - powiedziała kategorycznie Klara. - Nie rozumiem, dlaczego uparła się, żeby skakać przez okno, narażać pannę Agatę i Jadzię, zamiast... bo ja wiem... oddalić się niepostrzeżenie w czasie spaceru.

- Podobno wszystko jest przygotowane do ślubu.

- Dzisiaj? - zdziwiła się Jadzia. - To ona do ślubu wybiera się w mokrym mundurku, do tego w środku nocy? I co, zapomniała nawet, że jako niepełnoletnia musi mieć zgodę rodziców?

- Jest pełnoletnia.

- To ile lat ona jest stara?

- Jaskólska, ty mnie nie denerwuj! - fuknęła Agnieszka. - Po polsku pytamy, ile ma...

- Przestańcie! - syknęła Klara. - Potem sobie powtórzycie składnię, teraz musimy coś wymyślić na dzisiejszy wieczór. Róża ma swoje lata, chce uciekać, to niech ucieka, tylko nie może pogrążyć innych. Cała sala odcierpi, przydzielą nam nową opiekunkę i nocniki do pokoju, żebyśmy na moment nie zostały same. Jadzię wyrzucą z pensji za współudział. Nikt jej nie uwierzy, że nie czuła, jak Róża po niej spaceruje.

- Jakby zamknęła okno i schowała sznurek, kto wie, czy by się nie udało. - Agnieszka nagle zachichotała. - Mogłybyśmy wmówić siostrze, że to cud na pensji. Takie porwania żywcem nie zdarzają się codziennie. I to od razu do nieba miłości. Bardzo reumatyczne wydarzenie, bardzo!

Zaczęły się krztusić ze śmiechu i zasłaniać rękami usta. Tak były przygniecione powagą wydarzeń, że tylko śmiech mógł rozładować wielkie napięcie. Na moment straciły czujność i nie zauważyły, kiedy tuż obok wyrosła siostra Alberta. Wszystkie zakonnice poruszały się niemal bezszelestnie i zawsze nadchodziły w najmniej oczekiwanym momencie. Był to jeden z niezaprzeczalnych uroków pensji, choć uczennice doprowadzał do szału.

- Co to za sekrety, moje panny?

Siostra Alberta nawet mówiąc cicho, głos miała ostry jak brzytwa.

Spoważniały w jednej sekundzie.

- Przepytyujemy się, siostrzyczko, z dat historycznych - wyjaśniła Agnieszka. Patrzyła na siostrę słodko i niewinnie. - W sali lekcyjnej nie można rozmawiać, w naszej sali koleżanki też się uczą, więc my... My tutaj...

- Wy tutaj łamiecie regulamin, tyle widzę - powiedziała siostra Alberta. - Ciekawam, jaka to data historyczna tak bardzo was rozbawiła.

- Tysiąc dziewięćset siódmy rok - wypaliła Jadzia, jeszcze nie bardzo wiedząc, dlaczego. Ciągnęła jednak z przejęciem. - Wtedy to nasz krajan, Paweł Gackowski, zamieszkał w wozie cygańskim, żeby pokazać Prusakom, że lekceważy sobie ich zakazy. To było naśladowanie Drzymały. Nie dali Prusacy postawić im prawdziwych domów, to...

- Nie rozumiem, co w tym śmiesznego?

- Miny Prusaków, proszę siostry! - wykrzyknęła Agnieszka. - Wyobraziłyśmy sobie ich miny.

Siostra uwierzyła czy nie, w każdym razie nie wyglądała już na zagniewaną. Rozłożyła szeroko ręce i - niczym kwoka kurczęta - zagoniła całą trójkę do sali.

- Macie refleks! Mogłybyście w konspiracji pracować - szepnęła Klara, ledwie znalazły się za progiem.

Nie zdążyły podziękować za uznanie. Panna Agata patrzyła mocno podejrzliwie i musiały rozbiec się jak najszybciej, żeby nie wyjaśniać, co takiego robiły we trzy na korytarzu.

Jadzia powiesiła ręcznik na łóżku. Poduszka wydała jej się trochę zgnieciona, więc wygładziła ją i namacała coś twardego, co z całą pewnością do niej nie należało. Uniosła poduszkę i odkryła spory kłębek grubego sznura. Rozejrzała się spłoszona i pochwyciła uważne spojrzenie Klary. Klara też dostrzegła sznur. Zagryzła usta i lekko, leciutko wskazała głową pannę Agatę. Przez sekundę patrzyły na siebie w napięciu.

Jadzia z trudem przełknęła ślinę. Oparła się o łóżko i myślała tylko o jednym: co w jej sytuacji zrobiłaby Agnieszka. Z całą pewnością próbowałaby odwrócić to, co złe, na swoją korzyść. Nie było wyjścia, musiała i ona

spróbować, tym bardziej że czuła wsparcie Klary. Chrząknęła, żeby wydobyć głos ze ściśniętego gardła.

- No nie! - powiedziała przesadnie głośno. - Na czymś takim na pewno nie będę spała!

Czujna panna Agata już biegła w jej stronę chciwie wyciągając ręce po sznur.

- Ktoś mi spletał figła - poskarżyła się Jadzia.

- To jest sznur, który dwa dni temu zginął z suszarni - zauważyła ze zgrozą panna Agata. - Co on robi pod twoją poduszką?

- Nie wiem - tłumaczyła Jadzia z coraz większą pewnością siebie. - Właśnie mówię, że to jakiś niemądry żart.

- Która z was to zrobiła? - Panna Agata odwróciła się twarzą do sali i uniosła nad głową sznur, niczym myśliwskie trofeum.

Jadzia też się odwróciła, zobaczyła kredową twarz Róży i o mało nie jęknęła. Chciała za wszelką cenę usunąć z drogi narzędzie niedosłego przestępstwa, jednak nie pomyślała o skutkach. Wiadomo było, że panna Agata nie spocznie, dopóki nie znajdzie winowajcy. Bodaj czwarty raz już pytała, która z panien śmiała ukraść sznur z suszarni.

- To ja - powiedziała cieniutkim głosikiem Klara. - Ale ja niczego nie ukradłam, przysięgam. Ten sznur leżał w naszej łazience, przyniosłam go do sali i... I pomyślałam, że to będzie śmiesznie, jak go włożę Jadzi pod poduszkę. Przepraszam!

Panna Agata patrzyła na nią z największym zdumieniem. Opuściła rękę ze sznurem, jednak nie wydawała się przekonana.

- Klara mówi prawdę - dodała Agnieszka, podchodząc do opiekunki. - Obie znalazłyśmy ten kłębek i chciałyśmy go oddać pannie Agacie, ale... Niedawno czytałyśmy bajkę o księżniczce na ziarnku grochu i... i zastanawiałyśmy się, czy

Jadzia ma zadatki na księżniczkę. Szkoda, że nie udało się tego sprawdzić.

To już brzmiało prawdopodobniej. Klara, w przeciwieństwie do Agnieszki, nie celowała w niemądrych pomysłach, skoro jednak były we dwie, mogła dać się namówić. Panna Agata odetchnęła. Agnieszki, co prawda, nie lubiła, lecz nigdy wcześniej nie złapała jej na kłamstwie. Klarę zaliczała do swoich ulubienic i choć z natury była podejrzliwa, akurat w tym figlu nie dopatrzyła się cech przestępstwa. Na szczęście nie spojrzała na Różę. Z Różą działo się coś niesamowitego: bladła i czerwieniła się na zmianę, z trudem łapała powietrze i wyglądała tak, jakby tym razem naprawdę miała zemdleć, i to na dłużej.

Jadzia usiadła na łóżku i ni z tego, ni z owego przypomniała sobie pierwszy dzień na pensji. Kątem oka dostrzegła, że Agnieszka i Marysia szepczą coś Róży do ucha. Wtedy było podobnie: tamte trzy siedziały na jednym łóżku, ona na swoim, pod oknem. Gładziła ostry koc, nie miała siły się ruszyć i bała się odezwać. Teraz bała się jedynie wzroku Róży.

Klara usiadła obok z otwartą książką. Przewracała kartki, żeby wyglądało na wspólną naukę.

- Nie miej wyrzutów sumienia - szepnęła. - Nikogo nie pogrążyłaś.

- Ty i Agnieszka same się pogrążyłyście.

- Nie dało się inaczej. Z Agnieszką konie można kraść, prawda?

- Chyba tak. Z tobą też. Nie wiem tylko, co się ze mną dzieje? Podobno jestem twarda. Jeżeli jestem, to dlaczego chce mi się płakać? Żal mi Róży. Złość mnie bierze na jej głupie kłamstwa, a jednocześnie jest mi jej żal.

- Jest chora z miłości, nie wie, co robi - szepnęła Klara.

- Dlaczego chora?

- Tak się mówi. Dziadek wytyka mojej mamie, że oczadziła z miłości. To takie zatrucie, też chorobliwe.

- Czad ulatnia się z pieca.

- Aha.

Róża cały wieczór przeleżała na łóżku z głową ukrytą w poduszce. Opiekunce powiedziała, że ma migrenę. Niewtajemniczone koleżanki zaczęły szeptać, że „trójprzymierze” wreszcie zmądrzało i usunęło ją ze swojego grona. Przez najbliższe dwa dni tak to właśnie wyglądało: Róża trzymała się z daleka od Marysi i Agnieszki, za to na pauzach nie opuszczała Emilki.

Jadzia nie szukała spotkania z Różą, bała się wymówek, łez, może jeszcze czegoś gorszego. Nie czuła się winna, jednak nie opuszczał jej ten dziwny żal. Można powiedzieć nawet, że współczuła zakochanej koleżance. Sama była tym zdziwiona, bo nocną ucieczkę uważała za straszną głupotę. Dzienną zresztą też. Rozmyślając w kółko o Róży, uświadomiła sobie, że miłość nie zawsze jest słodka i piękna, czasem wymaga poświęceń, o jakich siostry zakonne nie mówiły, bo chyba nie miały o nich pojęcia. Skąd mogły mieć?

Spacery na pensji były obowiązkowe i tylko wielki deszcz albo śnieżyca mogły przeszkodzić uczennicom w zażywaniu ruchu i wdychaniu świeżego powietrza. Dzień w dzień sunęły przez stare uliczki, para za parą i chyba stały się nieodłączną częścią chojnickiego krajobrazu. Zwykle wędrowały tą samą drogą, z oczami skromnie spuszczone. Aż raz okazało się, że przesadna skromność nie zawsze popłaca.

To było trzy dni po niedoszałej ucieczce Róży. Przed kolacją, kiedy panny ustawiały się w pary, żeby przepisowo zejść do jadalni, Wanda zaczęła się rozglądać po sali.

- Gdzie Róża? - spytała całkiem zwyczajnie. Chodziły w jednej parze, więc nie tylko mogła, lecz miała obowiązek spytać.

Nikt jeszcze niczego nie podejrzewał, może z wyjątkiem czterech wtajemniczonych, które wymieniły ukradkowe spojrzenia. Panna Agata zostawiła uczennice i wyszła na poszukiwania. Zajrzała do łazienki, ubikacji i do sąsiednich sal. Wróciła zdziwiona. Zaczęły się przepytywania, kto ostatni widział Różę, kto z nią rozmawiał. Panna Agata przede wszystkim skupiła uwagę na Agnieszce i Marysi.

- Jesteście przyjaciółkami, mówiła wam coś?

- Mówiła, że nie smakowała jej ryba na obiad - przypomniała sobie Agnieszka.

- Kiedy to mówiła?

- Zaraz po obiedzie.

- A później, po spacerze? - niecierpliwiła się panna Agata.

- Po spacerze już nie rozmawialiśmy o rybie.

- To o czym rozmawialiście? - dociekała coraz bardziej zdenerwowana opiekunka. - Przyjaźnicie się od początku nauki, nie bez powodu koleżanki nazwały was „trójprzymierzem”, zawsze chodzicie razem...

- O nie! - przerwała Marysia ten potok słów. - Na spacerach „trójprzymierze” nie obowiązywało. Tłumaczono nam, że para to dwie osoby. Nie trzy, nie jedna, tylko dwie. Róża chodziła więc oddzielnie.

- Która z was szła w jednej parze z Różą? - Panna Agata traciła zimną krew.

- Ja szłam z Agnieszką - powiedziała Marysia.

- A ja z Marysią - przyznała Agnieszka.

- Pytam po raz ostatni: która z was szła z Różą?

- Na spacerze? - próbowała uściślić Wanda, widać jednak sama się domyśliła, że nie na balu, bo szybko dodała: - Ona szła ze mną. Obok siebie szła. Nie patrzyłyśmy przecież na siebie, tylko pod nogi. Jak się tak patrzy pod nogi, to niczego po bokach nie widać. A mnie lewy chodor (but (gwar.))

uwierał i całą drogę myślałam tylko, jak go zebuć. Pęcherz mam większy niż rzodkiewka. Mogę pokazać.

- Idziemy na kolację! - zdecydowała panna Agata. - Oczywiście, że Róży nie ominie kara. Co to za pomysły, żeby się zaszywać po kątach!

- A może ona wcale się nie zaszyła, może nie wróciła ze spaceru? - spytała Marta.

- To niemożliwe! - Panna Agata jeszcze nie brała pod uwagę najgorszego.

Kiedy jednak zeszły na parter, odszukała siostrę dyżurną i obie zajrzały do szatni. Wróciła blada i roztrzęsiona, aż żal było na nią patrzeć. I wtedy dziewczęta już wiedziały.

Róża zniknęła skutecznie. Nawet policja nie potrafiła jej odszukać. Matka przełożona osobiście przesłuchiwała uczennice.

- Ja chyba umrę - denerwowała się Jadzia. - Nie umiem kłamać, jak mnie zaczniesz wypytywać, to w końcu palnę coś niepotrzebnie.

- A kto ci każe kłamać? - zdziwiła się Agnieszka. - Powiesz prawdę. Nie przyjaźniłaś się z Różą, więc trudno, żeby właśnie tobie zaczęła się zwierzać ze swoich pomysłów.

- Tak! Chyba tak powiem! - wykrzyknęła z ulgą Jadzia. - Ty będziesz miała dużo gorzej. Całe szczęście, że umiesz kłamać.

- Jaskólska, nie obrażaj mnie! Ja nigdy nie kłamię niepotrzebnie. Odkąd pamiętam, mój tato konspirował przeciw Niemcom, a mnie uczył, co i kiedy można powiedzieć. Okłamać wroga to nie grzech, ale i sojusznikowi nie zawsze trzeba wszystko podawać na tacy. Dziwię się, że nie znasz takiej prostej zasady.

- Już znam - uśmiechnęła się Jadzia. Przesłuchania niewiele dały, w każdym razie na pewno nie wzbogaciły wiedzy sióstr o jakieś znaczące elementy. Klara i Jadzia

mówiły dokładnie to samo, co pięć innych pańienek: nie znały sekretów koleżanki, nie mogły niczemu zapobiec. Najdłużej u matki przełożonej siedziały Agnieszka i Marysia, czyli reszta „trójprzymierza”. Przełożona maglowała je bez miłosierdzia, rozumując, że najbliższe koleżanki musiały wiedzieć prawie wszystko, jeżeli nie wszystko. Tylko błyskotliwość i wyniesione z domów jakieś tam zasady konspiracji pozwoliły im uniknąć dalszych kłopotów.

- Mój ojciec nie byłby zadowolony, gdyby się dowiedział, że potraktowałam polskie zakonnice jak wroga - szeptała Marysia w łazience. - Szłam w zaparte i coś mi się zdaje, że nagrzeszyłam.

Ustawiły cztery miski tak, żeby chwilę porozmawiać spokojnie. Czekały na pannę Agatę i wieczorne mycie pleców. Opiekunka wyjątkowo się spóźniała, zajęta rozmową u matki przełożonej.

Agnieszka ani myślała zgadzać się z Marysią.

- Wyobrażasz sobie - szeptała z przejęciem - że idziesz do matki przełożonej i mówisz: „moja przyjaciółka ma zamiar uciec, trzeba ją związać i zamknąć w piwnicy”? Jedno, co mogłyśmy zrobić, to powstrzymać szaloną Rózię. Jeżeli nam się nie udało, to siostry ze swoimi opowieściami o grzechu i piekle tylko przyśpieszyłyby jej ucieczkę. Więc co im dzisiaj po naszej wiedzy? Myślę, że idąc w zaparte, zaoszczędziłyśmy im zgryzot. Mam rację?

- Ogólnie masz - zastanowiła się Klara - w szczegółach nie za bardzo. Wciąż mówisz o lojalności wobec Róży. To ja ci teraz coś powiem: według mnie Róża zrobiła największe głupstwo w życiu, ale to jej sprawa. Ciesz się, że tamta nocna ucieczka nie doszła do skutku, bo pierwsza poszłabym do panny Agaty, i to wcale nie ze strachu o Różę, tylko o Jadzię. Trudno, niechby się wszystkie na mnie boczyły... trudno.

- No, no, Mischke! - mruknęła Agnieszka. W jej głosie zabrzmiała nutka podziwu. - Mój ojciec często powtarza, że bliższa ciału koszula niż sukmana, i dodaje, że trzeba starannie obejrzeć jedną i drugą. Nie przyszło ci do głowy, że Jadzia pierwsza nazwałaby cię donosicielką?

- Nie! - odpowiedziała Klara z przekonaniem

- Dlaczego tak mówisz? - Jadzia z oburzeniem spojrzała na Agnieszkę.

- Żartowałam - powiedziała Agnieszka, chociaż wcale nie wyglądało na to, że żartowała.

Wróciła panna Agata i nie było czasu na dalsze rozważania. Panienki, jedna po drugiej, znikwały za białym parawanem, gdzie opiekunka szorowała im plecy. Do wieczornego mycia dostawały ciepłą wodę. Szybko się przebierały i zza parawanu wychodziły w nocnych koszulach.

Jadzia usypiała z miłym uczuciem, że obok siebie, na wyciągnięcie ręki ma kogoś, kto dla niej gotów był narazić się na niesławę. Gdyby Klarze stało się coś złego, broniłaby jej ze wszystkich sił. Na szczęście nic złego się nie działo. Klara posapywała równo, co znaczyło, że usnęła.

Na pensji zniknięcie Róży można było porównać do małego trzęsienia ziemi. Panienki niewiele wiedziały o tym, co się działo wyżej, wśród zakonnic i u matki przełożonej, ale na korytarzach, w jadalni i w klasach wystarczająco mocno wrzało. Najbardziej chyba w sali panny Agaty. Jak było ich tam dziewięć, tak każda miała własne spojrzenie i własną ocenę wydarzeń. Jedne mówiły: głupio zrobiła, doigra się, skończy na ulicy, inne zachwycaly się siłą uczucia i marzyły o podobnej miłości, choć niekoniecznie prowadzącej do ucieczki. Na wszystkich lekcjach, może z wyjątkiem matematyki, mówiło się o „pożałowania godnym incydencie”. Nauczycielki i siostry pouczyły, przestrzegały, mnożyły dobre przykłady ku pokrzepieniu i złe ku przestrodze.

Zimowe ferie trochę ostudziły całe to gadanie o Róży. Potem trzeba było ostro brać się do nauki. Wiosna zastała panny nad książkami. Patrzyły na zadrukowane kartki i zamiast literek widziały młodziutkie pączki bzu. Bodaj żaden kolor nie rozprasza równie skutecznie jak wiosenna zieleń. Znowu odezwały się dziwne tęsknoty uśpione marzenia i nastrojowe szept o niczym konkretnym. Przykład Róży czegoś tam jednak dziewczęta nauczyły. Nie marzyły, żeby iść za ukochanym na koniec świata, gotowe były zadowolić się bezpieczniejszym uczuciem. Chciały mówić o miłości, ale brakowało im słów.

Zdarzało się, że panna Agata wychodziła z sali na dziesięć, piętnaście minut, wtedy wszystkie oczy zwracały się na Marysię Sobótkównę. Ta nie kazała się długo prosić. Ba, w ogóle nie kazała się prosić. Krzyżowała ręce na piersi i zaczynała mówić.

Ja, kiedy usta ku twym ustom chylę,
nie samych zmysłów szukam upojenia,
ja chcę, by myśl ma omdlała na chwilę,
chcę czuć najwyższą rozkosz - zapomnienia...

(Kazimierz Przerwa - Tetmajer, „Ja, kiedy usta...”.)

- Uwaga! Idzie! - wołała czujka przy drzwiach.

Panna Agata wchodziła do sali, a panienki z zacięciem rozprawały o wigilijnych potrawach. To nic, że akurat był kwiecień. O Wigilii można bezpiecznie mówić przez cały rok.

Konspiracja miała urok zakazanego owocu i pociągała nawet te panny, które dobrowolnie nie przeczytały ani jednego wiersza. Marysia dobrze wiedziała, co przypadnie do gustu koleżankom, i taką właśnie poezję recytowała. Raz o mały włos nie doszło do wielkiej wpadki. Panna Agata została wezwana do siostry przełożonej. Licząc ostrożnie, powinna wrócić za dziesięć minut. Czujka nie musiała warować, mogła

też posłuchać. Marysia, zwrócona ku drzwiom, oparła się o szczyt łóżka, ręce jak zwykle złożyła na piersi i zaczęła.

Gdy miała szesnaście latek...

Przez salę przeszło westchnienie, leciutkie „och”, które miało znaczyć, że ten wiersz jest paniąkom szczególnie bliski, bo właśnie o nich mówi. Marysia uśmiechnęła się nieznacznie.

Gdy miała szesnaście latek

Była, ach! Bardzo sceptyczną:

Nie chciała wierzyć, gdym mówił,

Że jest prześliczną!

Wątpiła o swej urodzie,

W uczucia wierzyć nie chciała:

Kiedy... (Adam Asnyk, „Nawrócenie”.)

W tym momencie drzwi się otworzyły i weszła opiekunka. Panny wstrzymały oddech, Marysia nie przerwała recytacji. Przeciwnie, włożyła w wypowiedane słowa jeszcze więcej uczucia.

Kiedy...

Na Anioł Pański biją dzwony, Niech będzie Maria pochwalona, Niech będzie Chrystus pochwalony... Na Anioł Pański... (Kazimierz Przerwa - Tetmajer, „Anioł Pański”.)

Panna Agata dała ręką znak, żeby sobie nie przeszkadzały, wzięła coś zza parawanu i wyszła.

Ciężkie „uff” zabrzmiało jak wystrzał. Kilka rąk zamachało w powietrzu na znak, że trzeba koniecznie wrócić do repertuaru sprzed „Anioła Pańskiego”. Dziewczęta mogły słuchać o świętych sprawach na kazaniu, lecz w chwilach całkowitej swobody łaknęły innych wzruszeń. Z wierszy recytowanych przez Marysię nie wynikało, że miłość jest grzeszna. Była piękna i niepokojąca, czasem gorzka, ale poruszała w sercu najdelikatniejsze struny. Nic dziwnego, że wszystkie, jak ich było dziewięć w pokoju, chciały tych

wierszy słuchać. Żadna już się nie oburzała, nie straszyla grzechem. Teraz też, ledwie Marysia trochę ochłonęła, zaczęły ją ponaglać, podpowiadać: „mów do mnie jeszcze”.

Mów do mnie jeszcze... Za taką rozmową tęskniłem lata... każde twoje słowo słodkie w mym sercu wywołuje dreszcze - mów do mnie jeszcze... (Kazimierz Przerwa - Tetmajer, „XXXV”.)

Słuchały i zastanawiały się pewnie, kiedy i kto do nich tak pięknie przemówi.

Marysia czasem recytowała też wiersze przeznaczone dla uszu opiekunki, choćby „Magdalenę i Chrystusa”. I z tych recytacji w głowie panny Agaty zrodził się pomysł wieczornicy poetyckiej. Sale rywalizowały między sobą w urządzaniu różnych imprez, na których uczennice mogły zabłysnąć talentami. Była już wystawa haftowanych firanek i bieżników, był koncert fortepianowy, a sala panny Agaty nie mogła się pochwalić żadnym liczącym się sukcesem. Marysia, która w dziedzinie poezji cieszyła się niekwestionowanym autorytetem, miała przygotować odpowiedni program i natychmiast zaprzęgała do pracy koleżanki. Panna Agata i matka przełożona bardzo niechętnie patrzyły na skandalizujących poetów. Do ich grona zaliczały Asnyka i Tetmajera. Podpowiadały Mickiewicza i Słowackiego jako wielkich patriotów i autorów bezpiecznych dla młodych panienek. Oczywiście o lirykach raczej się nie mówiło. To miała być uczta duchowa, czyli religijna i ojczyźniana pospołu.

- A to nie będzie aby nudne? - zatroszczyła się Marta. - O miłości byłoby ciekawiej.

- Dlaczego nudne? - zdziwiła się Agnieszka. - Religia i patriotyzm to też miłość, tylko w innym wymiarze. Zrobimy tak, żeby nie było nudno.

- Możemy włączyć żywe obrazy - zapaliła się Janka Sidorówna, cicha, miła blondynka. - U nas w domu, w Cekcynie, robiliśmy żywe obrazy z różnych okazji.

- Dobry pomysł, ale jest nas za mało. Jak cztery pójdą do obrazu, to pięć nie udźwignie programu - zaprotestowała Agnieszka.

Marysia przystała na romantyków i połączyła ich ze współczesnymi poetami. Pięknie brzmiała „Oda do młodości” Mickiewicza zestawiona z wierszem „Do młodych” Asnyka. To jest coś jak Arka Przymierza między starymi i nowymi czasy, wyjaśniła opiekunce. Każda z panien dostała do nauczenia wiersz i wreszcie zaczęły się próby.

Szło całkiem nieźle. Klara Mischke miała prześliczny głos i z wielkim wyczuciem powiedziała „Do młodych”. Jadzia, nieoczekiwanie dla siebie samej, też błysnęła talentem recytatorskim. Mówiła dwie strofy Tetmajera, które wcześniej ćwiczyła z takim zapałem, jakby chciała je wbić do głowy na całe życie.

Pamiętam ciche, jasne, złote dni, co mi się dzisiaj cudnym zdają snem, bo był otwarty raj także i mnie w dzieciństwie mem.

I czasem myślę, że ja tylko spał, że całe życie moje było snem - zbudzę się, raj ten odnajdę, com miał w dzieciństwie mem...

Szło nieźle, rzeczywiście, dopóki nie przyszła kolej na Wandę Kordonównę. O tym, że Wanda miała kiepską pamięć i trochę sepleniała, wiedzieli wszyscy, jednak na pensji obowiązywała zasada równych szans. Wanda dostała do wyuczenia jedną zwrotkę ze Słowackiego. Jedną, jedyną. Co z tego wyszło, lepiej nie mówić. Nie śmiały się chyba tylko Wanda i Marysia, a w końcu to był „Testament mój”, nie „Pani Twardowska”, i chichotać nie wypadało.

- Może jednak pomyślimy o żywym obrazie - wróciła do swojego pomysłu Janka. - Stanie Wanda w rogu sceny, w białej szacie, z pochodnią w ręku i niech sobie każdy interpretuje ten symbol jak chce.

- A jak mi ręka zemgleje, to co zrobię? - spytała trzeźwo Wanda, budząc nowy wybuch śmiechu.

Pomysł zyskał aprobatę. Przez cały występ na scenie stała postać z mieczem wyciętym z tektury. Uroczysta wieczornica odbyła się w środę 3 maja i wypadła tak pięknie, że matka przełożona sama pogratulowała organizatorkom i wykonawczynom. Panienki chodziły dumne, a ich opiekunka nie posiadała się z radości. W życiu pensji bardzo się liczyła każda wygrana rywalizacja. To, co uczennice traktowały jako nadprogramową pracę, czasem dodatkowy balast, czasem rozrywkę, dla opiekunek było miernikiem ich starań. One też podlegały ocenie, i to o wiele ostrzejszej niż ich podopieczne. Po udanej wieczornicy pozycja panny Agaty - silnie nadwątlona w listopadzie minionego roku - powoli zaczęła wzrastać.

Końcowe egzaminy były w zasadzie czystą formalnością. Nie po to nauczyciele przez dwa lata wbijali dziewczętom do głów cenną wiedzę, a siostry zasady pokory i skromności, by oblewać je na egzaminach i pozbawiać świadectwa. Te, które miały odpaść, odpadły znacznie wcześniej. Sala panny Agaty dojrzała do egzaminów w pełnym składzie. O Róży nikt już nie wspominał. Róży nigdy nie było na pensji. Gdyby nie puste łóżko, można by pomyśleć, że sala zawsze była dziewięcioosobowa. Formalność formalnością, ale przed egzaminami panny biegały jak w gorączce. Odpytywały się nawzajem, jęczały, że nic nie umieją, wpadały w histerię. Nawet dobre uczennice zachowywały się tak, jakby raptem pogubiły szare komórki.

- To kto w końcu napisał „Ojca zadzumionych” i po co? - jęknęła Stefania.

- A kogo podejrzewasz? - wyrwała się któraś z niewczesnym żartem.

- Jakbym wiedziała, to bym nie pytała! - wrzasnęła Stefania, waląc poduszką w żartowniszę.

Panna Agata nie miała chwili wytchnienia. Uspokajała, przywoływała do porządku, nawet karciła.

- Kordonówna, ty nie musisz niczego powtarzać? - pytała, tarmosząc śpiącą Wandę za ramię. - Wszystko już umiesz?

- Niezupełnie. Zeszyt z notatkami mam pod poduszką.

- Co z tego? - zdziwiła się panna Agata. - Wiadomości same nie wejdą ci do głowy.

- Jedna taka, u nas w miasteczku, mówiła, że to możliwe.

- W życiu nie słyszałam większej bredni!

Panny zaśmiewały się do łez, wieczorem zaś, tylko dla żartu, prawie wszystkie usnęły na notatkach.

- Tak się boję jutrzejszego dnia, że ze strachu kręci mnie w żołądku - szeptała Jadzia już po zgaszeniu światła.

Opracowały z Klarą własną metodę wieczornych rozmów. Wychylały się tak, żeby w połowie drogi między łózkami ich głowy odrobinę się wyminęły, a wtedy mogły sobie szeptać do ucha prawie bezgłośnie.

- Całkiem niepotrzebnie - tłumaczyła jej Klara. - Ze ścisłych jesteś bardzo dobra, daty historyczne znasz na wrywki, po polsku mówisz całkiem ładnie.

- Coś ty! Nie mówię ładnie, mam zły akcent. Ty mówisz ładnie.

- Za to ja ze ścisłych jestem słabsza.

Egzaminy rozwiały wszelkie obawy i zadały kłam utartym opiniom. Jadzia lepiej odpowiadała z polskiego niż z matematyki, gdzie w jednym zadaniu trochę się pomyliła. Klara, Agnieszka i Marysia zdały z wyróżnieniem. Nawet

Wanda była bardzo z siebie zadowolona. Nie dość, że stawiała się na egzaminach solidnie wypoczęta, to jeszcze metoda "Jednej takiej z miasteczka" okazała się rewelacyjna.

- Odpowiedziałam na każde pytanie - chwaliła się już w sali.

- W to nie wątpię - roześmiała się Stefania. - Ciekawe tylko, co mówiłaś

- Wszystko, co wiedziałam, a nawet jeszcze więcej, bo swoimi słowami - wyjaśniła z pełną powagą.

Po egzaminach panny z drugiego rocznika ustawiły się do pamiątkowego zdjęcia. Tuż za ich plecami znajdowały się drzwi do budynku, te same, przez które dwa lata wcześniej dziewczęta wchodziły po raz pierwszy z wielkim strachem. Teraz nie miały już się czego bać. Liczyły godziny do rozstania. Ostatni obiad, ostatnia kolacja, ostatni wspólny wieczór z opiekunką. .. I tu się pomyliły. Ledwie wróciły z kolacji, panna Agata powiedziała coś o zaufaniu i dorosłości, po czym zabrała torebkę i wyszła. Miały co najmniej dwie godziny swobody. Patrzyły na siebie zaskoczone.

- Posłuchamy wierszy? - spytała Marta.

- O nie! - zaprotestowała Marysia. - Wiersze poczytacie sobie w domu, jeżeli zechcecie. Teraz porozmawiajmy. To ostatnia okazja.

I dalej siedziały, patrząc na siebie niepewne, o czym tu rozmawiać. Darowany wieczór zburzył ustalony rytm, do którego przywykły. Nie musiały kraść sekund, dostały w prezencie całe dwie godziny, a to znaczyło, że ani za pięć, ani za dziesięć minut nie wejdzie panna Agata i nie spyta po swojemu: „Panienci, co to za sekrety?”.

- Coś wam powiem - zaczęła Agnieszka. - Jak byłam w domu na Wielkanoc, opowiadałam trochę o nas i o naszej sali. Mój tato nie mógł uwierzyć, że przez dwa lata trzymałyśmy się razem i obeszło się bez skarg, donosów, bez takich

różnych świństw. A przecież to prawda, nigdy nic takiego nie było, chociaż panna Agata niejedną z nas próbowała podpytywać. I tato powiedział, że rośnie w Polsce nowe, wspaniałe pokolenie, które nie będzie już musiało wybierać między walką a zdradą, tylko zajmie się pracą, wychowywaniem dzieci i z czasem doprowadzi do tego, że będziemy bogatym krajem. Mnie się to bardzo spodobało.

Wszystkim się spodobało. Zwłaszcza pochwały. Panny nawet specjalnie się nie paliły, żeby opowiadać o swoich przejściach z opiekunką. Rzeczywiście podpytywała, chciała wiedzieć, o czym rozmawia się w pokoju pod jej nieobecność. Zawsze słyszała, że wyłącznie o nauce.

- Czy któraś z was myślała o pracy? - spytała Stefania. - Nie takiej w domu, ale gdzieś w biurze. Ja bardzo chciałabym pracować.

- Oszalałaś? - Marta nie posiadała się ze zdumienia. - Pracują te, które muszą, wojenne wdowy, stare panny i takie tam, co im bieda w oczy zagląda.

Jadzia natychmiast ją poparła.

- Gdybym kiedyś musiała pracować, to byłaby moja największa porażka w życiu. W domu oczywiście tak, bardzo chętnie, byle nie u kogoś ani dla kogoś - powiedziała z przekonaniem.

- Pracę uważałabyś za porażkę? - zdziwiła się Klara. - No tak, jesteś w zupełnie innej sytuacji, masz oboje rodziców. Ja będę musiała poszukać sobie jakiegoś zajęcia, nie mam innego wyjścia, przy czym wcale nie uważam tego za porażkę. Chcę się uniezależnić, mieć swoje pieniądze i sama o sobie decydować. Boję się tylko, że po naszej pensji trudno będzie o dobrą posadę.

- Masz rację - wtrąciła Agnieszka. - Komu w urzędzie albo w jakiejś firmie potrzebna pani domu? Wszyscy teraz patrzą na wykształcenie. Wykształconych mężczyzn jest

więcej, co stawia nas od razu na przegranej pozycji. Mężczyźni tak urządzili ten cholerny świat...

- Tylko bez przekleństw! - zaprotestowała gwałtownie Marysia. - Ty, Kuźmińska, jesteś miła, niestety język masz niewyparzony. Kobiety...

- Zlituj się, daj jej skończyć!

- Niech kończy, ale bez takich słów.

- Dobra, przepraszam! To co ja mówiłam?

- Powiedziałaś „cholerny świat” - przypomniała Marta i obie z trudem powstrzymały się od śmiechu.

Marysia była nieprzejednana. Tępiła u koleżanek wszystkie „psiakrew” i „cholera”, choć prawdę mówiąc, niewiele miała do tępienia. Panienki na ogół nie używały takich słów. Czasem, bardzo rzadko, któraś się zapomniała, najczęściej Agnieszka.

- U nas w miasteczku mówi się, że każda maryna (dorastająca dziewczyna (gwar.)) nie do kija, jeno do chłopa rośnie - oświadczyła Wanda. - I powiem wam, że to całe gadanie o pracy jest niemądre. Który mąż pozwoli żonie pracować? Chyba leń jakiś, co sam zechce leżeć do góry brzuchem. Trzeba tylko, żebyśmy wybrały sobie odpowiednich narzeczonych. A potem to już tylko...

Zerwała się z krzesła, pociągnęła Marysię na środek sali i poprowadziła do ślubu w rytm jakiegoś pam, pam, co prawdopodobnie miało być marszem. Nikt się nie upierał przy drobiazgach. Inne panny natychmiast utworzyły weselny orszak i już cała sala nuciła pam, pam, by za moment przejść do walca i polki.

Opiekunka wróciła kilka minut przed ciszą nocną. Panny siedziały przy stole i wymieniały adresy. Napiszesz? Napiszę. Jadzia też przysięgała, że napisze.

Pensja (3)

Odkąd Paweł oddał matkę do domu opieki sióstr zakonnych na Podgórzu, prześladowało go gnębiące poczucie zdrady. Rozumując logicznie, dom opieki był jedynym wyjściem. Syn nie radził sobie z pielęgnowaniem stuletniej staruszki, z którą został sam, jeśli nie liczyć pomocy pani Joli. Opiekunka wpadała na dwie, trzy godziny i wychodziła, on trwał w dzień, a od trzech lat także w nocy, rezygnując ze swojego życia, z domu, częściowo też z żony. Matka przez całe życie odtrącała Leokadię w sposób zdecydowany i po swojemu nietaktowny, więc poza wrogością nic nie łączyło obu najbliższych mu kobiet. Od żony nie mógł wymagać więcej, niż dawała, czyli przyzwolenia na mieszkanie osobno. Skąd więc to męczące poczucie zdrady nie wobec żony, tylko wobec matki? Sam się niejednokrotnie nad tym zastanawiał. Może to efekt wychowania wuja Józefa, który był czułym synem i wpoił siostrzeńcowi przekonanie, że matka jest najważniejszą kobietą dla mężczyzny? A może Paweł też wrodził się w Jaskólskich i niczego nie umiał robić *eine kleine* zajaczek i jak się opiekował, to z sercem i do końca. Może wreszcie przeważyło dziecięce i młodzieńcze uczucie, które musiało być tak wielkie, że nic nie potrafiło go osłabić?

Teraz Paweł miał sporo czasu na myślenie i jeszcze więcej na działanie. Wrócił na Rubinkowo do zaniedbywanej latami żony i zaczął likwidować mieszkanie przy Łaziennej. Wreszcie w pełni zdał sobie sprawę, jak bardzo matka zaważyła na całym jego życiu. Zniszczyła mu pierwsze małżeństwo; przy drugim próbował być ostrożniejszy trzymał ją z daleka od swojej rodziny, ale mimo wszystko to ona wygrała. Nie chciał jej na Rubinkowie, przytrzymała go więc na Łaziennej. Nie mógł się od niej uwolnić i chyba nie bardzo próbował. Do domu opieki jeździł codziennie.

Aneta przysłała ze Szwecji wózek inwalidzki. Kurier wniósł do mieszkania niewielki, płaski pakunek i Paweł się wystraszył, czy aby córka nie kupiła jakiejś makiety. Dopiero po rozpakowaniu zobaczył, co to za cudo. Składany fotelik był niewielki, leciutki, jednocześnie stabilny i bardzo wygodny. Zapakował go do bagażnika, do torby włożył zdjęcia z Tucholi i pojechał na Podgórz.

Jadwiga, od czasu zamieszkania na „pensji”, żyła spotkaniami z Klarą i niewiele więcej ją interesowało. Paweł zastał matkę niespokojną i dziwnie podnieconą. Nie chciała uwierzyć pielęgniarce, że Klara źle się czuje i leży.

- Dostała swój czas i to wszystko - tłumaczyła. - Pamiętam, że zawsze źle znosiła te dni. Jakbyś po nią poszedł, Leon, na pewno by przyszła.

Paweł wyjął z torby zdjęcia.

- Poznajesz ten dom? - spytał. Patrzyła przez chwilę dość uważnie.

- Podobny do naszego przy Seminaryjnej - powiedziała wreszcie. - Też taki trójkątny daszek i dwa okna na piętrze, dwa na parterze, a w niższej części jedno okno i drzwi.

- Tak właśnie wygląda teraz twój rodzinny dom.

- Niemożliwe. Mój był ogrodzony, nie stał przy samej ulicy. Nagietki wokół rosły i drzwi były całkiem inne.

- Sporo się w Tucholi zmieniło. Ulica nie nazywa się już Seminaryjna, tylko Nowodworskiego - wyjaśnił.

- Poprzednio było lepiej! Znowu jakiegoś towarzysza uhonorowali, ja? - mruknęła z niechęcią.

Polityka nigdy nie była przedmiotem zainteresowań Jadwigi, zdążyła jedynie nabawić się fobii do towarzyszy i jakoś o nich najdłużej pamiętała.

- Niezupełnie towarzysz, chyba że dla braci rycerskiej. Herbowy szlachcic, który cały majątek przeznaczył na naukę. Kształcił między innymi chłopców z Tucholi.

- Phi! Widać nie miał co robić z pieniędzmi.

Położył przed nią następne zdjęcie.

- A te domy poznajesz?

Może nawet by poznała, gdyby tylko chciała się skupić i nie myślała ciągle o Klarze. Postanowił przetrzymać ją z Klarą.

- Patrz, tu, w tym pięknie odnowionym budynku znowu jest piekarnia Latzkego, jak za twoich dawnych czasów. Sama mi opowiadałaś, że zawsze kupowało się chleb u Latzkego, a po przeprowadzce miałaś piekarnię w sąsiedniej kamienicy. I właśnie tu obok, na pierwszym piętrze mieszkałaś z ojcem i krótko ze mną. Na dole był nasz Skład bławatów, a teraz zrobili tam sklep z telewizorami i odkurzacami. Ten dom nie stoi już przy Świeckiej, ulica nosi nazwę księdza podpułkownika Wryczy

- Ja mieszkałam przy Świeckiej, dobrze pamiętam. To co, pójdziesz po Klarę?

Poddał się, przyciągnął fotelik i pomógł matce usiąść. Obwiał ją ze trzy razy po korytarzu, na koniec wstąpili do Klary. Staruszka leżała otulona kocem. Trudno powiedzieć, czy poznała Jadwigę, w każdym razie uśmiechnęła się do niej i wyciągnęła rękę jak do pogłaskania.

- Zabrał ancug i kłampe. Pindel mi ostawił i sza... - poskarżyła się cichutko.

- Wiem, ja to wiem, martwisz się, że nie odpisywałam na twoje listy - westchnęła Jadwiga. - Nigdy nie lubiłam pisać, ale bardzo często o tobie myślałam. Czasu było mało, wciąż jakieś bale. Czy ty wiesz, że od śmierci Aleksego ja ani razu nie zatańczyłam? Jakoś się nie składało. Za to młodość całą przebalowałam.

Złote dni

Po powrocie z pensji na Jadzię czekały w domu same niespodzianki. Pierwsza nazywała się Gawronowa i była nową gospożą. Nie przypominała Nastki ani wiekiem, ani wyglądem. Wcześniej służyła w innych tucholskich domach i nie mówiła gwarą jak jej poprzedniczka. Budziła respekt, mimo że najęła się tylko do służby. W każdym razie Jadzi się spodobała dzięki podobieństwu do Wandy Kordonówny.

Druga niespodzianka miała na imię Cecylia i na Boże Narodzenie wchodziła do rodziny Jaskólskich jako żona Józefa. Ta spodobała się Jadzi o wiele mniej. Oczywiście najstarszy brat swoje lata miał i powinien się ożenić, lecz Jadzia jakoś nigdy nie mogła sobie wyobrazić jego żony. Czuli tylko, że powinna to być kobieta absolutnie niezwykła. Sprecyzowanie, na czym miałyby polegać owa „absolutna niezwykłość”, wymagało sporego wysiłku, który Jadzię przerastał. Widziała jedynie zwykłość Cecylii, nic więcej. Szczupła, niewysoka, może nawet niebrzydka, choć też żadna piękność. Mówiła do narzeczonego „Józieńku”, i to było jedyne zdrobnienie, na jakie sobie pozwalała. Odznaczała się wielką dystynkcją, ale przecież dystyngowanych kobiet nie brakowało także w Tucholi i Józef nie musiał szukać żony aż w Toruniu. Była też wykształcona, znała biegle francuski, nie mówiąc o niemieckim i pracowała u notariusza. Cecylia wchodziła do rodziny podstępnie: niby wchodziła i natychmiast zabierała Józefa do Torunia, gdzie mieli zamieszkać. Jadzia nie wyobrażała sobie rodzinnego domu bez najstarszego brata.

Były też inne niespodzianki. Franciszek, który unikał wszelkich organizacji i z żadnymi się nie wiązał, z wyjątkiem cechu, nagle wstąpił do Bractwa Kurkowego i z miejsca jego największą pasją stało się strzelectwo.

- Myślisz, córka, że twój ojciec już całkiem do niczego? Jak wróg napadnie na Tucholę, strzelcy kurkowi będą miasta bronić, ze mną na czele, zobaczysz!

- Wolałabym nie.

- Niby czemu?

- Nie chcę wojny.

- E, to się tylko tak mówi. Po to w przeszłości królowie powołali strzelców kurkowych, żeby i rzemieślnicy nauczyli się bronią władać i miast bronić. Teraz sama tradycja została. Piękna tradycja, córka, piękna!

- A mnie smutno, proszę taty, że brat niedługo z domu się wyniesie.

- Takie jest życie, co poradzisz? Dla obcych dzieci się chowa, nie dla siebie. Twojemu bratu czas się ustatkować. Ja w jego wieku byłem już ojcem.

- Czy tacie podoba się panna Cecylia? - odważyła się spytać Jadzia.

Siedzieli sobie pod orzechem w ogrodzie, pili kompot i rozmawiali jak dwoje dorosłych ludzi. Widać jednak ostatnie pytanie trochę zaskoczyło Franciszka Jaskólskiego.

- Dasselbe (Toż (niem.)) ona nie mnie ma się podobać, tylko mężowi! Ja tam synom żon wybierać nie myślę. Wystarczy, że sobie wybrałem i męczę się trzydzieści kilka lat - powiedział z półuśmiechem, co miało znaczyć, że ta męczarnia nie taka znowu straszna. - To powiedz mi jeszcze, czemu o to pytasz?

- Tak sobie.

- Już ja znam te wasze babskie „tak sobie”. Z matką pogadaj, matce przypadła do gustu. Miła, skromna, podobno gospodarna, czego więcej od kobiety wymagać. Jest sekretarką notariusza, a to nie byle co.

- Tato zawsze mówił, że kobiety nie powinny pracować.

- Mężatki obowiązkowo nie, co innego panienki. Te wykształcone niech sobie zarobią parę groszy na fatałaszkach, świat się od tego nie zawali.

- A gdybym ja chciała zacząć pracować? - spytała zaczepnie.

- Ty nie musisz. Na twoje fatałaszkach ojciec zarobi. Tobie teraz trzeba się rozejrzeć za mężem. - Roześmiał się i poklepał Jadzię po ręku.

- Tak szybko?

- Czas też szybko leci. Nie mówię, że dzisiaj czy jutro, jednak trzeba będzie powoli wprowadzić cię w świat.

Świat, może raczej światek tucholski nie był wielki ani obcy. Franciszek Jaskólski pragnąłby córce nieba przychylić, jednak w planach małżeńskich nie mierzył zbyt wysoko. Chciał dla niej męża ze swojej sfery, najlepiej rzemieślniczej, może kupieckiej, w każdym razie drobnomieszczańskiej, takiego, który byłby dla Jadzi dobry i jej rodzicom szacunku nie odmówił. Jadzia stanowiła doskonałą partię, bo i ładna, i posażna, do obowiązków domowych przyuczona, więc kawalerowie powinni pchać się drzwiami i oknami. Kłopot polegał na tym, że kawalerów brakowało. Starszych wojna przetrzebiła, kilku młodszych wyjechało z miasta i został jeden mistrz kominiarski, dwóch rzeźników, krawiec, szewc, syn piekarza i to prawie wszyscy. Jadzia ich знаła. W małym mieście trudno ludzi nie znać, jednak żaden jej się nie podobał. Poza tym nie ona miała sobie szukać męża, tylko przyszły mąż miał ją odnaleźć. Dała więc temu przyszłemu trochę czasu i zajęła się urządzaniem swojego pokoju.

Dla rodziny Jaskólskich nastały bardzo dobre czasy, można powiedzieć nawet, że świetne. Franciszek nigdy nie narzekał na brak pracy, tym razem jednak udało mu się złapać dobrą robotę: remont pieców na wszystkich dworcach kolejowych, od Tucholi po Kutno. Zajęcie na kilka lat, z

płatnością gwarantowaną przez kolej państwową. To zlecenie stanowiło krok do prawdziwej zamożności. Zaraz też zdecydował, że trochę pieniędzy włoży w dom, głównie w piętro. Pokoje na dole urządzone były dostatnio. Tam podejmowano gości, jeżeli jacyś się trafili, tam przesiadywała cała rodzina. Pokoje na górze, wciąż zwane dziecinnymi, były dużo skromniejsze. A że akurat w mieście ruszyła elektryfikacja, to przy okazji zakładania prądu w mieszkaniu Franciszek zarządził niewielki remont połączony z wymianą mebli. Jadzia nie posiadała się z radości. Lubiła wprowadzić swój pokój, jednak widziała jego niedostatki. Każdy mebel pochodził z innego kompletu, wszystkie zaś były porządnie wysłużone. Marzył jej się śliczny, jasny buduarek, o jakim wciąż opowiadała na pensji panna Trębicka.

W mieście było kilku dobrych stolarzy. Jadzia z mamą zaczęły składać im wizyty, oglądać meble i wybierać między orzechem, brzozą i dębem. Dąb wyglądał solidnie, ale jak na gust Jadzi był zbyt ciemny. Ostatecznie zdecydowała się na złotą brzozę, do tego jasny dywanik na podłogę, sute firanki w oknach i elegancko podpięte story. Kilka miesięcy trwało to meblowanie, upinanie i kokoszenie się w nowym gniazdku. Ostateczny efekt był wspaniały. Żadnej lipy, żadnego eine kleine zajączka, tylko solidne, mieszczańskie wnętrze, co zresztą zgodnie potwierdziły koleżanki.

- Możesz teraz podejmować gości w negliżu - żartowała Stefania. - Peniuarek też ci tato kupił?

Jadzia otworzyła szafę i pokazała półkę z bielizną. Co prawda nie tato kupował, jednak z całą pewnością on był fundatorem jedwabnych koszulek i całej reszty.

- Czegoś cię jednak, Jaskólska, na tej pensji nauczyli. Jak mi obiecasz swój deser, to mogę wpaść do ciebie na poranną herbatę - zażartowała Marta i z miejsca wywołała falę wspomnień.

Wanda. Co z nią teraz? A Agnieszka, Marysia, Klara?

- Klara pracuje - powiedziała Jadzia.

- Żartujesz? Nie wierzę.

- Prowadzi jakąś instytucję dobroczynną w Czersku, wynajmuje pokój w mieście i podobno jest bardzo zadowolona.

- Za mąż się nie wybiera? - A ty?

Marta sposepniała. Ani Jadzi, ani Stefanii nie zależało aż tak bardzo na zamążpójściu, jak jej.

- To niesprawiedliwe - powiedziała. - To bardzo niesprawiedliwe, że musimy czekać, aż nas wybiorą, zamiast same wybierać. Czy my jesteśmy gorsze od mężczyzn?

- I kto to mówi! - roześmiała się Stefania. - Czy to nie ty byłaś główną autorką kodeksu uwodzenia? Metody może chybione, jednak główna idea sprowadzała się do wybierania, uwodzenia i zaciągnięcia przed ołtarz.

- Kogo niby? Pokaż mi choć jednego mężczyznę w Tucholi, dla którego warto się aż tak wysilać.

- Jakbym знаła jednego, na pewno bym ci go nie pokazała.

- A Karl? - spytała Jadzia.

- Co Karl? - Sposepniała gwałtownie. - Kto wie, czy on po szkole wróci do Tucholi. Anton też może nie wrócić.

- Anton wróci - zapewniła Jadzia. Marty to nie pocieszyło.

- Powiem wam, że niełatwo być panną na wydaniu w małym mieście - mruknęła.

Jadzia nie narzekała. Po dwóch latach życia w surowej dyscyplinie doceniła wreszcie uroki płynące ze swobody. Ograniczonej, co prawda, lecz nie tak drastycznie jak kiedyś. Jako dorosła już panna mogła sama wychodzić do miasta i bywać u koleżanek, mogła też podejmować gości u siebie w domu. Na razie, poza Stefanią i Martą, nie bardzo miała kogo

podejmować, wierzyła jednak, że to się zmieni, że wkrótce obrośnie w znajomych jak jabłotka w owoce. Może nawet pozna kogoś ciekawego na ślubie brata.

Przygotowania do ślubu pochłonęły ją całkowicie. Nie dość, że musiała pomyśleć o sukni dla siebie, to jeszcze matka nie kryła, że bardzo liczy na jej pomoc w domu. Głowiły się więc razem nad dekoracją mieszkania i stołu, wymyślały różne pyszne dania, niezbyt oryginalne, by lepsze nie stało się wrogiem dobrego.

- Przy trzecim i czwartym weselu będę już mądrzejsza - mówiła matka i denerwowała się, że coś przeoczą, o czymś zapomną albo zgoła zrobią nie tak, jak należy.

Jedynie Gawronowa zachowywała zimną krew. Ona już niejedno wesele miała za sobą i okazała się wielką pomoc w tym zwariowanym czasie, gdy wszystko stało na głowie.

Dla Jadzi wesele najstarszego brata, oprócz czysto emocjonalnego, miało też znaczenie bardzo osobiste, wprowadzało ją w świat dorosłych, aby mogła się zaprezentować jako panna na wydaniu. Nigdy wcześniej nie uczestniczyła w żadnej wielkiej zabawie, nie mówiąc o balu. Wakacyjnych potańcówek u Marty nie można było traktować poważnie. Szykowała się więc teraz z całym zapalem. Już nie krawiec Sprawski miał jej szyć suknię, tylko pani Berta, damska krawcowa, świetnie obeznana z modą kobiecą. Jadzia odwiedziła ją ze trzy miesiące wcześniej i prawie pół dnia spędziła nad żurnalami. Szukała jakiejś szczególnie wytwornej sukni z gorsetem. Uparła się na gorset, bo panna Trębicka bardzo zachwalała jego walory. Pani Berta nie podzielała tych zachwytów.

- Niemcy to mądry naród - powiedziała - oni już ze dwadzieścia lat temu wydali wojnę gorsetom i wszystkiemu, co krępuje ruchy. To nie ciało ma się dostosować do ubrania, tylko ubranie do ciała. Najmodniejsze są swobodne fasony z

tendencją do spłaszczania biustu, nie zaś podkreślania. Panienska ma bardzo dobrą figurę, nic tu nie trzeba spłaszczać ani uwypuklać. Proponuję odsłonięte ramiona, dekolt karo i zaszewki podkreślające talię.

Jadzia przystała na tę propozycję. Kupiła piękny, błękitny jedwab i z przymiarki na przymiarkę była coraz bardziej oczarowana nową toaletą.

- Przydałoby się coś na szyję - westchnęła, kiedy po raz ostatni mierzyła suknię. - Może perełki?

Pani Berta skrzywiła się lekko.

- Są odpowiednie dla starszych kobiet. Proponuję jakąś ładną sztuczną biżuterię, bardzo modną ostatnio dzięki Coco Chanel. Słyszała panienska o Chanel?

- Nie.

Teraz dla odmiany Jadzia się skrzywiła. Panna Trębicka bardzo przestrzegała przed sztuczną biżuterią jako zbyt prostacką i nachalną. Wprawdzie na pensji Jadzia zraziła się do panny Trębickiej, jednak po skończeniu nauki nikogo z nauczycieli tak często nie wspominała i nie cytowała, jak ją właśnie. Jeżeli panna Trębicka mówiła, że lepsza goła szyja niż sztuczny brylant na nitce, to widocznie tak było. Jadzia nie marzyła o brylantach, udało jej się jednak znaleźć u jubilera w Rynku maleńki, złoty naszyjniczek z akwamarynów. Pasował do sukni idealnie. Ojciec najwidoczniej też tak uważał i naszyjnik stał się własnością Jadzi.

Ach, co to było za wesele! Co za szalona, roztańczona noc! Cały dół, z wyjątkiem sypialni Jaskólskich, gdzie urządzono szatnię, przeznaczony był dla gości. W jadalni jedli i siedzieli, tańczyli w bawialni, a gdy ktoś bardzo się zmęczył, mógł odpocząć w pokoju gościnnym. Jadzia prawie całą noc spędziła w bawialni. Usiadła, żeby odetchnąć dopiero w czasie oczepin, choć nawet wtedy nie miała spokoju. Natychmiast z jednej strony pojawił się Kuntz, z drugiej Stefek Filski.

Obydwu miała serdecznie dosyć i mrugała do Antona, żeby ją wybawił.

Kuntz był śmieszny. Długi, chudy, w sam raz zdatny do czyszczenia kominów. Nawet nie wiedziała dobrze, jak mu było na imię, bo wszyscy mówili z nazwiska: Kuntz. Zaczął bywać u Jaskólskich, odkąd Jadzia wróciła z pensji. Przychodził tylko wówczas, kiedy miał pewność, że zastanie Franciszka w domu. Wiadomo, że zdun z kominiarzem zawsze mogą mieć wspólne interesy, więc rozmawiał wyłącznie z Franciszkiem, a oczu nie odrywał od Jadzi. Nie przypominała sobie, żeby zamienił z nią ze dwa zdania. Zresztą nie szukała jego towarzystwa i ledwie się pojawiał, szła na górę. Ojciec trochę się złościł, że mu podrzuca swoich kawalerów, ale nawet on musiał przyznać, że Kuntz bardzo ślamazarnie zabierał się do zalotów. Wyglądało na to, że zamiast córki, uwodzi przyszłego teścia, choć przy nim też nie był przesadnie wygadany. Wolał milczeć i potakiwać. A skoro wciąż milczał, to nawet nie było wiadomo, czy miał coś mądrego do powiedzenia, czy nie. Stefek Filski z kolei nic mądrego, poza przechwałkami, do powiedzenia nie miał, ale jak się zagalopował, to nikogo do głosu nie dopuszczał. Niby zdobył papiery czeladnika krawieckiego, trudno jednak było powiedzieć, co szył i komu. Głównie przesiadywał w piwiarniach i raczej nie cieszył się dobrą opinią. Szkoda, bo był przystojny i mógł się podobać pannom. Mając do wyboru mruka i gadułę, Jadzia wybrała Antona. Zrozumiał jej błagalne znaki i zjawił się, ledwie orkiestra zagrała pierwszy kawałek.

- Co to, konkurenci nie przypadli ci do gustu, że wołasz brata na pomoc? - zagadnął.

- Gdyby z tych dwóch ulepić jednego, to może, może, ale oddzielnie są nie do zniesienia.

- Gdzie ja miałem oczy? - zastanowił się Anton.

- Kiedy?
- Kiedy powiedziałem: Kleines Kind, fuj!
- Wyrosłeś, zmądrzałeś, to i gust ci się zmienił.
- Wyrosłem, tylko nie wiem, czy zmądrzałem. Ostatnio coraz więcej dzidziusiów mi się podoba, takich w twoim wieku.
- Jest jakiś jeden, który podoba ci się najbardziej?
- Aleś ty ciekawska! - roześmiał się i okręcił ją wokół siebie jak frygę.

Tańczył bardzo dobrze, aż trudno było uwierzyć, że pierwsze kroki stawiał niecałe półtora roku wcześniej. Miała mu to powiedzieć i nie zdążyła.

Po ślubie Józef z Cecylią zamieszkali jednak w Tucholi, przy rodzicach. Plany były zupełnie inne, bardzo przemyślane i konkretne, tylko życie trochę je skorygowało. Z pieniędzy, jakie Józef dostał z domu oraz z posagu Cecylii, młodzi kupili w Toruniu kamienicę przy Łaziennej, niemal w samym centrum Starego Miasta. Duży, czteropiętrowy dom z oficyną. Na pierwszym piętrze przewidzieli mieszkanie dla siebie, na parterze miał być magazynek i warsztat zduński. Mieszkanie wymagało remontu i jak to zwykle bywa z remontami, terminy się przeciągnęły i z początkiem nowego roku nie można było myśleć o przeprowadzce. Był i drugi powód. Józef nie chciał zostawić ojca samego z wielkim, kolejowym zleceniem. We trzech ledwie sobie radzili z dotrzymaniem terminów, więc sam zaproponował, że poczeka, aż znajdzie się jakiś zdatny pomocnik na jego miejsce. Pozornie więc nic się nie zmieniło, trzej Jaskólscy dalej pracowali razem, tyle że żona Józefa sprowadziła się do Tucholi i zamieszkała na piętrze w dotychczasowym pokoju męża.

W jednym domu trzy kobiety, nawet cztery, licząc Gawronową, nie bardzo miały co robić, mogły się najwyżej pokłócić. Cecylia nie wydawała się skora do sprzeczek, ale też

nie była potulną gąską, na którą każdy, kto chciał, mógł nakrzyczeć. Jadzia parę razy próbowała okazać bratowej swoją wyższość, jednak za każdym razem dostawała delikatnego prztyczka w nos.

- Phi, ciekawe, co można robić przez pół dnia w mieście?
- powiedziała kiedyś, ni to do siebie, ni do matki.

Bratowa właśnie z miasta wróciła. Spojrzała na Jadzię i nawet się uśmiechnęła.

- Można na przykład przejrzeć książki w bibliotece i pożyczyć kilka do przeczytania. Pewnie nawet nie wiesz, że w Tucholi jest biblioteka?

Jadzia wiedziała, że jest, tylko jeszcze nie wiedziała, gdzie. Matka poparła bratową, bo sama nieraz zachęcała córkę do czytania i drobna złośliwość najbardziej dotknęła samą Jadzię. Próbowała jeszcze tak i siak dopiec bratowej, aż matka kiedyś wzięła ją na rozmowę.

- Zanim coś powiesz, córka, zastanów się dwa razy. Też kiedyś będziesz miała teściową i zobaczysz, jak to jest potykać się o cudzą niechęć. Cecylii nie masz co dokuczać. Twój brat ją wybrał, więc musimy uszanować jego wolę. Wybrał dobrze. Popatrz na te wyzwolone kobiety: malują się, papierosy palą, niedługo zaczną same w restauracji przesiadywać. Pamiętaj, nie chcę w domu żadnych niesnasek. Jesteśmy jedną rodziną.

- Tak, proszę mamy - mruknęła Jadzia.

Jednak nawet własna matka nie mogła od niej wymagać, żeby polubiła kogoś na zawołanie. Starła się tylko schodzić bratowej z drogi i z czasem, nie od razu, trochę się do niej przekonała. Zwłaszcza po wizycie Stefka Filskiego.

Od wesela minęło pół roku, Kuntz nie zmienił swoich przyzwyczajień i wiernie towarzyszył Franciszkowi, jeśli ten był w domu, za to Filski albo nie pojawiał się tygodniami, albo wpadał po trzy razy dziennie, jakby chciał odrobić

towarzyskie zaległości. Przy bliższym poznaniu tracił jeszcze bardziej. Miał paskudny zwyczaj opowiadania wciąż tych samych historyjek, które tylko jego bawiły, nikogo więcej.

Był ciepły, czerwcowy poranek. Jadzia siedziała z Cecylią pod orzechem, każda ze swoją książką, kiedy nagle w miłą ciszę wdarł się Filski.

- To pan Stefan nie w pracy? - zdziwiła się Jadzia.

- Uprawiam zawód artystyczny, pracuję, kiedy mam natchnienie - odpowiedział i zabrał się do całowania rącek pięknych pań.

- Myślałam, że do szycia spodni wystarczą porządne umiejętności - powiedziała.

Zachnął się, roześmiał i zaczął coś pleść po swojemu. Mówił głównie do Jadzi, najwyraźniej jednak irytowało go, że druga pani, zamiast słuchać i doceniać jego towarzyskie wysiłki, najspokojniej czyta dalej.

- Nie żał to takich pięknych ocząt na śledzenie tego, co komuś z pióra skapnęło? Wszyscy pisarze to chorzy ludzie, zaręczam paniom. Narkotyki, tytoń, alkohol.

- Zna pan jakiegoś pisarza osobiście? - zainteresowała się Cecylia. - O znajomość lektur nie pytam, bo domyślam się, że pan nie z tych czytających.

- Nie trzeba znać osobiście, żeby wiedzieć.

- Każdą wiedzę skądś się czerpie, proszę nas oświecić, skąd pan to wie?

Jadzia ze zdumieniem zauważyła, że Cecylia, tak świetnie wychowana i dama w każdym calu, patrzy Filskiemu prosto w oczy, niemal przebijając go na wylot, całkiem nie tak, jak zalecały siostry na pensji. Bardzo jej się to spodobało, bo Filski wił się i kręcił, aż żał było patrzeć. Widać nikt nigdy nie przycisnął go do muru tak skutecznie, w tak błahej sprawie.

- Ja w zasadzie to się śpieszę - oznajmił, nie rezygnując przy tym z dziwnych wygibasów. - Wpadłem jedynie spytać,

czy panna Jadzia nie wybrałaby się ze mną wieczorem na tańce do ogrodu Świerczyńskiego.

Jadzia o mały włos nie podskoczyła z wrażenia. Ten ogródek wiedeński na tyłach hotelu, gdzie można było zjeść lody, posłuchać walców i potańczyć, ciągnął ją niczym magnes. Marzyła o tym, żeby usiąść wśród eleganckiego towarzystwa... ale nie z Filskim przecież.

Zamilkła spłoszona. Na szczęście wyręczyła ją Cecylia.

- Między tańcami trzeba o czymś rozmawiać - powiedziała, wracając spokojnie do lektury.

Filski patrzył na Jadzię.

- Nie, dziękuję panu.

- Rozumiem, rodzice. To może chociaż na spacer?

- Na spacerze tym bardziej trzeba rozmawiać. -

Uśmiechnęła się do niego już całkiem swobodnie.

Filski nie narzucał się więcej paniom ze swoim towarzystwem. Zniknął jeszcze szybciej, niż się pojawił. Jadzia spojrzała z ulgą na Cecylię.

- Dziękuję bratowej! Mam nadzieję, że on nieprędko wróci, a może wcale. Ja jeszcze nie umiem tak swobodnie z panami rozmawiać, peszę się i chyba niepotrzebnie spuszczam oczy. Siostry nam wciąż przypominały o skromności, widać miały na myśli innych kawalerów, nie Filskiego.

Cecylia wybuchnęła śmiechem.

- Wiem ja, że twoje siostry na pewno by mnie nie pochwały za dzisiejszą rozmowę z tym panem. Tak się jakoś w naszym społeczeństwie utarło, że wystarczy być mężczyzną, żeby wszystko wiedzieć najlepiej. Jak sama zauważyłaś, wcale tak nie jest. Francuzi są od nas bardziej postępowi. Twierdzą na przykład, że rozmówcy zawsze powinno się patrzeć w oczy. Nie w sufit, nie w podłogę ani w kurka na dachu, bo wtedy wygląda to na kompletny brak

zainteresowania. Poza tym, jak patrzysz na mężczyznę, to wiesz, że w czasie rozmowy nie zagląda ci w dekolt.

- E, to chyba niemożliwe. - Jadzia roześmiała się z lekkim zawstydzeniem.

- Zaręczam ci, że możliwe. Nie dotyczy to mężczyzn dobrze wychowanych, niestety, nie wszyscy są dobrze wychowani.

Z domu wyszła Gawronowa z dzbankiem kompotu i dwoma kubkami. Mitrężyła trochę przy nalewaniu, jakby wcale jej się nie śpieszyło.

- U nas na wsi całkiem inne zwyczaje - powiedziała nieoczekiwanie.

Jadzia z Cecylią spojrzwały z zainteresowaniem. Gawronowa rzadko sama z siebie zagadywała, była raczej mrukliwa. Typowa Borowiaczka, jak mawiała matka.

- Tak? - spytała zachęcająco Cecylia.

- U nas rzadko się ludzie odwiedzają, bo dla odwiedzin szkoda konia fatygować. Ale jak w końcu kto zajrzy, to gospodarze od progu pytają: „Po co żeś przyjechał?”, żeby czasu na próżno nie mitrężyć. W mieście jest inaczej, chociaż po mojemu w mieście też by się przydało spytać: „Po co żeś przyszedł?”.

Odwróciła się i poszła do domu.

- Czy ona przypadkiem nie podsłuchiwała? - spytała Jadzia.

- Nie musiała. Okno w kuchni otwarte. Widać jej też nie spodobał się pan Filski.

Roześmiały się i Jadzia po raz pierwszy pomyślała, że Józef nieźle wybrał, żeniąc się z Cecylią. Mógł trafić dużo gorzej.

W czerwcu przyjechał Anton, świeżo upieczony absolwent szkoły kupiecko - handlowej, i od razu w domu zrobiło się weselej. Jadzia z żadnym bratem nie czuła takiej więzi, jak z

najmłodszym. Józefa bardzo kochała, kto wie, czy nie najbardziej, jednak różnica wieku nie pozwalała na koleżeńską zażyłość. Józef był dla niej drugim ojcem, tyle że znacznie młodszym. Leon zawsze chadzał własnymi drogami i chyba nie bardzo interesował się siostrą, a i ona odpłacała mu pięknym za nadobne. Natomiast Anton to był brat, przyjaciel i kolega w jednej osobie. Do tego przystojny, miły, z takim przyjemnie było pokazać się wśród ludzi. Ostatnio jeszcze bardziej wyprzystojniał i zmężniał. Nie był już chłopaczkiem, tylko mężczyzną. Ona też nie przypominała dziewczuszki z białymi warkoczykami upiętymi w koronkę nad czołem. Podobno razem stanowili śliczną parę. Jadzia aż drżała z uciechy na myśl, że z Antonem będzie mogła pójść tam, gdzie sama nigdy by się nie odważyła, choćby do wiedeńskiego ogródka na lody, a może i do prawdziwej restauracji.

W Tucholi liczyły się dwa lokale, obydwie w centrum przy Świeckiej: Schwarzkopfa, ten z gapami w okiennych witrażach, oraz Świerczyńskiego, na parterze hotelu Kościuszko. U Schwarzkopfa bywali zwykle sami mężczyźni, natomiast restauracja Świerczyńskiego, połączona z ogródkiem wiedeńskim, podobno mogła konkurować z lokalami Chojnic albo i Torunia. Tak przynajmniej mówiła Rysia, siostra Marty, która wyszła za mąż za toruńskiego restauratora. Jadzie ogromnie pociągały takie miejsca, wydawały się bardzo światowe i eleganckie. Nawet panna Trębicka nie miała nic przeciwko wytwornym lokalom, zwłaszcza w kurortach, uczulała tylko panienki na odpowiednie zachowanie. Idąc z Antonem do wymarzonego wiedeńskiego ogródka, Jadzia powtarzała w myślach: nie rozglądać się na boki, rozmawiać jedynie ze swoim towarzystwem, kelnera traktować z chłodnym dystansem. Nie rozglądać się na boki...

Nie było możliwe, żeby się nie rozejrzeć. Wnętrze wydawało się takie inne od wszystkich dotąd widzianych, tak bardzo szykowne. Ciężkie ażurowe stoliki lakierowane na biało, podwyższenie dla orkiestry, na środku drewniana podłoga do tańca. Jadzia wybrała miejsce w narożniku, żeby bez rozglądania się mieć cały ogródek na oku. Anton wcale nie krył zainteresowania gośćmi. Zaraz też wypatrzył dwie niebrzydkie panny, obie w towarzystwie starszego mężczyzny.

- Znasz je może? - spytał, wskazując oczami stolik.

- Skąd niby? - Jadzia wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, tak pytam.

Zerknął jeszcze parę razy bez większej ciekawości. Może nie były w jego guście, a może chciał wreszcie opowiedzieć Jadzi o szkole i egzaminach. W jego opowiadaniu wciąż przewijało się nazwisko jakiegoś Jastańskiego, z którym bardzo się zaprzyjaźnił.

- Wierny przyjaciel - mówił - tylko niepoprawny idealista. Taki typowy polski patriota z głową w chmurach.

- Reumatyk? - roześmiała się Jadzia.

- Nie, dlaczego? Młody, w moim wieku.

- Żartowałam. U nas na pensji tak się mówiło. Jeżeli on jest romantykiem, to chyba niewiele mieliście wspólnego.

- Wcale nie powiedziałem, że jest romantykiem. Nogami mocno stoi na ziemi, zapowiada się na świetnego kupca, tylko ta głowa w chmurach mu przeszkadza. Gdyby wierzyć Jastańskiemu, to nie ma mądrzejszego, odważniejszego narodu od Polaków. I bardziej pechowego. To ja pytam, kto na nasz naród ściągnął pecha, jeżeli nie my sami.

- Ojciec też tak mówi.

- Wiem i choć nie we wszystkim zgadzam się z nim, tu przyznaję mu rację.

- Ten twój Jastański przypomina mi przyjaciółkę z pensji, Klarę Mischke. Dla niej też wszystko, co polskie, jest

najcenniejsze. Bardzo mi jej brakuje, nawet nie masz pojęcia, jak bardzo. Dzięki niej zaczęłam dużo czytać po polsku. Wciąż mi podsyła jakieś tytuły, grozi, że będzie odpytywała z treści. Ostatnio wypożyczyłam „Emancypantki” i jestem zachwycona. Tam też jest o pensji dla panien, tylko innej niż nasza. Pisujemy do siebie z Klarą, ale powiem ci, że pisanie po polsku sprawia mi wiele kłopotu. Z mówieniem sobie radzę, z pisaniem nie bardzo.

- Bo ty wciąż myślisz po niemiecku. Dopóki nie zaczniesz myśleć po polsku, będziesz miała kłopot. Powiem ci, że o nic nie mam takiego żalu do ojca, jak właśnie o język.

- Chciał dobrze. Nie wierzył, że Niemcy sobie stąd pójną.

- Gorzej. Ojciec wciąż myśli, że wrócą. Nie ufa Polakom, że sami sobie poradzą.

Jadzia z wielką przyjemnością patrzyła na Antona. Wydawał jej się taki dorosły i mądry. Sama sobie też się wydawała mądra i dorosła.

Przyszedł jednak moment, że zważyła w mądrość brata. Anton nagle zaczął mieć jakieś własne sekrety.

- Siostra, muszę wyjść wieczorem - szepnął jej do ucha któregoś popołudnia.

Wyjść to wyjść. Jaskólscy nie przywiązywali swoich dorastających synów na noc do łóżek i braciom zawsze było wolno więcej niż Jadzi. Ojciec stawiał dwa warunki: musieli powiedzieć, gdzie idą i wrócić o przyzwoitej porze, czyli przed jedenastą. Jadzia nie dopatrzyła się niczego zdożnego w tym, że brat chciał wyjść wieczorem. Kiwnęła głową, że rozumie i wróciła do „Emancypantek”.

- Muszę wyjść i potrzebuję twojej pomocy - powtórzył.

- Mam przywiązać sznur do łóżka, żebyś wylazł przez okno? - spytała zaskoczona, bo nagle przypomniała sobie, że raz już komuś miała pomagać w ucieczce.

Anton nie wyglądał na uciekiniera. Siedział przejęty i targał kosmyk nad uchem.

- Jak rodzice usną, wypuścisz mnie z domu, a potem nad ranem wpuścisz - wyjaśnił bez zbędnego owijania w bawełnę.

- Ładny mi wieczór - mruknęła. - Od razu powiedz, że znikasz na noc. Ciekawe, gdzie się wybierasz?

- Wolałbym, żebyś o to nie pytała.

Nie to nie! Wzruszyła ramionami i obiecała pomóc. Nawet się specjalnie nie buntowała. Nie szedł na ryby, to pewne. Do piwiarni też nie, bo w rodzinie Jaskólskich pijało się niewiele i pod tym względem synowie wrodzili się w ojca. Mogło chodzić wyłącznie o jakąś pannę. Pomyślała, że panny swój rozum mają i niech każda martwi się o siebie.

Późną nocą zeszli po cichu na dół. Cały dom spał. Anton delikatnie zdjął wielką sztabę z drzwi wejściowych.

- Bardzo ciężka, obejrzałam ją wieczorem - szepnęła Jadzia. Nigdy wcześniej nie zdejmowała ani nie zakładała sztaby,

bo zawsze robił to ojciec lub jeden z braci. Z przerażeniem myślała, że za chwilę sama będzie musiała dźwignąć to wielkie żelastwo i po ciemku wsunąć w uchwyty.

- Poradzisz sobie. Tylko zamknij, bo jakby ojciec albo mama... to wiesz?

Wiedziała. Zamknęła drzwi i jakoś tę nieszczęsną sztabę ułożyła w odpowiednim miejscu, mocując się z nią ponad piętnaście minut. Kiedy wreszcie przekręciła klucz w kłódce, była mokra i ledwie żywa ze strachu. Nasłuchiwała przez chwilę. Dom wciąż spał. Na palcach wróciła na górę i otworzyła książkę. Gdyby usnęła, Anton nie mógłby wrócić do domu.

Mężczyźni, zwłaszcza młodzi, rzadko kiedy wykazują umiar. Antonowi tak się spodobały nocne wycieczki, że najchętniej w ogóle przestałby sypiać we własnym łóżku.

- Ty możesz nie spać, ale ja muszę! - powiedziała kategorycznie Jadzia i ograniczyła bratu wyjścia do dwu, trzech tygodniowo.

Ćwiczenia czynią mistrza. Przekonała się o tym na własnym przykładzie. Po miesiącu tak opanowała operacje ze sztabą, że otwieranie i zamykanie drzwi nie trwało dłużej niż dwie minuty. Rutyna jednak czasem gubi. Którejś nocy, dokładniej mówiąc któregoś świtu, była już tak zmęczona i tak bardzo się śpieszyła, że zawadziła o hak i wypuściła sztabę z rąk. Huk był niemiłosierny. Sama się wystraszyła, że to trzęsienie ziemi, i w pierwszym momencie nawet nie poczuła bólu, chociaż żelastwo drasnęło ją w palec. Na szczęście niezbyt mocno, bo zdążyła odskoczyć. W jednej minucie w przedpokoju pojawił się ojciec. Za nim dreptała przerażona matka. Nie dało się zepchnąć winy na krasnoludki ani na myszy. Po jednej stronie drzwi stała przerażona Jadzia w koszulinie nocnej, po drugiej nie mniej wystraszony Anton w zmiętym ubraniu.

Długo jeszcze mieli co wspominać. Zwłaszcza Anton, bo w domu rozpętało się istne piekło. Oboje wysłuchali sporo gorzkich uwag, jednak brat bez porównania więcej. Nocne wycieczki skończyły się raz na zawsze, z czego Jadzia po cichu bardzo się ucieszyła. Brata nie zawiodła, a czuwać po nocach już nie musiała.

Na pozór mogłoby się wydawać, że Jadzia wiodła w Tucholi monotonne życie. Ona sama była innego zdania. Pomagała matce, trochę czytała, wzięła się nawet do zbierania przepisów kucharskich, z myślą o swoim przyszłym domu. Porządny żur, zupę na gęsiej pipce (siekanie kawałki gęsiny, służące jako okrasa (gwar.)) czy pyszne flyndze (placki ziemniaczane (gwar.)) ze śmietaną od dawna umiała przyrządzić, ale już taką czerninę nie za bardzo. Spisywała więc w specjalnym zeszycie składniki i sposób wykonania,

żeby nigdy nie zapomnieć, jak się wędzi szynki, półgęski, a jak się robi wino jeżynowe.

Życie towarzyskie też się powoli rozkręcało. Do miasta wrócili młodzi mężczyźni po szkołach i wreszcie Marta miała obok swojego Karla Kornmahlera. Czy naprawdę swojego, to był znak zapytania. Marta przysięgała, że tak, Jadzia ze Stefanią widziały co innego. Karl chętnie brał udział we wszystkich towarzyskich spotkaniach, jednak do Marty nie lgnął, już raczej wodził oczami za Jadzią. I to właśnie Jadzię, nie Martę, zaprosił na wielki bal karnawałowy zorganizowany po raz pierwszy przez rzemieślników. Wahala się i nie dała mu jednoznacznej odpowiedzi.

- Poszłabym z nim, bo kiedyś nawet go lubiłam - zwierzała się Stefani - wiem jednak, że Marta mi nie daruje.

- I tak ci nie daruje, jak się dowie, że nie ją zaprosił.

- Do niego powinna mieć pretensję, nie do mnie.

- Zawsze się ma pretensję do rywalki, nie wiesz o tym? - roześmiała się Stefania.

- Podpowiedz jej, żeby zainteresowała się Kuntzem, przy nim nie będzie miała ani jednej rywalki.

- Chyba że znowu ciebie - śmiała się już na dobre Stefania.

- O nie! Kuntz od kilku miesięcy przestał się zalecać do mojego ojca, co znaczy, że mnie też nie chce. A ty, z kim w końcu idziesz?

- Ani z Kuntzem, ani z Karlem. - Stefania nagle spoważniała. - Wiesz, powoli przestają lubić Karla. Ostatnio zmienił się na niekorzyść.

Jadzi też się Karl nie podobał, i to wcale nie dlatego, że jak mówiła Stefania, zrobił się bardzo wścibski. Nie miała mu za złe ciekawości, bardziej drażniło ją, że nie umiał z panienkami rozmawiać. Czasem, jak zdobył się na komplement, lepiej by było, gdyby zachował go dla siebie. Aż

dziwne, że syn jednego z największych browarników w mieście wykazywał tak rażący brak obycia. Ostatecznie dała się namówić Włodkowi Kowalikowi, młodszemu referentowi ze starostwa. Włodek doczepił się do towarzystwa jeszcze jesienią. Ściągnął go któryś z kolegów Antona i dalej już sam sobie radził. Bywał u Jaskólskich razem z całym towarzystwem, jednak na Franciszku nie zrobił dobrego wrażenia. Za bardzo zadzierał nosa, za dużo mówił o pieniądzach, i to bynajmniej nie o swoich.

W Tucholi bal wywołał wielkie poruszenie, niósł posmak nowości i czegoś od dawna oczekiwanego. Za czasów pruskich i potem w trakcie wojny nikt o zabawach nie myślał, a kiedy nastąpiła wolność, tyle było do zrobienia, że tańce zeszły na plan dalszy. Kredyty się liczyły, warsztaty, wszystko, co gwarantowało zarobek i pozwalało utrzymać rodziny. Nie znaczy to, by tucholscy rzemieślnicy, zrzeszeni w kole chrześcijańskim, pozostali nieczuli na potrzeby miasta. Zasilili fundusz odbudowy kościoła katolickiego, zbierali pieniądze na pomoc dla najuboższych mieszkańców, w końcu pomyśleli także o rozrywce.

Pani Berta nie nadążała z szyciem kreacji. Błyszczące chciały zarówno panienki, jak i dostojne żony rzemieślników, w całym mieście wszyscy rozprawiali o balu. Rodzina Jaskólskich wybierała się w komplecie: Franciszek z żoną, Leon i Anton ze znajomymi pannami, Jadzia z Włodkiem Kowalikiem. Franciszek na tę okazję przywdział mundur Bractwa Kurkowego: ciemne spodnie i jasną sukienną marynarkę z ciemnymi wyłogami, zdobną w nieliczne jeszcze medale.

Jadzia, w liliowej prostej sukience, ze złotym łańcuszkiem na szyi budziła zachwyt nie tylko ojca. Powodzenie na parkiecie przypisywała głównie swoim tanecznym

umiejętnościom. Co rusz ktoś ją w tańcu odbijał, zmieniała więc partnerów i nie siedziała ani chwili.

- Panna Jadwiga w ogóle nie myśli o mojej pozycji - powiedział z wyrzutem Kowalik, kiedy wreszcie udało mu się do niej docisnąć.

Odebrała to jako żart. Karl też jej wyrzucał, że wzgardziła jego zaproszeniem, ale przecież w tańcu trzeba było zamienić choć kilka słów, więc pletli, co im ślina na język przyniosła. Trudno w czasie walca rozmawiać o akcjach Banku Śląskiego.

- Na balu myślę wyłącznie o tańcu - odpowiedziała z odrobiną kokieterii.

Nie była już nieśmiałą gąską z oczami wbitymi w czubki pantofli. Obserwowała sobie Cecylię, dopóki u nich mieszkała, i sporo się od bratowej nauczyła. Włodek Kowalik przez chwilę milczał, jakby ważył słowa.

- Mam prawo wymagać, by panna Jadwiga traktowała mnie inaczej niż pozostałych panów. Jeżeli ktoś z nas wyświadcza drugiemu grzeczność, to ja pannie Jadwidze, nie odwrotnie.

Mówił ze śmiertelną powagą i o żartach nie mogło być mowy. W pierwszym odruchu chciała go zostawić na środku parkietu razem z jego wymaganiami. Powstrzymał ją strach przed towarzyskim skandalem. Skupiła się na tańcu i na Cecylii. Bratowa na jej miejscu prowadziłaby dalej rozmowę, by na końcu dać zuchwalcowi ostrą naukę. Bratowa wiedziała, co mówić, Jadzia nie bardzo.

- Mógłby mi pan wyjaśnić, o jakiej to grzeczności mowa? - spytała, siłąc się na spokój. Zabrzmiało dobrze, więc poczuła przypływ odwagi.

- Nie obrażając nikogo, chciałbym zaznaczyć, że pozycja społeczna urzędnika starostwa jest wyższa niż rzemieślnika.

W jednej chwili pożałowała, że jest dobrze wychowaną panną. Słowa, które cisnęły jej się na usta, nie zdziwiłyby

może Agnieszki Kuźmińskiej, lecz z całą pewnością zdumiałyby towarzystwo na sali. Cholera goniłaby psiakrew jak nic. Taniec się skończył. Kowalik z kurtuazją skłonił głowę.

- Zmartwię pana, nie czuję najmniejszego respektu przed młodszymi referentami starostwa. I niech pan więcej nie prosi mnie do tańca, bo odmówię.

Wyprostowana, z dumnie podniesioną głową, ruszyła prosto do stołu, przy którym siedzieli rodzice. Bardzo chciała zobaczyć minę Kowalika, jednak nie wypadało się oglądać.

- I jak się bawisz? - spytał ojciec.

- Wyśmienicie - odpowiedziała zła na siebie, że nie dopiekła pyszałkowi jeszcze bardziej. - Wracam z rodzicami, odprawiłam Kowalika.

- Ublżył ci, zachował się niestosownie?

Ojciec uniósł się z krzesła, gotów biec i rozszarpać na kawałki zuchwalca.

- Ależ skąd! Nudził tylko i miałam go dosyć.

- Od razu się na nim poznałem, jak tylko zaczął mnie wypytywać o twój posag. Sam zdołał odłożyć, dasz wiarę ile? Dwieście złotych przez rok! Jakbym mu powiedział, że ty dostaniesz najmniej dziesięć tysięcy w samej gotówce, to byśmy się od niego nie odczepili

Od czasu balu Jadzia nie chciała słyszeć o Kowaliku. Tylko Stefania wiedziała, co tak naprawdę zaszło, reszta nawet nie zauważyła, że urzędnik starostwa przestał się pojawiać na spotkaniach towarzyskich. W domu też nikt o niego nie pytał. Jadzia nigdy nie powtórzyła rozmowy o wyższości urzędnika nad zdunówną w obawie, by krewki i przeczulony na punkcie rzemieślniczego honoru ojciec nie postrzelił referenta. Choć referent był jej wstrętny, ojcu nie życzyła kłopotów.

W czasie karnawału młodzi spotykali się dość często. Oblegane były zwłaszcza trzy domy, w których stały jakieś tam pianina nadające się jeszcze do gry. Potańcówka goniła potańcówkę, przy okazji trochę było śmiechu, trochę żartów, a nawet poważnych rozmów. Panowie sprzeczekali się o sens i ideę niedawno założonego Związku Obrony Kresów Zachodnich. Panny z grzeczności słuchały, a potem odsuwały się dyskretnie na bok, żeby też porozmawiać na inne, bardziej interesujące tematy.

- Co to znaczy repolonizować? - irytował się Anton. - Czy ja przestałem być Polakiem, żeby mi na siłę przywracać polskość?

Był jednak odosobniony w swoich poglądach. Jan, Alojzy i Wiktor rzucili się na niego z argumentami: że świadomość, patriotyzm i że antypolskiej propagandzie niemieckiej trzeba dać zdecydowany odpór.

- Poczekaj, Anton, sam zobaczysz, za rok, może za dwa, kto u nas w Tucholi wstąpi do związku. Choćby z rzemiosła i kupiectwa. Ręczę ci, że to będą dobre nazwiska. Zainteresowanie jest wielkie - powiedział Alojzy, subiekt w sklepie kolonialnym. - Jeżeli chcecie wiedzieć, ja już szukam dojścia.

- Pamiętasz nasze rozmowy w bursie? - dorwał się do głosu Wiktor. - Aleksy wciąż powtarzał, że trzeba nam zgnieść raz na zawsze niemiecką butę. I po to właśnie powstał związek.

- Widzicie - szepnęła Marta do przyjaciółek - Karl Kornmahler nie wtrąca się do sprzeczeki. Jako Niemcowi nie wypada mu zabierać głosu i to chyba świadczy o jego delikatności, prawda? Mogliby już tak na Niemców nie wygadywać, bo to niezręcznie wobec Karła.

- Rzeczywiście, wygląda, jakby miał się za moment rozpląkać - ironizowała Stefania. - Poprosił cię o rękę, że tak o niego drzysz?

- To tylko kwestia kilku dni, może tygodni. - Marta uśmiechnęła się tajemniczo.

- Klara by powiedziała, że oczadziałaś z miłości - pokiwała głową Jadzia.

- O, Klara! Co u niej? Wciąż pracuje?

- W każdym liście najwięcej jest o pracy, o samej Klarze zaledwie dwa słowa, że ma się dobrze.

- Muszę wam coś powiedzieć. - Stefania zawiesiła głos. - Od przyszłego tygodnia zaczynam pracę w bibliotece i bardzo się z tego cieszę. Dostyc już mam bezczynności. Wszystko wokół się zmienia, życie aż tętni, a ja tkwię w domu i czekam nie wiadomo na co ani na kogo. Alojzemu bardzo się ten pomysł spodobał.

- Alojzemu?

Jadzia z Martą wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

- To znaczy, że będą dwa śluby, nie jeden - powiedziała Marta. Stefania uśmiechnęła się tylko.

Co do ślubów Marta bardzo się pomyliła.

Po udanej zabawie karnawałowej rzemieślnicy z koła chrześcijańskiego tak się rozochocili, że wymyślili zabawę letnią. Pod koniec sierpnia w mieście pojawiły się wielkie afisze zapowiadające mnóstwo atrakcji, łącznie z balem. Marta wciąż nie miała pewności, czy Karl ją zaprosi, Stefania wybierała się z kolegą Alojzym, Jadzia nie wiedziała, kogo los jej podsunie. Była pewna, że kogoś znajdzie. Ojciec się podśmiewał, że przebiera w kawalerach jak w zgniłych gruszkach. Trochę w tym było racji, to znaczy nie w zgniłych gruszkach, tylko w niewydarzonych kawalerach. Kto jej się trafiał? Ślamazara Kuntz, niebieski ptaszek Filski, pyszałek Kowalik i na okrasę Karl, który coraz częściej kręcił się w

poblizu. Nie chciała mu powiedzieć wprost, że jest jej niemiły, więc tylko wymykała się i myliła tropy, żeby go raz na zawsze zgubić. Marta zaczęła coś podejrzewać.

- Karl znowu był u ciebie? - pytała.

- U Antona, nie u mnie - odpowiadała niezmiennie, wcale przy tym nie kłamiąc.

Karl przychodził do Jaskólskich i przesiadywał głównie u Antona. Nawet jeżeli próbowali zapraszać Jadzię do towarzystwa, stanowczo odmawiała, tłumacząc się nawałem zajęć.

Anton wiedział, jakie to były zajęcia. Siostra nieźle musiała się starać, żeby znaleźć jakąś pracę dla siebie. Gawronowa utrzymywała dom w porządku, matka dbała o kuchnię, ona mogła najwyżej poczytać lub usiąść z robótką. Uparła się, że samodzielnie zrobi i wyhaftuje firankę do sypialni rodziców. Oczywiście firanka, podobnie jak „Emancypantki”, mogła poczekać.

- Siostra, kłamstwo też jest grzechem - powiedział kiedyś Anton.

- Czy ja kłamię? - obruszyła się całkiem szczerze. - Karl to twój przyjaciel, ja nawet nie umiem z nim rozmawiać. Milczy, milczy, nagle coś palnie, że nie wiadomo, śmiać się czy płakać. Marta zachwyca się wszystkim, co on mówi i robi, niech idzie do Marty.

- Jemu ty się podobasz, nie Marta.

- Obiecał ci zafundować piwo, że tak się za nim wstawiasz? - spytała zaczepnie.

- Całą beczkę. - Anton kiwnął głową.

Musiała się roześmiać. Ojciec Karla miał największy w mieście browar, więc z tym piwem wyszło bardzo zabawnie. Brat nie dawał za wygraną.

- Słuchaj, siostra - powiedział. - W szkole Karl, Aleks i ja byliśmy nierozłączni. Jeżeli odrzucasz Karla, tylko dlatego, że jest Niemcem, to wiedz...

- Oszalałeś? - fuknęła Jadzia. - Nie mam aż takich uprzedzeń. Po prostu nie chcę robić świństwa najbliższej koleżance, co jest tym łatwiejsze, że Karl mi się nie podoba. Czy ty uganasz się za pannami, które ci się nie podobają?

- No wiesz? - zgorszył się wyraźnie. - Kto ci powiedział, że ja się w ogóle uganiam?

- Mój stłuczony palec u nogi. Chyba nie powiesz, że wypuszczałam cię nocami z domu, bo chciałeś sobie pośpiewać w pustym kościele.

Nie, tego Anton nie powiedział. Przestał też bawić się w swata i Jadzia mogła sama wreszcie pomyśleć, z kim chciałyby spędzić ten wspaniale zapowiadający się dzień. Pierwszy nawinął się Wiktor. Miły i dobrze wychowany, na tyle jednak biedny, że jako konkurent w ogóle nie był brany pod uwagę. Ojciec mówił o nim nackter Mensch (golec (niem.)). Nie brzmiało to jak komplement. Jadzia nie szukała jednak partnera na całe życie, tylko na pół dnia i roztańczoną noc. Wiktor Karach, świeżo upieczony buchalter praktykujący w młynach, świetnie pasował na towarzysza zabawy. Potrafił porozmawiać, znał się na żartach i dobrze tańczył. Jadzia tak poprowadziła rozmowę, że zaprosił ją na bal, zanim zorientował się, co robi. Chodziła potem dumna jak paw, że posiadała trudną sztukę przekonywania mężczyzn. Musiała tylko przekonać jeszcze Karla, że to nie ona powinna mu towarzyszyć na zabawie. Z nim nie poszło tak łatwo.

- Odmawiasz mi drugi raz - zauważył z wyraźną złością.

- Spóźniłeś się, przykro mi - powiedziała, chociaż nie było jej przykro ani trochę. Uśmiechała się nawet całkiem pogodnie.

- Czy ja ci zrobiłem coś złego, że mnie unikaszesz?

Nie lubiła, gdy ją przyciskano do muru i musiała odpowiadać na pytania, na które nie chciała odpowiadać. Czegoś się jednak nauczyła od koleżanek na pensji.

- A kto razem z Martinem rzucał we mnie kamieniami? Kto mnie różgami próbował chłostać po nogach?

Patrzył w osłupieniu. Dobra chwila minęła, zanim pojął, o czym ona mówi.

- Masz na myśli nasze dziecięce zabawy? Kiedy to było?

- Wcale nie tak dawno. W domu nikt mnie nie bił, dlatego zapamiętałam. Jako dziecko miałeś bardzo złe skłonności.

- Dawno już nie jestem dzieckiem. Myślałem, że zauważyłaś. Widać jednak, obfitość tu - nakreślił w powietrzu zarys biustu wielkości solidnej dyni - nie idzie w parze z rozwojem tu. - Poklepał się po czole.

Był to typowy komplement w jego stylu. Uśmiechał się ironicznie, chociaż grdyka chodziła mu jak indorowi i widać było, że od środka rozsadza go wściekłość. Jadzia też straciła spokój. Gest był paskudny, obraźliwy i bardzo ją dotknął. Najchętniej trzasnęłaby Karla w twarz, i to tak, żeby mu głowa odskoczyła. Co prawda nigdy jeszcze nikogo nie spoliczkowała, ale też nikt nie obraził jej w taki sposób. Spróbowała się opanować.

- Jesteś prostakiem, Karl - powiedziała tylko, bo nic innego wymyślić nie umiała.

Siedzieli w ogrodzie pod orzechem. Poderwała się z krzesła, żeby demonstracyjnie odejść, on jednak zerwał się pierwszy.

- Pożałujesz jeszcze, zobaczysz! - rzucił na odchodnym. Nawet nie zdążyła napomknąć, że Marta usycha z miłości i powinien zająć się Martą. To już nie był jej kłopot. Żałowała, że nie odpowiedziała mu bardziej dosadnie i ostro. Gdyby nazwała go chamem, nie byłoby w tym najmniejszej przesady.

Wprawdzie damy nie powinny używać takich słów, jednak przy Karlu trudno było pozostać damą.

Wielki festyn zaczynał się w sobotę, po południu. Wiktor zjawił się u Jaskólskich o umówionej porze i czekał dobre pół godziny, aż Jadzia się wyszykuje. Coś tam poprawiała przy bluzce, przy fryzurze i wciąż nie była zadowolona ze swojego wyglądu. Marudziła przed lustrem, dąsała się i zbiegła na dół, kiedy matka porządnie ją pogoniła. Uspokoila się dopiero na widok zachwyty w oczach Wiktora. Na wszelki wypadek jeszcze raz zerknęła w lustro, musnęła fale na głowie, przy okazji zauważyła, że on też całkiem nieźle wygląda w jasnym, letnim garniturze. Z bliska wprawdzie widać było, że przenicowanym, ale Wiktor nie lalka i nikt nie musiał go z bliska oglądać. To ją ostatecznie uspokoiło. Lubiła mieć koło siebie eleganckich kawalerów.

Pobiegli na Chojnicką, pod dom malarza Michała Augustyńskiego, który przewodniczył chrześcijańskim rzemieślnikom. Tłumek przed posesją był już całkiem spory i formował się w pochód. Ludzie mieli w rękach kwiatki i zielone gałązki na znak, że uczestniczą w wielkim, wspólnym święcie.

- Zapomnieliśmy o kwiatkach - szepnęła zmartwiona Jadzia.

- Ja nie zapomniałem. Mam obok najładniejszy kwiatek w całym tłumie - powiedział Wiktor.

Spojrzał przy tym tak jakoś, że się zarumieniła. Żeby pokryć lekkie zmieszanie, zaczęła rozglądać się w poszukiwaniu Stefanii, Marty i reszty towarzystwa. Wiktor pierwszy dostrzegł Alojzego. Trudno go było nie dostrzec. Stefania ledwie mu do ramienia sięgała, choć wcale nie była niska. Dopchali się do nich prawie jednocześnie z Antonem, któremu towarzyszyła jakaś obca panienka. Anton trzymał dłonie na jej ramionach, jakby bał się, że tłum ich rozdzieli.

Przedstawił ją jako pannę Olę Dołężankę. Doszedł jeszcze Janek z Helgą Rothówną. Kawalek dalej stał Leon z Marysią, prawie narzeczoną, lecz oni mieli swoje towarzystwo.

- Co się dzieje, dlaczego nie idziemy? - niecierpliwiła się Stefania.

- Pan Augustyński przemawia - doniósł Alojzy, który, z racji wzrostu, miał najlepsze pole obserwacji.

- Nic nie słyhać.

- Właśnie skończył i ruszamy.

Szli środkiem Chojnickiej do Rynku, potem do Świeckiej, gdzie stał hotel Kościuszko ze sławnym na całe miasto ogródkiem wiedeńskim.

Jadzia zerkała ukradkiem na Olę Dołężankę i Antona. Widziała już brata z niejedną panną, bo często je zmieniał i nie grzeszył stałością, nigdy jednak nie przypuszczała, że potrafi być tak uważający. Aż dziw, że nie wziął Oli na barana, tylko pozwolił, by w pantofelkach dreptała po kocich łbach. Owszem, kocie łby nie były zbyt wygodne dla obcasów, ale inne panny jakoś szły o własnych siłach i nie łąpały nikogo za rękawy. Od razu widać, że to sauberes Fruchtchen (dobre ziółko (niem.)) pomyślała Jadzia i z satysfakcją zacytowała sobie Gawronową: „Taka w domu szafę podniesie, a przy kawalerze łyżka jej ciąży”. Irytowała się na Olę i nie mogła przestać na nią patrzeć.

- Ona mi kogoś przypomina - szepnęła do Stefanii. Wiadomo było, że nie pyta o Helgę, typową brzydulę przypominającą wyłącznie siebie, tylko o nową pannę Antona.

- Podobna do Róży Bekawskiej - odszepnęła Stefania. - Tyle że szatynka.

- Jasne! - Jadzia plasnęła ręką w czoło. - Podobna do Róży! Ciekawe, czy z charakteru też ją przypomina, bo z piegów na pewno.

- Ale z ciebie jędza - mruknęła Stefania prawie z podziwem. - Mnie raczej ciekawi, gdzie Anton ją znalazł. Nigdy wcześniej jej nie widziałam. Piękna panna.

- Phi! - Jadzia wydeła usta, co było u niej oznaką niezadowolenia. - Widywałam ładniejsze.

- W lustrze?

Stefania rzadko bywała złośliwa, jednak język miała nie od parady. Jadzia nie zwróciła uwagi na drobny przytyk, o wiele bardziej zmartwiło ją to, że ukochany brat zdawał się nie dostrzegać nikogo innego poza Olą. Taka stała znajomość nie wróżyła niczego dobrego, przynajmniej dla niej, dla siostry.

Doszli wreszcie do ogródka wiedeńskiego zamienionego na to popołudnie w salę koncertową. Orkiestra specjalnie sprowadzona z Chojnic nie żałowała instrumentów, ludzie bili brawa, domagali się bisów, jakby całkiem zapomnieli, że w programie są jeszcze różne konkursy i loterie, a na końcu gwóźdź wieczoru - wielka zabawa w sali Browaru.

Stefania była niezawodna. Nim znaleźli się w sali tanecznej, wiedziała prawie wszystko o pannie Antona. Ola Dołączanka mieszkała w Tucholi od miesiąca u jakiejś krewnej i pracowała w magistracie. Podobno miała maturę, co brzmiało wręcz niewiarygodnie. Panna i matura! Niby po co?

Jadzia źle się bawiła. Wszystko ją drażniło, najbardziej oczywiście Ola, chociaż cierpiał z tego powodu Wiktor. To na nim wyładowała zły humor. Powiedział żart - źle, nie mówił nic - jeszcze gorzej. Nie liczyła się z nim, bo nie musiała. Był tylko kolegą brata i nikim innym nie mógł zostać. Z orbity matrymonialnej z całą pewnością wypadał.

- Miałam rację, Jaskólska, ty naprawdę jesteś jędza - powiedziała Stefania, kiedy wyszły razem do łazienki. - Czego ty chcesz od Wiktora?

- Co cię obchodzi Wiktor? Niech się cieszy, że w ogóle chciałam z nim przyjść na zabawę.

- Zaczynasz cytować młodszego referenta ze starostwa? Ironia w głosie Stefanii aż kłuła w uszy, Jadzia jednak zbyt była przygnębiona, żeby wychwycić aluzję.

- Daj mi spokój z Wiktorem.

- Nie dam ci spokoju, bo go lubię. Poza tym jesteśmy jednym towarzystwem. Psujesz zabawę jemu i wszystkim przy okazji.

- Nic na to nie poradzę, że nie mam humoru.

- To widać, ale humorów też nie musisz pokazywać.

- Jakim prawem mnie krytykujesz? - zdenerwowała się Jadzia.

- Ktoś cię musi przywołać do porządku.

- Na pewno nie ty!

Jadzia demonstracyjnie odwróciła się na pięcie i wyszła z łazienki. Usiadła z daleka od Stefanii i więcej się do niej nie odezwała. Najbardziej irytowało ją to, że Anton, zajęty Olą, prawie nie zauważył, co się działo z siostrą. Obraziła się więc także na niego. A kiedy w domu brat spytał, czy tańczyła z Karlem, zwątpiła w jego przytomność.

Karl i Marta w ogóle nie pojawili się na festynie ani na zabawie.

Przez kilka dni Jadzia nie wychodziła z domu. Ślęczała nad firanką i powolutku czytała „Nad Niemnem”, strona po stronie, żeby na dłużej starczyło. Nie miała chęci iść do biblioteki i spotykać się ze Stefanią. O przeprosinach mowy nie było. To nie Jadzia robiła niestosowne uwagi pod adresem Stefanii, tylko tamta próbowała pouczać Jadzię, więc jeżeli ktoś miał kogoś przeproszać, to na pewno nie ta pouczana. Trwała w złości, chociaż coraz bardziej brakowało jej spotkań ze znajomymi. Wiktora obraziła i nie kazała mu więcej przychodzić, Karla wołała unikać, więc na wszelki wypadek nie odwiedzała też Marty. Liczyła na Antona i bardzo się zawiodła. Brata nie widywała po całych dniach. Ledwie

wracał z praktyki w sklepie, zaczynał się sztafirować (stroić się (gwar.)) niczym panna i gdyby matka nie podetknęła mu obiadu pod nos, pędziłby do Oli z pustym brzuchem. Ojciec z Leonem im bardziej oddalali się z remontami od Tucholi, tym rzadziej przyjeżdżali do domu. Ostatnio tylko na soboty i niedziele. Jadzia nagle poczuła się biedna i opuszczona. Nie bardzo mogła liczyć na jakąś odmianę, bo nigdy nie była duszą towarzystwa. Chętnie brała udział we wszystkich spotkaniach, lecz sama nie włączała się w przygotowania, nie rzucała pomysłami jak Stefania, Anton czy nawet Marta. Wreszcie któregoś dnia Martę ruszyło sumienie i wpadła.

- Jesteś fantastyczną koleżanką, Jaskólska - powiedziała na powitanie. - Gdybyś to ty nie przyszła na zabawę, już następnego dnia byłabym tu, żeby sprawdzić, czy nie umarłaś. Naprawdę przez dwa tygodnie nie mogłaś do mnie dotrzeć?

- Na szczęście nie umarłaś, więc wchodź i opowiadaj!

- Nie ma o czym. Widzę, że tryskasz zdrowiem, to sobie idę. W sobotę urządzą potańcówkę, jak chcesz, zajrzyj.

- Karl będzie?

- Jak ci zależy na Karlu, musisz się sama z nim umówić. Będzie Stefania z Alojzym, Wiktor, twój brat z Olą i jeszcze kilka osób.

Marta zachowywała się tak, jakby ona też miała żal do Jadzi, i to nie wiadomo o co. Widać towarzyskie niesnaski lubiły się rozmnażać szybciej niż muchy owocówki. Jadzia na potańcówkę miała wielką ochotę, ale odstraszała ją obecność Stefanii, Wiktora i Oli na dodatek. Wymyśliła na poczekaniu, że w sobotę wyjeżdża do Torunia do brata. Do wieczora oswoiła się z pomysłem, a nawet przekonała matkę, by ją puściła z domu na kilka dni.

Mieszkanie Józefostwa na Łaziennej dawno już było wykończone. Jadzia ze dwa razy odwiedziła brata w towarzystwie rodziców, jednak sama jeszcze nigdy nie

podróżowała pociągiem i nie udawała dorosłej damy. Wreszcie trzeba było się odważyć i spróbować. Z kilku dni zrobiły się dwa tygodnie. Józef po całych dniach pracował, za to Cecylia zajęła się szwagierką bardzo serdecznie.

Bratowa należała do kobiet wyjątkowo pracowitych. Nie dość, że prowadziła mężowi całą buchalterię, że administrowała kamienicą, to jeszcze zajmowała się domem. Nie miała służącej, wszystko robiła sama: zakupy i obiady. Sprzątała też sama. Każdy z czterech pokoi błyszczał czystością. Jakby powiedziała Gawronowa - z podłogi jeść by można, a przeglądać się w kaflach pieca. Wszystko po to, żeby Józieniek był zadowolony. Usiadł Józef wieczorem w wielkim fotelu, a ona natychmiast stołeczek mężowi pod nogi podstawiała, pod plecy poduszeczkę i jeszcze pytała, czy aby mu wygodnie. Nie zdążył się rozejrzeć, już z gazetką biegła, herbatę gorącą przynosiła, czasem nawet szklanekę z piwem, jeżeli miał ochotę. Takiej Cecylii Jadzia nie znała. Prawdę mówiąc, bawiło ją trochę to przesadne rozpieszczanie młodego i silnego mężczyzny. Nikt nie przeczył, że Józef ciężko pracował i musiał odpocząć, ale czy spadłaby mu korona z głowy, gdyby raz przyniósł sobie piwo z kuchni? Nic nie mówiła, bo chodziło o ukochanego brata, czasem jednak uśmiechała się na boku. Bratowa musiała to zauważyć.

- Powiem ci, Jadziu, że mężczyzna nie powinien wiedzieć, gdzie jest kuchnia w domu. Jeszcze dobrze nie wejdzie, a już nabałagani za trzech. Tu rozleje, tam zrzuci, odstawi w inne miejsce i pół dnia trzeba po nim sprzątać. Ja wolę wszystko sama Józienkowi podać.

Sama to sama. Jadzia nie była już pensjonarką i nauczyła się panować nad językiem. Wciąż jeszcze mówiła to, co myśli, choć już nie za każdym razem. Patrzyła na brata i trochę mu współczuła, że taki się zrobił zależny od żony. Nawet odzywał się niewiele, słuchając, co Cecylia ma do powiedzenia na

temat obowiązkowego wietrzenia pościeli albo przykurzonych ławek u Świętego Jana. Gazety czytali razem, najchętniej na głos, książki podobnie, czasem zagrali w domino albo w karty. Nie mieli wielu znajomych i nie prowadzili domu otwartego. Jednak Józef wyglądał na bardzo szczęśliwego. Pławił się w domowym cieple i tylko czasem, kiedy Cecylia zbyt mocno chciała go przekonać do jakiejś swojej idei, mówił:

- Cecylko, pozwól, że to przemyślę, ale jak wiesz, do myślenia potrzebuję ciszy.

Uśmiechała się i przestawała mu suszyć głowę aż do następnego dnia, kiedy zgrabnie i mimochodem wracała do przerwane wątku. Niewątpliwie była mądrą kobietą, a przy tym gospodarną i bardzo oszczędną. Dopóki mieszkała w Tucholi, nie wtrącała się do kuchni ani do wydatków, nigdy też nie czyniła uwag matce ani nawet Gawronowej. U siebie pilnie patrzyła, by nie zmarnować ani kawałka ziemniaka, nie mówiąc już o mięsie. Z resztek przyrządzała jakieś kopytka i sałatki. Nie było to złe, czasem bardzo smaczne, jednak Jadzię zaskakiwała aż taka oszczędność. Sama kamienica przynosiła im dochód, z którego mogli dostatnio żyć. A przecież Józef pracował, od zleceń nie mógł się opędzić, bo świetnie sobie radził z zabytkowymi piecami, jakich w Toruniu było wiele. Sama bratowa mówiła, że zyskał uznanie i markę. Skoro tak, to nieźle chyba zarabiał i nie musiał wyjadać resztek. Cecylia uważała jednak, że ludzie stają się zamożni dzięki pracy i oszczędności. Powtarzała to za każdym razem, kiedy Jadzia próbowała wyrzucić do kubła z odpadkami marchew z zupy lub kość niedokładnie obraną z mięsa.

Bratowa bardzo się zapaliła do oprowadzania Jadzi po mieście. Zwłaszcza kościoły w centrum wydawały jej się najgodniejsze uwagi, bo stare, czternastowieczne i pełne zabytków. Szły do Świętego Jana, potem do Świętego Jakuba i do Najświętszej Marii Panny. Jadzia zadzierała głowę,

podziwiała sklepienia i witraże, przy tym trochę się nudziła. Nie miała wielkiego pojęcia o architekturze gotyckiej i zachwyty bratowej nie trafiały jej do przekonania.

- Starczy wam ludzi w Toruniu, żeby zapełnić trzy wielkie kościoły tak blisko siebie położone?

- Toruń to duże miasto - odpowiedziała z dumą Cecylia. - Wiesz, ile tu mieszka ludzi? Prawie czterdzieści tysięcy mieszkańców. Tuchola ma cztery i pół tysiąca, mniej więcej tyle, ile w Toruniu jest samych Niemców.

Wędrówki po kościołach były niewątpliwie pouczające, Jadzia jednak tęskniła do ruchu i gwaru ulic, gdzie przynajmniej mogła pooglądać wystawy sklepowe. Na Szerokiej zerknęła na narożny budynek, w którym mieściła się kawiarnia Europejska. Niestety, na patrzeniu musiała poprzestać. Cecylia była niechętna przesiadywaniu w lokalach. Z całą powagą tłumaczyła, że taniej i zdrowiej jest kupić ciastka w cukierni i zjeść w domu, a najlepiej upiec coś samemu. Zaraz też szukała kwaśnych jabłek na szarlotkę i marzenia Jadzi o kawiarni kończyły się przy domowym stole nakrytym koronkową serwetą.

- Nie wiem, moja Jadziu, co cię tak ciągnie do tych zadymionych lokali? - mówiła, nakładając szarlotkę na śliczne talerzyki z porcelany.

Zastawę stołową miała w bardzo dobrym guście. Wniosła ją w wianie i lubiła podkreślać, że to oryginalna miśnia.

- Moja mała siostrzyczka tęskni do wielkomiejskich uciech? - śmiał się Józef. - To ja ci, Jadziu, powiem, że kawałek za nami, jak się idzie ku Wiśle, jest znakomita restauracja Pod Kotwicą. Moglibyśmy wybrać się tam na kolację.

- Józieńku! - Cecylia pokręciła głową.

- Mówię poważnie. - Śmiał się coraz szerzej. - Eleganckie towarzystwo, głównie męskie i nietrzeźwe, jedzenie podobno

niestrawne, gorzałka ciepła, za to po głowie można oberwać jak nigdzie.

- Józieńku, mówiłyśmy o kawiarni, tam raczej nie biją. Najwyżej mogą podać słabą herbatę w niedomytej filiżance.

Po tej rozmowie Jadzia straciła wszelką nadzieję na herbatę w Europejskiej.

Raz w czasie spaceru zawędrowały z Cecylią pod piękny, duży budynek, który Jadzi skojarzył się z pałacem. Po obu stronach wejścia, w górze, nad dachem, wznosiły się dwie wieżyczki z kamiennymi orłami. Przyzwyczajona w kościołach do zadzierania głowy patrzyła na nie z wielką przyjemnością. Wydawało się, że lada moment sfruną.

- Założę się, że jeszcze nigdy nie byłaś w teatrze - powiedziała Cecylia.

- Raz na pensji widziałam jasełka. W Tucholi rzemieślnicy też robią swój teatr.

- Amatorski - powiedziała Cecylia z leciutką ironią. - W Toruniu jest Teatr Narodowy z najprawdziwszymi aktorami, którzy występują w polskich sztukach. Mam pomysł. Jeżeli grają coś odpowiedniego, to porozmawiam z Józieńkiem i w sobotę właśnie tu spędzimy wieczór.

- A mogą grać coś nieodpowiedniego? - zdziwiła się Jadzia, pamiętając zachwyty panny Trębickiej nad teatrami Krakowa i Warszawy.

- Raczej nie, ale słyszałam z wiarygodnych ust, że mają w repertuarze sztukę jakiegoś pana Witkacego, ze wszech miar godną potępienia. Nazywa się to - Cecylia zniżyła głos do szeptu - „Wariat i zakonnica”. Ludzie się chyba oburzyli, bo przemieniono tytuł na „Wariat i pielęgniarka”. Uważam, że na takie bezeceństwa szkoda pieniędzy.

Józef z wielką chęcią przystał na pomysł żony. Kupił nawet spore pudełko pralinek, żeby panie miały coś słodkiego do przegryzienia.

Siedząc w wygodnym fotelu, w sali eleganckiej jak marzenie, Jadzia czuła się najprawdziwszą damą i nie mogła odżałować, że nie widzi jej nikt z tucholskiego towarzystwa. Właśnie szła „Zemsta” Aleksandra Fredry. Wspaniała sztuka rozbawiła widownię do łez. Kiedy Klara zażądała od Papkina krokodyla, Jadzia śmiała się chyba ciut za głośno.

Wracali przez ulice Starego Miasta oświetlone gazowymi latarniami. Na jezdniach dzwoniły tramwaje i przemykały samochody.

- Pięknie tu - powiedziała Jadzia - ale ja najlepiej czuję się w Tucholi. Nie chciałabym nigdy stamtąd wyjechać. Duże miasta są takie obce, można w nich spędzić całe życie i nie poznać wszystkich mieszkańców.

- Nawet nie ma potrzeby poznawać wszystkich - roześmiał się Józef.

Jadzia nie była taka pewna. Życie wśród obcych wcale jej nie pociągało. Najbardziej lubiła to, co swojskie i bliskie. Z ulgą wracała do Tucholi.

W domu matka z Gawronową o niczym innym nie mówiły, tylko o ślubie Leona z Marysią. Ponieważ dużo wcześniej ojciec zdecydował, że w swoim czasie Leon przejmie po nim warsztat, więc naturalną kolejną rzeczą młodzi mieli zamieszkać przy Seminaryjnej razem z rodzicami. Leon od razu chciał zagarnąć całą górę dla siebie, wszystkie trzy pokoje. Dopóki Anton i Jadzia siedzieli w domu, nie było takiej możliwości. Matka biadoliła, że jeden pokój dla młodych to stanowczo za mało, bo trzeba się liczyć z powiększeniem rodziny.

- Nie zechciałabyś, córka, przenieść się na dół do gościnnego? - zagadnęła któregoś dnia.

Franciszkostwo Jaskółscy rzadko podejmowali gości, nikt też u nich nie nocował, jeżeli nie liczyć Józefa i Cecylii, którym i tak ścielono w bawialni. Gościnnie stał pusty.

- Dlaczego ja? - obruszyła się Jadzia. - Od dwudziestu lat mieszkam na górze i nie chcę niczego zmieniać.

- Gościnny jest większy od twojego, z widokiem na ogród, nie na ulicę - kusiała mama. - Pokój się odmaluje, wstawimy twoje meble, ładnie będzie, zobaczysz.

- Ale wejście jest przez bawialnię. Nie, proszę mamy, nie będę mieszkała w gościnnym.

- Może choć Anton się zgodzi - westchnęła z nadzieją matka. - Zaczął o ślubie przebąkiwać, to pewnie niedługo zechce dom opuścić.

- Anton o ślubie? - wykrzyknęła Jadzia.

- Też uważam, że za młody jeszcze. Mężczyzna powinien najpierw się wyszumieć, dopiero potem zakładać rodzinę. Jeżeli z was dwojga komuś pora, to tobie, córka. Panna po dwudziestce z każdym rokiem traci okazję na znalezienie męża. Młodsze dorastają i robi się tłoczno na ślubnym rynku. A wiesz, że każdy mężczyzna woli młodszą niż starszą żonkę. Nic na to nie poradzisz.

- Mówi mama tak, jakby chciała mnie z domu wypchnąć!

- Jadzia wydeła swoje piękne usta.

- Głupstwa opowiadasz. Wydać dobrze córkę za męża to nie to samo, co wypchnąć ją z domu. Po to Bóg stworzył kobietę, żeby mężowi towarzyszyła, dbała o niego, rodziła dzieci i pomagała wychować je na ludzi. Nic innego robić nie umiemy. Czy ty sobie sama, bez męża, dasz radę? Od razu ci powiem, że nie dasz.

- A może ja też chcę się wyszumieć, proszę mamy! - odpowiedziała butnie.

- Wypluj te słowa, córka, wypluj natychmiast! - zdenerwowała się Felicja. - Nigdy tak nie będzie, żeby kobiety zrównały się z mężczyznami. Chyba dziwolągi jakieś albo, tfu, ladacznice! Ty, na szczęście, jesteś normalna, więc weź sobie do serca matki słowa.

Łatwiej było wziąć do serca słowa, niż znaleźć kawalera odpowiedniego nie na jeden bal, lecz na całe życie. Leon poślubił Marysię, Anton miał swoją Olę, tylko ona, Jadzia, wciąż była sama. Wróciła oczywiście na łono towarzystwa, bo nie umiała już żyć bez ludzi. Zresztą wokół działo się sporo ciekawych rzeczy, z których nie chciała rezygnować. Bale rzemieślników stały się tradycją, doszły przedstawienia teatru amatorskiego, raz nawet przyjechał teatr objazdowy z „Zemstą” Aleksandra Fredry. Mogła z wyższością powiedzieć, że ona „Zemstę” widziała w Narodowym w Toruniu.

W domu też zaszły spore zmiany, zgodne z duchem czasu. W którąś wrześnieową sobotę siedzieli sobie pod orzechem: matka, Jadzia, Anton z Olą i Marysia z dzieckiem przy piersi. Nawet niewiele rozmawiali, ciesząc się ciepłem i widokiem kwitnących astrów. Lada moment powinni wrócić ojciec z Leonem. Nagle okno bawialni się otworzyło, a z pokoju buchnęła muzyka. I to jaka! W ich bawialni ktoś grał tango „La Cumparsita”. Na pewno nie Leon ani ojciec, choć właśnie oni wychylili się przez okno.

- I jak wam się podoba? - spytał ojciec.

Biegając do domu, o mało nie zdeptali się w drzwiach. W bawialni na stoliku stał najprawdziwszy gramofon elektryczny. Nie żaden patefon na korbkę, jakim przechwalał się Karl, lecz gramofon firmy RCA.

Wreszcie i Jadzia mogła urządzać potańcówki. Z wielką pasją zaczęła gromadzić płyty. Jeździła po nie specjalnie do Torunia, gdzie wybór był dużo większy niż w Tucholi. Dzięki płytom wieczorki u Jaskólskich stały się głośnie w mieście. Jedynie Marysia trochę nosem kręciła, że hałasy przeszkadzają dziecku. Było to takie sobie gadanie, które miało dokuczyć Jadzi, a nie chronić dziecko. Jadzia nie przepadała za bratową, bratowa nie lubiła Jadzi, muzyka jednak złagodziła ich obyczaje. Marysia, w przeciwieństwie

do swojego męża, przepadała za tańcami i za towarzystwem. Zamiast kłócić się z Jadzią, wołała uspić dziecko i zbiec na dół.

Pod koniec pięknych lat dwudziestych tango bezsprzecznie królowało. Panny nuciły partnerom w tańcu:

Żegnajcie, dawne wspomnienia, Żegnajcie, burze i serc uniesienia, Czas wszystko odmienia, Kochanku mój, żegnam cię, bywaj zdrów („Tango milonga" słowa Andrzej Wtast (1928).).

Słowo „kochanku" brzmiało uroczo i nieprzyzwoicie, wymawiane było z odrobiną zażenowania, ale wszyscy wiedzieli, o co chodzi. W każdym razie na pewno nie o pożegnanie, ponieważ nikt się z nikim nie żegnał. Wręcz przeciwnie: Stefania zaręczyła się z Alojzym, Marta z Wiktorem, a Anton i Ola uważani byli za stare dobre narzeczeństwo, chociaż jeszcze bez rodzicielskiego błogosławieństwa. Jedynie Marysia co tydzień żegnała Leona i co tydzień witała. Widać rozstania wyszły im na dobre, bo następne dziecko było w drodze, ku utrapieniu Jadzi. Nie przeniosła się w odpowiednim czasie do gościnnego i ledwie jedno niemowlę podrosło, musiała wysłuchiwać płaczu następnego.

Karl rzadko wpadał na wieczorki do Jaskólskich, a jeżeli już, to na wyraźne zaproszenie Antona.

- On chyba czuje, że nie jest tu specjalnie mile widziany - powiedziała kiedyś Ola.

- On czuje! - prychnęła Jadzia. - Żeby czuć, trzeba mieć choć trochę subtelności. Karl to prostak. Dziwne, że jeszcze się na nim nie poznałaś.

- Nie odbieram go jako prostaka.

- A ja tak. I moja przyjaciółka, którą zwodził, też nie będzie skakać z uciechy na jego widok.

- Twoja przyjaciółka - wtrącił Anton - więcej sobie wyobrażała, niż naprawdę było. Dlaczego Karl ma cierpieć z powodu czyjejs wybujałej fantazji?

Jadzia wzruszyła ramionami. Argument Antona nie był całkiem bezpodstawny. Obie ze Stefanią często się podśmiewały, że Marta została narzeczoną Karla, jeszcze zanim on zorientował się w jej planach. Zresztą Marta wydawała się teraz szczęśliwa z Wiktorem i pewnie o Karlu przestała myśleć. Jadzia też mu nie życzyła, żeby skrzył kark na równej drodze, co nie znaczy, że umiałaby go polubić. Dlatego zdziwiła się bardzo, kiedy któregoś dnia ojciec przyszedł do niej do pokoju i zaczął rozmowę właśnie o Karlu. Nie od razu, nie od progu. Najpierw opowiedział o zawodach na brackiej strzelnicy, potem o jakimś zakładzie ze starym Fritzem Kornmahlerem, by wreszcie całkowicie Jadzię zaskoczyć.

- My dzisiaj z Fritzem tak sobie rozmawialiśmy, że zdun z piwowarem niewiele mają wspólnego, chyba że razem pójdą na kufelek - roześmiał się - albo połączą swoje dzieci i stworzą jedną rodzinę. Z Kornmahlerami znamy się już tyle lat, cenimy, więc po co tobie męża gdzieś daleko szukać, jak pod bokiem masz Karla. Przystojny kawaler, wykształcony, miły. Co ty na to?

- Kornmahlerowie są ewangelikami, proszę ojca!

- I co z tego? Bóg jest jeden. I my, i oni przestrzegamy tych samych zasad wiary. A zawsze można się umówić, że po matce dzieci będą katolikami.

Jadzia patrzyła na ojca z największym zdumieniem. Bez zmrużenia oka wytrącił jej z ręki najważniejszy argument.

- Nie lubię Karla - powiedziała stanowczo.

- Znacie się od dzieci, razem się bawiliście, jak możesz go nie lubić?

- Z Antonem to on się na pewno bawił, we mnie kamieniami ciskał, co mu zresztą już darowałam. Ja go nie lubię teraz, jako dorosłego. I nie polubię na pewno, nie mówiąc o pokochaniu.

- A gdybym nalegał, i to dla twojego dobra?

- Nie rozumiem, proszę ojca - powiedziała zaskoczona. - Dla mojego dobra ojciec chce mnie wydać za kogoś, kto jest mi wstrętny?

- E, zaraz wstrętny! Posprzeczaliście się pewnie, jak to młodzi. Po ślubie wszystko by się ułożyło. Trzeba, córka, myśleć o przyszłości. Popatrz, co się dzieje wokół. Ledwie Polacy zaczęli swoje rządy, kryzys goni kryzys. Nie masz pojęcia, jak ludziom źle się żyje. Żebraków na dworcach pełno, bezrobotni się buntują, kraj w długach. Jak znam Niemców, nie usiedzą spokojnie. Nieprzypadkowo tyle krzyku o granice podnoszą. Oni tu wrócą, wspomnisz moje słowa. Jeśli wrócą, lepiej by ci się żyło jako żonie Niemca. A jakby w razie nie wrócili, też nie stracisz. Stary Kornmahler ma tylko dwóch synów i duży majątek. Dobrze będziesz miała za Karlem. Nie musisz mi dzisiaj odpowiadać. Prześpij się, zastanów, przecież wiesz, że ojciec zawsze ma rację.

Jadzia obiecała, że się prześpi, jednak, co do Karla, wielkich nadziei nie robiła. Ojciec był despota, ale - jak często mówiła matka - rozumnym despota, co znaczyło, że karciał i wychowywał dzieci, póki były małe, natomiast kiedy dorosły, jedynie stawiał im warunki. Nie wybierał narzeczonych Józefowi, Leonowi czy Antonowi, żądał jedynie, by przyszłe synowe były katoliczkami i prezentowały wysoki poziom moralny. Czy mógłby zmusić córkę do poślubienia ewangelika? Nigdy.

Karl od dawna, bodaj od pamiętnej zabawy w Browarze, nie narzucał się Jadzi ze swoim towarzystwem. Nie miała nawet pewności, czy wiedział o planach ojców. W każdym

razie na pewno o pomoc ich nie prosił, bo sam świetnie sobie radził. Z Jadzią akurat nie, możliwe jednak, że już mu na niej przestało zależeć. Zaczął się spotykać z Helgą Roth, nawet przyprowadził ją do Jaskólskich i Jadzia z ulgą zapomniała o krępującej rozmowie z ojcem.

Helga była córką fabrykanta wódek i likierów. Wielkim powodzeniem cieszyły się zwłaszcza likiery Rotha wytwarzane z owoców leśnych, a więc jagodowe, jeżynowe i malinowe. Ich sława wykraczała daleko poza Tucholę i poza granice kraju. Rothowie byli bardzo zamożnymi ludźmi i mieli tylko jedną córkę. Helga należała do najbardziej posażnych panien w mieście, niestety, niezbyt urodziwych, jak mawiali życzliwi. Niezbyt życzliwe panny na wydaniu nazywały ją straszną paskudą. Mogły sobie mówić, co chciały. Duży posag zbity na likierach sprawiał, że oczy pozbawione rzęs, mięsisty nos i wystające zęby też znajdowały swoich amatorów.

Zima 1929 roku była bardzo gorąca, przynajmniej jeżeli chodziło o temperaturę emocji. Jedno ważne wydarzenie gonilo drugie: zaręczyny Antona, ślub Marty i wreszcie na sylwestra wielki bal maskowy w sali Browaru. Jadzia najbardziej chyba przeżyła zaręczyny brata, chociaż miała sporo czasu, żeby oswoić się z tą przykrą dla niej myślą. Życzyła Antonowi jak najlepiej, to oczywiste, i dlatego widziała u jego boku kobietę bardziej uległą, mniej samodzielna, w każdym razie całkiem inną niż Ola. Drażniły ją zachwyty Antona i to jego wieczne wpatrywanie się w narzeczoną. Czy Ola to święty obraz, żeby się gapić na nią z rozdziawionymi ustami? Zwykła panna, na dodatek piegowata i stanowczo za chuda. Ojciec, z innych nieco powodów niż Jadzia, też nie był zadowolony z wyboru syna. Ola była oczywiście katoliczką, jej moralność nie budziła zastrzeżeń, Franciszkowi natomiast nie bardzo podobało się pochodzenie przyszłej synowej. Nie miał zbyt wiele szacunku dla

zubożalego ziemiaństwa, przechwalającego się tradycjami patriotycznymi. Tu Syberia, tam kazamaty, powstanie jedno, powstanie drugie, ran dużo, pieniędzy wcale, nic więc dziwnego, że młodzianka panna musiała szukać pracy i sama na siebie zarabiać. Franciszek nie do niej miał pretensje, tylko do ojców. On przecież całkiem inaczej pojmował rodzicielskie obowiązki i nie lubił, gdy ktoś mu w oczy świecił pochodzeniem. O swoim rzemieślniczym miał bardzo dobre mniemanie, a o zaradności jeszcze większe. Ukochana Antona też go drażniła. Nie była ani trochę potulna i odważyła się dyskutować z nim, Franciszkiem Jaskólskim. Uparła się, że po zamążpójściu dalej będzie pracowała i wyglądało na to, że słowa dotrzyma. Dlatego tak długo zwlekał ze zgodą na ślub. W końcu Anton przekonał ojca, nikt jednak nie wiedział, jakich użył argumentów, bo nigdy się z nimi nie zdradził. Ojciec też milczał. Advent, który powinien być czasem rozmyślań i zadumy, mijał Jadzi na przygotowaniach do ślubu Marty i do balu maskowego. Czasem jednak, wieczorami, kiedy rozkładała na stole wciąż nieskończoną firankę, przychodził moment refleksji. Zastanawiała się wtedy nad życiem swoich braci. Trzech ich miała i każdy był inny. Józef pozwolił się żonie rozpieszczać, ale nie pozwolił jej decydować za siebie, Leon wiecznie fukał na swoją Marysię i wcale nie liczył się z jej zdaniem, Anton zaś miał wszelkie zadatki na pantoflarza. A jaki będzie jej ukochany?

Dzień przed Wigilią Marta urządziła u siebie panieński wieczór. Wiktor w tym czasie zaprosił przyjaciół do restauracji Świerczyńskiego. Do domu nie mógł, bo mieszkał na skraju Tucholi w rozwalającej się chałupie, gdzie rodzina wynajmowała jeden pokój i w tym pokoju gnieździło się pięć czy sześć osób. Nie na darmo Franciszek Jaskólski mówił o nim „golec”. Nikt na dobrą sprawę nie wiedział, jakim cudem skończył szkoły. Dorabiał na boku, głodził się, oszczędzał i

jakoś skończył. Stał na nogi dopiero, kiedy poszedł do pracy w młynach. Jadzia patrzyła na koleżankę z lekkim politowaniem. Musiało Marcie bardzo zależeć na złapaniu męża, jeśli odważyła się poślubić takiego biedaka. Przejedzą jej posag i nędza zajrzy im w oczy, myślała ze współczuciem, bo zdążyła już polubić Martę. W ostatnim czasie czuła z nią mocniejszą więź niż ze Stefanią, która na nic nie miała czasu. Pracowała w bibliotece, działała - nie wiadomo po co - w towarzystwie czytelniczym, spotykała się z Alojzym i jeszcze organizowała jakieś konkursy, raz dla dzieci, raz dla dorosłych. Mogły sobie podać ręce z Olą. Dla odmiany Ola, jako urzędniczka miejska, zajmowała się ubogimi, wciąż mówiła o jakichś datkach, zapomogach i też była bardzo zabiegana.

- Słuchajcie - zaczęła, ledwie zdążyła usiąść - idziemy z Antkiem wczoraj wieczorem Chojnicką i nagle, kogo spotykamy? Pana burmistrza Saganowskiego, wyobrażacie sobie? Poszedł obejrzeć tę ruderę po pożarze i natychmiast, jeszcze na ulicy wydał mi dyspozycje dotyczące lokatorów. Trzy rodziny zostały bez dachu nad głową.

- Burmistrz lubi spacerować po mieście i zaglądać w każdy kąt - zgodziła się Stefania. - Sama go już parę razy widziałam.

- Magistraccy urzędnicy mniej lubią te jego spacerki, bo zawsze coś wypatrzy i dokłada im roboty. To prawdziwe szczęście, że właśnie taki ojciec miasta nam się trafił - mówiła z zapalem Ola.

- To mi jeszcze powiedz, co ma burmistrz do wieczoru panińskiego Marty - spytała Jadzia.

Ola nie wydawała się zbita z tropu.

- Marta z Wiktorem zostają w Tucholi, więc nie jest im obojętne, co się w mieście zmienia na lepsze - wyjaśniła. -

Kanalizacja, światło, nowe bruki na ulicach, nowe zieleńce, to dotyczy nas wszystkich.

- Wiem, ale my dzisiaj nie przyszedliśmy na sejmik, tylko na wieczór paniński.

Panny zaczęły się śmiać, bo trudno było odmówić Jadzi racji. Marta zamachała rękami, żeby nie chichotały zbyt głośno. Rodzicom taki nagły wybuch radości mógł się nie spodobać. Wieczór paniński, jak każde pożegnanie, powinien być dostojny i raczej smutny. Marta dziś jeszcze była jedną z grona niewinnych panienek, a jutro, dokładniej zaś pojutrze, miała się stać prawdziwą mężatką. W dorosłości nic zabawnego nie było, tak przynajmniej twierdzili ci, którzy jej zakosztowali. Marta wcale na smutną nie wyglądała. Biła od niej energia i radość.

- Myślałaś ty już o nocy poślubnej? - spytała Helga. Spojrzały na siebie, a Marta lekko się zarumieniła. Nawet jeżeli myślała, to w żadnym wypadku nie mogła o tym opowiadać przyjaciółkom. Temat był mocno wstydlivy i raczej nie nadawał się do poruszania w gronie panien. Jedna Helga nie wydawała się ani trochę speszona.

- Czy ja zadałam niewłaściwe pytanie? - zdziwiła się całkiem szczerze. - Przecież pierwszym krokiem do dorosłości będzie utrata dziewictwa. Patrzycie tak, jakbyście o tym nie wiedziały.

- Wiemy - pośpiesznie zapewniła Ola. - Tylko w naszej kulturze nie mówi się o tym publicznie.

- Co to za kultura, co zabrania mówić o całkiem naturalnych sprawach? Ślub to przysięga, ale od przysięgi żadna panna nie staje się kobietą. To, co najważniejsze, zachodzi w łóżku, w sypialni.

- Masz rację - wpadła jej w słowo Stefania. - Jednak my, Polacy, nie wpuszczamy do sypialni obcych. Dobrze jest mieć jakieś miejsce tylko dla siebie i u nas jest to łóżko.

- W łóżku najwyżej możesz podjąć przyjaciółkę herbatą - mruknęła Jadzia i znowu Marta musiała im dawać znaki, żeby nie śmiały się zbyt głośno.

Po wyjściu Helgi Ola powiedziała coś, co bardzo poruszyło Jadzię, a pewnie i pozostałe panny też.

- Ona miała sporo racji, tylko zaczęła tak jakoś niezręcznie i trudno mi było tę rację jej przyznać. Jesteśmy społeczeństwem o wiele bardziej zakłamanym i pruderyjnym niż choćby Niemcy. I to się nie zmieni, dopóki uświadamianiem kobiet będą się zajmować duchowni. Oni wszystko nazwą grzechem, bo to najwygodniej.

- Ty, katoliczka mówisz takie rzeczy? - zdziwiła się Marta. - Grzech jest grzechem.

- Dobrze mówi! - Jadzia całkiem nieoczekiwanie poparła Olę. - Przypomnij sobie, grzechotka, czego nas nauczały siostry na pensji. Potulności, pokory, poddania się losowi i woli męża. Herr und Gebieter (Pan i władca (niem.)) i jego uległa służka. Żadnych praw, same obowiązki. Wszystkie się przeciwko temu buntowałyśmy, nie pamiętasz?

- Ja chyba się nie buntowałam - zamyśliła się Marta. Jadzia i Stefania spojrzały na siebie i tylko pokiwały głowami.

Po ślubie Marty i Wiktora już o niczym innym się nie mówiło, tylko o balu maskowym. Jadzia była spokojna. Razem z panią Bertą wymyśliły sielankowy strój pasterki i suknia wisiała już w szafie. Ola śmiała się, że najchętniej przebrałaby się za Joannę d'Arc, gdyby tylko wpuszczono ją w pantalonach do sali. Nie zaryzykowała jednak i na balu pojawiła się jako Cyganka, w falbaniastej spódnicy, czerwonej bluzce i z kolczykami w uszach. Stefania zdobyła gdzieś czarną, koronkową mantylę, we włosy wpięła wysoki grzebień i udawała Hiszpankę. Marta, zajęta przygotowaniami do ślubu, niewiele miała czasu na wymyślanie kostiumu, poprzestała więc na długiej sukni i maseczce kota. Helga

wystąpiła w bawarskim stroju ludowym i po raz pierwszy wyglądała interesująco. Całe to barwne, międzynarodowe towarzystwo obsiadło jeden stół. Panowie nie wykazali nawet połowy tej inwencji, co ich partnerki. Wszystko, na co się zdobyli, to czerwone nosy na gumce i śmieszne kapelusiki. Janek, który na balu towarzyszył Jadzi, przyczepił sobie dodatkowo zajęcze uszy. Rzucił je w kął już na początku zabawy, bo towarzystwo zaczęło żartować z Jadzi, że pogubiła baranki i będzie pasła zajaca. Nie wyglądała na zbyt zadowoloną z tych żartów.

- Chcę wam przypomnieć, że dwudziestego dziewiątego stycznia obchodzimy dziesiątą rocznicę wyzwolenia - powiedziała Ola. - Po wiecu przed magistratem będzie uroczysta msza w kościele. Powinniśmy pójść wszyscy, bo to w końcu nasze polskie święto.

- Wiecie, że ja doskonale pamiętam dzień wyzwolenia - odezwał się Anton. - Pognało nas z Leonem na miasto. Na rynku tłum się kłębił, wikary Łaski tak pięknie przemawiał, że nawet mężczyźni płakali. Próbowałem zapamiętać, co mówił, ale chyba mi się nie udało. Same obrazy zostały w głowie, słów niewiele.

Orkiestra zaczęła grać, a im najwyraźniej zebrało się na wspominki. W takich chwilach Jadzia szczególnie nie lubiła Oli, bo to ona najczęściej rzucała wielkie tematy, których potem nie miał kto przerwać.

Poczuła, że ktoś dotyka jej ramienia.

- Zatańczymy? - spytał Karl.

Poszła z nim na środek sali i tak była zła, że nie zaprotestowała, kiedy przycisnął ją zbyt mocno. Złościła się na Olę, jednak po chwili na niego też fuknęła.

- Dusisz mnie, przestań!

- Tango to bliskość ciała.

- Nie taka, żeby tamowała oddech. Ciekawe, kto cię uczył tańczyć?

- Mieliśmy z Antonem i Aleksym najlepsze nauczycielki, jakie można sobie wyobrazić - zaśmiał się głośno. - Anton ci nie mówił?

- Nie, ale ja poważnie wątpię w ich umiejętności.

- To nie wątp: Lulu, Molli i słodka Kate. Urocze i bardzo zdolne. Bardzo, możesz mi wierzyć.

Próbowała wzruszyć ramionami i nie mogła, tak mocno ją trzymał. Z ulgą wróciła na miejsce. Potem, do końca balu, tak lawirowała, żeby tylko nie tańczyć z Karlem. Jeśli nikt jej nie prosił, pierwsza ciągnęła Janka na środek sali.

Na sporą niespodziankę zapowiadał się karnawałowy wieczorek u Helgi. Po raz pierwszy całe towarzystwo miało przekroczyć progi willi Rothów. Wcześniej bywał tam jedynie Karl, co zresztą dało się zauważyć po wielkiej serdeczności, z jaką powitała go mama Rothowa. Na miejscu okazało się, że zamiast tańców gospodarze przewidzieli sutą kolację. Wszystkie dotychczasowe wieczorki świetnie obywaty się bez poczęstunku. Jakieś napoje, jakieś owoce i na tym koniec. Nie chodziło przecież o jedzenie, tylko o zabawę.

Do Rothów przyszli całą grupą i od razu zostali zaproszeni do jadalni. Wielki stół uginał się od najrozmaitszych potraw.

- Czy ja dobrze widzę, czy to jest muszla klozetowa? - spytała szeptem Jadzia.

- Pojemnik na musztardę w kształcie sedesu - odszepnęła Stefania. - To takie niemieckie poczucie humoru.

- A krowa?

- Pojemnik na kielbaski. Uniesiesz ogon, wyskakuje gorąca parówka.

Jadzia zakrztusiła się ze śmiechu. Wcale nie chciała się śmiać i gdyby Stefania zachowała powagę, może udałoby się uniknąć towarzyskiego nietaktu. A tak, zaczęły chichotać

obie. Nie mogły się powstrzymać nawet wtedy, kiedy mama Rothowa wskazała im miejsca przy stole. Patrzyła przy tym bardzo nieprzychylnie.

- Jesteście niepoprawne! - odezwała się wesoło Ola. - Wytlumaczę państwu, z czego one tak się śmieją. Po drodze opowiedziałam im historyjkę zasłyszaną dzisiaj w redakcji „Głosu Tucholskiego”. Pan redaktor Lewandowski żalił się, że musiał wycofać pół nakładu gazety, bo nie zauważył prostego błędu. Było zdanie: „Tak, jak łóżko powinno być zasłane równo, tak...” coś tam. Chochlik w słowie „zasłane” zmienił „i” na „r” i sami państwo rozumieją, co wyszło.

Całe towarzystwo zaniosło się śmiechem, z wyjątkiem państwa Rothów. Oboje słabo znali język polski, nie wymawiali litery ł, więc dla nich dowcip był nieczytelny. Pomoc Oli, choć niewątpliwie szczerą, okazała się chybioną.

Wieczór nie był udany. Gospodarze pewnie doszli do takiego samego wniosku, bo nie ponowili zaproszenia.

- To prawda z tym chochlikiem w „Głosie”? - spytał Anton, kiedy już wyszli od Rothów.

- Prawda - roześmiała się Ola. - Tylko opowieść jest sprzed miesiąca. Przypomniałam ją sobie w ostatniej chwili, chociaż gospodarzy nie rozbroiłam, niestety.

- W każdym razie próbowałam ratować naszą skórę - westchnęła Stefania. - Współczuję Karlowi. Oni go już nie wypuszczą z rąk i utknie na całe życie w tym wielkim mieszkaniu, wśród jelenich łbów, makatek i sielskich obrazeczków.

- Nie znasz Karla. Jeżeli utknie, to tylko dlatego, że sam zechce, a wtedy nie ma co go żałować - powiedział Wiktor. - Poza tym Helga to miła i dobra panienska. Ja bym raczej powiedział, że to jej szkoda dla Karla.

Nikt nie oponował, bo zdążyli już polubić Helgę. Czasem może bywała zbyt bezpośrednia, co jednak nikomu nie

przeszkadzało. Jadzia też bywała bezpośrednia, zdążyli więc przywyknąć.

Następną, po gramofonie, atrakcją w domu Franciszkostwa Jaskólskich był detefon. Pierwsza wypatrzyła go Jadzia. Nadawała na pocztę list do Józefa i rzuciła jej się w oczy wielka reklama: „Cała Polska ma detefon”. Pod reklamą stała niewielka, czarna skrzyneczka. Początkowo myślała, że to nowy aparat do odtwarzania płyt. Urzędnik w okienku wyjaśnił jej, że to coś o wiele bardziej uniwersalnego, co pozwala słuchać nie tylko muzyki. Wróciła do domu i zaczęła opowiadać o radiu, a z każdym słowem ekscytowała się coraz bardziej. Nawet cena nie wydawała się zbyt wygórowana, jedynie trzydzieści trzy złote. Ojciec lubił iść z duchem czasu, trochę też lubił się chwalić wśród znajomych, więc obiecał się zastanowić.

- Bo widzisz, córka - powiedział - ja tobie radio mogę kupić, jeżeli tak ci na nim zależy, chciałbym jednak, żebyś i ty dla mnie coś zrobiła.

- Wszystko, co ojciec każe - powiedziała bez namysłu, jednak w złą godzinę.

- O Karlu rozmawialiśmy kiedyś, pamiętasz?

Akurat o Karlu wołała nie pamiętać. Kiwnęła głową, że tak, że owszem, i serce jej zatrzepotało. Nie za mocno jednak, bo odkąd Helga zajęła się Karlem, Jadzia odzyskała spokój. Helga była jej jedynym wybawieniem, ostatnim argumentem, chwilowo trzymanym w tajemnicy. Widocznie ojciec jeszcze nie wiedział tego, o czym szeptało całe młodzieżowe towarzystwo: Karl lada dzień miał prosić Rothów o rękę ich córki. Bezpieczniej było poczekać, aż się oświadczy.

Przez wiele lat święta w domu Franciszkostwa obchodziły się bez Gwiazdora. Odkąd jednak pojawiły się wnuki, siłą rzeczy musiał przyjść i Gwiazdor. Nie było potrzeby umawiać się z obcymi, jeżeli w domu mieszkało trzech dorosłych

mężczyzn. Leon nie nadawał się do grania jakiejkolwiek roli, był zbyt mrukliwy i poważny. Rodzinny sejmik wybrał Antona. Wszedł więc Anton do bawialni, w baranicy na głowie, w pożyczonym kozuchu, z twarzą umalowaną sadzami, i zaczął podmęczać bratanków. Nie za mocno, bo mali jeszcze byli i bardzo przejęci. Wręczył im upominki i zwrócił się do Jadzi.

- A ty, panienko, grzeczna byłaś?

Staś z Mieciem zaczęli chichotać i trącać się łokciami, bo było powiedziane, że Gwiazdor tylko dzieci odwiedza, nie dorosłych. Patrzyli na ciocię w skupieniu, więc nie mogła się wykpić.

- Bardzo - odpowiedziała, niezbyt pewna, co jeszcze Anton wymyśli, bo do płatania psikusów dar miał ogromny.

- Co dobrego zrobiłaś dzisiaj?

- Kapustę z grochem - odrzekła, przygryzając usta.

- Pytam o dobre uczynki.

- Nie zrzuciłam ze schodów braciszka Antosia, chociaż miałam ochotę.

Gwiazdor wyraźnie się rozczulił, wyciągnął ręce, jakby chciał Jadzię uściskać. Wymazałby ją sadzami jak nic, gdyby nie znaczące chrząkanie ojca. Machnął ręką i wyjął z worka ostatni prezent. Jadzia nawet nie musiała otwierać, przez papier wyczuła, że trzyma w rękach ten sam przedmiot, który oglądała na poczcie. Nie ucałowała Gwiazdora, rzuciła się na szyję ojcu. Tylko dzieci nie bardzo zrozumiały, dlaczego właśnie tak.

Kryształkowe radio na słuchawki stało się odtąd wielką pasją Jadzi. Bardzo szybko zyskała w towarzystwie opinie osoby najlepiej poinformowanej. Znała nie tylko najnowsze doniesienia, lecz także najnowsze piosenki. Kiedy jechała do Torunia po płyty, wiedziała, o co prosić.

Na wiosnę Ola zaczęła biegać jak w ukropie. Można by pomyśleć, że to przygotowania do ślubu tak ją pochłaniały. Wcale nie. Ślub był zaplanowany na sierpień i nic mu nie zagrażało, w mieście natomiast wciąż przybywało biedaków, którym koniecznie trzeba było pomóc. Rok wcześniej już się wydawało, że wielki kryzys mija, a tu z jednego kryzysu urodził się drugi, jeszcze dotkliwszy. Kolejne załamanie gospodarcze znowu uderzało w najuboższych. Miasto nie miało pieniędzy na zapomogi. Wtedy to Ola poszła do burmistrza Saganowskiego z pomysłem na wielką loterię fantową. „Wciągniemy w to gazetę - mówiła - rozwiesimy w mieście plakaty i w czerwcu, kiedy Bractwo Kurkowe będzie miało swój festyn połączony z uroczystą elekcją, dołączymy do nich z loterią”. Pomysł zyskał przychylność władz miasta i Ola nie miała już na nic czasu. W „Głosie Tucholskim” pojawiły się ogłoszenia „o wielkiej zbiórce fantów na szczytny cel społeczny” i fanty zaczęły napływać, może nie tyle szeroką rzeką, ile całkiem przyzwoitą strugą. Nie wszystkie piękne i godne pożądaniami. Czasem ludzie pozbywali się z domów rzeczy, które sami powinni wyrzucić na śmietnik, bez pośrednictwa Oli i jej pomocników. Pęknięta popielniczka, gipsowy pies z utraconą głową, stołek bez nogi, sweter z wielką dziurą pod pachą... Takie fanty też się trafiały.

Ola, jeżeli zaczynała coś robić, oddawała się temu duszą i ciałem. Rzadko teraz znajdowała czas na spotkania koleżeńskie, jeżeli już wpadała do Jadzi czy Marty, to w określonym celu, żeby je wciągnąć do pomocy. Namawiała do haftu, do robótek na drutach, do uporządkowania szaf, gdzie w zakamarkach mogły się kryć różne różności. Nie musiała długo przekonywać Stefanii, Marty ani Helgi, ale Jadzia była najoporniejsza z całego grona. Nie miała w sobie duszy społecznika i nawet, jeżeli się do czegoś zapaliła, to na krótko. Brakowało jej wytrwałości i odrobiny konsekwencji. Lubiła

swoje spokojne, leniwie płynące dni z porannym wylegiwaniem się w łóżku, drobnymi, codziennymi zajęciami, z radiem i książką. Nie bardzo rozumiała entuzjazm Oli. I po co jej to, myślała z niechęcią. Narobi się, naszarpie i nic z tego nie będzie miała, z wyjątkiem pretensji Antona. Bardzo chciała, żeby Anton albo ojciec ukrócili wreszcie społecznikowskie zapędy Oli. Spotkało ją rozczarowanie. Brat, wiadomo, pantoflarz, ojciec natomiast nie widział nic niewłaściwego w loterii na rzecz ubogich. Mało tego, sam namawiał Jadzię do pomocy, bo - jak twierdził - opieka nad biedakami jest obowiązkiem pań z towarzystwa.

Jadzia nie paliła się do haftowania serwetek, przejrzała jednak swoje rzeczy i znalazła kilka drobiazgów nadających się na fanty: zielone szklane korale, których nie nosiła, jakąś apaszkę i mały portfelik. Popołudniami szła do magistratu zła, że znowu o osiemnastej nie wysłucha hejnału z Wieży Mariackiej. Uwielbiała głos trąbki. Hejnał był powtarzany jeszcze o dziesiątej wieczorem, niestety, wtedy już zwykle spała

Na czas przygotowań do loterii Ola dostała w magistrackim budynku ciasny pokoik, w którym gromadziła fanty. Tam się spotykała z pomocnicami, żeby dokładnie obejrzeć dary ponaklejać numerki, wypisać losy. Gawędziły przy tym, chichotały, czas mijał, ale i praca się posuwała.

- Patrzcie tylko, jaka piękna grapa (garnek (gwar.)) z kwiatuśkami nam się trafiła! - zawołała Stefania.

W ręku trzymała porcelanowy nocnik ozdobiony niebieskimi różyczkami. Całkiem nowy i bardzo elegancki. Postawiła nocnik na środku stołu.

- Oszalałaś! - roześmiała się Marta. - Ktoś wejdzie i pomyśli, że to nasz.

Powiedziała w dobrym albo złym momencie, bo drzwi się otworzyły i do pokoju zajął burmistrz Saganowski. Rzucił okiem na fanty, pochwalił panie za wzorową pracę i wyszedł.

- Ależ to musiał być kiedyś piękny mężczyzna! - wykrzyknęła Jadzia. - Widziałyście, jakie ma oczy!

- I akurat musiał te oczy w nocniku utopić - zauważyła Ola.

- A co ty myślisz, że burmistrz nocnika nie widział! - roześmiała się Marta.

Odpowiedź przyszła z progu.

- Zaręczam paniom, że widziałem!

Speszona zamilkła. Burmistrz uśmiechnął się i odwołał na bok Olę. Coś jej tam powiedział, życzył miłej pracy i wyszedł.

Jadzia była czerwona jak jej bluzka. Słyszał burmistrz o nocniku, mógł też usłyszeć nieco więcej zachwyty na swój temat. Gdyby koleżanki jej nie przerwały, z całą pewnością dodałaby, że tak właśnie wyobraża sobie bohaterów romantycznych: wysokie czoło, marzycielskie oczy, jasne wąsy. Oczywiście użyłaby języka Wandy Kordonówny i palnęła jak nic, że burmistrz przypomina podstarzałego reumatyka. Dla Jadzi granica starości przesuwiała się wraz z latami. Teraz na pewno nie powiedziałaby, jak kiedyś o Nastce, że osiemnastolatka jest staruszką, i nawet trzydziestoletni mężczyzna wydawał się jej całkiem młody, burmistrz jednak przekroczył pewnie pięćdziesiątkę. Jak to nigdy nie można za dużo gadać, pomyślała z ulgą, szczęśliwa, że nie stała się bohaterką towarzyskiego nietaktu na ogólnomiasteczkową skalę.

Uroczyste elekcje Króla Kurkowego odbywały się w Boże Ciało. Po mszy i procesji członkowie bractwa, wystrojeni w mundury, zwartą grupą szli prosto na strzelnicę: Latzke, Pawelski, Przytarski, Strzelecki, Świerczyński, sami najlepsi z najlepszych. Za nimi podążał tłum żądny uciech. Orkiestra

sadowiła się na podwyższeniu, kramarze otwierali stragany z oranżadą, obwarzankami i mnóstwem innych rzeczy, zaczynał się wesoły festyn towarzyszący zawodom. W tym roku wielką atrakcją, reklamowaną od kilku miesięcy, miała być loteria fantowa. Do sprzedaży losów Ola wynalazła dziesięć panienek. Chodziły dwójkami, jedna trzymała woreczek z losami, druga puszkę na pieniądze. Jadzia była w parze z Helgą. W tym czasie Marta ze Stefanią strzegły fantów, a Ola czuwała nad całością.

Ludzie chętnie kupowali losy, chociaż dla niektórych złotówka to był majątek. Franciszek Jaskólski poprosił o trzy losy i wrzucił do puszek dziesięć złotych. Podobnie zrobił ojciec Helgi. Skąpstwem nie zgrzeszył też Fritz Kornmahler. Przy okazji pogłodził Jadzię po policzku, jakimś takim dziwnie ojcowskim gestem. Uśmiechnęła się, bo bardzo lubiła pana Fritza, o wiele bardziej niż jego młodszego syna.

W tym czasie na strzelnicy stanął piękny, blaszany kogut na wysokiej żerdzi. W czasie zwyczajnych ćwiczeń zawodnicy mierzyli do tarcz, teraz musieli ustrzelić kurka, który symbolizował czujność i gotowość do walki. Stali w grupie i pozornie wydawało się, że żartują i rozmawiają normalnie. Co chwila jednak któryś z nich podnosił oczy na ptaka, mierzył odległość, obliczał swoje szanse. Marzeniem wszystkich było trafienie w samą pierś. Ten, kto trafił, sięgał po buławę należną Królowi Kurkowemu. Przez cały rok chodził w glorii i sławie.

Doping ze strony tłumu nie wszystkim pomagał. Franciszek Jaskólski jeszcze rano odgrażał się, że na pewno zwycięży, lecz hałas wyraźnie go rozpraszał. Marzył o tytułach i zaszczytach, na wydatki nie zwracał uwagi. Król stawiał obiad wszystkim zawodnikom. I obowiązkowo też piwo. Franciszek niczego tak nie pragnął, jak królewskiej uczy, której byłby fundatorem.

Jadzia z Helgą podeszły bliżej strzelnicy, żeby popatrzeć na zmagania ojców.

- Wczoraj zaręczyłam się z Karlem - powiedziała Helga i wyciągnęła przed siebie rękę, na której pobłyskiwał niewielki pierścionek z czerwonym oczkiem. - Słyszałam, że czerwień jest kolorem miłości, jeżeli tak, to nie wiem, dlaczego Karl wybrał rubinowe oczko.

- Na znak miłości, jakby inaczej? - zdziwiła się Jadzia. - Poprosił cię o rękę, to chyba cię kocha.

- Chyba jednak nie.

- Dałaś mu kosza? - spytała Jadzia z lekkim przestraszeniem.

- Nie, bo pierścionek mi się spodobał - roześmiała się Helga. Szybko jednak spoważniała. - Wy, Polacy, lubicie marzyć i tracie głowę z byle powodu. Ja jestem Niemką, patrzę na życie bardzo racjonalnie. Chcę wyjść za mąż i mieć dzieci. Dopiero dzieci nadadzą mojemu życiu sens. Mąż właściwie nie jest mi do niczego potrzebny, z wyjątkiem zapłodnienia... O, przepraszam, zapomniałam, że wy takich słów nie używacie. W każdym razie zapłodnienie w małżeńskim łóżu na pewno nie jest grzechem. Chyba się nie zaczerwieniłaś?

- Nie. Rozumiem, co do mnie mówisz.

- Lubię cię, bo nie jesteś taka egzaltowana, jak Marta. Chociaż Martę też bardzo lubię, tylko drażni mnie to jej bujanie w obłokach. Podobno na dzień dobry mówi Wiktorowi wiersz. Ja bym mu najpierw dała śniadanie. Czy ty lubisz Karla?

Przeskok z Marty na Karla był zbyt gwałtowny, by Jadzia mogła coś sensownego odpowiedzieć.

- Znam go od dziecka, ale czy lubię? Raczej jest mi zupełnie obojętny.

- Za to ty nie jesteś mu obojętna.

- Skąd możesz wiedzieć? Tego ci chyba nie mówił.

- Staremu Kornmahlerowi też nie jesteś obojętna. Powiedział to wyraźnie w czasie zaręczyn.

- Co takiego? - wystraszyła się Jadzia.

Musiały przerwać rozmowę. Tłum zaczął wiwatować na cześć nowego króla. Podbiegły i one do zawodników, bo tak się rozgadały, że straciły z oczu strzelnicę.

Nie udało się Franciszkowi zdobyć najwyższego trofeum. Odstrzelił kurkowi jedynie głowę, za co przysługiwały medal i niższa nagroda. Królem został Rudolf Strzelecki, mistrz piekarski.

Przy stoisku z fantami wciąż było tłoczno. Wreszcie Jadzia też się dopchała, ze swoim numerkiem sto piętnaście.

- Nocne naczynie dla panny Jaskólskiej - powiedziała Stefania, stawiając na stole porcelanowe cudo w niebieskie różyczki.

- Przecież nie będę z tym szła przez miasto - fuknęła Jadzia. - Co sobie ludzie pomyślą!

- Że masz rozwolnienie - szepnęła jej do ucha Ola.

Owinęły papierem krępujący prezent i Jadzia już nie musiała się wstydić. Wracała z rodzicami. Dosłownie w ostatniej chwili udało jej się zatrzymać Helgę.

- Nie skończyłyśmy rozmowy - szepnęła. - Co powiedział Fritz Kornmahler na twoich zaręczynach?

Helga uśmiechnęła się posepnie.

- Że zawsze myślał o połączeniu swojej rodziny z waszą.

- To możliwe - przyznała Jadzia z wyraźną ulgą.

- A nie chcesz wiedzieć, co mu odpowiedział Karl? Powiedział, że Polki go nie interesują. Szuka dobrej, gospodarnej Niemki. Zawiedzie się na mnie, mówię ci, bardzo się rozczaruje.

- Za to we mnie od dzisiaj masz przyjaciółkę - zapewniła ją Jadzia.

Poprawiła kłopotliwe zawiniątko i pobiegła szukać rodziców. W domu postawiła nocnik na dnie szafy, nie przypuszczając nawet, jakie kiedyś odda jej usługi.

Loteria przyniosła wielki zysk: całe sześćset pięćdziesiąt złotych. W morzu potrzeb była to zaledwie kropla, ale jakże znacząca.

Po ślubie Anton z Ołą wynieśli się z domu i wynajęli mieszkanie przy Rycerskiej. Ładne trzy pokoje z kuchnią. Anton pracował teraz w wielkim sklepie Maćkowiaka i przymierzał się do otworzenia własnego. Z domu dostał dwadzieścia tysięcy na zagospodarowanie, Ola dostała od rodziców pięć, a trochę pieniędzy zdołała odłożyć. Przyszłość Antonostwa Jaskólskich nie wyglądała najgorzej. W październiku Stefania poślubiła Alojzego. Z całego towarzystwa tylko Jadzia i Janek pozostali wolni, reszta to były poważne małżeństwa lub, jak w wypadku Helgi i Karła, narzeczeństwa. Franciszek Jaskólski zaczynał się niepokoić o los jedynaczki. Jadzia niedługo miała skończyć dwadzieścia pięć lat i wciąż była sama. Popatrywał na nią smętnie, szarpał wąsy, jednak od popatrywania i szarpania kawalerów nie przybywało.

Jadzia przeciwnie, wcale się nie martwiła. Kiedyś tam, we wczesnej młodości, bodaj jeszcze na pensji, wymyśliła sobie, że pozna wspaniałego mężczyznę i nadal była przekonana, że tak się stanie. W życiu zawsze dostawała to, co chciała. Czy był jakiś powód, choćby jeden najmniejszy, żeby los ją skrzywdził w tak ważnej sprawie, jak zamążpójście? Dała sobie czas do skończenia trzydziestki. Bez większego żalu odrzuciła oświadczyzny Janka. Lubiała go, jednak na samym lubieniu nie chciała budować małżeńskiego szczęścia. Powiedział bardzo ładnie, jak na piekarza przystało, że przy nim nigdy głodu nie zazna. Ale Jadzia potrzebowała do życia nie tylko chleba. Była bardzo drogą córeczką ojca. Naprawdę

drogą. Czuła się młoda, atrakcyjna i korzystała z życia. Modne suknie, najcieńsze pończochy z jedwabiu lub perlonu, fryzury prosto spod niezawodnej ręki Franciszka Talaśki, rower... Rower to był najnowszy, wielki szal, który ogarnął nie tylko Jadzię.

Pierwsza zaczęła jeździć rowerem Ola. Musiała docierać na przedmieścia, pokonywać nieraz całe kilometry i rower był dla niej wybawieniem. Jadzia spróbowała raz i stwierdziła, że tak jak amazonka do konia, tak ona jest stworzona do roweru. Błyskawicznie opanowała prostą sztukę wsiadania, jazdy i hamowania. Przewróciła się wszystkiego ze trzy razy. Ojciec trochę kręcił nosem, bo nie był ostatecznie przekonany, czy jest to sport odpowiedni dla młodych panien. Ola mogła sobie jeździć, jeżeli jej Anton pozwalał, co innego Jadzia. W końcu jednak uległ. Wkrótce rowery miało całe towarzystwo. Wtedy też modne się stały niedzielne majówki za miastem. Jechali całą gromadą, w koszach wieźli prowiant i odpoczywali przez cały dzień „na ukwieconym łonie natury”, jak to ładnie określała Marta. Ola przestała jeździć dopiero w ciąży. Potem posypały się dzieci u Marty i Stefanii. Na ślubie Helgi i Karla byli więc sami mężczyźni z towarzystwa i Jadzia.

Anton wreszcie dojrzał do opuszczenia sklepu Maćkowiaka i zakładał swój własny. Kupił lokal na Rycerskiej, blisko domu, zaczął remont i wszelkie przygotowania.

- Ale nowina! - powiedział którejś niedzieli przy rodzinnym obiedzie. - Maćkowiak przyjmuje na moje miejsce Aleksa Jastańskiego. Lepiej nie mógł trafić.

- Jastański? - zastanowiła się Jadzia. - Chyba mi kiedyś o nim opowiadałeś?

- Najlepszy kolega z bursy. On, Karl i ja, to była mocna grupa. Wszędzie razem, na lekcjach i po lekcjach.

- Szczególnie chyba na lekcjach tańca, co?

Anton zamrugał oczami jak człowiek niezbyt zorientowany.

- Jakiego tańca?

- Karl mówił o tangu u jakiejś Lulu... Nie wiem, może coś poplątałam - wycofała się szybko.

Nie wiedziała, co złego mogło się kryć za towarzyskimi potańcówkami, zastanowiła ją tylko niepewna mina Antona. A kiedy jeszcze Ola oderwała się od karmienia dziecka i zaczęła patrzeć na męża, Jadzia zrozumiała, że z jakichś powodów poruszyła niewygodny dla brata temat

- Żartowałam - zapewniła. - Karl fatalnie tańczy, kiedyś mu dogryzłam, on się odgryzł, ale niezbyt mądrze, jak to Karl. Nie ma o czym mówić.

Niezręczność została zażegnana. Wrócili do przerwanej rozmowy.

W lutym wypadają imieniny Oli. W rodzinie Jaskólskich obchodziło się raczej urodziny, i to niezbyt hucznie, Ola przyzwyczajona była do imienin i ten zwyczaj wprowadziła w swoim domu. Skrzyknęła towarzystwo, które rzadziej się teraz spotykało, obarczone dziećmi i rodzinnymi obowiązkami. „Nic wielkiego - mówiła - popołudniowa herbata z ciastem od Latzkego. Posiedzimy, porozmawiamy”.

Przyszli wszyscy jednocześnie, całą dużą grupą, tak jak przywykli chodzić wszędzie. Jadalnia z miejsca wypełniła się gwarem. Zajęci sobą, prawie nie zauważyli, kiedy Anton wprowadził do pokoju jeszcze jednego gościa.

- Panowie, poznajecie? - spytał.

Podniósł się niesamowity krzyk. Karl, Alojzy i Wiktor rzucili się na gościa z takim entuzjazmem, jakby z nadmiernej tęsknoty chcieli go rozszarpać na kawałki.

W ten oto sposób dołączył do towarzystwa Aleksy Jastański.

Pensja (4)

Jadwiga wyglądała na pogodzoną z losem. Mieszkanie na pensji było koniecznością. Ojciec kazał wytrzymać i musiała wytrzymać, nie miała innego wyjścia. Jeżeli na coś czekała, to tylko na odwiedziny Klary. Miała jej mnóstwo do opowiedzenia. Z nikim chyba równie szczerze nigdy nie rozmawiała. Tak przynajmniej mówiła Leonowi.

- Zapraszam panią na spacer - odezwał się Paweł, podstawiając fotelik.

Pospacerowali chwilę przed domem, wśród drzew.

- Czy teraz jest adwent? - spytała.

- Wiosną chyba nie ma adwentu. Dlaczego pytasz?

- Bo nas głodzą i myślałam, że to post. Mógłbyś mi jutro kupić dobrej, pachnącej kiełbasy od Góralewskiego? Ma sklep przy Rycerskiej, obok Antona. Wiesz przecież, gdzie?!

- Jak poszukam, to znajdę.

- I możesz mi przynieść domowy półgęsek z Kartoffelnsalat (sałatka ziemniaczana (niem.)). Zapamiętasz?

Paweł uśmiechnął się na te życzenia. Nieraz się zastanawiał, ile jest sensu w męczeniu dietą stuletniej staruszki. Żołądek miała w miarę zdrowy, a skleroza już chyba nie mogła jej wiele zaszkodzić.

Wracając ze spaceru, zajrzeli do Klary. Kobięcina z każdym dniem była coraz słabsza. Nie poznała już koleżanki.

- Zabrał ancug i tylko pindel mi ostawił - mruzczała. Jadwiga uparła się, że chce chwilę z nią posiedzieć.

- Leż sobie, Klara, leż, nie wstawaj! Szkoda, że nigdy nie poznałaś Aleksego. Kuźmińska mi mówiła, że tobie też się trafił dobry narzeczony. Cieszy mnie to, chociaż myślę, że Aleksemu nie dorównywał. Ja wokół siebie widziałam samych dobrych narzeczonych i mężów. Weź choćby Józefa, Antona, Aleksego i Wiktora. Wszyscy byli dobrzy, jednak Aleksy najlepszy.

Cudny sen

Anton przedstawił nowego gościa paniom. Jadzia siedziała na końcu. Wyciągnęła rękę, napotkała uważne spojrzenie wielkich, niebieskich oczu i serce w niej zamarło. Poczowała, że powietrze wokół drga, jakby prąd przez nie przepłynął. Pomyślała: Nie wiedziałam, że szczęście może mieć kolor niebieski. Nic więcej, tylko ta jedna myśl przeleciała jej przez głowę, chociaż nie zamienili słowa. Aleksy usiadł obok niej i tak już zostało do końca przyjęcia. Rozmawiali niewiele, bo się nie dało. Koledzy chcieli mieć Aleksego dla siebie. Zasypali go pytaniami, jakby na jednym spotkaniu próbowali odrobić kilkunastoletnie zaległości. Odpowiadał, że chce osiąść w Tucholi, że dotąd niewiele czasu poświęcał na pracę w sklepie, bo zajęty był w Poznaniu innymi sprawami.

- Jak cię znam, zaangażowałeś się w pracę Związku Obrony Kresów Zachodnich? - Wiktor nie wytrzymał.

- Panowie, wokół tyle uroczych pań, a wy o polityce? - roześmiał się Aleksy.

Wiktor nie tak łatwo dawał się sprowadzić z tematu, który go akurat nurtował.

- Aleks, tu sami swoi, nasze panie też są ciekawe nowinek. My z Alojzym przecież już od dawna w Związku. Powiedz chociaż, co myślisz o ubiegłorocznej decyzji, żeby Obronę Kresów przemianować na Polski Związek Zachodni? Różnie się o tym mówi tu u nas, na dołach.

- Z tego, co wiem, na górze też nie ma jednomyślności. Kresy szły ambitnie, miały swój program i trochę zaczęły być rządowi niewygodne. Rząd coś tam wynegocjował, zaczął się chwalić, że normalizacja stosunków polsko - niemieckich postępuje, a Kresy wychodziły z nowymi żądaniem. Polski Związek Zachodni jest podporządkowany Ministerstwu Spraw Zagranicznych i w tym zawiera się cała odpowiedź.

- To powiedz jeszcze o racjach Kresów...

- Ani myślę! - zawołał Aleksy. - Ja tu przyszedłem na imieniny, chcecie pogadać, to się kiedyś umówimy. Teraz dajcie mi popatrzeć na wasze piękne panie.

Nie dali mu popatrzeć. Zaczęli wspominać lata szkolne i zdominowali całe przyjęcie. Z imienin Oli zrobił się wieczorek kawalerski.

Aleksy wynajmował mieszkanie gdzieś w mieście, pracował u Maćkowiaka i rozglądał się za dobrym miejscem na własny sklep. Towarzystwo bardzo chętnie przygarnęło go pod swoje skrzydła, tyle że wspólne spotkania były coraz rzadsze. Aleksy chyba najlepiej czuł się z Antonem i najczęściej u niego przesiadywał, ale nie tak często, jakby sobie Jadzia życzyła. Wpadał raz, góra dwa razy w tygodniu, ona zaś rada by go widzieć codziennie. Im częściej rozmawiali, tym bardziej umacniała się w przekonaniu, że pierwsze wrażenie jej nie myliło. Latały między nimi jakieś prądy, nie mogło być inaczej. Jadzia rozkwitła, wypiękniała, aż ojciec zaczął na nią podejrzliwie spoglądać.

- Co ty, córka, taka radosna, jakby kawaler jaki się na horyzoncie pokazał? - zagadnął kiedyś.

- Jakby się pokazał, to co?

- Nic, tylko tak się dziwię, że go chowasz gdzieś po kątach, zamiast rodzicom przedstawić.

- Nie po kątach, proszę ojca. To przyjaciel naszego Antona i u Antona go poznałam.

- Co on za jeden, bo chyba nie nasz?

- Kupiec. Chce w Tucholi sklep założyć, wywodzi się z Cekcyna.

- Cekcyniorz? - Franciszek wydał pogardliwie usta. - Tam sama biedota mieszka. Ty, córka, pamiętaj, że żaden biedak ciebie nie utrzyma. Ty i bogatego zrujnujesz - roześmiał się zadowolony z żartu.

Matka nie wytrzymała tego gadania.

- Co do okna podejść - wtrąciła - to żadnych bogaczy w karetach pod naszym domem nie widzę. Ty najpierw poznaj człowieka, dopiero potem oceniaj.

- Czy ja powiedziałem, że nie chcę go poznać? - zdziwił się Franciszek. - Mówię tylko, jak jest. Zaproś go, córka, do domu, zobaczymy, co to za jeden. Jak ma pieniądze na sklep, to może nie taki z niego ostatni nędzarz.

Zaprościć Aleksego do domu wcale nie było trudno. Jadzia spotkała go u Antona raptem kilka razy i dobrze widziała, jak się rozjaśniał na jej widok. Siadał obok, nigdy za blisko, w czasie rozmowy liczył się z jej zdaniem, mało tego, każdym słowem, każdym gestem dawał do zrozumienia, że widzi w niej kobietę wyjątkową. Owszem, ona też się starała, żeby wyglądać wyjątkowo, rozmawiać mądrze i umiejętnie podsycać jego zainteresowanie. Podobał jej się bardzo. Zaraz też sobie przypominała recytacje Marysi Sobótkówny na pensji. Ledwie Marysia zaczęła mówić wiersz o miłości, Jadzia natychmiast widziała obok siebie przystojnego, szczupłego blondyna. Twarz miał zamazaną, ale poza tym był bardzo podobny do Aleksego. Można powiedzieć: brat bliźniak. I teraz miała tego wymarzonego obok siebie. Na wielkie słowa i deklaracje było stanowczo za wcześnie. Jeżeli coś z ich spotkania miało wyniknąć, nowy znajomy bezwzględnie powinien zostać przedstawiony rodzicom. I tu zaczynały się wątpliwości.

Jadzia czuła przez skórę, że ojciec z Aleksym nie przypadną sobie do gustu. Dopóki będą dyskutować o interesach, może nawet znajdą wspólny język, pod warunkiem że Aleksy zechce mówić po niemiecku. Zrozumienie polszczyzny Franciszka stanowiło nie lada sztukę. Gdyby jednak rozmowa zeszała na politykę, to po polsku czy po niemiecku, katastrofa wydawała się pewna. Ojciec bardziej cenił Niemców niż Polaków i wcale się z tym nie krył. Aleksy

był przeczulony na punkcie patriotyzmu i polskości. Spotkanie przedstawicieli tak skrajnych poglądów nie mogło się skończyć braterskim uściskiem dłoni, zwłaszcza że Franciszek zawsze miał rację, Aleksy rzadko się mylił, a obydwaj byli uparci. Kto mógł Jadzi pomóc, jeżeli nie Anton.

- Chciałabym, żebyś razem z Olą był przy pierwszej wizycie Aleksa u nas w domu - powiedziała.

- Boisz się, że dojdzie do rzezi niewiniątek? - brat pokiwał głową.

Ola nie była aż taką pesymistką.

- Nie przesadzajcie! Jeżeli ojciec mnie zaakceptował, to i Aleksemu głowy nie urwie. Ja też nie zawsze się z nim zgadzam, forsuję swoje racje, do tego pracuję zawodowo i nie umiem upiec ciasta. Aleksemu trudno cokolwiek zarzucić. Uprzedzimy go, żeby się nie wychylał ze swoim zdaniem i niech staruszek nadal wierzy, że to on ma rację. Będzie dobrze, mówię wam.

- A jeżeli Aleksemu nie spodoba się u nas? - spytała z lękiem Jadzia.

Anton rozłożył ręce. Ola powtórzyła ten sam gest. Wszystko zależało od tego, jak bardzo Aleksemu spodobała się Jadzia i jak poważnie o niej myślał. Mówił do niej tak ładnie: „panno Jadko”. Nie „Jadziu”, „Jadwigo”, tylko „Jadko”, jak nikt dotąd. Gdyby miała osiemnaście lat, pewnie uważałaby, że to już miłość. Miała osiemnaście i jeszcze dziesięć. W tym wieku kobieta nie kieruje się wyłącznie uczuciem i fantazją, czasem jeszcze radzi się rozumowi. Rozum raz mówił jej tak, raz siak. Dopóki nie było wyraźnej deklaracji, nie miała podstaw do snucia planów na przyszłość. A nie mogło być poważnych deklaracji bez wprowadzenia Aleksego do domu. Koło się zamykało.

Aleksy miał przyjść w niedzielę na obiad razem z Olą, Antonem i małym Kaziem. Całkiem nieoczekiwanie w

południe zjawili się Józef z Cecylią. Jadzia wystraszyła się, że takie wielkie rodzinne spotkanie może przytłoczyć gościa. Po jednej stronie on, po drugiej cały klan Jaskólskich, który będzie patrzył i oceniał. Aleksy wprawdzie nie wyglądał na nieśmiałego i zagubionego, jednak w takiej sytuacji nawet najodważniejszy mógł stracić rezon.

Zasiedli do stołu. Ojciec jak zwykle na szczycie, by mieć całą rodzinę przed sobą, Aleksy między Jadzią i Cecylią. Franciszek prawie się nie odzywał, wydał usta na znak wielkiego niezadowolenia i niewiele jadł. Fuknął parę razy na wnuki, że krzywo siedzą, i dalej milczał. Wyraźnie mu się nie podobało, że Józef i Cecylia odnoszą się do gościa z dużą życzliwością, że rodzina mu nadskakuje i próbuje się przypodobać. Nawet Leon do niego zagadywał bez zwykłej sobie niechęci, Felicja dbała o talerz gościa bardziej niż o męzowski, a Jadzia jaśniała ze szczęścia. Wypadalo i Franciszkowi coś powiedzieć.

- Pan to pewno z Kongresowy, ja? - zagadnął, choć doskonale wiedział, skąd Aleksy pochodzi.

- Nie, z Cekcyna. Z Borów Tucholskich, że się tak wyrażę.

- Że z borów to możliwe, sądząc jednak po mowie, to ani Cekcyniorz, ani nasz.

- Tak, ja też z przyjemnością słucham, jak pan Aleksy mówi - powiedział Józef. - Piękna polszczyzna, pogratulować.

Trzeba było naprawdę dużej mądrości, żeby największy zarzut zamienić w zgrabny komplement.

Pierwsza wizyta dawała Aleksemu prawo do bywania w domu Jaskólskich oraz do towarzyszenia Jadzi na imprezach i spacerach. Chętnie zaczął z tego prawa korzystać, chociaż wolał spotkania poza domem niż w domu. Franciszek zbyt jawnie okazywał mu wyniosłą niechęć, by dobrze się czuł pod jego dachem.

- Nie wiem, nie rozumiem, dlaczego ojciec tak bardzo nie lubi Aleksego - skarżyła się Jadzia bratowej.

- Nawet nie próbuje tego ukryć - przyznała Ola. - Powiem ci, jak ja to widzę. Ojciec zrozumiał, że Aleksy jest tym mężczyzną, który zabierze mu z domu ukochaną córeczkę.

- Też coś! - prychnęła Jadzia. - Przecież odkąd wróciłam z pensji, chce mnie wydać za męża.

- Jakby chciał, to już dawno by cię wydał. Grymasiłaś, przebierałaś w kawalerach i on ci na to pozwalał. Różnica jest taka, że ty żadnego z tamtych nie chciałaś, a jak ci się wreszcie jeden spodobał, to ojciec go nie chce. Myślę, że do czasu. On, jaki jest, taki jest, ale rozsądku mu nie brak. Trochę wam krwi napsuje, ale na koniec da błogosławieństwo i za rok zacznie się przechwalać, że sam ci męża wybrał.

Jadzia musiała w duchu przyznać bratowej rację. Tak było. Ojciec nigdy nie miał do niej pretensji o to, że przestawała się spotykać z tym czy owym adoratorem. Raz tylko namawiał ją do zamążpójścia, jeden jedyny raz. Karłowi oddałby ją z błogosławieństwem. Dlaczego właśnie jemu? Może przez wieloletnią przyjaźń z Kornmahlerami, może z jakichś innych powodów, których nie ujawniał. Jadzia wolała się nie zastanawiać, jakie to mogły być powody. Karl jej nie interesował i nawet nie chciała o nim myśleć. Stokroć ciekawiej było zastanawiać się nad najbliższą przyszłością w towarzystwie Aleksego. Na zakończenie karnawału szykował się wielki bal kupców i musiała się przygotować.

Moda lat trzydziestych doceniła wreszcie kobiety, które z figury nie przypominały kijów do szczotek. Podkreślony biust, podkreślone biodra, koniec ze spłaszczaniem, bluzowaniem i luzowaniem. Jadzia wciąż miała znakomitą figurę i - dzięki ojcu - miała czym tę figurę okryć i podkreślić. Pięknie jej było w błękitach i chabrach. Razem z panią Bertą wybrały najmodniejszy, odrobinę ekstrawagancki fason z nierównym

dołem: przód i tył dłuższy, boki krótsze, tak żeby pokazać zgrabne nogi w cieniutkich perlonach ze szwem. Z przyjemnością zauważała, że Aleksy również przykładął dużą wagę do ubrań. Przede wszystkim, jako kupiec, świetnie znał się na materiałach i dla siebie kupował najlepsze. Zawsze czysty i odprasowany, wyglądał, jakby dopiero wyszedł od krawca. Żaden mężczyzna z ich towarzystwa nie mógł się z nim równać. Jeśli na przykład wierzyć było Stefanii, to jej Alojzy dobrze się czuł jedynie w portkach wypchanych na tyłku i kolanach. Zaprasowane kanty, sztywne gorsy czyniły go nieszczęśliwym. Anton lubił się stroić w czasach narzeczeńskich, kiedy biegał do Oli, a potem mu przeszło. Elegancki był również Karl, ale on ani trochę nie obchodził Jadzi.

Na bal kupców wybrali się w pięć par, czyli całe towarzystwo stawilo się w komplecie. Obowiązki obowiązkami, jednak wciąż jeszcze lubili się zabawić w swoim gronie.

Aleksy poprosił Jadzię do pierwszego wspólnego tańca. Prowadził pewnie, nie ścisnął jej ani nie podduszał. Pomyślała, że powinna mu o tym powiedzieć, bo mężczyźni, podobnie jak kobiety, chętnie słuchali komplementów.

- Wcale nie widać, żeby pan Aleksy też uczył się tańca u panny Lulu. Świetnie pan prowadzi.

Pytanie wyraźnie wprawiło go w osłupienie.

- Nie bardzo rozumiem, panno Jadko?

- Mówię o czasach, kiedy mieszkaliście w bursie.

- Kto pannie Jadce powiedział o tej... jakiejś Lulu?

- Karl bardzo chwalił ją i jej koleżanki. Sądząc jednak po umiejętnościach Karla, te panny niewiele umiały.

- Po jakich umiejętnościach Karla? - spytał z lekką paniką w głosie.

- Tanecznych, a jakich? Proszę mnie źle nie zrozumieć, ja się nie gorszę tym, że młodzi mężczyźni chcą... szukają... - zamilkła spłoszona, bo patrzył na nią z uwagą, na jaką z całą pewnością nie zasługiwała ocena tanecznych umiejętności Karla. - Że młodzi mężczyźni bywają w domach panien na wieczorkach tanecznych - dokończyła z ulgą, że wreszcie znalazła właściwe słowa.

- Nie, oczywiście, że nie ma w tym nic złego - przyznał i odrobinę mocniej przygarnął ją do siebie.

Odetchnęła z ulgą i odpowiedziała promiennym uśmiechem. Obiecała sobie, że już nigdy więcej nie wyskoczy z tą jakąś Lulu czy Bulu, bo ani Anton, ani teraz Aleksy nie wydawali się zainteresowani tymi wspomnieniami. Jeden Karl nie miał zahamowań, i kto wie, czy właśnie Karl nie odbił któremuś z nich panny. Do Karla było to podobne. Niewinna rozmowa na parkiecie musiała obudzić w Aleksym bardzo przykre wspomnienia. W przerwie między tańcami wyszedł z Karlem i dość długo ich nie było. Pewnie rozmawiali o czymś przykrym, bo Karl wrócił wyraźnie zły.

Gdyby ktoś, w tamtych czasach, powiedział Jadzi, że jest naiwna, pewnie by się bardzo zdziwiła. W każdym razie Aleksy nigdy jej tego nie powiedział.

Praca kupca miała jedną wadę: zostawiała niewiele wolnego czasu. W mieście sklepy zamykano o szóstej wieczorem. Aleksy i Anton mogli zaczynać życie towarzyskie dopiero po siódmej, bo przecież musieli coś zjeść, ogarnąć się i odpowiednio przygotować. Anton głównie siedział teraz w domu, pomagał Oli zajmować się Kaziem i maleńką Zosią. Żona nie chciała odejść z pracy w magistracie, on jej nie zmuszał i tak dzielili między siebie obowiązki. Do dzieci najęli nianię, wieczory zostawiali sobie, na życie rodzinne. Aleksy rzadziej teraz do nich wpadał. Ledwie się trochę rozejrzał w Tucholi, zaczął mieć jakieś swoje interesy. Często

zachodził do szewca Waleriana Gabrycha. Jadzia początkowo myślała, że w swoim sklepie zechce otworzyć stoisko z obuwem. Nie mówił ani tak, ani nie, natomiast chwalił pana Gabrycha za wielką, życiową mądrość. Nie wypytywała o szczegóły. O wiele prostsze wydawały jej się interesy z krawcem i kamienicznikiem Pawłem Pawelskim.

Teraz w centrum Tucholi były dwie liczące się restauracje: jedna Świerczyńskiego w hotelu Kościuszko, druga po dawnym Schwarzkopfie, odkupiona przez Pawelskiego. Nowy właściciel przede wszystkim kazał zdemontować witraże ze zniechęconymi gapami. Zmienił też wystrój lokalu i z piwiarni w stylu niemieckim zrobił całkiem przyjemną restaurację z kotarami i pluszami.

Aleksy lubił bywać u Pawelskiego i nawet ze dwa razy spotkał się z właścicielem, z którym zamierzał ubić interes. Pawelski miał obok jeszcze drugą kamienicę z dużym lokalem sklepowym na parterze i trzypokojowym mieszkaniem na piętrze. Dyskutowali o warunkach i cenach, a Jadzia piła herbatę i nie wtrącała się do rozmowy.

- Jak się państwu podoba nowy witraż? - spytał Pawelski.

- Zamówiłem go u toruńskiego artysty, bo na te pruskie gapy nikt w Tucholi patrzeć nie mógł.

- Piękny - przytaknął Aleksy. - Naprawdę piękny. To jest wizerunek świętej... - zawiesił głos, bo jeszcze nie był dokładnie zorientowany w tradycjach i przeszłości miasta.

- Świętej Małgorzaty, patronki Tucholi. W jednej ręce krzyż, w drugiej gołębek. W pradawnych czasach święta ustrzegła miasto przed zagładą. Kiedy już się wydawało, że obrońcom sił i amunicji brakuje, kiedy napastnik wdzierał się na mury i lada godzina miał je zdobyć, święta nakazała tucholanom chlebem we wroga ciskać. I to pomogło. Wróg się przestraszył i uciekł, słusznie rozumując, że tylko ktoś bardzo

potężny może się zdobyć na wyrzucanie chleba. Teraz pewnie taka sztuczka by się nie udała.

- Mój ojciec mówił, że teraz, w razie potrzeby, Bractwo Kurkowe będzie broniło miasta. Sam też się do obrony szykował - uśmiechnęła się Jadwiga.

- No tak - pokiwał głową Pawelski. - Tyle że Chińczycy na razie do nas się nie wybierają, a Niemców stary Jaskólski kwiatami by witał.

- Panie Pawelski! - przerwał ostro Aleksy.

- Tak, tak, przepraszam. Poniosło mnie. Przepraszam.

Wypieki na policzkach Jadzi świadczyły, jak bardzo poczuła się dotknięta. Spojrzała z wdzięcznością na Aleksego. Sama wielokrotnie się zastanawiała, czy jej ojciec nie błądzi, demonstrując sympatię dla Niemców. Kiedyś dla Klause, teraz dla Fritza, przy okazji też dla kilku innych. Rozgrzeszała go, bo potępiać nie miała za co. Dobierał sobie przyjaciół według swojego gustu, nikomu tym krzywdy nie wyrządzając. Piece stawiał jednakowo dobre, czy to u Polaków, czy u Niemców, nie kradł, nie oszukiwał. Myślała tak i siak, zawsze jednak wychodziło jej, że sympatie niemieckie są wyłącznie sprawą taty. On jej przyjaciółek nie dobierał, przynajmniej odkąd uznał, że jest dorosła.

Aleksy, jeżeli sam sobie nie przyrzadził czegoś do zjedzenia, to wieczorami najchętniej stołował się w restauracji Pawelskiego. Czasem Jadzia towarzyszyła mu w posiłkach, jednak po obiadach matki nie miała ochoty na następne. Kiedy już kelner sprzątnął talerze, rozmawiali przy herbacie, czasem przy kieliszku wina.

- No to mamy sklep i mamy mieszkanie - powiedział któregoś dnia Aleksy.

- Mamy? - zdziwiła się, bo oficjalnie byli tylko po imieniu, ale jeszcze nie po słowie.

- Jeżeli teraz powiesz, że nie jestem ci obojętny i że wyjdiesz za mnie, to tak. Wszystkie moje starania kręcą się wokół naszej wspólnej przyszłości, dlatego mówię, że mam cię. Kocham cię, Jadzia, i chciałbym, żebyś została moją żoną.

To była właśnie ta chwila, o której panny najczęściej marzą. Jadzia też o niej marzyła i wcale nie straciła głowy. Patrzyła Aleksemu prosto w oczy.

- Ja też cię kocham i wyjdę za ciebie.

Ucałował jej rękę i wsunął na palec pierścionek z szafirem.

- Chyba dobrze trafiłem z oczkiem? Zauważyłem, że najchętniej nosisz bławatne kolory.

- Jest piękny! - szepnęła.

Objął ją na moment, przytulił i dyskretnie pocałował. Całowałby dłużej, gdyby nie to, że siedzieli w restauracji i musiał mieć wzgląd na reputację najdroższej kobiety.

Jadzia, zarumieniona z wrażenia i szczęśliwa, zdjęła pierścionek z palca i podała Aleksemu. Spojrzał zaskoczony.

- Chcesz mnie za żonę czy nie? - spytała zdziwiona. - Jeżeli chcesz, to musisz poprosić rodziców o moją rękę. Jeżeli ja się zgodzę i oni się zgodzą, dopiero wtedy włożysz mi pierścionek na palec. Nie mogę przecież wrócić do domu i powiedzieć, że się zaręczyłam. To byłoby wbrew tradycji i zasadom posłuszeństwa.

- Oczywiście, że miałem zamiar powiadomić twoich rodziców! - wykrzyknął.

- Nie powiadomić, tylko poprosić o rękę ich córki. To zasadnicza różnica.

- Myślałem, że wy, kobiety nowoczesne...

- Ojciec jest tradycjonalistą. Zresztą ja też nie jestem przesadnie nowoczesna. Moja ulubiona nauczycielka na pensji powtarzała nam, że zamiast krzyczeć o równouprawnieniu,

powinniśmy pozwalać się rozpieszczać swoim mężom. To była bardzo dobra pensja prowadzona przez zakonnice.

- Nauczycielka też była zakonnica? - spytał zaskoczony.

- Nie. Była mądrą kobietą.

- Rozpieszczać mogę, ale w granicach zdrowego rozsądku i na głowę sobie wejść nie pozwolę - zastrzegł z powagą, choć oczy mu się śmiały.

Jeszcze raz ją przytulił, dopiero potem schował pierścionek.

Uroczyste oświadczyzny przypominały ciężką drogę przez wertepy. Franciszek Jaskólski uparł się, żeby niczego nie rozumieć. Nie dość, że zmusił kandydata na zięcia do mówienia po niemiecku, to jeszcze udawał głuchego, kazał sobie powtarzać po dwa razy jedno zdanie, co zakłócało rytm wypowiedzi i peszyło konkurenta. Aleksy przygotował sobie piękną mowę, w której dużo było o szacunku i uczuciach, ale też sporo o kwestiach majątkowych. Zaprezentował się jako zapobiegliwy mężczyzna, który nie będzie trzymał ukochanej żony w szopie gdzieś nad Głębockiem, tylko zapewni jej trzypokojowe mieszkanie w centrum miasta, do tego nad własnym sklepem o nazwie: Skład Bławatków i Towarów Krótkich. Franciszek wydymał usta, prychnął i nie wydawał się przekonany, czy jego córce nie zabraknie aby ptasiego mleka. Objawił też żywe zainteresowanie rodziną Aleksego i nie omieszkał zaznaczyć, że nie ceni zbyttnio Cekcyniorzy, całkiem jakby mieszkańcy Cekcyna obowiązkowo sroce spod ogona wyskakiwali. Nie miał racji nawet w ujęciu ogólnym. Wsie wokół Tucholi w większości rzeczywiście zamieszkiwała biedota zwana borowiakami, bo żyli głównie z borów, ze zbierania runa i szyszek. Mówiono o nich także szyszkarze albo śledzie pomorskie. Jednak trafiali się też bardziej majątni gospodarze i tych nazywano gburami. Należał do nich ojciec Aleksego; miał kilkanaście hektarów

ziemi, dzierżawił jezioro i z tego, co wypracował, utrzymywał rodzinę. Oczywiście, według Franciszka, chłop, niechby nawet gbur, to nie to samo, co solidny rzemieślnik, jednak starszy Jastański nie był prostakiem, doceniał potęgę nauki i nie żałował pieniędzy na kształcenie syna. Aleksy skończył średnią szkołę kupiecko - handlową, odbył niezbędne praktyki i teraz otwierał własny sklep, który miał zapewnić jego rodzinie dostatek.

- A ty, córka, chcesz iść za tego Cekcyniorza? - wskazał brodą na Aleksego.

- Tak, proszę ojca, bardzo chcę.

- No to pobierajcie się, o czym tu gadać więcej!

Ponad godzinę męczył biednego Aleksego po to, żeby dojść do wniosku, że skoro Jadzia chce, to nie ma o czym gadać.

Najgłośniej westchnęła matka. Jadzia ucałowała ojcowskie ręce, Aleksy ograniczył się do uścisku dłoni przyszłego teścia.

- Moja córka dostanie w posagu dziesięć tysięcy złotych na początek. Jak uznam, że interes dobrze się kręci, dołożę drugie tyle.

Od tej chwili Jadzia już całkiem oficjalnie mogła nosić pierścionek z szafirowym oczkiem, chociaż nie był to koniec oświadczynowej udręki. Aleksy też miał rodziców i chciał im przedstawić swoją przyszłą żonę. To jeszcze pół biedy. Jadzia mogła jechać, rozmawiać, pozwolić się oglądać. Tradycja wymagała jednak, żeby obie rodziny złożyły sobie wizyty. I tu już nawet ona traciła pewność siebie. Z tego, co Aleksy czasem wspominał, jego dom był bardzo polski. Trzej bracia i on wiecznie nosili w szkole powszechnej tabliczki z napisem: „Rozmawiałem po polsku”. Taka tabliczka na piersi upoważniała inne dzieci do znęcania się nad winowajcami. Za brak podręczników niemieckich uszy mieli ponadrywane, a ręce czerwone od „łap” wymierzanych kantem linijki.

Oczywiście było to w czasach, kiedy wieś nazywała się Polnisch Cekzin, chociaż „polski” w nazwie nie upoważniał do mówienia w ojczystym języku. Bracia Jastańscy przyjmowali wszystkie szykany z godnością i rodzice byli z tego dumni. Jadzia nie umiała powiedzieć, czy taka postawa jej imponowała. Bardziej już rozumiała swojego ojca, który nie pozwolił jej nikomu tknąć. Trzeba jednak było te dwa różne światy Jastańskich i Jaskólskich zetknąć ze sobą. Najpierw młodzi sami wsiedli w pociąg i pojechali do Cekcyna. Jadzia pierwszy raz w życiu miała gościć na prawdziwej wsi. Do tej pory widywała wsie jedynie z siodełka roweru. Nieraz nachodziła ją ochota, żeby zajrzeć do którejś z mijanych chałup, zobaczyć, czy rzeczywiście ci biedni ludzie żyją w jednej izbie z krowami, ale jakoś nigdy się nie składało.

Rodzinny dom Aleksego nie umywał się do murowanego, dużego domu Jaskólskich, jednak brzydki nie był. Miał jakiś swojski, pociągający urok, którego Jadzia wcześniej nie знаła. Był drewniany, duży, kryty gontem. W wielkiej sieni pachniało wyprawioną skórą i czymś jeszcze, chyba ziołami, bo całe ich pęki wisiały u sufitu. Jadzia z całej wizyty niewiele zapamiętała. Siedzieli w dużej izbie, która też miała jakiś swojski urok i swojski zapach. Nie wypadało rozglądać się zbyt natrętnie, jednak oczy same biegały od ściany do ściany. Na wprost wisiał wielki kilim, a na nim blaszany ryngraf z Matką Boską. Po bokach kilimu obrazy, święte i wojenne. Meble były duże, solidne. Nad stołem wisiała lampa naftowa ze szklanym, rzeźbionym kloszem. Podłogę z desek przykrywały wełniane dywaniki. Nigdzie ani śladu kury, nie mówiąc o krowach. Zmusiła się, żeby patrzeć na domowników, a nie lustrować kąty. Aleksy był podobny do ojca, tyle zauważyła już przy powitaniu. Matka ze wzruszenia popłakiwała, lecz patrzyła na Jadzię życzliwie. Ojciec zresztą

też. Oboje byli dla niej bardzo uprzejmi, więc nabrała otuchy. Trochę przedwczesnej.

Aleksy lepiej wyczuł sytuację. Kiedy już wracali do Tucholi, przytulił narzeczoną i powiedział, że nie ma takiej możliwości, by ich rodziny zapałały do siebie choćby sympatią. O znalezieniu wspólnego języka w ogóle trudno było mówić, bo Jastańscy rozmawiali tylko po polsku, z drobnymi naleciałościami gwarowymi, a polszczyzna Franciszka w sam raz wystarczała, żeby przyjąć obstalunek na piec i uzgodnić zapłatę. Nawet gdyby dać im tłumacza, to woli do porozumienia nie będzie.

- Byle tylko nam nie przeszkadzali i pozwolili żyć po swojemu - westchnął.

Na szczęście ani jedni, ani drudzy przeszkadzać nie chcieli. Wizyta Jastańskich na Seminaryjnej była krótka i bardzo oficjalna. Jedynie matka Jadzi ratowała sytuację, podsuwała gościom przysmaki, nawet wyciągnęła nalewkę wiśniową, którą Franciszek własnoręcznie nastawiał. Najwięcej o tej nalewce rozmawiali, że klarowna, dojrzała i aromatyczna. Z rewizytą do Cekcyzna Franciszek nie pojechał. Wysłał żonę z młodymi, a sam położył się do łóżka, żeby nawet przed najbliższymi udawać poważną niemoc. I ta druga wizyta nie była już taka sztywna.

Nawet jakiś powód do śmiechu się znalazł. Jadzia wyszła przed dom, żeby złapać powietrza. Trafiła na moment, kiedy bratowa Aleksego wracała z wodą od studni i zagadała do starej Jastańskiej: „Mamo, czy Aleksy naprawdę musi się z tą Niemrą żenić”. Pytała szeptem, nie zauważyła, że Jadzia stoi w progu.

Wreszcie wszystkie formalności nakazane tradycją zostały pozałatwiane, rodziny się poznały i Jadzia mogła odetchnąć. W porównaniu z wizytami ślub wydawał się igraszką. Jednak szykowanie wiana igraszką nie było. Jadzia dała matce dużo

czasu na zgromadzenie wyprawy. Co najmniej przez dziesięć lat Felicja wciąż coś odkładała, mówiąc, że to dla Jadzi. Wyciągały teraz z najrozmaitszych kątów pierzyny, poduszki, ręczniki, ściereczki kuchenne zwykłe i haftowane, filiżanki i talerzyki. Pakowały to wszystko i układały na kupki w pokoju gościnnym. Jadzia powoli opróżniała też swoją szafę z rzeczy zimowych, bez których mogła się obejść do października. Przy okazji znalazła zaczęta i nigdy niedokończoną firankę. Swego czasu planowała zawiesić ją w oknie rodzicielskiej sypialni. Nie miała daru do robótek. Czego się tknęła, wychodził eine kleine zajaczek. Rękawiczka z czterema palcami, szalik o wyglądzie stryczka, wreszcie ta firanka, zaczęta z dziesięć lat wcześniej. Obejrzała robótkę, po czym owinęła w papier i dorzuciła do swojego wiana. Nocnik w niebieskie różyczki też zapakowała, bo już niedługo mógł się przydać.

Aleksy wynajął ludzi do remontu, a sam częściej był w Łodzi niż w Tucholi. Towary zamierzał sprowadzać bezpośrednio od producentów, szukał więc kontaktów, spisywał umowy, jednym słowem, rozkręcał interes. W tym czasie Jadzia musiała się zastanowić nad wystrojem mieszkania, wybrać kolory ścian, obejrzeć meble, które potem mieli razem kupić. Była tak zajęta, jak nigdy dotąd, ale nie narzekała. Wystarczyło, że weszła do pokoju gościnnego i już jej serce rosło. Nie mogła się doczekać chwili, kiedy wreszcie przeniesie wszystkie te dobra do nowego mieszkania, zacznie rozpakowywać i układać na miejsce. Na tę szczęśliwą chwilę, chociaż z zupełnie innych powodów, czekała również bratowa Marysia. Ona z kolei nie mogła się doczekać, kiedy szwagierka wyniesie się z domu i zwolni trzeci pokój na górze.

- Swoje meble też zabierasz? - pytała.

- Zabrałabym, gdyby nie pojedyncze łóżko. Pojedyncze mnie nie urządza - westchnęła Jadzia.

- Im ciasniej, tym milej - zaśmiała się Marysia, patrząc łakomym okiem na piękny komplet ze złotej brzozy.

- Gdzie pomieszczę pościel? - spytała praktyczna Jadzia. - Muszę mieć dwa łóżka. Zaścielę je równiutko, nakryję koronkową kapą na podbiciu, na wierzch położę dwie haftowane podusie i będzie pięknie jak w żurnalu. Tak sobie wymyśliłam.

- A co zrobisz z tymi meblami?

- Jeszcze nie wiem - mruknęła.

Najprościej byłoby zostawić cały komplet bratowej, ale czy Marysia kiedykolwiek dała jej coś z własnej, nieprzymuszonej woli? Tego właśnie Jadzia nie umiała sobie przypomnieć, zwlekała więc z darowizną.

Trochę dodatkowego i niepotrzebnego zamieszania wprowadził w domowe życie brat Marysi. Zjawił się nagle, nikt go wcześniej nie widział, bo nawet na ślubie nie był, zajęty studiowaniem malarstwa w Niemczech. Nie ściennego, ma się rozumieć, tylko artystycznego. Wygląd też miał bardzo artystyczny, kolorowy i niedbały. Włosy nosił dłuższe niż Jadzia, więc rodzice po cichu sobie z niego żartowali. Codziennie rano wychodził w miasto szukać plenerów. Wracał z jakimiś szkicami, rozkładał je na stole pod orzechem, kręcił głową, odkładał na bok, niektóre darł ze złością. Kiedyś namalował dom Jaskólskich, ale nie na papierze, nie na płótnie, tylko na kaflu albo raczej kachlu, jak się powszechnie mówiło. Ślicznie mu ten dom wyszedł, jak na zdjęciu. Franciszek był zachwycony, może nawet bardziej kachlem niż obrazkiem, w każdym razie kazał żonie zanieść go do oprawy i powiesił na ścianie. To był największy i widoczny pożytek z wizyty malarza, który po kilku dniach

zwinął szkice, pudło z farbami i chyba więcej się już nie pokazał.

A tu w powietrzu wybuchła kolejna wiosna, czas majówek i wycieczek rowerowych.

Rowery zostawili w leśniczówce Świt. Dalej można było iść tylko piechotą. Panowie dźwigali wiklinowe kosze z jedzeniem, z serwetkami i sztucami. Czyż prawdziwa majówka mogła się obyć bez jajek na twardo i sałatki ziemniaczanej? Nie mogła.

Droga dość stromo pięła się pod górę. Spod nóg pryskały małe kamyczki. Te większe służyły za stopnie. Ola ze zwinnością wiewiórki skakała z kamienia na kamień. Wszystko ją cieszyło, wszystko bawiło. Ze śmiechem odrzucała mężowską pomoc.

- Daj spokój, Antek! Kosza pilnuj i siebie.

Pierwszy szedł Aleksy. Dla niego uroczysko nie miało tajemnic, wziął na siebie rolę przewodnika i świetnie sobie radził. Przy trudniejszych podejściach podawał Jadzi rękę, potem parł do przodu, słusznie rozumując, że taka silna, zdrowa dziewczyna z łatwością pokona niewielkie wzgórze.

Jadwiga raz i drugi ciężko westchnęła. Na parkiecie, przy dobrej orkiestrze, nie miała sobie równych, ale co innego tańczyć choćby do rana, a co innego pedałowac przez kilkanaście kilometrów i zaraz potem smyrgać po górkach w czerwonych zamszowych sztyflach.

Cudne to były buty. Wypatrzyła je w jakimś magazynie mody i z miejsca na nie zachorowała: długie do kolan, uszyte na wzór męskich, z delikatnej, miękkiej skórki. Z choroby wyleczył ją szewc Giłka. Poszła na Świecką do warsztatu, a on powiedział, że bez trudu zrobi identyczne. I zrobił. Żadna panna w Tucholi nie miała podobnych. Buty były wygodne do tańca, do chodzenia po ulicach, ale widać nie nadawały się na piesze wycieczki. Czuła każdy ostrzejszy kamyczek pod stopą,

dotatkowo jeszcze obtarta sobie piętę i bała się, że zedrze zamsz z obcasów.

Bliska była buntu. Miała ochotę stanąć i powiedzieć, że nie zrobi już ani kroku dalej. Niechby się nawet Aleksy pogniewał, niechby ją nazwał kapryśnicą. Bodaj bardziej żałowała butów niż pięty. Na szczęście górka nagle się skończyła i weszli na kamienną równinę.

- Koniec wycieczki! - obwieścił przewodnik. - Jesteśmy na Diabelskiej Kazalnicy. Nie wychylajcie się, bo nie będzie co zbierać.

Stali na wysokim skalistym występie. Aż strach było spojrzeć w dół, gdzie głębokim jarem płynęła wrząca, niespokojna Brda, obmywając wielkie, sterczące z wody głazy

Aleksy odstawił kosz i objął narzeczoną opiekuńczym gestem, jakby się bał, że mu skoczy w tę kipieli na dole.

- Pięknie tu, prawda?

- Pięknie, ale dziwnie jakoś i strasznie - odpowiedziała, cofając się przezornie.

- Na Diabelskiej Kazalnicy powinno być strasznie - roześmiał się Aleksy. - Stara legenda mówi, że diabeł lubił tu siadywać pod postacią kruka, gawrona, a czasem rosłego chłopca. Pokrzykiwał na flisaków, którzy rzeką spławiali drewno, głównie zaś wpatrywał się w miejsce, gdzie pod tym największym, sterczącym z wody głazem jest wejście do piekła. Lepiej było nie widzieć go tutaj, bo śmierć obwieszczał.

- Ja w diabły nie wierzę - Jadwiga wzruszyła ramionami. - Zgłodniałeś pewnie? Zaraz zrobię coś do jedzenia.

Tak energicznie zaczęła wypakowywać kosz, że Oli nie wypadało stać na uboczu. Pisnęła jeszcze parę razy nad przepaścią i dołączyła do szwagierki. Rozłożyły serwety. Jadwiga wyjęła haftowany ręcznik z napisem Guten Appetit (smacznego (niem.)) i starannie przetała talerzyki. Zaraz też

pojawił się wędzony półgęsek domowej roboty, pachnąca kiełbasa od Góralewskiego, chleb od Latzkego, chrzan, jajka na twardo i sałatka ziemniaczana przyrządzana na sposób niemiecki. Wśród tych wspaniałości Jadwiga pieczołowicie ustawiła niewielką butelkę z wiśniówką. U Jaskólskich, poza piwem i wiśniową nalewką, nie pijało się właściwie alkoholu. Nalewkę Franciszek przyrządzał osobiście, w niewielkich ilościach, tylko na specjalne okazje. Mocniejszą - dla mężczyzn, słabszą, nazywaną likierem, dla kobiet.

- No, no! - ucieszył się Anton. - Ojciec dał sam, czy wyprosiłaś?

- Sam dał, ale nie ciesz się za wcześnie, bo to damska. Wypijemy pod kuch.

Kuch, czyli placek drożdżowy, też został wyjęty i umieszczony z boku obok ciasta Oli.

- Sama piekłaś? - spytała podejrzliwie Jadwiga.

Ciasto było nad podziw wyrośnięte i apetycznie polukrowane, stanowczo zbyt piękne jak na skromniutkie umiejętności bratowej.

- Ja? - zdziwiła się Ola. - U Latzkego zamówiłam. Wczoraj przed wieczorem przynieśli do domu jeszcze gorące. Po pierwsze, dobrze wiesz, że nie umiem piec, po drugie nie mam czasu. Całe przedpołudnia siedzę w magistracie.

- Phi! Chcesz, to siedzisz! - prychnęła Jadwiga i wyduła usta całkiem jak ojciec.

Miała ochotę dodać jeszcze coś złośliwego, ale spojrzała na Aleksego i zamilkła. Nie kto inny, tylko on wciąż powtarzał, że jej usta stworzone są do pocałunków, nie do wykrzywania. Teraz też objął narzeczoną i tym jednym, ciepłym ruchem rozwiązał wiszącą na włosku sprzeczkę.

- Daj spokój, Jadka - powiedział łagodnie. - Przecież to bardzo dobrze, że wykształcone kobiety chcą pracować. Kraj

po stu latach niewoli i kilku latach wojny potrzebuje mądrych głów i sprawnych rąk, tak męskich, jak i kobiecych.

- Ojciec mówi...

Nie dał jej skończyć. Wiele razy miał okazję słyszeć, co mówi ojciec narzeczonej, ale zgadzał się z nim zaledwie w dwu kwestiach: nikt inny nie potrafił zrobić takiej nalewki na wiśniach jak Franciszek Jaskólski i nikt nie umiał postawić równie znakomitego pieca. Wszystko inne, co mówił, budziło w Aleksym niechęć, nawet gwałtowny sprzeciw. Jeżeli milczał, to wyłącznie ze względu na Jadkę.

- A ja ci mówię, że nie ma w tym nic złego. I Anton powie ci to samo. Czasy się zmieniają, czy starsi ludzie tego chcą, czy nie.

- No tak! - przytaknęła posłusznie. - Skoro tak mówisz, to pewnie masz rację.

Dobry posiłek zakończony kieliszkiem likieru sprawił, że straciła ochotę do zacepek. Spróbowała nawet kawałek ciasta od Latzkego i musiała w duchu przyznać, że nie było złe, ale też nie tak dobre, żeby zmieniała zdanie na temat wygodnictwa bratowej.

Kiedy po południu Aleksy dał sygnał do odwrotu, nikomu nie chciało się ruszyć. To słońce tak ich rozleniwiło, bo przecież nie odrobina likieru od Franciszka. Jadwiga i Ola poskładały równiutko serwety i spakowały kosze, bacząc pilnie, by po uczcie nie została nawet skorupka od jajka.

- Nogi mnie bolą, chyba nie dam rady zejść - ociągała się Jadzia.

Przysiadła na kamieniu i zrobiła minę zmęczonego dziecka, małej dziewczynki, takiej w sam raz do wzięcia na ręce i utulenia. Ochotnik był tylko jeden. Nazwał ją, co prawda, maleństwem i biedactwem, pogładził po głowie, ukradkiem pocałował, jednak do znoszenia się nie rwał. Anton śmiał się w głos, a Ola zaczęła nucić ulubiony szlagier:

Proszę pana, niech się pan nie napala, Niech pan weźmie coś ciężkiego i da w łeb. Ona wielka, proszę pana....

- No, no! Uważaj! - krzyknęła Jadzia, zeskakując zwinnie z kamienia.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Ona też.

Ruszyli wśród żartów i przekomarzań. Aleksy znowu szedł pierwszy. Po kilku krokach obejrzał się, żeby coś powiedzieć, i zastygł w bezruchu. Na skalnym występie, tam gdzie jeszcze przed chwilą podziwiali spienioną Brdę, siedział wielki kruk.

- Der Teufel (Diabeł (niem.))... - wyszeptała Jadwiga.

- Mówiłaś, że w niego nie wierzysz.

- Nie wierzę, ale go zobaczyłam. Das ist ein schlechtes Zeichen (To zły znak (niem.)) - wyszeptała nie wiadomo czemu po niemiecku. - Może jest mi pisana śmierć?

- Jadka, ty przeżyjesz nas wszystkich - pocieszył ją Aleksy. - Poza tym ja pierwszy go zobaczyłem.

Jakoś dziwnie odechciało im się żartów. Kto tak naprawdę mógł wiedzieć, co oznacza spotkanie z tym wielkim, czarnym ptaszyskiem? Kto to mógł przewidzieć?

W sierpniu Aleksy otworzył sklep. W nazwie umieścił bławaty, czyli jedwabie, ale oprócz jedwabiu na półkach leżały bardzo różne gatunki materiałów, droższe i tańsze. Było też stoisko z pasmanterią.

Po ulicy biegały dwa słupki ogłoszeniowe, najęte do reklamowania sklepu. „Kupuj tylko u Jastańskiego”, głosiły wielkie napisy na tubach. Pierwszego dnia Jadzia ze trzy razy zaglądała, żeby zobaczyć, czy jest ruch i czy ludzie kupują. Klientów kręciło się wielu, głównie podziwiali towary, choć kupowali też. Aleksy poszedł z postępem i założył telefon. W dzień telefon stał w sklepie, po pracy miał być przenoszony do mieszkania, gdzie było drugie gniazdko. Jadzia podała już numer wszystkim znajomym. „Siedemdziesiąt dwa - mówiła -

zapamiętajcie". Na razie telefon miała tylko Helga, no i Anton.

Mieszkanie na piętrze było już gotowe. Chcieli je urządzić jak najwcześniej, żeby po ślubie od razu zamieszkać u siebie. Bawialnia w dębie, sypialnia w czereśni, pokój dziecienny zaś mógł jeszcze trochę poczekać.

Ślubne zaproszenia Aleksy sam ułożył, a Ola zaniósła do drukarni, gdzie wciąż miała wielu znajomych. „Franciszkostwo Jaskółscy mają zaszczyt zaprosić J. Wielm. Państwa na ślub córki swej Jadwigi z panem Aleksym Jastańskim z Tucholi. Ślub odbędzie się w środę, dnia 21 października br. o godzinie 17 w kościele parafialnym w Tucholi". Pod spodem rok 1936. Adresowaniem kopert również zajął się Aleksy.

Jadzia wychodziła za mąż jako ostatnia z zaprzyjaźnionej grupy koleżanek i nie miał jej kto towarzyszyć w pożegnaniu stanu pańskiego. Od czego jednak są niezawodne przyjaciółki, jeżeli nie od pomocy w biedzie. Stefania natychmiast wymyśliła, że zamiast żegnać panienkę, powitają w swoim gronie nową mężatkę. Przyszły wszystkie: Ola, Helga, Stefania i Marta. Rozsiadły się w pokoju Jadzi, bo na dole trwały przygotowania do wesela. Helga wyciągnęła z torby butelkę likieru jagodowego.

- Ona chce nam rozwiązać języki! - roześmiała się Ola. Jadzia poszła na dół po małe kieliszki na długich cienkich nóżkach. Matka spojrzała na nią podejrzliwie, jednak kieliszki dała.

- Mam pomysł - powiedziała Helga, otwierając butelkę. - Niech każda z nas opowie...

- Nic z tego! - wpadła jej w słowa Stefania. - Jak cię znam, zechcesz, żebyśmy opowiadały o nocy poślubnej. Wy, Niemcy...

Tym razem Helga nie dała jej skończyć.

- Myślę, że pora już skończyć z tym: „wy Polacy, my Niemcy”. Tyle czasu żyjemy na jednej ziemi, wy się czegoś uczycie od nas, my od was i różnice powoli się zacierają. Zauważcie, że w Polsce najmniej zacofane są właśnie te ziemie, które nazywacie dawnym zaborem pruskim?

- Zaborem, dobrze powiedziałaś - zdenerwowała się Ola. - Zabraliście naszą ziemię razem z ludźmi, zaczęliście wprowadzać swoje porządki, które nam nie musiały się podobać. A teraz ty mówisz, że przynieśliście nam oświecenie!

- Ola, ja ci niczego nie zabrałam. Ja się tu urodziłam, tu stoi mój dom. Obok twojego, kilka ulic od Marty, Jadzi, Stefanii.

- Przestańcie! - Marta podniosła do góry kieliszek. - Jesteście gorsze od mężczyzn. Rozumiem, że oni w kółko muszą gadać o Związku Zachodnim, ale my nie musimy.

- Oni też nie muszą - wtrąciła ostro Helga. - Oni stanowczo za dużo gadają, całkiem jak dzieci.

- Ich sprawa - ucięła Marta. - Wznoszę toast za Jadzię, ostatnią pannę z naszego grona.

Upiły po odrobinie. Nawet małe kieliszki nie upoważniały do jednorazowego chlupnięcia. Likier powinno się sączyć powolutku, maczając w nim zaledwie usta, delektując się słodyczą i aromatem.

- Wróć do swojego pomysłu - powiedziała Helga, odstawiając kieliszek. - Nie chcę was przepytować z nocy poślubnej, chcę tylko usłyszeć, czy nie rozczarowało was małżeństwo. Rodzice hodują nas na zapobiegliwe żony, ciesząc się, że złapałyśmy męża, lecz co my z tego mamy, jak już złapiemy jakiegoś barana?

- Kogo? - roześmiała się Ola. - Dobrze usłyszałam: barana?

- Barana - przytaknęła Helga. - Najmądrzejszego w całym mieście, pewnego siebie jegomościa, który uważa, że cały dom powinien się kręcić wokół niego.

- Nie mam aż tak złych doświadczeń - wyznała niepewnie Ola. Patrzyła przy tym uważnie na Helgę. - Mnie Anton nie rozczarował. Jest mi najbliższy z ludzi. Nasz świat kręci się wokół nas i dzieci. Nie, ja naprawdę nie mogę narzekać na małżeństwo. Tylko czasu mam mniej dla siebie, to jedyna niedogodność.

- Marta, a ty?

Helga najwyraźniej wzięła na siebie przewodniczenie gronu dostojnych mężatek. Patrzyła ponaglająco na Martę.

- Ja? - upewniła się Marta. - Wiecie, że bardzo chciałam wyjść za mąż. Nikt mnie nie musiał wypychać. Miało być pięknie, on i ja wpatrzeni w siebie, płasające dzieciątka, a my sobie recytujemy wiersze, choćby: „Mów do mnie jeszcze”, najczystsza sielanka. Ostatni komplement usłyszałam od Wiktora w czasach narzeczeńskich. Porównał mnie bodaj do kwiatka. A jak dzieciątka zaczynają płasać, to nie wiem, które najpierw łapać, żeby się nie pozabijały, ganiem między kuchnią a nocnikami, z mężem mogę zamienić dwa słowa rano, bo jak wraca wieczorem z zebrań, to usypia, zanim ściągnie skarpety. Jeżeli tak wygląda sielanka, to mam sielankę. Gdyby nie spotkania z wami i od czasu do czasu jakaś potańcówka, mogłabym nie ściągać szlafroka z grzbietu.

Helga dołała likieru do kieliszków. Spojrzała na Stefanię.

- Teraz ty.

- Żałuję, że odeszłam z biblioteki. Żyję życiem odbitym. Alojzy wraca, opowiada, co w pracy, co na zebraniach, a ja mogę uszczęśliwić go jedynie wiadomością, że w masarni pojawił się nowy rodzaj wędliny. Dużo czasu spędzam z dziećmi, co oczywiście daje mi satysfakcję, ale nic na to nie

poradzę, że czuję się jak kura domowa. A ja nawet rosołu nie lubię.

- Wy chociaż macie dzieci - powiedziała ze smutkiem Helga. - Macie cel i sens w życiu. Gdybym mogła odwołać to swoje głupie „tak” sprzed kilku lat, nie zastanawiałabym się ani minuty. Wyjeżdżam z Tucholi, będę podróżowała po Europie, może nawet pojedę do Afryki.

- Sama?

- Jeżeli uciekam jak najdalej od Karła, to przecież nie zaproszę go na wycieczkę. Ani ja go nie kocham, ani on mnie.

Kiedys jeszcze myślałam, że to dobry człowiek. Może i dobry, ale baran.

Jadzia przez cały czas nie odezwała się słowem. Patrzyła, słuchała i sączyła likier. Wydawało się, jakby przyjaciółki zamiast powitać przyszłą mężatkę w swoim gronie, próbowały za wszelką cenę ją odstraszyć. Całkiem niepotrzebnie. Wierzyła, że jej życie u boku Aleksego będzie zupełnie inne. To była ta wielka wiara, którą każda panna młoda niesie w sobie. Gdyby jej nie miała, gdyby patrzyła tylko na nieudane małżeństwa wokół, pewnie nie zdecydowałyby się powiełać cudzych nieszczęść. Każda jednak zakłada, że właśnie jej się uda. Jadzia też założyła, że jej udziałem stanie się najprawdziwsze szczęście. W swoim małżeństwie znajdzie czas na wszystko, nie będzie żoną zaniedbywaną ani lekceważoną i nigdy nie przestanie kochać męża. Nawet jak już oboje będą bardzo starzy.

Pierwszy samochód, jaki pojawił się w Tucholi, należał do Jana Świerczyńskiego. Był to duży, osobowy automobil przypisany do hotelu Kościuszko. Szofer w liberii odwoził gości na dworzec, a jak było trzeba, to ich przywoził. Z czasem w mieście pojawiło się więcej samochodów, lecz hotelowy kabriolet wciąż uchodził za bardzo elegancki model. Tym właśnie autem Jadzia pojechała do ślubu. Goście

wynajęli dorożki lub zwyczajnie szli piechotą, bo z Seminaryjnej do kościoła pod wezwaniem Bożego Ciała było bardzo blisko. Jak niegdyś Marta, tak teraz Jadzia nie płakała, choć zwyczaj nakazywał pannom ronić łzy na własnym ślubie. Im więcej, tym lepiej. Kończyły się beztroskie lata, zaczynały obowiązki, a to powinno smucić. Jadzia niczego tak bardzo nie mogła się doczekać, jak właśnie nowych obowiązków i przyjemności. Łzy jej się zakręciły w oczach tylko w chwili wychodzenia z domu, kiedy ojciec uniósł rękę do błogosławieństwa. Pomyślała sobie wtedy, że nawet jako mężatka nie przestanie być jego malutką córeczką, i to ją uspokoiło. Nic nie traciła, rodzinny dom zostawał kilka ulic dalej, ona zaś rozpoczynała nowe, ciekawsze życie. Z mężem u boku.

Do ołtarza prowadził ją ojciec. Był wyraźnie wzruszony. Może nawet to wzruszenie udzieliłoby się Jadzi, gdyby tak bardzo nie musiała myśleć o welonie. Miała jedwabną suknię do ziemi i bardzo długi, tiulowy welon, który z tyłu podtrzymywały trzy dziewczynki. Tak były przejęte rolą, tak niemiłosiernie szarpały, że panna młoda tylko cudem nie straciła welonu razem z wiankiem, i to na środku kościoła. A obejrzeć się nie mogła.

Do rodzicielskiego domu wróciła już jako pani Jastańska. Ściągnięty z miasta fotograf zaczął ustawiać weselników do pamiątkowego zdjęcia. Wianuszek gości, para młoda w środku, po bokach rodzice, u ich stóp najmłodsze pokolenie Jaskólskich. Fotograf co rusz chował głowę pod czarną płachtą, wychylał się i znowu chował, strzeliła w górę magnezja, zapaliła się firanka - wszystkie dzieci na zdjęciu patrzą z wielkim zaciekawieniem i otwartymi buziami w jeden punkt.

- Ogniste życie będą mieli! - krzyknął ktoś i mężczyźni ruszyli do gaszenia pożaru.

- Diabeł na kazalnicy, teraz pożar, co nas czeka? - spytała Jadzia.

Nie pytała z lękiem, po prostu zestawiała dwa niezbyt odległe wydarzenia. Aleksy ją przytulił i ani myślała się bać. Przy nim nic jej nie groziło.

Po raz pierwszy na swoim ślubie Jadzia zobaczyła braci Aleksego. Najbardziej przypadł jej do gustu najstarszy Władek, który osiadł z żoną w Skierniewicach. Zachwycił się bratową, zaprosił ich do siebie i Jadzia nabrała wielkiej ochoty na odwiedzinę. Pomyślała, że choćby Aleksy nie chciał, to ona go namówi. Władek był tak podobny do jej męża, że nie sposób było go nie polubić.

- I jak się pani miewa, pani Jastańska? - zagadnęła Stefania.

Zeszły się w drzwiach pokoju gościnnego, zamienionego na szatnię.

- Właśnie próbowałam sobie przypomnieć, które to moje wesele? - zastanowiła się Jadzia.

- Myślałam, że pierwsze - roześmiała się Stefania.

- Może inaczej: na ilu weselach już byłam. U braci trzy razy, u ciebie, u Marty i u Helgi też trzy. Moje jest siódme. Ciekawe, co z niego zapamiętam?

- Ja ze swojego prawie nic nie pamiętam. Jakieś drobne momenty. Wszystko mi się zlało w jedną kulę. Bardzo ładną kulę. Myślę „wesele” i kula wyskakuje.

- A tak by się chciało zapamiętać wszystko. Taki dzień już się nigdy nie powtórzy. Tylko mi nie mów, że żaden się nie powtórzy, bo to akurat wiem. - Jadzia uśmiechnęła się i pobiegła do gości.

Stefania miała rację z tą kulą. Jadzia też niewiele zapamiętała ze swojego wesela i najbliższego tygodnia. Pożegnanie odjeżdżających, potem wizyty, wszystko się rozmyło. Najbardziej cieszyła ją bliskość Aleksego. Miała go

obok w dzień i w nocy. Tego doznania nie dało się porównać z żadnym innym. Mówiła: „mój mąż” i smakowała każdy wyraz oddzielnie. „Mój” to była wyłączność. Mogły sobie inne kobiety patrzeć, zazdrościć, ale on tylko do niej należał, bo słowo „mąż” z kolei znaczyło bliskość i intymność, jakiej nikt inny nie mógł jej ofiarować.

Małżeńska codzienność bardzo się Jadzi podobała. Po wspólnym śniadaniu Aleksy brał telefon i schodził do sklepu, ona sprzątała mieszkanie, szła na zakupy, gotowała obiad, a w przerwach między zajęciami chodziła po pokojach i podziwiała to, co wspólnie udało im się zgromadzić. W sypialni dotykała kapy na łóżku, w jadalni gładziła stół; w ten sposób oswajała przedmioty, zżywała się z nimi, bo przecież miały jej towarzyszyć bardzo długo, kto wie, czy nie do końca życia. Porządnych mebli nie wymienia się co kilka lat, często służą jeszcze następnym pokoleniom. Jadzia pokochała nowe mieszkanie równie mocno, jak dom przy Seminaryjnej. Tam przeżyła dzieciństwo i młodość, tu miała spędzić lata dojrzałe.

Z nastaniem wiosny młodzi państwo Jastańscy zaczęli prowadzić bardzo ruchliwy tryb życia. W ciągu tygodnia przebywali głównie w domu, jeśli nie liczyć towarzyskich wypadów do rodziny lub przyjaciół. W niedzielę obowiązkowo opuszczali Tucholę. Wsiadali w pociąg, dojeżdżali do wybranej stacji, żeby spędzić kilka godzin w nowym otoczeniu, a wieczorem wracali do domu. Jednak najczęściej i najchętniej gościli u Józefostwa w Toruniu. O ile Franciszek Jaskólski odpychał Aleksego, o tyle Józef go przyciągał. Znajdowali mnóstwo wspólnych tematów i upodobań, potrafili rozmawiać godzinami i te rozmowy ich cieszyły, choć nie zawsze sobie potakiwali. Sprzecjali się też ładnie, na argumenty, bez wzajemnego obrażania. Cecylia była zachwycona, że Józieniek wreszcie znalazł godnego siebie rozmówcę.

Kiedyś po powrocie z Torunia Aleksy usiadł w fotelu, a Jadzia miała zrobić herbatę. Najpierw jednak podłożyła mężowi stołeczek pod nogi, pod plecy jedną z haftowanych poduszek, a jeszcze i koc próbowała narzucić na stopy. Wychylił się, złapał ją za rękę i nim zdążyła się zorientować, siedziała mu na kolanach.

- To teraz powiedz, co to ma być. Nowy kapelusz? - Nie.

- Pantofle?

Pokręciła głową. Oboje z trudem utrzymywali powagę.

- Więc co? Broszka? Chciałbym wiedzieć, zanim zaczniesz mnie ubierać w śpioszki.

Oparła mu głowę na ramieniu i zaśmiewali się dobrą chwilę.

- Chciałam cię trochę porozpieszczać metodą Cecylii.

- Cecylia robi to naturalnie i mimochodem, a ty o mało mi nogi nie urwałaś. Myślę - zaczął nieco poważniejszym tonem - że jej po prostu brakuje dziecka i wszystkie uczucia, także te macierzyńskie, przelewa na Józefa. My też moglibyśmy pomyśleć już o dziecku.

Oderwała głowę od mężowskiego ramienia i spojrzała zalotnie, spod rzęs.

- Nasza przyjaciółka Helga powiedziała, że od myślenia dzieci się nie rodzą - powiedziała.

Aleksy absolutnie zgodził się z Helgą. Picie herbaty odłożyli do rana.

W czerwcu Aleksy wreszcie mógł dotrzymać słowa i zabrać Jadkę w spóźnioną podróż poślubną. Pojechali do Krakowa. Na krótko, co prawda, ledwie na kilka dni, bo na dłużej nie chcieli zamykać sklepu. Zatrzymali się w hotelu Pod Różą, gdzie z okien pokoju mieli widok na Wawel. Jadzia wreszcie była w swoim żywiole. Ulice, sklepy, nowe kawiarnie, zamek, to wszystko niepomiernie ją cieszyło. Zasypywała męża pytaniami o Kopiec Kościuszki, Planty,

Dzwon Zygmunta. A kiedy przechadzali się ulicami, lubiła zerkać na duże wystawy sklepowe, które odbijały ich obraz jak lustra. Ona w letnim, jasnym kostiumie, Aleksy w sportowej, wciętej marynarce i w pumpach. Piękna, modnie ubrana para. I wspaniałe beztroskie dni, w czasie których mogli myśleć wyłącznie o przyjemnościach.

Wrócili zachwyceni i oczarowani Krakowem. Codzienne życie szybko wciągnęło ich w swój rytm. Praca, wizyty w Toruniu, głównie zaś majówki nad Głębockiem, gdzie spotykali się z przyjaciółmi. W którąś niedzielę Karl, zamiast Helgi, przywiózł nad jezioro kolegę. Marcin był nieco młodszy od pozostałych panów, a że towarzystwo nikomu w metryki nie zaglądało, został powitany i przyjęty jako przyjaciel przyjaciela. Pociecha z niego była spora, ponieważ lubił dzieci i zajął się nimi lepiej niż niejedna niańka. Wymyślał jakieś gry, zabawy i mamy mogły, choć trochę odetchnąć.

- Gdzie podziałeś Helgę? - spytała Stefania. - Wyjechała?

- Dlaczego wyjechała? - zdziwił się Karl. - Czy ja bym pozwolił mojej pięknej i mądrej żonie wyjechać gdzieś samotnie? Jeszcze by mi ją kto porwał i co bym zrobił?

- Nie obchodzi mnie, co ty byś zrobił, pytałam tylko, gdzie jest Helga - odpowiedziała ostro Stefania.

Karl już od dłuższego czasu irytował panie. Pozornie nic przykrego nie mówił, ale w jego ustach słowa: „moja najpiękniejsza”, „mój ósmy cud świata”, „mój genialny pieseczek” brzmiały jak obelgi. Lubiły Helgę i nie przeszkadzała im jej uroda, czy raczej brak urody, drażniło je natomiast zachowanie Karla.

- Choruje, a ja postanowiłem popatrzeć sobie na brzydsze kobiety.

- Głupi dowcip, Karl! - Aleks nie był nastawiony żartobliwie.

- Dobra, masz rację! Przepraszam. Z całą pewnością jestem lepszym kolegą niż mężem.

- Licz się ze słowami, bo i kolegą nie będziesz.

- Przeprosiłem przecież.

Nie zdążyli się posprzeczać. Wrócił Marcin z dziećmi i z miejsca podniósł się rejwach. Synek Marty chwycił kubek z oranżadą. Między jednym a drugim łykiem oświecił mamę, że właśnie przed chwilą błękitna armia generała Hallera stłukła Niemca.

- Taki mały, a już patriota - uśmiechnął się Karl. - Wiesz ty, chłopcze, że niedługo generał Józef Haller von Hallenburg odwiedzi Tucholę?

- Proszę mamy, czy to prawda? - Malec odwołał się do najbliższego sobie autorytetu, bo widocznie potrzebował potwierdzenia.

- Jeżeli pan tak mówi, to prawda.

- Czy błękitna armia składa się z samych aniołów? - Tu już malec zwrócił się bezpośrednio do Karla.

- Głuptas jesteś! - wtrącił się Kazio Jaskólski. - Ta armia chodzi w niebieskich mundurach.

Chłopcy popatrzyli na siebie, wybuchnęli śmiechem i pogonili gdzieś razem.

- Pan Marcin świetnie sobie radzi z dziećmi - zauważyła Ola.

- Przestanie się pani dziwić, jak powiem, że jestem najstarszy z dziewięciorga rodzeństwa. - Marcin pokiwał głową.

Minę przy tym miał tak komiczną, że wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Naprawdę generał Haller przyjeżdża do Tucholi? - zainteresowała się Marta.

- Tak, w październiku na zaproszenie miejskiego koła hallerczyków - wyjaśnił Karl. - Będą czcić dwudziestolecie

błękitnej armii. Nie wiem, czy pamiętacie, ale to właśnie Haller dowodził Frontem Pomorskim i odzyskał Pomorze dla Polski.

- Osiemnastego stycznia dwudziestego roku zajęli Toruń, dwudziestego dziewiątego byli w Tucholi, jedenastego lutego doszli do Gdańska - wyrecytowała Jadzia, bo od czasów egzaminów na pensji daty były jej mocną stroną.

- Brawo! - zawołał Karl i klasnął w dłonie. - Zdziwiasz mnie, myślałem, że tylko ja mam bzika na punkcie najnowszej historii.

- Pogratulować wam obojgu takich zainteresowań! - powiedział z uznaniem Wiktor.

Jadzia zarumieniała się z wrażenia. Karl przyjmował gratulacje jako coś całkowicie mu należnego. Nie pierwszy raz udowodnił, że bardzo żywo interesują go dzieje kraju, w którym przyszło mu mieszkać.

Jadzi nie dawała spokoju choroba Helgi. Nigdy nie była specjalnie przeczulona na tle cudzych dolegliwości, ale w ostatnich czasach nawet jej chłodne oko wychwyciło coś dziwnego w zachowaniu koleżanki. Niewiele się odzywała i sprawiała wrażenie nieobecnej. We wtorek Jadzia wyrwała się z domu na godzinę i pobiegła do willi Rothów, gdzie Karlowie zajmowali całe piętro. Szczęście jej sprzyjało, bo nie natknęła się po drodze na Frau Rothową. Od pamiętnej pierwszej wizyty mama Helgi wyraźnie dawała do zrozumienia, że nie lubi ani Jadzi, ani Stefanii.

Helga siedziała w wielkim fotelu zwinięta w kłębek. Brodę opierała na kolanach, rękami obejmowała nogi i nie miała w sobie ani odrobiny radości. Różowe zwykle policzki były blade, oczy podkrążone, co nie wyglądało na objaw zdrowia. Karl w niedzielę niewiele przesadził.

- Okropnie wyglądasz - zauważyła Jadzia ze szczerym współczuciem.

- Cieszę się, że przyszedłś mnie pocieszyć - mruknęła Helga. - Przy tobie nawet ja jestem uosobieniem taktu.

- Masz lustro? Masz. I chcesz, żebym wmawiała ci, że kwitniesz. Sama wiesz, że to nieprawda! Co ci jest? Był lekarz?

Helga nie patrzyła na Jadzię, tylko gdzieś w kąt pokoju.

- Dłużej już tego nie wytrzymam - powiedziała słabym głosem. - Idź sobie. Zostawcie mnie wszystkie w spokoju.

Najprościej było wstać i wyjść. Jadzia przez moment rozważała taką możliwość, bo nie miała zwyczaju pchać się tam, gdzie jej nie chcieli. Coś jednak w głosie Helgi zmieniało słowa „Idź sobie” w błagalne: „Zostań, nie odchodź”. Jadzia nie przywiązywała szczególnej wagi do przeczuć, tym razem jednak jakiś głos wewnętrzny jej podszeptał, że nie powinna się obrażać ani zostawiać Helgi samej. Może nawet była to intuicja, której jeszcze w sobie nie odkryła.

- Mówiłaś, że chcesz wyjechać? - przypomniała.

- Dużo rzeczy mówiłam. Że nie kocham Karła też mówiłam, pamiętam.

- Jeżeli go kochasz, tym lepiej, w końcu to twój mąż. Helga przestała się gapić w kąt pokoju i spojrzała na Jadzię.

- Mówiłam też, że wcale go nie potrzebuję.

- Mówiłaś - przytaknęła Jadzia. - To teraz powiedz, o co chodzi, żebym nie musiała zgadywać.

- Jestem podła, to chcę ci powiedzieć. Nie lubiłam Marty, bo uganiała się za Karlem, nie lubiłam ciebie, bo Karł uganiał się za tobą, udawałam, że was lubię, żeby być tam, gdzie on przychodził. Kłamałam, że mi na nim nie zależy, żeby nie budzić waszej litości. Głupie nie jesteście, widziałyście, jak mnie traktował. Moja choroba nazywa się Karł, rozumiesz?

Wszystko zrobię, jestem zdolna do największej podłości, żeby go mieć i zatrzymać przy sobie.

- Przecież go masz.

- To, że wzięliśmy ślub, nie znaczy, że go mam. Owszem, pozbawił mnie dziewictwa, od czasu do czasu na mnie wchodzi i... i to wszystko. Żadnych czułości, pocałunków, rozmów. Wiesz, co mi na weselu powiedział jego brat? Powiedział, że muszę bardzo pilnować Karła, żeby nie pękł od niezdrowych ambicji. Długo nie wiedziałam, o co chodzi, wreszcie chyba zaczynam rozumieć. I nie wiem, co mam robić.

- Niezdrowe ambicje? On nie jest kobieciarzem, coś się musiało Martinowi pomylić. Wierzysz, że Karl byłby zdolny do zdrady? O zdradę chodzi?

- Mniej więcej - mruknęła. - Na majówce był sam?

- Słuchaj, on naprawdę bardzo się liczy z naszą opinią i nie odważyłby się zadzierać z przyjaciółmi przez jakąś kobietę. Był z nim kolega. Pewnie go znasz. Marcin.

- Tak, jeden drugiego broni. Można powiedzieć, że panowie sami się bronią. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

- Nie martw się, ja trochę dłużej znam Karła i wiem, że w gruncie rzeczy to dobry człowiek. Jestem pewna, że z czasem wszystko się między wami ułoży. I nie musisz już boczyć się na Martę ani na mnie, bo żadna z nas nie czyha na twojego męża. Tyle to nawet on sam zrozumiał.

Helga uśmiechnęła się smętnie.

Jadzia wyszła na rozgrzaną słońcem ulicę i wcale nie czuła upału. W piersiach miała chłód, w głowie kłębowisko myśli. Właściwie same pytania ani jednej odpowiedzi. Czy można poślubić kobietę, nie czując do niej absolutnie nic? Czy można wyjść za mąż, wiedząc, że się nie jest kochaną? Czy gdyby ona, Jadzia, została żoną Karła, jej małżeństwo byłoby takie jak Helgi? W porę sobie przypomniała, że ma wspaniałego męża, który musi dostać obiad o właściwej porze. Spojrzała na zegarek i przyśpieszyła kroku.

Gotowanie dość szybko stało się nową pasją Jadzi. Wyciągnęła swój zeszyt z przepisami i zaczęła rozwijać skrzydła. Aleksy w kawalerskich czasach żywił się typowo po kawalersku, czyli jak mu się chciało, to coś sobie przyrządził, jak nie, to poprzestawał na kanapce. Od czasu do czasu wstępował do restauracji, nie za często jednak, bo liczył się z pieniędzmi. Gdyby nie spore wyrzeczenia, nigdy - nawet korzystając z kredytu - nie dorobiłby się sklepu. Teraz na domowych obiadkach wyraźnie zaczął się poprawiać. Żartował, że jeszcze miesiąc, dwa i nie zmieści się w żaden garnitur. Jadzia śmiała się, ale bardzo jej to pochlebiało. Starala się być wzorową panią domu i wzorową żoną.

Czasem załaziła odrobinę mężowi za skórę, bo czemu miałyby nie załazić, zwłaszcza jeżeli Aleksy chciał decydować o sprawach, na których się nie znał. Ona mu w sklepie nie układała towarów na półkach, więc on powinien zostawić jej wolną rękę w domu. Kupił raz lampę, nie dość że brzydka, to jeszcze niedopasowaną do reszty mebli. Był bardzo rozczarowany, że Jadzia nie skakała z zachwytu. Przecież to tylko lampa, mówił, ma świecić, nic więcej. Typowo męskie podejście. Uparła się i wymienili lampę na taką, która podobała się Jadzi. Nie rozmawiali wtedy cały wieczór.

- Wiesz co, Jadka - powiedział wreszcie. - Jest takie powiedzenie, że jak mężczyzna chce wiedzieć, jak będzie wyglądała jego żona w poważniejszym wieku, to powinien baczenie przyjrzeć się teściowej. W twoim wypadku jest inaczej. Już dzisiaj widzę, że kiedyś będziesz jota w jotę podobna do ojca. Z miny, z ust, z tego spojrzenia spode łba. A jak jeszcze wąż ci dokleję i włosy zgolę, to sam będę mówił do ciebie: panie teściu.

Rozbawił ją wtedy i więcej do kwestii lampy nie wracali. Zresztą, prawdę powiedziawszy, Aleksy nie dawał Jadzi wielu

powodów do nadymania się i obrażania. Dbał o nią, kupował suknie i kapelusze, bo bardzo lubił, jak wyglądała elegancko.

Łaskotało to jego męską próżność. Chciała zegarek na rękę, dostała. Bransoletkę kupił, zanim zdążyła o niej pomyśleć. Podobnie było z radiem. Kiedy już nie dało się słuchać starego detefonu, który więcej skrzypiał, niż grał, przyniósł do domu aparat marki Elektrit Allegro, piękny odbiornik lampowy. Wystarczyło przekręcić gałkę i mogli słuchać oboje. Teraz wieczory były jeszcze przyjemniejsze. Nawet zasmakowali w tych wieczorach przy herbacie. Radio grało, Jadzia siadała z książką, Aleksy załatwiał korespondencję i to nie tylko handlową. Pisywał do rodziców, do brata w Skierniewicach, do kolegów, najczęściej jednak do Józefów w Toruniu. Donosił im o wszystkim, co się działo w Tucholi.

„Kochani, Cecylio i Józefie!” - kreślił pięknym, kaligraficznym pismem. „Chcieliśmy się zabrać z Jadką do napisania Wam kilku słów, aż tu naraz pocztówka z Torunia nadeszła, za którą serdecznie dziękujemy”.

Kurtuazja nie pozwoliła mu napisać „Chciałem się zabrać”, więc włączył żonę. Jadzia rzadko się dołączała, a jeżeli już, to po niemiecku. „Liebe Cecylia!”. Kilka zdań o tym, że są zdrowi, że ona ma dużo pracy w domu, i to wszystko. Nie lubiła korespondować. Z wyjątkiem Józefów wszystkich najbliższych miała w Tucholi. Trudno, żeby wysyłała listy do Stefanii lub Marty, jeżeli widywały się kilka razy w tygodniu. Dawno, tuż po skończeniu pensji, dostała kilka listów od Klary. Odpowiedziała na dwa, może trzy, a na następne pięć już nie starczyło jej ochoty. Owszem, tęskniła za Klarą, bardzo długo wspominała ją z czułością, jednak w listach nie umiała zawrzeć ani tęsknoty, ani tego, co było najistotniejsze.

W Tucholi zrobiło się jakoś dziwnie smutno. Skończyły się letnie i zimowe zabawy, amatorski teatr zawiesił działalność, ludzie woleli siedzieć w domach, niż gdziekolwiek bywać. Jeszcze rzemieślnicy czasem coś wymyślili, choćby kolędę połączoną z towarzyskim spotkaniem, ale zaprosili tylko swoich członków. Jadzia pierwsza zbuntowała się przeciwko gnuśnieniu i zaprosiła całe towarzystwo na sylwestrową potańcówkę. Przywiozła z Torunia sporo nowych płyt, przygotowała jakieś jedzenie i wydała bal. Aleksy wymalował dwa plakaty, które powiesili na ścianach. „Ma być wesoło” i „Uprasza się o nieporuszenie tematów politycznych”.

Zaczęli tańczyć. Początek nie był taki zły.

Żegnajcie, dawne wspomnienia, Żegnajcie, burze i serc uniesienia...

- Pamiętacie, jak zamiast „do widzenia” mówiłyśmy „Kochanku mój, żegnam cię, bywaj zdrow” - odezwała się Stefania, wywołując ogólną radość.

Kochanka wszyscy pamiętali.

- Jak pierwszy raz tak powiedziałaś, to kompletnie mnie zatkało - przypomniał sobie Alojzy.

- Dlaczego?

- Ze skromności.

Odwrócił głowę, zasłonił oczy ręką, co przy jego wzroście i tuszy potęgowało komizm. Jadzia zmieniła płytę.

Jesienne róże, róże cudne herbaciane, Jesienne róże mówią nam o pożegnaniu...

Z melodii na melodię robiło się coraz smutniej. Nikt nie chciał, żeby to była ostatnia niedziela czy tam sobota, nikt nie myślał o rozstaniu, ale tańczyli, póki grała muzyka.

- Za rok na sylwestra sam zorganizuję wielki bal z orkiestrą i szampanem, zobaczycie! - powiedział Aleksy.

Dostał wielkie brawa. Skąd mógł wiedzieć, że w następnym roku na sylwestra jego uroczą żonę Jadka będzie przypominała małe słoniatko?

Nie, tego nie mógł przewidzieć. Dopiero w lipcu albo sierpniu szczęśliwa i spłoniona Jadzia wyznała mu, że jest w błogosławionym stanie. Dziecko miało się urodzić w marcu trzydziestego dziewiątego roku. Franciszek Jaskólski na wieść o wnuku z trudem opanował wzruszenie. Miał już pięcioro wnucząt, troje u Leona, dwoje u Antona, ale teraz mamą miała zostać ukochana córeczka. Nazwisko się nie liczyło, tylko Jadzia i jej dziecko. Usta mu drżały, kiedy przytulał córkę. Zaraz potem, pierwszy bodaj raz, serdecznie i bez oporów uściskał Aleksego.

- Powiem wam, moje dzieci, że skoro sklep się rozwija i wnuk w drodze, to ja też słowa dotrzymam. Do posagu Jadzi dołożę wam obiecane dziesięć tysięcy, ale w dwu ratach. Tylko ty, Aleks, dbaj mi teraz o Jadzię. Kobiety w odmiennym stanie wymagają dużo starań.

- No, no! - zdziwiła się Felicja. - I kto to mówi?! Cztery razy patrzyłeś na mój odmienny stan i nie pamiętam, czy usłyszałam od ciebie jedno dobre słowo.

Franciszek pięć tysięcy dał w środku lata, resztę zobowiązał się wypłacić na wiosnę następnego roku. Jadzia z całą ufnością powierzyła pieniądze mężowi. Mogła się z nim nie zgadzać w wyborze lampy, natomiast w finansach ufała mu absolutnie. To on miał zdecydować, co zrobić, żeby nie stracić, tylko pomnożyć zysk. Chwiejna sytuacja na rynku nie zachęcała do lokowania oszczędności w banku, więc Aleksy wybrał lokatę w towarze. Sprowadził z Łodzi materiały, które z trudem dało się pomieścić na zapleczu.

- Myślisz, że sprzedamy to wszystko? - spytała ze strachem Jadzia, wodząc oczami po zapchanych regałach.

- Materiał jeść nie woła i może poleżeć - tłumaczył jej cierpliwie. - Ceny zaczynają rosnać i za rok, może za dwa zaczniemy sprzedawać z dużym zyskiem.

- Skoro tak mówisz, to na pewno tak będzie.

Do interesów Jadzia się nie wtrącała. Gdyby przyszło jej zastąpić męża w sklepie, byłaby w poważnym kłopotcie. O handlu nie miała zielonego pojęcia, w przeciwieństwie choćby do bratowej Marysi, która wywodziła się z rodziny kupieckiej i - jak czasem mawiał ojciec - zdechłą krowę też by potrafiła sprzedać. Marysia parę razy zagadywała Aleksego i Antona o pracę. Nie robiła tego z życiowej konieczności, tylko z umiłowania handlu. Dzieci już miała podchowane i szukała dla siebie jakiegoś zajęcia, które pozwoliłoby jej wyrwać się na trochę z domu. Aleksy na razie nie potrzebował pomocy w sklepie, razem z Jadzią natomiast zdecydowali, że potrzebna im będzie pomoc w domu, zwłaszcza kiedy na świecie pojawi się maleństwo. Jadzia myślała teraz wyłącznie o dziecku. Wybierała meble, szukała kołderek, powłoczek, ubranek. Pod ścianą stało białe, lakierowane łóżeczko, nakryte różową kapą. A pod łóżeczkiem nocnik w różyczki, jedyny błękitny akcent w pokoju przypominającym biało - różową bombonierkę.

- Nie wiem, córka, czy ty dobrze robisz - zastanawiała się matka. - Za moich czasów szykowało się wyprawkę po urodzeniu dziecka, żeby przedwcześnie nie zapeszyć. A ty już nawet płć wybrałaś, bo różowy kolor to dla chłopaczka.

- Chłopiec będzie, proszę mamy, ja to czuję. Damy mu na imię Pawełek.

- A jak będzie dziewczynka?

- To też będzie Pawełek - roześmiała się Jadzia.

Nieoceniona matka miała dobrą rękę do pomocy domowych i wynalazła Trudę, drobną, szczupłą kobietę, która z dumą przedstawiała się jako Rosicka. Jej matka była Niemką

i Truda po niej odziedziczyła imię. Zamiłowanie do porządku również. Była czysta, dokładna, można powiedzieć: akuratna. Jej ulubione zdanie brzmiało: „Niech pani siedzi, niech pani się nie rusza, ja to zrobię”. Gdyby Jadzia słuchała Trudy, wyglądałaby jak słonica, nie jak słoniątko. Musiała się ruszać, choćby dla zdrowia, więc zaczęła chodzić na spacer, przy okazji odwiedzała przyjaciółki, żeby jak najwięcej się dowiedzieć o pielęgnowaniu niemowląt.

- Obowiązkowo pętać nóżki, żeby nie miało krzywych - radziła Stefania.

- Dziecko musi mieć ciepło, bo wszystkie choroby biorą się z przeziębień - mówiła Marta.

- Uważaj na uszy - przestrzegała Ola. - Jakby miało lekko odstające, trzeba mu wkładać czapeczkę, to się przyklepią.

Jedynie Helga powstrzymywała się od rad. Nie miała dzieci, nie miała doświadczeń.

- Ładnie wyglądasz - mówiła Jadzi. - Masz taką gładką, spokojną twarz. Charakter też ci złagodniał.

- Nie opowiadaj, zawsze miałam łagodny charakter.

- Znam parę łagodniejszych kobiet - roześmiała się Helga.

- Ułożyło wam się z Karlem? - zmieniła temat Jadzia.

- Jakoś, czyli ani dobrze, ani źle. On też złagodniał, ale chyba twoja ciąża nie miała na to wpływu.

- Mam nadzieję - mruknęła Jadzia.

Z Helgą ostatnio trudno się rozmawiało, bo wciąż operowała niedomówieniami i zagadkami. Jadzi nie chciało się odgadywać ukrytych intencji. Kiedyś lubiła Helgę właśnie za prostolinijność, której teraz zabrakło. Karla nie widziała już dawno. Często wpadł do Aleksa do sklepu, ale na górę prawie nie zachodził.

W ciąży rzeczywiście wyglądała ładnie. Pani Berta uszyła jej elegancką sukienkę, z tyłu zebraną w gumkę, z przodu puszczoną luźno, tak że tuszowała zniekształconą sylwetkę. W

domu Jadzia lubiła siadać w głębokim fotelu, z rękami ułożonymi na brzuchu. W ten sposób oswajała małeństwo, tak jak kiedyś oswajała meble w mieszkaniu. Meble były na całe życie i dziecko też miało być na całe życie, chociaż w innym sensie. Nie umiała sobie wyobrazić, jak będzie wyglądało po urodzeniu, a jak w wieku trzech lat, do kogo okaże się podobne, czyj charakter odziedziczy. Godzinami mogła tak myśleć i wcale jej to nie nudziło.

- Kopie? - spytała kiedyś Truda.

- Teraz nie, ale czasem potrafi dołożyć. Truda ma dzieci?

- Nie, ja to chyba będę przed piekłem kozy pasać.

- Co to znaczy?

- Tak u nas na wsi mówi się o starych pannach. Mnie zamążpójście niepisane.

- Jaka Truda jest stara?

- Dwadzieścia pięć lat już skończyłam.

Jadzia spojrzała zaskoczona. Była pewna, że Truda jest z dziesięć lat od niej starsza. Nie powiedziała tego głośno, co by znaczyło, że charakter rzeczywiście jej złagodniał.

Siedemnastego marca Aleksy z dumą i wzruszeniem napisał do Józefów:

„Moi drodzy! Donoszę Wam, że dziś w nocy urodził nam się zdrowy syn. Na imię damy mu Paweł. Jadka czuje się dobrze. Na Wielkanoc planujemy chrzciny, na które Was serdecznie zapraszamy. A Ciebie, Józefie, prosimy już teraz na ojca chrzestnego”.

Paweł, zwyczajem wszystkich niemowlaków, nie miał szacunku dla spokoju rodziców. W nocy koncertował, w dzień spał, jakby chciał im dać do zrozumienia, że skończyły się dobre czasy. Aleksy schodził rano do sklepu niewyspany, Jadzia słała się na nogach, ale znosili to dzielnie.

- Gdybym jeszcze wiedziała, dlaczego on tak płacze - mówiła Jadzia.

- Dziecko nie wychowa się bez płaczu - pocieszała ją matka.

- Mógłby to jakoś rozłożyć w czasie: mniej w nocy, więcej w dzień, żeby choć Aleksy się wyspał.

- To mu przetłumacz, wygląda na bystrego chłopaka, na pewno zrozumie - żartował ojciec.

Tak jak kiedyś ze wzruszeniem oglądał swoją maleńką córkę, tak teraz nie przestawał wpatrywać się w Pawełka. Napominał Jadzię, żeby się dobrze odżywiała i piła bawarkę. Od bawarki podobno przybywa pokarmu, twierdził. Nawet Felicja nie umiała powiedzieć, skąd jej mąż czerpał takie wiadomości.

W kwietniu Jadzia zaczęła wyjeżdżać z dzieckiem na spacer. Pod samymi oknami miała piękny skwer, chodziła więc wokół niego, z dumą pchając przed sobą wózek. Macierzyństwo sprawiało jej niewysłowioną radość. Aleksy czasami wychodził przed sklep i machał im ręką. Wydawało się, że nic nie jest w stanie zakłócić tego spokojnego szczęścia. Wprawdzie ludzie coraz częściej przebąkiwali o wojnie, lecz Jadzia im nie wierzyła. Aleksy mówił, że też nie wierzy, chociaż zaczął znikać wieczorami z domu i często wracał mocno zasepiony. To był ten czas, kiedy na ulicach zaczęły się pojawiać plakaty zapewniające, że polski żołnierz nie odda nawet guzika od munduru.

- Wciąż gdzieś biegasz, nie ma cię w domu - narzekała. - Znowu jakieś męskie sprawy?

Nie była zbyt ciekawa tych spraw. Sam jej mówił, że był u Gabrycha albo u Świerczyńskiego, że rozmawiali długo w noc.

W którąś niedzielę wybrał się do Torunia. Pojechał sam, bo Jadzia bała się wyruszać w podróż z niemowlęciem.

- Wiesz, Jadka - powiedział po powrocie - załatwiłem samochód i wywożę trochę materiałów do Józefa. Na

Łaziennej są solidne, suche piwnice, już przygotowaliśmy miejsce.

- Ale dlaczego? To jest towar na sprzedaż, powinien być pod ręką, nie gdzieś w Toruniu.

- Zaczyna być niespokojnie.

- Jesteś tego pewien?

- Jestem. Nie można trzymać w jednym miejscu wszystkiego, co się ma. To zbyt niebezpieczne. Wywieziemy też twoją pelisę i te trochę złota, co masz. Parę rzeczy odda się rodzicom na przechowanie. Uwierz mi, tak będzie lepiej.

- Czy coś nam grozi?

- Jadka, nie wiem! Może nic, a może wielka katastrofa. Próbuję nas zabezpieczyć przed utratą wszystkiego, co mamy. Coś mi podpowiada, że tak właśnie trzeba.

Tym razem nie uwierzyła mężowi. Była przywiązana do biżuterii, do pelisy, nie chciała ogałacać domu tylko dlatego, że Aleksy miał jakieś przewidzenia. Z drugiej jednak strony to on był głową rodziny i jeżeli coś postanowił, musiała posłusznie pogodzić się z chwilowymi fanaberiami. Tak właśnie myślała o tym wywożeniu rzeczy: fa - na - be - rie. Paweł się rozplakał, pobięła do dziecinnego pokoju. Usłyszała, że Aleksy idzie na dół. Chwilę potem przed dom podjechał ciężarowy samochód.

Wieczorem całkiem nieoczekiwanie wpadli Karl z Marcinem.

- Młodego Jastańskiego słyszę, a gdzie stary? - spytał Karl.

- Aleksego nie ma w domu.

- To jeszcze nam zdradź, gdzie jest, i uciekamy.

Już miała powiedzieć prawdę, bo niby czemu nie, ale wystraszyła się kpin Karła. Nie chciała słuchać, że Aleksy ma źle w głowie, bo własny towar wywozi daleko od sklepu i ogałaca mieszkanie z najcenniejszych rzeczy.

- Nie wiem. Przewijałam dziecko, nie dosłyszałam, co mówił.

- Oj, chyba źle cię rodzice wychowali, jeżeli nie słuchasz, co mąż do ciebie mówi. - Karl pokręcił głową.

- Martw się, Karl, o swoje wychowanie, bo naprawdę jest o co! - odgryzła się Jadzia.

Wybuchnął śmiechem.

- Ładna jesteś, jak się złościysz. Niewiele kobiet znam bliżej, może jakieś kilkadziesiąt, nie więcej, ale ty do żadnej nie jesteś podobna.

- Jedyna piękność wśród znanych ci pań, to chciałeś powiedzieć - zakpił Marcin.

Karl śmiał się na cały głos, jakby nigdy nie słyszał lepszego dowcipu.

Nie zapraszała ich do pokoju, nie próbowała częstować herbatą i chyba minę miała niezbyt zachęcającą, bo wreszcie wyszli. Ich beztroski rechot słyszała jeszcze na schodach. Machnęła ręką na nieproszonych gości i głupie żarty. Pawełek krzychał coraz donośniej.

Nadeszło piękne, upalne lato. Młode drzewa na skwerku nie dawały schronienia przed słońcem i spacerzy przestały być przyjemnością. Jadzia zlecała Trudzie przygotowywanie obiadów dla pana, a sama jechała z dzieckiem na Seminaryjną. Stary ogród, który doskonale pamiętał jej dzieciństwo, nie skąpił cienia także Pawełkowi. Dziecko siedziało sobie w wózczyku i śliniło się niemiłosiernie.

- Zębów szuka, mądry chłopak! - mówiła Gawronowa. Pierwszy ząb zastukał w łyżeczkę jak dzwoneczek. Jadzia

karmiła synka tartym jabłkiem i z miejsca narobiła radosnego krzyku. Matka przybiegła oglądać ząb i na moment przysiadła obok córki. W milczeniu obserwowały kolorowego motyla, trzepoczącego skrzydłami na brzegu talerzyka. Ogród

tchnął spokojem. Żółte nagietki pięknie odbijały od szarej ściany domu, powietrze pachniało skoszoną trawą.

- Jak myślisz, córka, będzie wojna?

- Radio mówi, że nie.

- Radia to i my słuchamy. Mnie bardziej ciekawi, co mówi Aleksy. Czemu on dał mi na przechowanie jakieś wasze papiery, jakieś ubrania? Może wie coś więcej?

- Wcale tego nie pochwalam, proszę mamy, że on wywozi wszystko z domu. Mężowie chyba też mogą się mylić, jak mama myśli?

- Ano, czasem się mylą, jednak trzeba wierzyć, że chcą dobrze. Twój ojciec mówi, że wojny nie będzie. Na wszelki wypadek zrobiłam trochę zapasów. Jak w domu jest mąka, kasza i słonina, to głód nie grozi.

Pawełek zapłakał i matka wzięła go na kolana. Jej opalona ręka, pokryta siatką żył, wydawała się prawie czarna przy jasnej buzi dziecka. Jadzia patrzyła ze ściśniętym sercem. Matka to była matka, wciąż jednakowa, a tu nie wiadomo skąd siwe włosy, zmarszczki smutku wokół ust, całkiem jakby starość zaatakowała ją podstępnie i znienacka. Wczoraj jeszcze młoda i silna, dzisiaj krucha i mała. Co będzie jutro? Jadzia rzadko zastanawiała się nad jutrem, przynajmniej jeżeli chodziło o rodziców. Nie dopuszczała myśli, że może ich zabraknąć. Jutro było dobre dla Pawełka, który miał rosnąć, rozwijać się i mądrzeć, rodzice powinni trwać wiecznie tacy sami. Bodaj po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że kiedyś ich utraci.

- „Bo był otwarty raj także i mnie w dzieciństwie mem” - szepnęła bezwiednie.

- Co mówisz, córka?

- Wiersz mi się jeden przypomniał - uśmiechnęła się prawie żałośnie.

- Wiersz? A wiesz ty, że nigdy bym cię o wiersze nie posądzała. Prędzej Olę albo Marysię, bo one takie poetyckie, a ty wdałaś się w ojca, twarda jesteś.

Jadzia z czułością pocałowała rękę matki. Choć nie była skora do płaczu, widziała tę rękę jakby podwójnie.

- Nie będzie wojny, proszę mamy, na pewno nie będzie - powiedziała z przekonaniem.

Pensja (5)

Paweł obiecał Izie, właścicielce kamienicy, że w ciągu miesiąca uporządkuje mieszkanie matki. Był to lokal zapisany Jadwidze dożywotnio i - choć ona jeszcze żyła - na Łazienną już nie miała wrócić. Przez lata nazbierało się trochę mebli i rzeczy, bo człowiek, dopóki żyje, lubi gromadzić. Uporządkować - znaczyło pozbyć się wszystkiego. Nie było to wcale proste. Graty kuchenne, tapczan i stary fotel Aleksego nadawały się jedynie do wyrzucenia na śmietnik, cała reszta mogła się jeszcze komuś przydać, nie bardzo tylko było wiadomo komu i gdzie tego kogoś szukać. Leokadia nie chciała z domu teściowej nic, nawet jednej szklanki. W upływnianiu mebli i ubrań trochę pomogła pani Jola, trochę znajomi Pawła i w mieszkaniu zaczęło się robić coraz bardziej przestronnie i smutno. Każdy przedmiot miał jakąś swoją historię, wtopił się w kąty, zasiedział, aby na koniec stać się całkiem zbytecznym. Paweł zabrał jedynie zdjęcia, dokumenty, stary niemiecki leksykon i biżuterię matki. Pomyślał, że może kiedyś naszyjnik z akwamarynów i zaręczynowy pierścionek z szafirem znajdą uznanie w oczach Anety, jeżeli nie jako ozdoby, to jako pamiątki po babce. Aneta wprawdzie nie była ani trochę sentymentalna, żyła wyłącznie do przodu, ale wszystko miała jeszcze przed sobą, łącznie z czasem na refleksję.

Przedpołudnia spędzał na Łaziennej, popołudniami wpadał do domu opieki i tylko wieczory mógł ofiarować żonie. Przez ostatnie trzy lata mieszkali osobno i teraz musieli odbudowywać dawną serdeczną więź. Między nimi wciąż stała matka.

Choroba Klary źle podziałała na Jadwigę. Ubzdurała sobie, że koleżanka cierpi przez nią, że ma żal o te wszystkie listy, na które nie dostała odpowiedzi.

- Dzisiaj jeszcze wezmę masaż, jutro wracamy do domu - powiedziała, ledwie Paweł stanął w drzwiach.

- Przecież mówiłem ci, że w domu remont. Kurz, brud, to nie dla ciebie warunki. Tu masz czysto i przyjemnie.

- Klara się na mnie obraziła.

- Rozmawiałem z panią psycholog. Powiedziała, że możemy odwiedzić Klarę. Nie zostaniemy długo, ale chwilę sobie porozmawiacie.

Matka kiwnęła głową bez większego entuzjazmu.

- Ona wygląda starszej ode mnie, co? - spytała już na korytarzu. - Jutro koniecznie przynieś mi lusterko.

Klara leżała z zamkniętymi oczami. Pewnie spała, bo nie międlila w ustach tych swoich ancugów i pindeli.

Jadzia przez chwilę na nią patrzyła, kręcąc z niedowierzaniem głową.

- Popatrz, Leon, co to się z człowieka zrobi? Piękna nigdy nie była, ale takiej starej też jej nie pamiętam. Kuźmińska mi mówiła, że ona zginęła razem z narzeczoną. Jak mogła zginąć, jeżeli tu sobie śpi? Wojna nam wszystkim namieszała w życiu, nie tylko Klarze. Cecylia kiedyś mi powiedziała, że Bóg mądrze zrobił, zabierając Aleksego wcześniej, bo przy mnie to on by zwariował. To wcale nie tak. Ja dopiero po jego śmierci zrobiłam się w środku całkiem nieczuła. Wcześniej taka nie byłam. Matka kazała mi być miłą dla ludzi, żeby i oni byli dla mnie dobrzy. Co ja miałam zrobić, jak po śmierci Aleksego spotykałam samych niemiłych?

Wygnanie z raju

W piątek usiedli do śniadania. Aleksy włączył radio, zaśmiał się, że na dobre wiadomości nigdy nie jest za późno, i w jednej chwili oboje stracili ochotę do żartów. Niemcy byli w Gdańsku, Tczewie, Wieluniu, na Westerplatte. Lada godzina mogli pojawić się w Tucholi.

- Co nam mogą zrobić? - gorączkowała się Jadzia. - Wprowadzą swój język, swoich urzędników, ale chyba nie będą się czepiać zwykłych ludzi. Będzie trudno, może głodno... Aleksy, co nam mogą zrobić?

Przytulił ją mocno.

Odpowiedź na pytanie: „Co nam mogą zrobić?”, najszybciej poznała Ola. Wciąż jeszcze chodziła do magistratu, żeby porządkować dokumenty. Wpadła któregoś dnia przed wieczorem.

- Musicie uciekać - powiedziała. - Najszybciej, jak się da, i najdalej, jak to możliwe. Aleksy jest na liście. Anton poszedł do Wiktora i Alojzego, ja biegnę dalej.

- A Gabrych? Świerczyński, Lewandowski... Przerwała mu wyliczanie.

- Wszyscy ze Związku Zachodniego i jeszcze wielu innych.

- Pytam, czy tamci wiedzą?

- Staramy się dotrzeć przynajmniej do tych, których znamy.

- O jakiej liście mówicie? - przeraziła się Jadzia.

- Niemieckiej - wyjaśniła Ola. - Niemcy uznali ponad osiemdziesięciu mieszkańców Tucholi za wrogów Rzeszy. Członkowie Związku Zachodniego, nauczyciele, księża, burmistrz. Pakujcie najpotrzebniejsze rzeczy, bierzcie dziecko i wyjeżdżajcie z miasta natychmiast.

- Widziałaś tę listę?

- Ten, kto ją widział, nie kłamie. Jeśli ktoś go wyda, nawet niechcący, zapłaci życiem. Ale zaryzykował.

- Wiadomo, co grozi tym z listy? - spytała Jadzia.

- A co się robi z wrogami w czasie wojny? Są skazywani na śmierć, nie łudź się, że tym razem będzie inaczej.

W godzinę byli spakowani. Krążyli po mieszkaniu w milczeniu. Każdy ruch był celowy. Aleksy przyniósł ze schowka walizkę, Jadzia wyjmowała z szafy najpotrzebniejsze rzeczy: bieliznę osobistą, koszule dla Aleksego, dla siebie bluzki. Po chwili zastanowienia dorzuciła też swetry. Na razie było ciepło, skąd jednak mogła wiedzieć, jak długo zabawią na wygnaniu. Najwięcej miejsca zajęły pieluszki i ubranka Pawełka. Aleks zamknął walizkę i dodatkowo obwiązał ją paskiem.

- Mamy wszystko? - spytał.

- Jeszcze wózek i nocnik. Rano spakuję trochę jedzenia, żeby nie sprawić Cecylii zbyt dużo kłopotu - powiedziała i przytuliła się mocno do męża.

Dopiero teraz mogła sobie pozwolić na chwilę słabości, ale bez płaczu, bez pochlipywań. Nie na darmo wszyscy mówili, że jest twarda. Siłę charakteru najlepiej widać w trudnych chwilach.

- Nie możemy się zatrzymać u Józefa - szepnął jej do ucha Aleksy. - Musimy wyjechać z Pomorza. Władek nas tyle razy zapraszał, wreszcie jest okazja - westchnął - żeby go odwiedzić. To dobre miejsce, młyn za Sochaczewem, z dala od ciekawskich oczu, uwierz mi, Jadko, na początek nic lepszego nie wymyślimy. Truda dopilnuje mieszkania, Marysię poprosimy, żeby zajęła się sklepem, da Bóg to i my nie będziemy siedzieć w Sochaczewie nie wiadomo, jak długo.

Jadzia chciała z rana wpaść do rodziców, pożegnać się przed podróżą, Aleksy jednak zdecydował inaczej. Wysłał ją na dworzec z Pawełkiem, a na Seminarijną poszedł sam.

- Nie możemy urządzać rodzinnej procesji przez całe miasto - mówił pośpiesznie. - To zbyt niebezpieczne. Nie biegnij, idź tak, jakbyś się wybrała z dzieckiem na spacer. Spotkamy się w dworcowej poczekalni.

Strach dopadł ją jeszcze na Świeckiej. Po raz pierwszy bała się iść ulicami rodzinnego miasta. Coś przerażającego było w tej potajemnej ucieczce. Jechała, nie wiadomo gdzie, nie wiadomo, na jak długo, i nawet nie mogła pożegnać się z rodzicami ani z przyjaciółmi. Musiała mocno nad sobą panować, żeby nie wpaść w panikę na widok Niemców w mundurach. Na Dworcowej natknęła się na matkę Helgi. Przy spotkaniach rzadko wychodziły poza Guten Tag (dzień dobry (niem.)), tym razem jednak pani Rothowa zatrzymała się przy wózku, żeby popatrzeć na Pawełka.

- Frau Hedwig, miałam właśnie iść do waszego sklepu. Moja Helga mówi, że powinniście wyjechać z miasta, kazała was ostrzec. Ona dobrze mówi, wam trzeba uciekać - szeptała gorączkowo.

Nie patrzyła na Jadzię, tylko na Pawełka. Wyglądało to tak, jakby dziecku powierzała największą tajemnicę.

- Właśnie wyjeżdżamy, Frau Roth.

- A Herr Aleks?

- Spotkamy się na dworcu.

- Gott sei Dank! (Dzięki Bogu! (niem.)) - powiedziała z wyraźną ulgą starsza kobieta.

Na żartach może się nie znała, za to powagę sytuacji umiała docenić. Odeszła spiesznie, jakby się bała, że ktoś może mieć do niej pretensję o chwilę rozmowy na ulicy.

Dworzec kolejowy kojarzył się Jadzi z wyjazdami do Torunia i wycieczkami, jakie jeszcze do niedawna odbywała z

Aleksym. Były to miłe skojarzenia. Lubiła tę wysoką salę z zegarem nad kasami biletowymi, ławkami wzdłuż ścian i kolumnami wspierającymi sufit. Dworzec był jak przepustka do innego świata. Raz tylko, jako mała dziewczynka, wyszła z peronu szczerze zapłakana. To było wtedy, kiedy Józef odjeżdżał na front. I właśnie tamto wspomnienie do niej wróciło. Józef, w hełmie z dzyndzołkiem i w długim płaszczu, i ona, kurczowo uczepiona poły, żeby nie zgubić brata w tłumie. Teraz też ludzi było sporo, nawet rozpoznała kilku znajomych z rodzinami, tobołkami i ze strachem w oczach. Podszedł do niej redaktor Lewandowski, dobry znajomy Oli.

- Niech pani tylko pomyśli, co ta historia z nami wyrabia!
- powiedział, całując ją w rękę. - Tu się urodziłem, tu wyuczyłem zawodu, a teraz muszę zostawiać drukarnię, introligatornię, księgarnię, cały dorobek życia, iść z rodziną na tułaczkę, tylko dlatego, że jestem Polakiem, mieszkam na swojej ziemi i tej ziemi chciałem służyć. Nie widzę w tym żadnej logiki.

- A czy w wojnie jest w ogóle jakaś logika? - zdziwiła się Jadzia.

- Ostatnia wojna przyniosła nam wolność, więc przynajmniej można na nią patrzeć pod kątem sprawiedliwości dziejowej.

- Tamta przyniosła, ta znowu zabiera. - Uśmiechnęła się bezradnie.

- Tak, tak, to jest temat na wielki esej. Może kiedyś, jak ta zawierucha się skończy, wrócimy do naszej rozmowy.

Uchylił kapelusza i odszedł do swoich.

Pawełek zaczął się niespokojnie kręcić i popłakiwać. Właśnie nadeszła pora karmienia, a Aleksy nie wracał. Jadzia bezradnie rozglądała się wokół. Ludzie byli zajęci swoimi sprawami, pilnowaniem tobołków i dzieci, mimo wszystko jednak wzdragała się przed wyjęciem piersi. Przysiadła na

brzegu ławki i huśtała synka w ramionach. Sąsiadka obok, starsza już kobiecina, trąciła ją w ramię.

- Kochaneczko, ja tak słucham, jak to twoje maleństwo zawodzi i coś mi się zdaje, że ono nie chce kolebania, jeno cyca. Jak wychowasz swoich dziesięcioro, to też nauczysz się z płaczu czytać. Nakarm ty go, ja cię osłonię.

Przez to osłanianie Aleksy z największym trudem odnalazł żonę. Kobiecina była szeroka niczym słup ogłoszeniowy, na szczęście nie zdołała zakryć całego wózka. Po wózku trafił na właściwy trop.

Pociąg włókł się niemiłosiernie, przystawał, przepuszczał inne, uprzywilejowane, i znowu jechał, wypadając ze wszystkich chyba rozkładów jazdy. W Skierniewicach byli ciemną nocą i musieli przesiedzieć do rana na dworcu. Do młyna dotarli koło południa, nieludzko zmęczeni i brudni.

To miejsce wyglądało niczym oaza spokoju. Murowany dom otoczony ogrodem stał na niewielkim wzniesieniu, drewniany młyn był nieco w dole, nad rzeką. Władek wciąż jeszcze siedział na swoim, ale lada dzień mogło się to zmienić. W mieście Niemcy przejmowali zakłady wytwórcze i sklepy, więc należało się liczyć z możliwością, że o młynie też sobie przypomną. Pozornie wszystko było jak dawniej: chłopci przywozili ziarno, odjeżdżali z kaszą i mąką, tylko to, co opowiadali, nie chciało się mieścić w głowie.

Władek do sierpnia miał dwu młodych pomocników i obydwaj zostali zmobilizowani. Męczył się sam i żartował, że zrobi z brata najlepszego młynarza wśród kupców. Codziennie szli razem do pracy i Aleksy rzeczywiście nie szczędził sił, żeby choć częściowo odwzajemnić się za gościnę. Jadzia niańczyła Pawełka, a w wolnych chwilach pomagała Helence. Nawet całkiem nieźle się zgadzały, chociaż młodsza pani Jastańska, przyzwyczajona do miejskiego życia, nie umiała polubić wsi. Kury nie chodziły, co prawda, po pokojach, ale

po sieni i kuchni, to i owszem. Wszędzie też panoszyły się koty, bo jak mówiła Helena, gdzie ziarno, tam myszy, a gdzie myszy - obowiązkowo potrzebny jest kot.

Aleksowie zamieszkali w małym alkierzu bez okna. Wrzesień był ciepły, w alkierzu duszno, a wywietrzyć się nie dało. Jadzia zacisnęła zęby i obiecała sobie nie narzekać. Nie było jednak dnia, żeby nie tęskniła za swoim mieszkaniem, rodzicami i dawnym życiem. Tuchola wracała do niej nocą. Budziła się z radością, że może cała ta tułaczka okaże się tylko snem, otwierała oczy, widziała pobieloną ścianę z „Ostatnią wieczerzą” i marzenia pryskały. Ranki były najgorsze.

Gdzieś tak w połowie września Aleksy wybrał się na pocztę do Sochaczewa. Udało mu się dodzwonić do sklepu i wrócił bardzo podniesiony na duchu. Z emocji prawie zapomniał o jedzeniu. Kiedy wszyscy zasiedli do kolacji, on wciąż przeżywał i opowiadał.

- Marysia mówi, że nikt o mnie nie pytał ani w sklepie, ani w domu. Karl parę razy zaglądał, żeby sprawdzić, czy nie trzeba w czymś pomóc. Mnie się zdaje, że powoli możemy myśleć o powrocie, że nie jest tak groźnie, jak to wyglądało na początku. Niemcy też zapewniają, że na Pomorzu już spokój.

- A co u rodziców?

- U rodziców i u Antonów dobrze. Stefania z Alojzym nie wrócili z wakacji, jak powiedziała Marysia.

- Z jakich wakacji? Czy ona oszalała?

- Mądrze mówiła. Skąd możemy mieć pewność, że na poczcie nikt nie podsłuchuje rozmów? Musimy się znowu przyzwyczaić do konspiracji. Z tego, co zrozumiałem, Wiktor siedzi w więzieniu na Dworcowej. Ale mogłem źle zrozumieć.

- To by znaczyło, że aresztują tych ze Związku Zachodniego, tak? A innych z listy aresztowali?

- Dziecino - pogłodził Jadzię po policzku - o tej liście zapomnij. Nam nie wolno o niej nawet myśleć, nie mówiąc o głośnym gadaniu.

- To może nie wracajmy, może jeszcze za wcześnie?

Przez kilka dni Helena z Jadzią smażyły powidła. Wystawiły do sadu przenośną kuchnię na nóżkach i zajęły się mieszaniem owocowej masy, a że śliwki lubią przywierać do dna, musiały dość energicznie machać drewnianymi łyżkami. Z sadu widać było młyn i kręcących się ludzi.

- Spójrz na tego jegomościa, tego na rowerze - Helena zniżyła głos do szeptu, chociaż nikt nie mógł ich usłyszeć. - Kupuje u nas mąkę na swoje potrzeby. Podobny jak dwie krople wody do Aleksandra Żabczyńskiego. Znasz?

- Ten, co śpiewał z Mankiewiczówną „Taka noc”..?

- Ja go uwielbiam jako aktora. Porucznik Niko w „Manewrach miłosnych”, baron Ziemiński w „Dzikusce”, widziałaś?

- Tylko „Manewry”. My nie bywaliśmy tak często w kinie. Woleliśmy tańce.

- Zanim Władek kupił młyn, mieszkaliśmy w Sochaczewie i chodziliśmy na wszystkie filmy. To było życie!

- A co z tym Żabczyńskim, który nie jest Żabczyńskim? Dlaczego mi go pokazałaś?

- Bo to piękny łajdak. Wykształcony, elegancki, bardzo inteligentny mężczyzna. Ktoś kiedyś doniósł jego żonie, że on całe wieczory spędza... no wiesz... w domu schadzek. Żona poszła pod ten dom, zaczaiła się obok, żeby go złapać, jak będzie wychodził. Potem całe miasto się śmiało, że w życiu nie miała takiego powodzenia, jak w tę jedną noc. Śmieszne, prawda?

- Nie bardzo - mruknęła Jadzia. - Nie chce mi się wierzyć, żeby inteligentny mężczyzna bywał w domach schadzek.

- Głównie tacy tam bywają.

- Nie u nas na Pomorzu - stwierdziła Jadzia z przekonaniem.

- Tylko tego brakuje, żebyśmy się posprzeczały o domy rozpusty - roześmiała się Helena. - Popatrz, taki piękny dzień, my tu sobie mieszamy powidła, rozmawiamy o kinie, całkiem jakby wciąż trwał ten nasz bezpieczny świat, do którego przywykłyśmy. A tu wojna przecież. Wy możecie stracić sklep, my młyn i dobrze będzie, jak ocalimy życie.

- A teraz dobrze będzie, jak żadna z tych os nas nie użądli! - mruknęła Jadzia, odganiając znad rondli uprzykrzone owady. - Coś mi się zdaje, że początek wojny będzie mi się kojarzył głównie z osami, z zapachem śliwek i umączonym Aleksym.

- To go nie męcz!

Znaczące spojrzenie Heleny rozbawiło Jadzię.

- Białym od mąki, to miałam na myśli.

Zaczęły się śmiać jak dwie rozdokazywane panienki.

Pod koniec września Aleksy jeszcze raz był na pocście i rozmawiał z Marysią. Uspokajała go, że choć mało kto myśli teraz o kupowaniu wełen i bławatów, to jednak wokół domu i sklepu jest spokój. Podobno nawet Karl się dziwił, że Jastańscy zrobili sobie aż tak długi urlop.

Ostatecznie jednak o ich wyjeździe z Sochaczewa zdecydowała wizyta trzech Niemców. W piątek, dwudziestego dziewiątego września przed młynem zatrzymał się wojskowy samochód. Ci, którzy z niego wysiedli, nie potrzebowali przewodnika. Sami obeszlili cały teren, zajrzeli w każdy kąt i pogadali coś między sobą. Władek nie doczekał się ani słowa wyjaśnienia. Właściwie nie musieli nic mówić. Wiadomo było, że nie przyjechali po worek mąki, tylko po cały młyn. A czy go planowali wziąć jutro, czy pojutrze - to już naprawdę nie było ważne.

- Nie możemy was dłużej narażać - powiedział Aleksy. - Jak zaczną dochodzić, skąd przyjechaliśmy i dlaczego, może się zrobić groźnie. Podarowaliście nam niezapomniany miesiąc spokoju. Wyjedziemy w niedzielę rano. Da Bóg, w poniedziałek stanę za ladą.

Sobota upłynęła na przygotowaniach do podróży. Helenka upiekła kurę, jedną z tych wałęsających się po sieni, zapakowała słoje powideł, chciała jeszcze dać mąki i kaszy, Aleksy jednak zaprotestował. I tak mieli sporo bagaży. Wydawałoby się, że przed rozstaniem ludzie pragną sobie powiedzieć jak najwięcej. Oni zaś głównie milczeli, pogrążeni w niewesołych myślach. Jak ich było czworo, tak każdy miał swoje powody do obaw.

- Myślicie, że się jeszcze zobaczymy? - spytał przy pożegnaniu Władek.

Uściskali się bez słów.

Podróż powrotna minęła spokojnie. Pociągi kursowały w miarę planowo i nie były już tak bardzo przepełnione, jak na początku września. Do domu dotarli krótko przed godziną policyjną. Nieoceniona Truda zostawiła mieszkanie wysprzątane i Jadzia na nowo odkryła urok swojego gniazdka. Z Pawełkiem na rękach obeszła pokój po pokoju.

- Będzie dobrze, Aleks, czuję, że będzie dobrze - powiedziała. Była znowu u siebie, a wiadomo przecież, że w domu nic złego nie może człowieka spotkać. Usypiała przytulona do męża i szczęśliwa.

W poniedziałek rano Aleks zszedł do sklepu. Jadzi tak pilno było na Seminaryjną, że nie czekała nawet na Trudę. Zostawiła na stole kartkę: „Ładnie się postarałaś. Kładę pieniądze na zakupy. Zjemy, co ugotujesz. Wrócę na obiad”. Ta kartka to był dowód największego zaufania do służącej. Jako dobra pani domu Jadzia powinna wyliczyć co do grosza:

tyle i tyle na mięso, tyle na ziemniaki i tak dalej. Śpieszyła się jednak, nie miała głowy do liczenia i nie znała cen.

Matkę zastała w ogródku. Ojciec jak zwykle pracował. Wojna nie wojna, ale zbliżała się zima i ludzie musieli mieć sprawne piece.

- Nie wiem, córka, czy dobrze zrobiliście, wracając tak szybko - westchnęła matka, kiedy już ucałowała Jadzię i napatrzyła się na śpiącego wnuka. - Niepokojnie tu u nas w Tucholi, wciąż kogoś aresztują. Zabrali szewca Gabrycha i Wiktora. Martę spotkałam u Latzkego. Rozpacza, bo nie pozwalają jej zobaczyć męża. W co on się wplątał, ten Wiktor, że tak go pilnują? Jeszcze ci powiem, że Karl Kornmahler jest teraz w mieście bardzo ważną osobą. To on aresztował Wiktora i podobno Gabrycha.

- Karl aresztował Wiktora? To niemożliwe, proszę mamy. To brudna plotka i nawet nie warto jej powtarzać.

- Ty mi, córka, plotek nie zarzucaj - uniosła się matka. - Tylko tobie mówię, co słyszałam od starej Wolickiej. Wiktora z domu zabrali, więc trudno, żeby Wolicka nie poznała Karla. Co do Gabrycha, nie powiem, pewności nie mam.

Mimo że dzień był chłodny, Jadzia rozpięła żakiet, Czują, że jeszcze moment, a udusi się z wewnętrznego gorąca. Najchętniej zostawiłaby Pawełka u matki i pobiegła do domu, ale zbliżała się pora karmienia. Usiadła w bawialni z synkiem u piersi i nie mogła sobie poradzić z natłokiem myśli. Drżała o Aleksego. Pawełek, jak na złość, ssał leniwie, usypiał i znowu ssał. Karmienie trwało dwa razy dłużej niż zwykle. Zegar wybił południe, kiedy wreszcie mogła oddać małego pod opiekę matce.

W sklepie nie było klientów. Aleksy stał za kontuarem i bawił się nożycami. Był wyraźnie przygnębiony.

- Słyszałeś już o Karlu? - spytała od progu.

- Karl był tu przed godziną. Zamieniliśmy dwa słowa i poszedł.

- Co mówił? Tłumaczył coś, pytał, przecież nie wpadł, żeby ci powiedzieć dzień dobry?

- Wyglądało właśnie tak, jakby wpadł się przywitać. Obiecał, że wieczorem się spotkamy.

- Czy to możliwe, żeby on aresztował Wiktora? Aleksy zwiesił głowę i wodził palcem po ostrzu nożyc.

- Marysia tak mi właśnie powiedziała. Nie chce mi się wierzyć, ale... - Wzruszył bezradnie ramionami. - Próbuję oswoić się z myślą, że Karl może być groźny.

- Wyjedź do Torunia, do Józefa! - błagała go Jadzia. - Najlepiej zaraz. Ja wszystko spakuję i jutro albo pojutrze dojedziemy do ciebie z Pawełkiem.

- Jak długo mogę uciekać? - podniósł oczy na żonę. - Jeśli rzeczywiście Karl pracuje dla Niemców, znajdzie mnie i w Cekcynie, i u Józefa. Niewiele mieliśmy przed sobą tajemnic, zna całą moją rodzinę, wszystkie kontakty. Tylko kłopotu narobię bliskim. Trzeba mi zostać tu, gdzie moje miejsce, z tobą i dzieckiem. Zobaczymy, może jeszcze wszystko się wyklaruje.

- Za dużo mówiliście przy Karlu o różnych sekretach, za dużo - jęknęła Jadzia. - Byliście nieostrożni jak dzieci.

- A jakie to sekrety?! - zachnął się Aleksy. - Związek Zachodni był organizacją legalną, naszą, polską. My też działaliśmy legalnie, na swojej ziemi, nie na obcej. Że to się Niemcom teraz nie podoba, to całkiem inna sprawa.

- Żmija podstępna, gad przebrzydły! - denerwowała się Jadzia. - Takiego tylko zrzucić z Kazalnicy diabłu na pożarcie.

Aleksy objął żonę, próbował ją uspokoić, pocieszyć, chociaż sam był nie mniej wystraszony. Napomknął o obiedzie, żeby odwrócić myśli Jadzi od Karla. Obiad podzielał. To był codzienny rytuał: o drugiej w południe

Aleksy wywieszał w drzwiach tabliczkę „Przerwa” i szedł na górę. Teraz też tak zrobił. Było coś uspokajającego w tym zwykłym krzątaniu. Przekręcił klucz, sprawdził, czy drzwi zamknięte, na schodach przepuścił Jadzię pierwszą. Cicho było wokół i spokojnie.

Truda bardzo się postarała, żeby powitalny obiad wypadł okazale. Ugotowała zupę ze świeżej kapusty dość oszczędnie okraszoną. Mięso było rarytasem, zdobyła jednak niewielki kawałek wieprzowiny, zamieniła go na gulasz mięsno - grzybowy i podała razem z flyndzami. Wiadomo, że przy smażeniu placków mieszkanie przechodzi zapachem oleju, więc otworzyła kuchenne okno na całą szerokość.

Byli w połowie drugiego dania, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Truda zajrzała przerażona do stołowego. Wojna trwała ledwie miesiąc, a już zdążyła wyrobić w ludziach strach przed nieproszonymi odwiedzinami. Aleksy wyszedł do przedpokoju, za nim obie kobiety.

- Otwórzcie, to ja Marcin!

Głosowi towarzyszyło lekkie, jakby od niechcienia, popukiwanie w drzwi. Odetchnęli. Aleksy odciągnął zasuwę. Na progu stał Marcin, za nim trzech gestapowców. W przedpokoju zrobiło się tłoczno. Weszli do kuchni.

- Nie ma to jak w domu, co? - zażartował Marcin. - Aleks, chcemy z tobą porozmawiać gdzieś w ustronnym miejscu. To znaczy, moi towarzysze chcą, ja jestem tylko ich tłumaczem.

- Po co Aleksowi tłumacz? - zdziwiła się Jadzia.

- Nie przypominam sobie, że bym cię o coś pytał - odpowiedział jej wyniośle.

Od jego słów powiało grozą. Aleksy stał tyłem do okna. Nieznacznie cofnął się dwa kroki, wystarczyły jeszcze dwa, żeby znaleźć się przy parapecie, a potem na podwórku. Marcin błyskawicznie, jednym susem, odciął mu drogę.

- Nie wygłupiaj się, Aleks! Skoki chcesz uprawiać w biały dzień? Nie widzisz, że nas jest czterech. Jedziemy na wykopki, będzie miło, zobaczysz.

Zabrali go tak, jak stał, w samej koszuli. Nawet nie pozwolili mu pożegnać się z Jadzią. Pobiegnęła do pokoju, otworzyła okno na całą szerokość. Nim wepchnęli go do samochodu, uniósł głowę i przez moment patrzyli na siebie. Już nie osy, nie zapach powideł miał się odtąd kojarzyć Jadzi z początkiem wojny, tylko to właśnie spojrzenie. Osunęła się na podłogę i ukryła twarz w dłoniach. Rzadko płakała, ale teraz Truda nie mogła jej uspokoić.

Jastańscy byli jednymi z pierwszych, którzy wrócili do Tucholi po miesiącu tułaczki. Na początku października, tuż po nich, przyjechali Alojzowie, wrócił redaktor Lewandowski, Świerczyńscy, Pawelscy, Przytarscy i wielu innych. Wszyscy uwierzyli zapewnieniom niemieckiej propagandy, że na Pomorzu zapanował spokój, i wszyscy mężczyźni z listy po kolei trafiali w ręce gestapo. Pawelski zginął na schodach tucholskiego więzienia od strzału w tył głowy. Włodek Kowalik, urzędnik starostwa, został zastrzelony na ulicy przy próbie ucieczki. Aleksego Niemcy wywieźli do Radzimia, o czym Jadzia dowiedziała się od Oli.

Po aresztowaniu męża nie umiała sobie znaleźć miejsca, biegała od rodziców do Antonów, od Stefanii do Marty. Wybierała się też do Helgi. Gotowa była poruszyć niebo i ziemię, żeby tylko uwolnić męża.

- Wiesz na pewno, że jest w Radzimi? Skąd wiesz? - dopytywała się drżącym głosem.

- Wiem. Nigdy nie pytaj ludzi, skąd coś wiedzą, bo to najbardziej niezręczne pytanie w czasie okupacji - powiedziała Ola. - Byliśmy kiedyś w Radzimiu rowerami, pamiętasz?

Jak przez mgłę Jadzia przypomniała sobie wielkie, piękne jezioro. To była jedna z najdłuższych rowerowych wycieczek,

dwadzieścia pięć kilometrów w jedną stronę. Po powrocie przez kilka dni nie mogła siedzieć nawet na miękkim krześle, Aleksy śmiał się... Na wspomnienie męża, łzy napłynęły jej do oczu i zobaczyła przed sobą dwie Ole.

- Tam jest jakieś więzienie?

- Obóz Selbstschutzu, teraz pod skrzydłami SS. To właśnie chłopcom z niemieckiej Samoobrony zawdzięczamy listy skazanych na rozstrzelanie. Nasz były przyjaciel Karl, jako rodowity Niemiec, szczerze z nami zaprzyjaźniony, bardzo się Samoobronie przysłużył. Nic dziwnego, że teraz błyskawicznie awansuje. Tylko mi nie mów, że zawsze go broniłam. Zwiodło mnie jego aktorstwo. Mógłby zrobić światową karierę na scenie, a tak będzie tylko coraz doskonalszą kanalią. W przeciwieństwie do mnie ty nie darzyłaś go sympatią. Podejrzywałaś coś?

- Broń Boże! - zaprzeczyła gwałtownie Jadwiga. - Gdybym podejrzewała, pierwsi byście wiedzieli. Ja miałam z Karlem całkiem inne porachunki. Dawał mi do zrozumienia, że mu się podobam... Myślisz, że mógł aresztować Aleksa, żeby odegrać się na mnie? Raz mi powiedział, że kiedyś pożałuję... On mi groził!

Ola spojrzała na szwagierkę z lekkim politowaniem.

- Do Przytarskiej i Gabrychowej raczej się nie zalecał, a mężów na listę wpakował. Dla takiego dzielnego Niemca służba ojczyźnie jest zawsze na pierwszym miejscu. Już ty raczej zapomnij o Karlu i nawet nie proś go o pomoc. Tylko nowe zmartwienia mogą z tego wyniknąć.

Jadzia nad czymś intensywnie myślała.

- Aleksego aresztował Marcin, a on przecież nie jest Niemcem - powiedziała powoli, jakby analizowała każde słowo.

- Niestety, chciałoby się powiedzieć, bo wielkie draństwo jakoś nam do rodaków nie pasują. Marcin sam się zgłosił, na ochotnika i jeden z pierwszych podpisał volkslistę.

- Skąd ty to wszystko wiesz? - Jadzia patrzyła na Olę ze szczerym podziwem. - No tak, przepraszam, nie powinnam pytać.

- Nie powinnaś.

- Muszę jechać do Radzimia - powiedziała nieoczekiwanie Jadzia.

Wybiegła od Oli, nie dopinając nawet płaszcza. Pomysł, żeby odwiedzić Aleksego, z miejsca postawił ją na nogi. Taka podróż wymagała przygotowań, zmuszała do konkretnego działania. Od momentu aresztowania męża Jadzia kręciła się w kółko, pukała od jednych drzwi do drugich i wszędzie napotykała mur obojętności. Nikt nic nie wiedział, nikt nie umiał pomóc. Na policji powiedzieli jej, że od spraw politycznych są inne organa, do tych innych nie zdołała dotrzeć. Dopiero Ola wspomniała o Radzimi, więc teraz Jadzia wbiła sobie do głowy, że Aleksy będzie najlepiej wiedział, jak można mu pomóc. Aleksy zawsze wszystko wiedział najlepiej.

Pobiegła na postój dorożek pewna, że za dobrą zapłatę każdy fiakier pojedzie z nią bez zastanowienia. Pewnie by pojechali nawet do Bydgoszczy, ale do Radzimia żadnemu nie było po drodze. Ubłagała wreszcie jednego, obiecała podwoić stawkę i kazała przyjechać następnego ranka na Seminaryjną. Tę noc musiała spędzić u rodziców, żeby rano, przed wyjazdem, nakarmić Pawełka. Chłopiec skończył siedem miesięcy, powoli zaczynał jeść to, co dorośli, byle tylko rano, w południe i wieczorem dostał matczyne mleko. Jadzia go tak przyzwyczaiła i tak było. Wyjeżdżając na cały dzień, musiała ściągnąć najmniej jedną porcję, do podania przez smoczek.

Ojciec siedział w bawialni, w swoim ulubionym fotelu. Twarz miał ukrytą w dłoniach.

- Był dziś u Fritza Kornmahlera - szepnęła matka. - Odkąd wrócił, cały czas tak siedzi. Wchodzę na palcach i nasłuchuję, czy aby oddycha.

- Mówił coś? Może rozmawiali o Aleksym? - spytała Jadzia.

- Nic nie mówił. Powtarzam ci, że siedzi tak całe popołudnie. Fritz to dobry człowiek, ale jaki on może mieć wpływ na dorosłego syna?

Jadzia przyniosła z mieszkania na Świeckiej trochę ubrań Aleksego i teraz próbowała je jakoś zgrabnie zapakować do dużej, skórzanej teczki. Trochę ciepłej bielizny, koszulę nocną, dwie koszule dzienne, skarpety i gruby sweter z owczej wełny, kupiony w Krakowie. Każdą rzecz starannie składała i wygładzała. Wystarczyło przytulić twarz do ulubionych rzeczy męża, by przypomnieć sobie, te piękne chwile, kiedy Aleksy tulił ją do siebie. Nie chciała się roztkliwiać, wciąż jeszcze wierzyła, że uda się wyciągnąć go z obozu, że jest jakiś sposób, którego ona po prostu nie zna. Nie może tak być, aby zaledwie po trzech latach małżeństwa została sama. Musieli wspólnie wychować dziecko albo nawet postarać się o następne.

Tak bardzo myślała o rzeczach i jedzeniu dla Aleksego, że sama gotowa była pojechać w lekkim płaszczyku. Zapowiadał się piękny, jesienny dzień i jakoś nie pomyślała o chłodnych rankach i wieczorach. Matka w ostatniej chwili cofnęła ją do domu i kazała ubrać się ciepło.

- Z Aleksym nie wiadomo, co będzie, ty się zaziębisz na śmierć i kto wychowa to maleńkie kurczątko? - powiedziała gniewnie.

Podróż Jadzi do Radzimia przejmowała ją lękiem. Delikatnie próbowała wyperswadować córce ten pomysł, bo

się o nią bała. Gdyby jednak podobne nieszczęście spotkało Franciszka, zrobiłaby tak samo.

- Proszę mamy - Jadzia aż pobladła z wrażenia - gdyby coś się stało, gdybym nie wróciła, to Józef z Cecylią na pewno przygarną Pawełka. Wiem od bratowej, że oni na własne dzieci przestali już liczyć... I wiem też, że oboje są bardzo za Pawełkiem. A kto może wychować dziecko za rodziców, jeżeli nie ojciec chrzestny z pomocą życzliwej żony, no kto?

Matka przytuliła ją mocno i nakreśliła na czole znak krzyża. Nie czekała, aż dorożka ruszy, odwróciła się i zniknęła w domu. Może nie chciała, żeby córka widziała, jak płacze.

Jechali pod wiatr i już po kilku kilometrach Jadzia zaczęła szczękać zębami. Narzuciła na siebie gruby koc, który matka w ostatniej chwili wcisnęła jej do rąk. Skulona pod kocem próbowała przypomnieć sobie wydarzenia ostatnich kilku dni. Wszędzie, czy to w sklepach, czy na targowisku, ludzie szepotali o aresztowaniach. Wciąż przybywało rodzin dotkniętych nieszczęściem. W piekarni Latzkego, gdzie po śmierci pana Jana za ladą stała jego żona, jakaś kobieta wpadła w histerię, ścisnęła ręce właścicielki i wyrzucała z siebie słowa, całkiem jakby nimi pluła: „Jak ja pani dzisiaj zazdroszczę, pani Anastazjo! Jak zazdroszczę! Na wiosnę spłakałam się na pogrzebie pana Jana, ale teraz sobie myślę, że on miał wielkie szczęście. Pewnie, że mógł żyć, był jeszcze młody, skoro jednak Pan Bóg potrzebował go w niebie, to przynajmniej dał mu umrzeć we własnym łóżku, jak należy. A co zrobią z tymi naszymi biedakami? Zamęczą, zakatują i za co?“. Jadzia nigdy wcześniej tak nie myślała. Śmierć to była śmierć, człowiek odchodził na zawsze i pozostawała po nim pustka. Ale żeby dzielić śmierć na gorszą i lepszą? Opowiedziała tę historię Stefanii. Siedziały we dwie, zapłakane, chore z bezradności i Stefania powiedziała: „Nie myślałam o śmierci, nie próbowałam jej zrozumieć. Wciąż mi

się wydawało, że nie dotyczy mnie i mojej rodziny. Dzisiaj wiem jedno: nie jesteśmy równo traktowani ani za życia, ani w tej ostatniej chwili. Nie bardzo wierzę, że nasi mężowie przeżyją, za to jestem pewna, że ten zasrany Wallenrod dożyje setki bez jednego wyrzutu sumienia. I nie dziw się, że klnę. Myślę o nim o wiele gorzej niż powiedziałam". Jadzia też bardzo źle myślała o Karlu. Swoją niechęć częściowo przerzucała też na Helgę i na starego Kornmahlera, jakby wszyscy, z którymi Karl był związany, powinni za niego odpowiadać. Anton nie zgadzał się z nią i gdyby nie Ola, pewnie by się ostro posprzecjali. Takie rozmowy rozdrapywały tylko świeże rany. W ciągu tych kilku czarnych dni Jadzia najlepiej się czuła ze Stefanią i Martą. Łączyło je wspólne nieszczęście i wielka bezradność.

Tak była pogrążona w niewesołych myślach, że fiakier musiał ją szarpnąć za koc.

- Jesteśmy na miejscu, paniusiu. Poproszę pieniądze i już mnie nie ma. To miejsce źle na mnie działa.

- Chyba mnie pan tu nie zostawi? - przeraziła się Jadzia. Na to właśnie czekał: na jej przerażenie.

- Za powrót się należy drugie tyle.

- Panie, zgodziłam się zapłacić, ile pan chciał, i mowa była, że w obie strony!

- W jedną - powiedział ze spokojem.

Zapłaciła za jazdę w jedną stronę i ubłagała, żeby na nią poczekał. Była rozzalona i zła, ale wyjścia nie miała. Fiakier był jedną z pierwszych wojennych hien, na jakie się natknęła.

- To jest ten obóz? - spytała przerażona.

Przed sobą miała teren obwiedziony drutem kolczastym, z rozwalającymi się barakami, z jakąś stodołą. Strażnik kazał jej czekać. Po jakiejś godzinie otworzył najmniejszy barak tuż przy wartowni i wpuścił ją do środka. Trafiła do obskurnej klatki, szumnie zwanej salą odwiedzin. Kiedy wszedł Aleksy,

ledwie go poznała. Jej mąż w starych łachach? Brudny i wymizerowany? To się nie mieściło w głowie. Strażnik, który mu towarzyszył, dyskretnie stanął trzy kroki od nich. Mieli całe dziesięć minut dla siebie.

- Jak ci tu? Przywiozłam ręczniki, mydło, bieliznę nocną - mówiła bezładnie o drobiazgach, żeby zagłuszyć wielkie przerażenie.

Uśmiechnął się ze smutkiem.

- Niepotrzebnie - powiedział. - Tu nic swojego mieć nie wolno. Ratuj mnie, Jadka, ratuj!

- Jak mam cię ratować, gdzie iść, z kim rozmawiać?

- Nie wiem. - Pokręcił głową. - Ratuj mnie, błagam! Patrzyła na niego. Płakał. Ona też płakała. Przytuliła go mocno do siebie. Ona jego, bo pierwszy raz to ona była tą silniejszą, która miała wiedzieć, kogo przekonywać, żeby uwolnić męża.

- Jak ci tu jest? - spytała ponownie. - Alojzy i Wiktor są z tobą?

- Nie. Jest za to burmistrz Saganowski i pan Przytarski. Można powiedzieć, że znalazłem się w świetnym towarzystwie. Ratuj mnie, Jadka, bo to już chyba koniec.

Zaczął wypytywać o Pawełka, przyjaciół i patrzył na nią z takim bezbrzeżnym smutkiem, że słowa więzły jej w gardle. Gorączkowo myślała, co powinna dalej robić, do czyich drzwi pukać po powrocie do Tucholi. Wyjęła z teczki sweter i kanapkę. Aleksy odsunął sweter, ale na kanapkę patrzył z łakomym pożądaniem. Strażnik odwrócił się i zaczął z uwagą studiować afisze rozlepione na ścianach. Podszedł do nich, kiedy Aleksy przełknął ostatni kęs. Znacząco popukał w zegarek. Jadzia objęła męża. Jego ubranie przesiąknięte było wonią gnijących ziemniaków.

- Ratuj! - szepnął. - A gdyby coś... - głos mu zadrżał - to dbaj o Pawełka.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy - obiecała.

Fiakier na szczęście czekał. Otuliła się szczelnie kocem i płakała przez całą drogę. Kiedy weszła do domu, matka zerwała się od stołu.

- Nie żyje? - spytała z wielkim przerażeniem. Jadzia osunęła się na kolana przed ojcem.

- Błagam, niech ojciec mi pomoże, niech go ratuje!

- Wstań, córka, wstań! - wyciągnął ręce, żeby ją podnieść.

- Fritz mówi, że na ratunek są niewielkie szanse, ale Fritz to stary reumatyk i jemu nie można wierzyć. Jak Franz Jaskolski pójdzie porozmawiać, to mu na pewno nie odmówią. Tak się składa, że od dziś remontuję piec w magistracie. Jutro z rana zajdę do komisarycznego burmistrza. To bardzo przyzwoity człowiek ten Herr Mischke.

- Herr Mischke - powtórzyła Jadzia.

Nie odważyła się przypomnieć ojcu, że już kiedyś rozmawiali o panu Mischke. Powoływać się na Klarę też nie chciała. Przez moment się łudziła, że to może inny Mischke, ale nie bardzo w to wierzyła. Nadzieja, rozbudzona przez ojca, zaczęła powolutku ulatywać.

Matka postawiła na stole kubek z gorącą herbatą osłodzoną sokiem malinowym.

- Wypij, córcia, a potem pomódl się za Aleksa. Ale nie po niemiecku rozmawiaj z Panem Bogiem, tylko po polsku - powiedziała, głaszcząc Jadzię po głowie.

- Co to, myślisz, że Panu Bogu niemiecki przeszkadza? - zdziwił się ojciec.

- Ano myślę, że jeżeli taki Karl modli się o powodzenie swoich zamiarów, to i Panu Bogu nie chce się tego słuchać. Lepiej niech ona w naszym języku swoje prośby zanosí, nie w obcym.

Ojciec dotrzymał słowa i następnego dnia rozmawiał z Herr Mischke. To był początek końca jego wielkiej wiary w

sprawiedliwość i praworządność niemiecką. Burmistrz komisaryczny potraktował go z wyniosłą pogardą, nie miał względu ani na zasługi zawodowe, ani na niekaralność. Odpowiedź była krótka: „Chcecie dołączyć do zięcia? Mogę wam to załatwić. Nie ma litości dla ludzi wymienionych na liście wrogów Rzeszy Niemieckiej ani dla tych, którzy się za nimi wstawiają. Wracajcie do roboty”. Górna warga latała mu jak wściekłemu psu i Franciszkowi wydawało się, że komisaryczny burmistrz Herr Mischke rzuci mu się do gardła. Tak przynajmniej opowiadał potem w domu żonie i córce.

Jadzia poczuła się wdową, zanim jeszcze z obozu w Radzimi przyszło oficjalne zawiadomienie, że jej mąż nie żyje. Czekala krótko, raptem cztery dni. Skrupulatni Niemcy nie wyjaśnili, w jakich okolicznościach zginął. Nie dowiedziała się tego nigdy, ponieważ wszyscy towarzysze Aleksego zostali przewiezieni do Rudzkiego Mostu i tam, razem z więźniami przetrzymywanymi w Tucholi, rozstrzelani w dwu masowych egzekucjach: 24 i 27 października.

Dawno już nie było takiego ruchu w sklepie bławatnym. Szły tylko czarne materiały, bo nagle w mieście najwięcej zrobiło się wdów. Marysia miała pełne ręce roboty. To ona teraz przejęła pieczę nad firmą i pracowała u Jadzi. Rodzice bardzo nalegali, żeby córka z wnukiem przeniosła się na Seminaryjną, przynajmniej na pierwsze dni żałoby, Jadzia jednak wróciła do siebie. Nigdzie tak bardzo nie czuła obecności Aleksego, jak w mieszkaniu, które razem urządzali. Wieczorami kładła Pawełka spać, siadała w ulubionym fotelu męża i rozmyślała o przeszłości. Przypominała sobie same radosne chwile. Prawdę mówiąc, tych mniej radosnych nie naliczyła wiele. Byli ze sobą bardzo krótko. Kilku dni zabrakło do trzeciej rocznicy ślubu. Trzy lata szczęścia, myślała, tylko trzy lata. „Ciche, jasne, złote dnie...”.

W połowie listopada zostawiła Pawełka na chwilę pod opieką Trudy i zeszła do sklepu. Trafiła na moment, kiedy pod dom zajeżdżał samochód z esesmanami. Pół godziny później Jadzia, jako żona zdrajcy Rzeszy Niemieckiej, nie miała już sklepu ani mieszkania. Pozwolili jej zabrać wózek, nocnik ozdobiony niebieskimi różyczkami i trochę rzeczy dla dziecka. No i płaszcz codzienny, który nosiła, wychodząc po zakupy, bo zimno już było bardzo. Snuli się za nią krok w krok po pokojach i patrzyli na ręce, kiedy zbierała pieluszki i kaftaniki syna.

- Jakim prawem wyrzucili cię z własnego mieszkania? - Ojciec aż pobladł z tamowanej wściekłości.

- Takim samym, jak zabili jej męża. Ty już lepiej o prawie niemieckim nie gadaj! - krzyknęła rozpaczliwie matka.

- Dobrze, że Aleksy był przewidujący i w porę wywiózł z domu najcenniejsze rzeczy. Tylko śmierci swojej, biedak, nie przewidywał, bo jego garnitury też mam w szafie.

Jadzia zamieszkała z Pawełkiem w pokoju gościnnym. Zamknęła się w sobie, nie chciała nikogo widywać. Rozmowy z nią nie były łatwe, bo wydawała się całkiem nieobecna. Jedynie synkiem zajmowała się z wielką czułością. Syn był dla niej wszystkim, tym, co miała najdroższego po Aleksym. Tak bardzo chciała, żeby stał się podobny do swojego ojca, ale on chyba wrodził się w mamę. Włosy miał całkiem białe, oczy niebieskie. Dziadek Franciszek mówił o nim czule: „Paul Weisskopf” (biała głowa (niem.)).

Józef w każdym liście proponował, żeby siostra przyjechała z dzieckiem do Torunia, ofiarował jej kąć i opiekę, pisał, że w dużym mieście bezpieczniej, bo szary człowiek ginie w tłumie. Franciszek był przeciwny, wolał sam czuwać nad córką i wnukiem. Odpowiadał niezmiennie, że już niczego więcej Niemcy nie mogą jej zabrać, więc u niego też jest bezpieczna.

W tamtym czasie, krótko po śmierci Aleksego, Jadzia w ogóle nie myślała o własnym bezpieczeństwie. W Tucholi wszystko kojarzyło jej się z mężem i utraconym szczęściem, Toruń był obcy i tylko tam mogłaby zacząć nowe życie. Coraz częściej zastanawiała się nad przeprowadzką, choć żal jej było rodzinnego miasta i znajomych. Chwilowo z nikim się nie spotykała, co nie znaczyło, że zerwała przyjacielskie kontakty. Kilka ulic dalej byli Stefania, Marta, Anton z Olą i w każdej chwili mogła do nich wpaść, posiedzieć i porozmawiać o niczym.

Z Seminaryjnej odeszła Gawronowa; wróciła na wieś tuż po wybuchu wojny. Teraz, odkąd Jadzia sprowadziła się do rodziców, w domu znowu mieszkały obok siebie trzy kobiety. Matka próbowała wciągnąć córkę w zwykłe domowe zajęcia, żeby choć trochę oderwać ją od rozpamiętywania przeszłości. Wchodziła rano do gościnnego pokoju, pomachała Pawełkowi grzechotką, zebrała rozrzucone pieluszki i zaczynała zagadywać, że nie ma kto skoczyć do piekarni albo na pocztę. Jadzia dość niechętnie wychodziła z domu, jednak matce nie śmiała odmawiać. I tak powoli, z dnia na dzień, wzięła na siebie zakupy. Nie było tego dużo, bo i kupować nie było co. Rano brała w rękę szmacianą torbę i wychodziła. W zwykłym prostym płaszczyku i berecie na głowie nie przypominała damy, idealnie zlewała się z tłumem podobnych do siebie kobiet. Może tylko była od nich mniej gadatliwa. Nie dawała się wciągać w zwykłe kolejkowe rozmowy, zdawkowym uśmiechem zbywała zaczepki. Sama nie wiedziała, dlaczego właśnie tak. Chyba dlatego, że jeszcze nie ciągnęło jej do ludzi. Raz stanęła w kolejce za Helgą. Najpierw nie poznała dawnej przyjaciółki, potem za późno już było na wycofywanie się ze sklepu. Wyszły razem. To Helga poczekała na Jadzię, nie odwrotnie. Spytała o Pawełka, o matkę. Wymieniły zdawkowe uprzejmości. Dawna życzliwość gdzieś się ulotniła.

Jadzia niemal czuła, jak między nią i Helgą wyrasta Karl. Stoi z tym swoim krzywym uśmiechem, patrzy ironicznie i nie pozwala rozmawiać.

- Jestem ci wdzięczna - powiedziała wreszcie - że wtedy, we wrześniu, próbowałaś nas ostrzec.

- Już wcześniej próbowałam cię ostrzec. Pamiętasz naszą rozmowę po tej majówce, na której mieliście wątpliwą przyjemność poznać Marcina? Pierwszy raz postawiłam się Karlowi i powiedziałam, że albo ja, albo ten sprzedajny drań. Pojechał z draniem, bo tak naprawdę to się go bał. Neofici są zawsze świętsi od najświętszego. Próbowałam ci powiedzieć, że oni obydwaj sami się bronią, niestety, niczego nie kojarzyłaś. Wtedy właśnie dowiedziałam się, że Karl pracuje dla Selbstschutzu. Więcej powiedzieć nie mogłam. Jest coś takiego jak lojalność małżeńska.

- Lojalność? - wykrzyknęła Jadzia, aż Helga rozejrzała się trwożnie wokół. Jadzia ściszyła głos i teraz już tylko syczała: - To wiedz, że Marta, Stefania i ja też byłyśmy lojalnymi żonami i dla nas twój Karl to zwykły - zawahała się, bo zabrakło jej wystarczająco dosadnego słowa - to... to nie tylko zdrajca, ale zwykły śmieć! Niemniej dziękuję ci za dobre intencje. Śpieszę się, przepraszam!

Skręciła w Rycerską, choć wcale nie miała takiego zamiaru. Oprzytomniała dopiero przed sklepem Antona. Bez słowa wyjaśnienia wpadła na zaplecze i tam dopiero się rozplakała. Brat przytulił ją i lkała na jego piersi.

- Weź się w garść, mała - powiedział. - Weź się w garść, bo wszystko, co najgorsze, dopiero przed nami. To będzie zupełnie inna wojna od tej, którą pamiętamy z dzieciństwa, dużo gorsza. Twarda jesteś po matce, ochronisz siebie i syna. Wierzę, że Aleksy będzie nad tobą czuwał tam z góry.

Oderwała się gwałtownie od jego piersi. Twarz miała mokrą od łez, na policzkach czerwone plamy ze wzburzenia.

- Teraz będzie czuwał? Teraz, jak już pozwolił się zabić? Dlaczego wcześniej o nas nie myślał, czemu pchał się w te zebrania, afisze, guziki od mundurów? Oddał wszystkie guziki razem z życiem i nikomu nie pomógł, nic nie zmienił. On to zrobił na złość mnie i ojcu, nam wszystkim, żeby pokazać, jakimi to patriotami są Jastańscy.

Anton złapał ją za ramiona i lekko nią potrząsnął.

- Sama nie wierzysz w to, co mówisz! - odrzekł spokojnie. Jego spokój podziałał i na Jadzię. Wytarła twarz i przez chwilę łapała powietrze jak ryba wyjęta z wody.

- Powiedziałaś: twarda jak matka? Ojciec jest twardy, nie mama.

Anton uśmiechnął się i znowu przytulił ją do piersi.

- Ojciec mówi, że jest twardy, a nasza matka nic nie mówi, tylko jest.

Któregoś dnia, krótko przed Bożym Narodzeniem, Jadzia położyła się na chwilę obok Pawełka. Synek spał, ona sobie patrzyła na niego i nawet o niczym szczególnym nie myślała. Mama z Marysią robiły coś w kuchni, za drzwiami w bawialni siedział ojciec. Delikatne stukanie do drzwi nikogo specjalnie nie wystraszyło. Gestapo raczej nie stukało delikatnie. Któraś z kobiet otworzyła i chwilę potem Jadzia usłyszała w bawialni głos Karla Kornmahlera.

- A ty tu czego szukasz w moim domu? - Franciszek uniósł się gniewem. - Albo wyjdiesz sam, albo cię za kark wyprowadzę!

Ojciec choleryk mógł rzucić się na Karla, choć był od niego i mniejszy, i słabszy. Jadzia zamarła z przerażenia. Drżała nie o siebie, tylko o tatę.

- Spokojnie, panie Jaskólski - roześmiał się Karl. - W pokojowych zamiarach przyszedłem. Mam sprawę do Jadzi.

- Za to moja córka nie ma sprawy do ciebie, chyba że miałyby ochotę w gębę ci napluć. Wynoś się i nie nadużywaj mojej gościnności.

- Nie chciałbym, żeby musiał pan żałować tych słów - powiedział zimno Karl. - Gdyby pańskie marzenia, staruszk, spełniły się, byłbym teraz pańskim zięciem.

Franciszek wydał jakiś straszny, nieartykułowany ryk. I kto wie, co by się dalej stało, gdyby do bawialni nie wbiegł Leon, zaalarmowany najwidoczniej przez kobiety. Jadzia skuliła się na łóżku i przycisnęła do siebie Pawełka. Była niemal pewna, że Karl przyszedł podziękować jej za nazwanie go śmieciem i prędeż zabije wszystkich, którzy staną mu na drodze, niż zrezygnuje ze swojego zamiaru.

- Na twoim miejscu, Karl, wyszedłbym z tego domu, i to jak najszybciej.

To był głos Leona. Spokojny, flegmatyczny, ale bardzo stanowczy.

- A co będzie, jeżeli zażądam rozmowy z Frau Hedwig Jastański?

W głosie Karla nie słychać było strachu.

- Mojej siostry, Jadwigi Jastańskiej, nie ma w tym domu. Daję ci na to uczciwe słowo skauta.

- Ty kiedyś byłeś skautem, Leo? - zdziwił się Karl.

- Ty też kiedyś nie sprawiałeś wrażenia szui, więc nie psuj tego obrazu - odpowiedział zimno Leon.

Karl dłużej się nie upierał. Wyszedł.

Przez kilka dni domownicy drżeli, czy ta wizyta nie pociągnie za sobą jakiegoś większego nieszczęścia. Karl i jego nowi przyjaciele należeli do ludzi pamiętliwych. Zwłaszcza Franciszek się wystraszył i o niczym innym nie marzył, jak tylko o wyjeździe Jadzi i Pawełka z Tucholi. Przy wigilijnym stole sam poprosił Józefa, żeby zabrał córkę i wnuka do Torunia.

- Co za buta, co za arogancja - mówił poirytowanym głosem. - A ja myślałem, że to normalny, porządny Niemiec, jak jego ojciec. Bodaj pierwszy raz w życiu tak srodze się pomyliłem. Karl, gadzina jedna, w matkę się wdał. Wojna podzieliła im rodzinę na pół: ojciec trzyma ze starszym, Martinem, matka młodszego zagrzewa do pracy dla Niemców. Czy mogłem to przewidzieć? Nikt nie mógł - dokończył cicho.

Józef z Cecylią wyjeżdżali w drugi dzień świąt i Jadzia zabrała się z nimi. Miała trzydzieści trzy lata i zostawiała za sobą najpiękniejszy okres życia: szczęśliwe dzieciństwo, beztruską młodość i wspaniałe, choć krótkie małżeństwo. Teraz musiała radzić sobie sama.

Józefom niezbyt dostatnio żyło się w Toruniu. Wprawdzie Józef pracę miał, kamienica też przynosiła jakiś dochód, ale same pieniądze były niewiele warte. Brakowało jedzenia i nawet na czarnym rynku trzeba było umieć kupować. Ani on, ani Cecylia nie umieli.

Brat obiecał Jadzi małe mieszkanie na drugim piętrze. Kłopot polegał na tym, że dotychczasowa lokatorka, pani Lebidowa, nie kwapiła się z przeprowadzką. Trochę dorabiała szyciem i jeżeli nie miała pracy, mówiła, że przenosi się do córki do Brzozy, a jak dostawała jakieś zamówienie, natychmiast zmieniała zdanie. Płaciła czynsz i trudno było wyrzucić ją na bruk. Chwilowo więc Jadzia zamieszkała razem z Józefem i Cecylią. Nie było to najlepsze wyjście, ale też czasy nie skłaniały do grymaszenia.

Jadzia, przyzwyczajona w Tucholi do robienia zakupów, zaczęła wyręczać bratową w bieganiu po sklepach. Parę razy udało jej się zdobyć prawdziwe rarytasy: kawałek ogonówki, paczkę herbaty, czym zyskała uznanie Cecylii. Wciąż jednak szukała pomysłu dla siebie. Pieniądze, jakie dostała z domu, powoli się kończyły, nie chciała być ciężarem dla brata, a nie bardzo wiedziała, co mogłaby robić innego poza zakupami.

Stała kiedyś w sporym ogonku po chleb. Kobięcina obok zagadnęła ją raz, potem drugi. Zagadywała tak, jak wszystkie kolejkowe kobieciny, że drogo, że ciężko, potem zaczęła podpytywać o męża, o dzieci. Nie czekała na odpowiedź, tylko raczej przygotowywała grunt pod własne wynurzenia. Jadzi nie interesowało cudze życie, słuchała piąte przez dziesiąte, bo nie miała innego wyjścia. Były skazane na swoje towarzystwo, aż do chwili dopchania się do lady. „I patrz, pani, szwagier wciąż ma w Aleksandrowie sklep bławatny, a ja dla córki towaru na ślubną suknię kupić nie mogę, bo Polakom nie przysługuje” - westchnęła kobieta, i to były pierwsze słowa, które Jadzię naprawdę zainteresowały. Przyjrzała się uważnie kolejkowej sąsiadce: twarz szczerą, oczy zmęczone, troska wypisana na czole. Zdecydowała się w jednej chwili.

- Ile pani tego towaru na suknię potrzebuje? - spytała szeptem. - Mam w domu niewykorzystany kupon, mogę pomóc.

Zanim jeszcze kupiły chleb, miała w tamtej oddaną przyjaciółkę.

W ten oto sposób Jadzia sprzedała pierwszy kupon materiału z wielkich zapasów zgromadzonych w piwnicy przy Łaziennej. Wzięła od nowej znajomej adres szwagra w Aleksandrowie wraz z zapewnieniem, że to człowiek uczciwy, żaden konfident, a zarobić każdy chce.

- Bo wie pani, ja tylko pośredniczę - zastrzegła się Jadzia. - Znam kogoś, kto ma trochę towarów z przedwojennych czasów, ale zapłatę chce w żywności.

- Kochana, łatwiej o żywność w małym mieście niż w takim Toruniu. Szwagier na pewno się zgodzi. Tylko uważaj, żeby cię Niemcy nie złapali - powiedziała, upychając na dnie torby cudem zdobyty materiał na suknię ślubną dla córki.

Pierwszy raz Jadzia wybrała się do Aleksandrowa z kuponem wełny na męski garnitur i kolorową bawełenką na damską sukienkę. Pan Potoczek ręce zacierał i błogosławił siostrę żony, że w samą porę o nim pomyślała. Wojna wojną, ludzie jednak musieli czymś nagość okrywać. Przychodzili starzy klienci z prośbą, a kupiec mógł im tylko byle jakie resztki zaproponować. Umówili się, że Jadzia będzie przywoziła towar na konkretne zamówienia, które pan Potoczek dla niej zbierze. Jeśli zechce, zawsze może wziąć coś więcej.

Zacząła jeździć do Aleksandrowa co dwa tygodnie. Dzień przed podróżą schodziła do piwnicy i przygotowywała kupony pod zamówienia. Często musiał jej towarzyszyć Józef, bo przerzucanie bel nie było zajęciem prostym ani lekkim. Pakowała materiały do teczki, na wierzch wrzucała kilka łażków, jakąś bluzkę, figi, żeby po otwarciu wyglądało to na rzeczy osobiste. W każdym razie bardzo nie życzyła sobie sytuacji, w której byłaby zmuszona otwierać teczkę. Rano wychodziła z domu. Nerwy dawały o sobie znać już na ulicy. Musiała dobrze nad sobą panować, żeby nie robić wystraszonej miny na widok mundurów. Starła się zachowywać normalnie. Kupowała bilet trzeciej klasy, wsiadała do wagonu i zaczynała się pocić ze strachu, czy przypadkiem Niemcy nie zechcą zrobić nalotu. Rewizje szczęśliwie ją omijały, słyszała tylko o nich od innych podróżnych, ale bała się panicznie. Za każdym razem, czy to w drodze do Aleksandrowa, czy z powrotem, wiozła w teczce wyrok śmierci. Podobnie zresztą jak wielu innych pasażerów, ubranych byle jak, z walizkami w rękach. Wszyscy oni jechali na handel, nie miała co do tego wątpliwości. W trzeciej klasie zawsze był niemożliwy tłok.

- Panie Potoczek - powiedziała kiedyś - jak następnym razem przyjadę, proszę się nie denerwować ani nie przerażać.

Spróbuję podróżować inaczej. Jak mnie pan nie pozna, pana strata - zażartowała.

Wiosna już była w pełni. W domu Jadzia wyjęła z szafy elegancki, jasny kostium i malutki kapelusz, który nosiło się figlarnie przekrzywiony na jedną stronę. Włosy, nieobcinane od śmierci męża, upięła w modną fryzurę z falą nad czołem i wałkiem z tyłu na karku. Przejrzała się w lustrze. Wyglądała bardzo elegancko i powabnie. Ładny biust, wcięcie w talii, a przede wszystkim jasna cera przy blond włosach - to wszystko było na wagę przeżycia. Zajrzała do kuchni.

- Mogę od was pożyczyć tę ładną walizkę ze skóry? - spytała.

- O matko! - krzyknęła bratowa - czy ty nie przesadziłaś? Polki w czasie wojny tak się nie stroją, wyglądasz jak rodowita Niemra.

- I o to chodzi! Jeżeli mamy przeżyć tę wojnę i nie umrzeć z głodu, nie mogę drzeć na widok każdego patrolu. Będę jeździła pierwszą klasą, tam przynajmniej nie rewidują bagaży.

- Jak cię złapią, to koniec z tobą! - jęknęła Cecylia.

- Dwa tygodnie temu o mało mnie nie złapali i też byłby koniec ze mną. Wiozłam rąbankę, masło i jajka.

- Boże, co za czasy - rozplakała się bratowa.

Najchętniej zakazałaby szwagierce wyjazdów, ale gdyby nie zapobiegliwość i odwaga Jadzi, dawno już nie mieliby co jeść z Józieńkiem.

Jadzia wyszła z mieszkania i wcale nie bała się mniej niż zawsze. Nie przywykła jeszcze do nowego wcielenia Frau Hedwig Roth. W razie konieczności tak się właśnie zamierzała przedstawiać. Musiała tylko pamiętać, że nie wolno jej przemykać pod ścianami domów, tylko ma kroczyć środkiem chodnika, z pewną siebie miną. Doszła do przystanku, z którego odjeżdżał tramwaj na dworzec. Stała na przodzie,

tam gdzie zwykle zatrzymywał się wagon przeznaczony dla Niemców. Kiedy wreszcie tramwaj podjechał, przystojny Hauptmann (kapitan (niem.)) wyciągnął rękę po jej walizkę. Rozluźniła kurczowo zaciśnięte palce i pozwoliła sobie pomóc. Zdobyła się na uśmiech, podziękowała, a on obrzucił ją spojrzeniem pełnym aprobaty. Pomyślała, że takie spojrzenie to prawie jak pierwszy zdany egzamin. Hauptmann usiadł obok. On też jechał na dworzec i miał nadzieję, że zyska w Jadzi piękną towarzyszkę podróży. Na szczęście los go prowadził do Bydgoszczy, w przeciwnym kierunku. Razem poszli do kasy biletowej, razem wyszli na peron. Miał jeszcze trochę czasu, więc odprowadził Jadzię do pociągu i pomógł jej wsiąść do wagonu pierwszej klasy. Bardzo się Jadzi przydał, naprawdę bardzo. Pomógł przełamać lęk przed nowym, niebezpiecznym wyzwaniem. Pomyślała: Niemiec, a taki sympatyczny. Od wybuchu wojny zdecydowanie zmieniła zdanie o Niemcach. Już nie powiedziałyby tak, jak kiedyś do Stefanii: „No to co, że Niemiec?”. W przedziale gruba matrona zrobiła jej miejsce obok siebie.

- Ładny ten pani mąż, bardzo ładny - zauważyła.

- To tylko znajomy. Męża zegnałabym czulej - odpowiedziała Jadzia, ku radości innych pasażerów.

Szczególnie mężczyźni zerkali na nią łakomie. Pomyślała, że ten, kto wymyślił powiedzonko o szacie, co niby nie zdoła człowieka, zupełnie nie znał mężczyzn.

Pan Potoczek na widok Jadzi zgiął się w ukłonie i łamaną niemczyzną spytał, czym może służyć.

- A jednak mnie pan nie poznał - roześmiała się bardzo zadowolona.

Kupiec zastygł z otwartymi ustami. Kiedy odzyskał mowę, też nie szczędził Jadzi zachwyków, chociaż wolałaby widzieć go bardziej powściągliwym. Natychmiast też skierowała się na zaplecze, do mieszkania współnika. Zwykle przyjeżdżała w

czasie przerwy obiadowej i załatwiali interesy pod baczny okiem żony. Tyle miała z życia biedna Potoczka, że sobie na męża popatrzyła. Los ją paskudnie doświadczył i po wylewie nie wstawiała z łóżka. Do Jadzi jednak odnosiła się z sympatią. W końcu dzięki niej i jej towarom Potoczkom też żyło się lepiej.

Od wiosny czterdziestego roku Jadzia nie podróżowała inaczej niż tylko wagonami pierwszej klasy zarezerwowanymi dla Niemców. Zawsze elegancka, uśmiechnięta i bardzo pewna siebie. Tej pewności też musiała się nauczyć. Wśród Niemców nie było to takie trudne.

Pan Potoczek wciąż miał nowe zamówienia. Stał się obrotny jak świder i zdobywał klientelę nawet wśród Niemek. Wprawdzie one miały swoje sklepy, jednak w czasie wojny niektóre materiały były nie do zdobycia, choćby prawdziwy jedwab czy gatunkowe wełny. Jeżeli więc mogły na czarnym rynku kupić najdelikatniejszy jedwab, a dodatkowo jeszcze cienką podszewkę i perłowe guziczki, nie wahały się ryzykować. Kobiety są tylko kobietami. Klientki niemieckie płaciły uczciwie. Bywało więc, że Jadzia przywoziła do domu czekoladę, kakao i prawdziwą herbatę. Głównie jednak zależało jej na mięsie i nabiale. Józef ciężko pracował i musiał jeść, Pawełek też rósł i prócz marchewki potrzebował czegoś więcej.

Jadzia rozmawiała z Pawełkiem głównie po niemiecku. Bratowa bardzo się irytowała na taką edukację.

- Od razu widać, że nie wyssałaś patriotyzmu z mlekiem matki. Chcesz jedyne go syna na Niemca wychować? - pytała oskarżycielskim tonem.

- Nie! - odpowiadała ostro Jadzia. - Chcę, żeby przeżył. Po wojnie zdąży się nauczyć ojczystego języka, sama tego dopilnuję, teraz nie czas na sentymenty.

- To po jakimu mam z nim rozmawiać? Mnie niemiecki nie przechodzi przez gardło.

- Głaszcz go po głowie, do głaskania język nie jest potrzebny - mruknęła Jadzia.

Czasem Cecylia bardzo Jadzię drażniła. Łatwo jej było grać na patriotycznej nucie, bo o nic nie musiała się starać. Józef zarabiał pieniądze, Jadzia zaopatrywała dom, a bratowa modliła się o wolną Polskę. Trudno było mieć jej za złe modlitwy, ale już pouczenia mogłaby sobie darować.

Z nastaniem kolejnej wiosny Jadzia zaczęła częściej jeździć do Tucholi. Pani Lebiódowa uszyła Pawełkowi marynarskie ubranko, a jej nowy kostium. Razem wyglądali bardzo pięknie. Jadzia najlepiej się czuła, kiedy miała synka przy sobie i wciąż brała go na ręce. W jej ramionach, przytulony do niej, był bezpieczny, a i ona czerpała wielką siłę z tej bliskości. Matce niezbyt się to podobało. Dwuletni Pawełek, duży i nieźle odżywiony, swoje ważył.

- Jak go będziesz tak wciąż nosiła, zapomni, po co ma nogi - denerwowała się na córkę.

Franciszek miał całkiem inne zmartwienie.

- A co to? - spytał. - Paul Weisskopf po niemiecku gada? Jesteś, córka, pewna, że tak trzeba?

Bodaj pierwszy raz zaczął się głośno zastanawiać, czy gadanie po niemiecku to dobry wybór. Jadzia przeraziła się, że z ojcem coś nie tak. Schudł, jeszcze bardziej zmałał i nawet niewiele się odzywał. Jedynie na widok Pawełka twarz mu się rozjaśniała.

- On wciąż nie może zapomnieć rozmowy z tym Myszka, czy jak mu tam - powiedziała matka, gdy wyszły do ogrodu. - Nikt wcześniej nie dał mu do zrozumienia, że jest zerem, że można go zabić, czy też zamknąć w obozie jak każdego innego Polaka. Wciąż do tego wraca. Coś mi się zdaje, że przestał lubić Niemców.

- Z Fritzem Kornmahlerem już się nie spotyka?

- Stara Kornmahlerowa nie pozwala Fritzowi rozmawiać z Polakami. Mówi, że to może zaszkodzić Karłowi w karierze. Fritz choruje na reumatyzm, z domu prawie nie wychodzi, więc żona mu jeździ po głowie. To zła kobieta. Jak Fritz był górą, siedziała cicho i nawet mało kto ją znał. Teraz odżyła.

- A Helga? - spytała Jadzia.

- Nie wiem, czy nie zapatrzyła się na teściową. Nie rusza się z domu, pewnie czeka, aż Karła zacznie łamać w kościach. Wtedy da mu do wiwatu. - Felicja uśmiechnęła się całkiem nieoczekiwanie.

Zmiany, jakie zachodziły w mieście, budziły przerażenie i złość. Jadzia chciała zajść do szewca Antoniego Giłki, żeby obstalować sobie pantofle, ale matka jej nie pozwoliła. Nie było już warsztatu i sklepu Giłki, był warsztat i sklep folksdojczy Ludwika Freya, u którego pan Antoni był jedynie pracownikiem. Chleba też nie kupowało się już u pani Anastazji Latzke. Jej piekarnia i ciastkarnia przeszła w ręce folksdojczy Muzolfa, a piekarnia Rudolfa Strzeleckiego dostała się litewskiemu Niemcowi Eduardowi Wilde. Gdzie się ruszyć, tam straszili nowi właściciele. Jadzia prawie nie chodziła po mieście. Najchętniej przesiadywała pod orzechem. Stół wkopany przez ojca dwadzieścia lat wcześniej, mimo że konserwowany, chwiało się ze starości. Był jednak częścią dawnych, szczęśliwych lat, więc cieszyła się, że wciąż stoi. Wyjeżdżając z domu zastanawiała się, i to za każdym razem, czy jeszcze będzie tu mogła wrócić i czy zastanie oboje rodziców. Coraz bardziej się o nich bała.

I wreszcie przyszedł ten ostatni raz. Pożegnała się z matką, przytuliła do ojca:

- Pamiętaj, córcia - powiedział, głaszcząc ją po policzku. - Nie każ Pawłowi mówić po niemiecku dłużej, niż to będzie konieczne. Jesteśmy Polakami.

- Dobrze, proszę ojca - szepnęła i ucałowała szorstkie, spracowane ręce Franciszka.

W Toruniu czekały na nią normalne obowiązki. Musiała pojechać do Aleksandrowa z towarem. Udało jej się sprzedać wyjątkowo dużo i wracała z niezłym łupem. Była z siebie bardzo zadowolona, chociaż zmęczona i głodna. Z trudem wniosła na piętro ciężką walizkę. Drzwi otworzyła Cecylia i od razu widać było, że stało się coś bardzo złego. Bratowa miała oczy zaczerwienione od płaczu. Na stole leżał telegram. Jadzia rzuciła okiem, chwyciła Pawełka na ręce i tak mocno przytuliła, aż pisnął. Z trzech mężczyzn, których w swoim życiu kochała bezgranicznie, został jej tylko on jeden.

Po pogrzebie ojca długo nie mogła dojść do siebie. Wieczorami, kiedy kładła się do łóżka, nachodziły ją dziwne myśli. Przypominała sobie kobietę, która w piekarni Latzkego tak bardzo zazdrościła pani Anastazji, że jej mąż umarł w łóżku, jak człowiek. Zaczynała ją rozumieć. W domu, wśród swoich, to było bolesne, ale normalne, w każdym razie normalniejsze niż gdzieś tam w Radzimi, między barakami i stodołą. Mimo że śmierć ojca niosła ze sobą świeży ból, Jadzia mniej myślała o nim, więcej o Aleksym. Jak zginął, czy bardzo się bał? Odżyły stare rany, doszły nowe i nie umiała sobie poradzić z rozpaczą. Najchętniej w ogóle nie wychodziłaby z łóżka. Po co tak się męczyć, szarpać, myślała, kiedy i tak któregoś dnia znikniemy, odejdziemy i nic po nas nie zostanie.

- Chce mi się siusiu! Jestem głodny - marudził Pawełek. Zwlekała się wtedy z łóżka. Jednak to życie nie było takie całkiem bez sensu, jeżeli dziecku chciało się jeść, a ona musiała ten głód zaspokoić. Pawełek był sensem jej życia.

Jakoś tak wczesną jesienią Cecylia porządnie się przeziębila i leżała w łóżku. Jadzia musiała jechać z towarem i nie bardzo mogła zostawić synka pod opieką bratowej.

Chłopiec był ruchliwy jak pchełka, a Cecylia ledwie oddychała między strasznymi atakami kaszlu.

Jadzia wystroiła chłopca w marynarskie ubranko.

- Pojedziemy do cioci - powiedziała. - Ciocia jest chora, leży w łóżku, zawieziemy jej lekarstwa.

- Ciocia leży tu! - uchylił drzwi sypialni, bo Cecylia dostała nowego ataku, co bardzo go zainteresowało.

Jadzia też weszła na moment do bratowej, żeby podać jej napar z malinowych liści.

- Zostawiłaś Józinkowi coś do jedzenia? - wychrypiała chora.

- Tak, wczoraj ugotowałam kapustę na resztkach mięsa, wystarczy, że sobie odgrzeje.

- To dobrze, on lubi kapustę.

Rozmawiały po polsku. Pawełkowi widać spodobało się słowo „kapusta”, zaczął je powtarzać, nawet próbował podśpiewywać.

Jadzia spojrzała na zegarek i zaczęła się śpieszyć. Włożyła czarny kostium i kapelusz, bo po śmierci ojca nosiła żałobę. Przejrzała się w lustrze. Czerń bardzo ładnie odbijała od bladej twarzy i jasnych włosów. Była niebrzydką kobietą, wciąż jeszcze wartą grzechu. W drodze na przystanek Pawełek cały czas o coś pytał. Głównie o samochody przejeżdżające ulicą. Jadzia nie nadążała z odpowiedziami. Było ciepło, śpieszyli się, a on nie znał litości. Na przystanku z ulgą postawiła ciężką walizkę. Obok stało dwóch gestapowców. Udawała Niemkę, spokojnie stanęła więc koło nich. Zerkali na nią z wyraźną przyjemnością.

- Co on ma takiego z tyłu? - Pawełek pokazał mijający ich samochód.

Nim Jadzia zdążyła się zorientować, samochód dawno przejechał.

- To była rura wydechowa - powiedział jeden z Niemców. Pawełek się zawstydził i schował za mamę. Nie był przyzwyczajony do rozmów z obcymi.

- Śliczny chłopiec! - zauważył z uznaniem ten, co znał się na rurach. Zachwyt był raczej skierowany pod adresem mamy, bo na nią patrzył. - Jak się nazywasz, kawalerze?

Jadzia zdrętwiała. Synek dobrze wiedział, jak się nazywa, a polskie nazwisko Jastański, mogło zdziwić gestapowców. Pawełek uśmiechnął się, kopnął kamyczek i nieoczekiwanie wypalił:

- Paul Kapusta.

Spojrzała zaskoczona i nawet zdobyła się na uśmiech, który mógł przypominać rozbawienie, chociaż gardło miała ściśnięte ze strachu.

- Zareczam panom, że nie nazywamy się Kapusta - powiedziała po niemiecku, gładząc Pawełka po głowie. - Usłyszał gdzieś to słowo i powtarza jak papużka.

Oni też zarechotali rozbawieni. Ten od rury wydechowej, niczym pies gończy, musiał wyczuć w powietrzu strach. Wciąż się uśmiechał, ale patrzył coraz uważniej. Zlustrował Jadzię od kapelusza po czarne pantofle, potem spojrzał na walizkę. Ona też spojrzała i poczuła, że traci oddech. Z boku dostrzegła sporą, rdzawą plamę. W pośpiechu nie obejrzała wcześniej walizki i nie zmyła kompromitującej pozostałości po rąbance. Plama była od jej strony, mógł ją zauważyć lub nie, wystarczyło jednak, że ona widziała. Przestała się uśmiechać. Podświadomie czekała na jedno słowo: dokumenty! Pawełek odbiegł kilka kroków i niebezpiecznie wychylił się ku jezdni. Nie mogła go łapać, bo bała się odejść od walizki.

- Paul! - krzyknęła histerycznie.

Obejrzał się i z ociąganiem podszedł do matki.

- Miałeś się nie oddalać - powiedziała gniewnie, chwytając go za rękę.

- A gdzie ty jedziesz, kawalerze? - spytał dla odmiany ten, co do tej pory milczał i chyba był mniej spostrzegawczy od kolegi.

Paweł już się nie droczył, już był oswojony z obcymi.

- Do chorej cioci. Ona robi tak: khy, khy, khy - zakasłał, całkiem udanie naśladowując Cecylię. Dla większego efektu złapał się za piersi, jakby nagle zabrakło mu tchu.

Dzielni oficerowie spojrzeli na żalobę Jadzi, na udającego kaszel synka i chyba stracili ochotę do rozmowy. Przewornie odsunęli się dwa kroki do tyłu. Bardzo podobnie odsuwał się Fritz Kornmahler, gdy ktokolwiek przy nim zakasłał. „My, Niemcy, niczego tak się nie boimy, jak gruźlicy i brudu” - lubił powtarzać. Ci dwaj musieli być z tej samej szkoły. Nadjechał tramwaj. Jadzia, ledwie żywa ze strachu, wsadziła synka do wagonu, wniosła walizkę i tylko kątem oka zobaczyła, że gestapowcy siadają z dala od niej. Przyjemnie było pomyśleć, że ci dzielni i nieustraszeni też się czegoś boją.

Cecylia, starannie pielęgnowana przez Jadzię, wróciła do zdrowia i Pawełek, mimo wielkiej ochoty do podróży, więcej już z matką nie pojechał do Aleksandrowa. Rósł jednak szybko i wkrótce mieszkanie było dla niego za ciasne. Lubiał siadywać w oknie i patrzeć na rówieśników biegających po podwórku. Zaczął nudzić, że on też chce się bawić z dziećmi. Jadzia drżała o jedynaka i bała się spuszczać go z oka.

Weszła kiedyś do pokoju. Na parapecie zobaczyła synowską pupę i dwie balansujące nogi. Resztą ciała malec wisiał za oknem.

- Paul, co ty wyprawiasz!?! - krzyknęła przestraszona.

- Tam jest ciocia Kuku - powiedział i dalej wisiał. Wciągnęła go do pokoju, dla porządku trzepnęła po tyłku i wyjrzała przez okno. Nie знаła zbyt wielu mieszkańców

kamienicy, ale lokatorka z oficyny nie była jej obca, przynajmniej ze słyszenia. Nazywała się bodaj Rupińska albo Rufińska i bratowa wyrażała się o niej z wielką niechęcią: „Wyobraź sobie, że we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku ta głupia kobieta pobiegła witać kwiatami żołnierzy Wehrmachtu. Polka z kwiatami do najeźdźcy, to się nie mieści w głowie!”. Na razie w Toruniu nie działo się widać nic godnego uwagi, bo pani Rupińska bądź Rufińska sterczała w oknie i kukała sobie z Pawełkiem. On jej kuku, ona mu kuku i tak została ciocią Kuku. Dla Pawełka była to tylko namiastka zabawy. Coraz bardziej tęsknił do dzieci.

- W końcu będziesz musiała wypuścić go z domu - powiedział kiedyś Józef. - To duży i mądry chłopczyk, nie uwiążesz go do stołowej nogi.

Posłuchała brata i pozwoliła Pawełkowi zejść na podwórko. Stała w oknie i patrzyła, czy aby nie dzieje mu się krzywda. Wieczorem nie mogła dowołać się syna na kolację. Tak zasmakował w zabawach z dziećmi, że każdy powrót do domu przyjmował jak największą karę. Zaczął też znikać z innymi dziećmi na dłużej, a potem opowiadał, że byli nad Wisłą i w jakimś ogrodzie. Nie znosiła tych jego wypraw, umierała ze strachu, ale nic poradzić nie mogła. Chłopiec nie chciał już się trzymać maminej spódnicy.

Jadzia jeździła do Aleksandrowa do końca wojny. W ostatnich miesiącach nie przywoziła już czekolady ani herbaty, była szczęśliwa, jeśli udało jej się zdobyć kawałek słoniny, śmietanę czy masło. Ludziom z każdym miesiącem żyło się biedniej. Jedynie doniesienia z frontu były coraz pomyślniejsze. Niemcy wycofywali się ze zdobytych terenów i wróciła nadzieja, że i ta wojna wreszcie będzie miała swój koniec.

- Przenieś się do Tucholi - powiedziała któregoś wieczoru Jadzia.

Siedzieli w trójkę przy stole, Pawełek już spał.

- Za wcześnie o tym myśleć. - Józef pokręcił głową. - A co chcesz tam robić?

- Otworzę sklep z bławatami. Towaru zostało jeszcze pół piwnicy, na początek wystarczy.

- Przecież ty nie masz pojęcia o handlu - zdziwiła się Ola.
- Księgi trzeba prowadzić, zamawiać towar.

- Nie mam pojęcia o handlu? A co innego robiłam przez całą wojnę? Z buchalterią też dam sobie radę. Aleksy prowadził księgi bardzo starannie, Potoczek nawet nie wie, co to jest. Możliwe, żeby tylko na Pomorzu był taki ordnung, a w innych dzielnicach szajseraj?

- Jedyna dobra rzecz, jaką przejęliśmy po Prusakach, to szacunek dla porządku - mruknął Józef. - Innych dobrodziejstw nie widzę. Ta wojna to już w ogóle ludzi zdeprawowała. Remontowałem jesienią piec u Polaka. Wiecie, co mi powiedział? „Niech Bóg panu zapłaci, bo ja nie mam pieniędzy”. Przy ustalaniu ceny wcale się nie targował.

Z chwilą kiedy Jadzia postanowiła, że otwiera sklep w Tucholi, wszystkie jej myśli skupiły się wokół tego pomysłu. Schodziła do piwnicy, przeglądała pozostałe materiały i za każdym razem z wielką wdzięcznością myślała o mężu. Dzięki Aleksemu nie tylko ona przeżyła wojnę, nie zaznając większego głodu. Z handlu utrzymała Pawełka i brata z żoną, nie chodziła obdarta i nawet nie musiała się wyzbywać biżuterii. Niewiele tego było, ale wciąż miała naszyjnik od ojca, pierścionek zaręczynowy, ulubione bransoletki. Teraz czekała tylko na dogodny moment, żeby wrócić na swoje i zastąpić Aleksa w sklepie. Na pewno byłby z niej dumny.

Wśród pasmanterii odnalazła płaskie zawiniątko z firanką. Aż się wzruszyła. Zaczynała tę robótkę tuż po skończeniu pensji. Rodzice remontowali wtedy dom, chciała zrobić im niespodziankę i jakoś nie wyszło. To był typowy eine kleine

zajaczek. Ojciec zawsze powtarzał: „kończ, co zaczęłaś”. Zwinęła firankę i zabrała na górę do mieszkania.

Pod koniec stycznia głośno już było o wycofywaniu się Niemców z Pomorza. Pawełek wpadł któregoś dnia do domu bardzo przejęty. Od progu krzyczał, że Niemcy uciekają z miasta. Po niemiecku oczywiście krzyczał.

- Paweł! - Cecylia przytrzymała chłopca za rękę. - Od tej pory mówisz wyłącznie po polsku, rozumiesz?

- Ja, ja! - mruknął, bo na moment zatkał się chlebem.

- Nie żadne ja, tylko tak! Powtórz!

- Tak, przecież ich spreche (ja mówię (niem.)) po polski, psiamać! - wyjaśnił.

Ciocia, choć zgorziona podwórkową edukacją, z trudem utrzymała powagę.

Jadzia próbowała zatrzymać syna w domu, ale równie dobrze mogłaby łapać wiatr. Krzyknął, wrzasnął i już go nie było. Za to Cecylia, chyba zaraziła się jego pośpiechem, bo nabrała wielkiej ochoty, żeby tę historyczną chwilę zobaczyć na własne oczy, już, zaraz. Wyszły obie na ulicę. Rzeczywiście Niemcy bardzo się śpieszyli. Parę godzin wcześniej zdążyli jeszcze wysadzić most przez Wisłę i w popłochu opuszczali miasto.

- Ten to chyba daleko nie ucieknie - zauważyła Ola, pokazując samochód, który jechał bez opon, na samych felgach.

- Niech się nawet czołgają na brzuchach, byle nie chcieli wracać - westchnęła Jadzia.

Stały w tłumie ludzi. Ktoś powiedział, że Ruski są już na drugim brzegu Wisły, że montują pontony, żeby dostać się do miasta.

- Może dobrze, że Niemcy ten most wysadzili - zastanowiła się Ola. - Nim Rosjanie wejdą, ich już nie będzie i ominie nas strzelanina.

W jakimś sensie były to prorocze słowa. Dzień, może dwa miasto żyło w zawieszeniu: Niemców już nie było, Rosjanie jeszcze nie weszli, za to Polacy ruszyli na szaber. Wynosili z ponemieckich sklepów, co się dało. Pawełek z kolegami zajął otwartą na oścież Europejską, gdzie na parterze bufet był bogato zaopatrzony w ciastka i kremy. Nie dało się tego przejeść i chłopcy zapłacili za łakomstwo solidną biegunką. Cecylia z Jadzią wolały zostać w domu, za to Józef wyszedł się rozejrzeć i wrócił z wypchaną torbą.

- Matko droga! - przeraziła się jego zona. - Co to jest?

- Wszyscy coś brali, to i ja wziąłem - powiedział i z dumą wyłożył na stół sześć bochenków czerstwego chleba.

Pierwszego lutego do miasta weszli Rosjanie. Ciocia Kuku pobiegła witać ich kwiatami i wróciła blada z przerażenia.

- Pani Jaskólska - mówiła do Cecylii - oni nas wszystkich mają tu za Germańców, strzelają do każdego, kto próbuje podejść. Co to za kultura?!

Sanatorium (2)

Z rana zadzwonił do Pawła jakiś geograf, sądząc po głosie, człowiek młody, który zaczął pisać pracę z demografii o ludziach długowiecznych. Koniecznie chciał się spotkać z Jadwigą. Pawłowi sam pomysł przypadł do gustu. Matka ostatnio zrobiła się rozmowna, wyszła z apatii i może nawet coś sensownego by powiedziała. Obiecał popytać. Kupił banana, kilka mandarynek i wybrał się za Wisłę na Podgórze.

- A, to pan! - powitała go Jadwiga. - Nie spotkał pan po drodze mojego brata Leona?

Do Leona już się przyzwyczał, ale „pan” trochę go zmroził. Na Łaziennej zaledwie kilka razy był dla niej panem, potem zawsze już poznawała jako swojego.

- Jak się czujesz? - spytał.

- Dobrze. Dosyć mam siedzenia w sanatorium. Na moje nogi nic już nie pomoże. Nabawiłam się romantyzmu jak stary Fritz. Brat dzisiaj zabiera mnie do domu. Pan nie jedzie w tamtą stronę?

- Nie jadę, za to na spacer możemy pojechać.

- Poczekam tutaj. Jestem trochę podenerwowana, bo w telewizorze widziałam Nikitę Siergiejewicza. Nawet się nie postarzał, gębę wciąż ma jak naleśnik. Nie wie pan, czy listy od niego wciąż przychodzą?

- Dzisiaj w skrzynce nic nie było.

- Może zapomniał. Parę lat już minęło.

Obrał jej banana. Zaczęła jeść i straciła ochotę do rozmowy.

Złe sny

Jadzia siedziała w domu jak na rozżarzonych węglach, tak spieszo jej było do Tucholi. Chciała koniecznie jechać z Pawełkiem. Bratowa tłumaczyła i perswadowała, że bez dziecka łatwiej jej będzie się rozejrzeć i zorientować, ona jednak nie ustąpiła. Paweł musiał zobaczyć rodzinny dom, nie mogło być inaczej. Ledwie dotarła wiadomość o oswobodzeniu miasta, spakowała najpotrzebniejsze rzeczy, trochę bielizny, ręczniki i nocnik. Pomyślała, że kto wie, czy kanalizacja w mieście działa, więc mógł się przydać. Wzięłaby go nawet mając pewność, że z kanalizacją wszystko w porządku. Ten nocnik wiernie jej towarzyszył od początku wojny, przypominał dawne dobre czasy: loterię fantową, pokój dziecienny. Darzyła go sentymentem, ale nie przypuszczała, że już po wojnie nocnik w niebieskie różyczki będzie jedyną ocalałą rzeczą, jaka jej pozostanie z całego mieszkania.

Wejście do sklepu i okna wystawowe zabite były deskami. Z bijącym sercem wbiegła na piętro. Nie musiała mieć kluczy, nie musiała się włamywać, drzwi stały otworem. Szła przez puste pokoje, a stukot obcasów odbijał się od ścian przerażającym pogłosem. Nie został ani jeden mebel, ani pół firanki. Pod ścianami poniewierały się papierzyska i książki, w bawialni stały dwa rozpadające się biurka i trzy drewniane krzesła, nic więcej. Przygarnęła do siebie Pawełka.

- Tu się urodziłeś, synku. To było śliczne mieszkanie, urządzaliśmy je razem z tatusiem. Trudno w to uwierzyć, prawda?

Ale nie martw się, urządzimy je jeszcze raz we dwoje, ty i ja. Teraz pomóż mi pozbierać papiery.

Pawełek zbierał spod ścian papierzyska, ona pochyliła się nad książkami. Na samym wierzchu leżał Mein Kampf. Nie miała przy sobie zapalek, bo natychmiast roznieciłaby ogień i

oddała mu na pożarcie książkę, która mogła jej przysporzyć kłopotów. Przejrzała inne tomy. Same propagandowe świństwa i tylko jedna pozycja godna uwagi, Lexikon z trzydziestego ósmego roku. Ten tom odłożyła na bok, resztę wyniosła do kuchni.

Tak była zajęta noszeniem i przenoszeniem, że nie usłyszała kroków na schodach. Poderwało ją dopiero ciche pukanie do otwartych drzwi. Na progu stała Truda Rosicka.

Nigdy wcześniej Jadzia nie uściskała Trudy, bo między panią a służącą był spory dystans. Wojna jednak zmieniła i złagodziła obyczaje. Każdy życzliwy człowiek, który przeżył, wart był uściskania. Przy okazji obie się popłakały.

- Zaglądam tu prawie codziennie - chlipnęła Truda. - Przechowałam dla pani ulubiony fotel pana Aleksa, toaletkę z sypialni i tę małą serwantkę ze stołowego. Wiem, gdzie jest parę innych rzeczy, widziałam jak sąsiedzi je rozchwytywali. Tu był jakiś Amt (urząd (niem.)) i Niemcy wyrzucali meble.

- A tobie jak było? Jak przeżyłaś wojnę? - dopytywała się Jadzia.

- Chodziłam sprzątać do Muzolfa, tego, co zabrał piekarnię Latzkego. Drań był ostatni, ale co miałam robić?

- Nie przejmuj się, Truda! Było, minęło. Ja też w czasie wojny parę razy udawałam Niemkę, żonę oficera, i wcale nie mam sobie tego za złe. Ty musiałaś utrzymać chorego ojca, ja syna, brata i bratową.

Niemcy opuścili miasto kilka dni wcześniej, jednak na ulicach nie było bezpiecznie, zwłaszcza dla kobiet. Zamiast niemieckich patroli wałęsały się grupy rosyjskich żołnierzy, pijanych nie tylko szczęściem z darowanej miastu wolności. Spotkanie z nimi mogło się skończyć tragicznie. Truda nie puściła Jadwigi samej na Seminaryjną. Pobiegły we dwie po szczotkę, szmatę i wiadro. Do wieczora uporały się z porządkami w mieszkaniu. Pod kuchnią zapłonął ogień. Wiele

ciepła nie dawał, bo to paliły się papiery, ale przynajmniej doszczętnie pożarł resztki niemieckiej obecności.

Następnego dnia Jadzia chodziła z Trudą po mieszkaniach sąsiadów i odbierała meble. Każdy, do kogo wchodziła, przysięgał, że wziął wyłącznie na przechowanie. Wszystkiego nie dało się odzyskać, ściągnęły jednak stół, łóżko, szafę, Truda na ręcznym wózku przywiozła fotel i resztę rzeczy od siebie. Jadzia mogła zaczynać nowe życie. Trochę pomogła też rodzina. Matka dała pościel, Ola czajnik i jakieś filiżanki, Leon zamontował w drzwiach solidny zamek i porąbał biurka na opał.

Sklep mniej ucierpiał niż mieszkanie. Zostały półki i lada, wystarczyło odkurzyć i posprzątać. Na sprowadzanie towarów było jeszcze stanowczo za wcześnie. Wieczorem Jadzia wzięła Trudę na górę, do mieszkania, zaparzyła rumianku i wreszcie mogły chwilę odpocząć.

- Tak bardzo się cieszę, że jesteś ze mną - powiedziała - jednak nie mogę ci płacić, bo nie mam pieniędzy. Za to, co dla mnie robisz, dam ci materiał na sukienkę albo i na dwie.

- Zostanę z panią - powiedziała Truda. - Teraz, póki Ruski rządzą w mieście, nie mam innego zajęcia. Jak pani przywiezie towar, poszyję firanki na okna, od razu zrobi się przytulniej i z ulicy nikt nie będzie zaglądać.

Jadzia odetchnęła z ulgą. W tych ciężkich dniach Truda była dla niej nieocenioną pomocą. Sama myślała, żeby skoczyć do Torunia, przywieźć trochę materiałów na pościel i firanki, dodatkowo też parę kuponów bawełny, za które mogłaby dostać coś do jedzenia. Żywności brakowało wszystkim.

Nie namyślała się długo. Już następnego dnia siedziała w zatłoczonym pociągu. Jedni pasażerowie wracali do siebie, inni chyba z szabru, atmosfera żywcem przypominała tę z pierwszych miesięcy wojny, kiedy ludzie masowo jeździli na

handel. Pięć lat minęło, a nic się nie zmieniło, pomyślała. Siedziała jednak spokojnie z walizką na kolanach, nie bała się rewizji ani łapanki, więc chyba jednak coś się zmieniło. Wpadła na Łazienną, uściskała Cecylię, spakowała najpotrzebniejsze rzeczy i już pędziła z powrotem na dworzec. Chyba nigdy jeszcze nie żyła w takim pośpiechu.

Truda obdarzona była licznymi talentami. Uszyła w rękach naprawdę śliczne firanki, z domu przyniosła doniczki z pelargoniami i ustawiła je na parapetach. Z dołu, ze skweru, okna wyglądały bardzo elegancko. Dzień albo dwa później do mieszkania zapukała nowa władza. Jadzia wcale się nie spodziewała, że nowa władza cokolwiek o niej wie, zmieniła jednak zdanie, kiedy dostała rozkaz, aby przygotować pokój dla radzieckiego oficera. Największy, najładniejszy, z wygodami.

- Coś mi się zdaje, Truda, że te okna wyszły ci zbyt ładne. Spojrzeli dranie, pomyśleli, że w środku komfort, i teraz będzie tylko kłopot - westchnęła poważnie przestraszona.

Niewielu radzieckich oficerów dotąd spotkała, chyba nawet żadnego. O Rosjanach miała zdanie mniej więcej takie, jak ojciec, czyli mocno niepochlebne. Utwierdziła się w tej opinii, patrząc na wałęsających się po mieście pijanych żołnierzy spod znaku czerwonej gwiazdy. Nie budzili sympatii i Jadzia dostawała gęsiej skórki na myśl, że jednego z takich będzie gościła w swoim mieszkaniu. Na domiar wszystkiego nie znała ani słowa po rosyjsku.

Major Dymitr Pawłowicz przyjechał późnym popołudniem. Nie sam. Towarzyszyła mu elegancka młoda kobieta, z całą pewnością ani córka, ani żona. Znakomicie mówił po niemiecku. Przedstawił się i spytał, czy w domu jest piwnica. Była. Zeszli na dół, Jadzia otworzyła drzwi i wskazała spore, prawie całkiem puste wnętrze. Po chwili żołnierze wnieśli jedenaście wielkich, solidnych kufrów.

Zasalutowali i wybiegli. Można było zamknąć drzwi i wrócić na górę. Major Dymitr Pawłowicz rozejrzał się po mieszkaniu.

- Tu jest dziecko? - spytał.

Pawełek, co prawda, siedział u babci na Seminaryjnej, ale w kuchni suszyły się jego ubranka.

- Mieszkam z synkiem - przytaknęła Jadzia.

- To my w takim razie zajmiemy najmniejszy pokój, żeby nie robić pani kłopotu.

Kiedy wróciła od matki, na stole czekała na nią paczka znakomitej herbaty, a na Pawełka czekolada. Lokator dołożył się do wspólnej kolacji, wyjął z torby sardynki, suchą kiełbasę i puszkę jakiegoś pysznego mięsa. Jadzia zaczęła się poważnie zastanawiać, czy przypadkiem ktoś, niekoniecznie wróg, nie podmienił Rosjanom majora. Była oczarowana jego taktem, elegancją i znakomitymi manierami.

Dymitrowi Pawłowiczowi zawdzięczała dużo więcej niż tylko delikatesowe smakołyki, którymi ją codziennie obdarzał. Któregoś dnia usłyszała na ulicy pijackie wrzaski. Odchyliła firankę. Kilkunastu pijanych żołnierzy zdobywało właśnie rynek. Walili do różnych drzwi po drodze, pakowali się na klatki schodowe. Trzech czy czterech wbiegło do jej kamienicy.

Przerażona zastukała do pokoju majora.

- Idą! - krzyknęła. - Już tu są!

- Kto? - spytał, stając w drzwiach.

- Ruski! - powiedziała, nie bawiąc się w subtelności.

Zapiął mundur. Drzwi wejściowe aż się trzęsły od kopniaków i uderzeń pięściami. Dymitr Pawłowicz wyjął pistolet i stanął na progu. Może w każdej innej sytuacji Jadzi żal byłoby żołnierzy, którzy w panicznym przerażeniu zlatywali ze schodów jak gruszki. W każdej innej, byle nie w tej. Nie trzeba było wielkiej wyobraźni, by dopisać sobie ciąg dalszy nieproszonej wizyty.

Dymitr Pawłowicz mieszkał u Jadzi około trzech tygodni i ruszył z wojskiem na Berlin. Zabrał ze sobą tylko piękną przyjaciółkę.

- Moje bagaże chciałbym zostawić u pani - powiedział na pożegnanie. - Zgłoszę się po nie, wracając z wojny.

Jadzia nie miała nic przeciwko temu, aby kufry stały sobie dalej w jej piwnicy.

Wojskowe władze miasta widać polubiły mieszkanie przy Świeckiej, bo zaczęły je traktować jak swoje. Wcale o to nie zabiegając, Jadzia stała się szefową i zarazem jednoosobowym personelem hotelu oficerskiego. W praktyce miało to więcej stron dobrych niż złych. Wymagało ciągłego prania pościeli, jednak oficer w domu gwarantował bezpieczeństwo, co w tych niebezpiecznych czasach było bardzo ważne.

Ledwie major wyjechał, jego miejsce zajął rosyjski sierżant Nikita Siergiejewicz, mężczyzna niewysoki, przysadzisty, z uśmiechem od ucha do ucha. Miły nawet, tylko porozmawiać z nim się nie dało. Znał co prawda kilka słów niemieckich, ale te akurat nie były zbyt przydatne w towarzyskiej pogawędce. Posługiwał się jedynie rosyjskim i usta mu się nie zamykały. Najchętniej przesiadywał w kuchni, patrzył, jak Jadzia się krząta, i coś jej opowiadał, nawet próbował ją uczyć swojej mowy. Czasem wyciągał organki i grał jakieś tęskne melodie. Jadzia niezręcznie się czuła w jego towarzystwie. Kobięca intuicja podpowiadała jej, że podoba się Nikicie Siergiejewiczowi dużo bardziej niż Nikita jej. Prawdę mówiąc, on jej się w ogóle nie podobał, choć bardzo się starał. Kiedyś przyniósł w prezencie pół krowy. Jak zdobył mięso, to już pozostało jego tajemnicą, dość że trzech żołnierzy miało co dźwigać. Wołowina w tamtych czasach była wielkim rarytasem. Jadzia mogła obdzielić obydwu braci, mamę, Trudę i jeszcze po kawałku zanieść Stefanii i Marcie.

Nikita cieszył się, że ona się cieszy, i spoglądał coraz bardziej ogniście.

- Jadwiga, ja was lublu - powiedział kiedyś.

Lubił to lubił, w końcu ona nie mogła powiedzieć, że go nie lubi, bo był szczery i zachowywał się przyzwoicie.

- Ja pana też lublu - powiedziała, szorując Pawełkowi uszy.

Pokraśniał z radości i koniecznie próbował ją uściskać. Tego już było za dużo. Huknęła, żeby trzymał ręce przy sobie, wzięła Pawełka i zamknęła się w sypialni. Następnego dnia pobiegła do Leonów po pomoc.

- Gdyby wasz Staś ze mną zamieszkał, byłabym spokojniejsza. Taki dwudziestolatek w domu to nie to, co mój sześćioletni Paweł. Niepewnie się czuję z tym człowiekiem. Coś dziwnego zaległo mu się w ruskiej łepetynie, gada „lublu” i do ściskania się bierze. Powiedziałam, że też go lubię, ale u nas w Polsce od lubienia do poufałości droga daleka.

- Przyjęłaś oświadczyzny i dziwisz się, że chce cię ściskać - roześmiała się Marysia. - U nich lublu znaczy „kocham”.

- No to bez Stasia nie wracam do domu - powiedziała zdecydowanym głosem Jadzia.

Staś był jej przyzwoitką zaledwie trzy dni. Nikita pożegnał się i pojechał na front. Długo potem pisywał do Jadzi listy, ze dwa lata albo i dłużej. Przychodziły w szarych, trójkątnych kopertach. Żadnego nigdy nie przeczytała.

Było jeszcze kilku innych lokatorów, którzy w drodze na Berlin przewinęli się przez kwaterę przy ulicy Świeckiej w Tucholi. Nawet nie zapamiętała ich twarzy ani nazwisk. Ostatni sierżant utkwiał jej w pamięci z powodu zegarka. Przywiózł ze sobą jakiś zdobyczny, męski zegarek z rzymskimi cyframi na tarczy. Nie nosił go na rękę, tylko oglądał, podziwiał, pokazywał z daleka Pawełkowi, a potem odkładał na parapet. Może gdyby mniej się chwalił, nie byłoby

nieszczęścia. A tak chłopiec dobrał się do zegarka i z wielkiej ciekawości rozebrał go na drobne części. Sierżant nie znał się na żartach i dzieci chyba też nie lubił.

- Jak jutro do czwartej nie będzie zegarka, rozstrzelam oboje! - wrzasnął.

Choć wrzeszczał po rosyjsku, Jadzia zrozumiała każde słowo. Na Świeckiej, po sąsiedzku był zegarmistrz Cybulski, i tylko on mógł pomóc.

- O której dokładnie wyjeżdżają? - spytał.

- O czwartej.

- Niech pani przyjdzie o wpół do czwartej, nie wcześniej.

- Może, chociaż o trzeciej?

- Wpół do czwartej - powtórzył.

Sierżant wyjechał zadowolony. Zegarek, co prawda, był nieco inny, lecz równie ładny. Jadzia pobiegła do Cybulskiego jeszcze raz. Nurtowała ją ta godzina: wpół do czwartej i ani minuty wcześniej.

- Ech, pani Jadwigo, ten zegarek nie pochodzi dłużej jak dwie godziny, a oni już tu nie wrócą - odpowiedział spokojnie zegarmistrz.

Pierwsze tygodnie wolności upływały Jadzi na ciągłej krzątaniu. Pomagała Trudzie doprowadzić do porządku zniszczone podłogi, wciąż coś ściągała do mieszkania, zmieniała i upiększała, przede wszystkim zaś zajęta była zdobywaniem żywności. I tak nie miała źle, bo kwaterujący u niej oficerowie przynosili puszki, słoninę, czasem nawet herbatę. Dzieliła się z bliskimi, czym mogła. W wolniejszych chwilach wpadała do Marty i Stefanii, żeby się dowiedzieć czegoś o wojennych losach znajomych.

Stary Fritz Kornmahler zmarł pod koniec wojny, a jego żona wyjechała do Niemiec razem z Helgą i chyba Karlem. Podobno mieli jakąś rodzinę pod Dreznem i tam się

zatrzymali. Rothowie już w połowie wojny przenieśli się do Bonn.

- Rozmawialiście z Helgą? - dopytywała się Jadzia.

- O czym niby? - spytała Stefania. - Nawet wierzę, że poza Karlem nie miała wiele wspólnego z niemiecką Samoobroną, dla mnie jednak to żadna pociecha. Co nam mogła powiedzieć? Że nas przeprasza?

Marta pokręciła głową.

- Przepraszamy nie przeszłyby jej przez gardło. Zamknęła się w domu, nie wychodziła do miasta. Powiem wam, że mnie nawet jej żal. Jakie ona miała życie z Karlem? Nigdy tego człowieka nie lubiłam.

Stefania z Jadzią spojrzały na siebie zaskoczone.

- Wierzysz w to, co mówisz? - zdziwiła się Jadzia. - Był czas, że robiłaś wszystko, żeby się wydać za Karla. Miałaś tylko szczęście, że on nie chciał żony Polki.

- Nigdy nie uganiałam się za Karlem! - zaprotestowała gwałtownie Marta. - Podobałam mu się i nic na to nie mogłam poradzić, ale dostawał kosza za koszem, aż wreszcie zrozumiał.

- Niech ci będzie, że masz rację! - zgodziła się Stefania. - Nie będziemy się sprzeczać o Karla, bo on nie jest tego wart. Lepiej udawać, że nigdy go nie było wśród nas.

- Myślisz, że to możliwe? Że można z pamięci wymazać tyle zła? - zastanowiła się Jadzia.

- Czas leczy największe rany. Pewnie nie słyszałaś ostatniej nowiny: nasza Marta wybiera się za męża.

Jadzia spojrzała zaskoczona.

- To prawda. - Marta aż się zarumieniła z wrażenia. - Nie nadaję się do samotnego życia. Do pracy nie pójdę, bo nic nie umiem robić, a dzieci muszę wychować. Kuntz to dobry człowiek i dobry Polak, choć nazwisko ma niezbyt polskie.

- Człowiek chyba niezły - zgodziła się Jadzia - powiedz mi tylko, co zrobiłaś, żeby go zmusić do oświadczyn? Nie znam większego mruka od Kuntza.

- Mężczyznę trzeba umiejętnie ośmielić - powiedziała Marta z miną, która dowodziła, że ona tę umiejętność posiadała.

Gdyby nie roztropne rady bliskich, Jadzia już dawno pojechałaby po towar do Torunia i uruchomiła sklep. Wciąż jej jednak powtarzali, że powinna poczekać do zakończenia wojny, aż zapanuje jaki taki porządek. Korzystała więc z darowanego czasu i chodziła do Antona na naukę buchalterii. Chciała prowadzić sklepowe księgi równie dobrze, jak kiedyś Aleksy.

- Nie poznaję cię - mówiła ze śmiechem Ola. - Pamiętasz, jak zawsze wzbraniałaś się przed pracą? Chciałaś być tylko znakomitą panią domu.

- Chciałam! - przytaknęła Jadzia. - Teraz też bym chciała, ale widać ktoś zdecydował za mnie inaczej. Muszę z czegoś żyć i wychować Pawła.

- Jesteś bardzo dzielna - powiedziała Ola.

Jadzia nie doszukała się w jej słowach kpiny. Sama nigdy nie myślała o sobie „dzielna”, najwyżej „zaradna”. Ostatnio coraz częściej zastanawiała się, czy aby dobrze ją rodzice wychowali. Nie do nich wszakże miała pretensję, tylko do czasów, które w kobiecie widziały jedynie dodatek do mężczyzny. Chciałaby bardzo porozmawiać właśnie teraz z ojcem. To on najbardziej się cieszył, że wyhodował córkę na damę i panią domu. Wyhodował, to prawda, nie przewidział tylko paru zawirowań losu po drodze. Jadzia jednak nie zamierzała się poddawać.

- Nie wiem, czy jestem dzielna, wiem natomiast, że odziedziczyłam upór po ojcu.

- Jego upór nie zawsze prowadził do dobrego - mruknęła Ola.

- A to czemu? Tata żył uczciwie, w najtrudniejszych czasach wychował czworo dzieci, co w tym widzisz niedobrego - uniosła się Jadzia. - Że nie biegał z powstania na powstanie, nie zapisał się do Związku Zachodniego i nie rozklejał po mieście plakatów? To ojcu masz za złe? Aleksy był w związku, rozklejał plakaty i zostałam wdową w drugim miesiącu wojny. Mam być teraz dumna z jego bohaterstwa? Mnie i Pawełkowi bardziej by się przydał żywy Aleksy niż najbardziej świetlana pamięć po nim.

Wykrzyczała cały swój żal i miała ochotę zapłakać, tak bardzo zabolowały ją słowa bratowej.

- Nie można myśleć wyłącznie o czubku własnego nosa - powiedziała wolno Ola. - Kiedy Włodek Kowalik skopiował listę skazanych, wiedzieliśmy, że wcześniej czy później Niemcy do niego dotrą. Z Polaków tylko on znał nazwiska z listy. Do nas, do tej szóstki biegającej po domach, też mogli trafić. Czy można było postąpić wtedy inaczej, myśleć wyłącznie o swoim bezpieczeństwie i nie ostrzec ludzi?

- Włodek Kowalik? - zdziwiła się Jadzia. - Wydawał się taki zarozumiały... aż dziwne.

- Był tylko przeczulony na punkcie swojej urzędniczej kariery - uśmiechnęła się smutno Ola. - Zastrzelili go na ulicy, kiedy próbował uciec. Dla mnie on jest jednym z bezimiennych bohaterów. Gdyby wszyscy myśleli tak jak ty, nie wygralibyśmy żadnej wojny.

- Gdybyś ty została wdową jak ja, pewnie inaczej byś mówiła - odparła ze złością Jadzia.

Nie życzyła Oli wdowieństwa, za bardzo kochała Antona, ale musiała jej przygadać. Dość już miała żywych, którzy z wielkim przejęciem rozprawiali o słodkiej śmierci za ojczyznę. Podobnie mówiła Cecylia. Modliła się za

beziemiennych bohaterów, wracała do domu i podkładała Józieńkowi stołeczek pod nogi. A Jadzia, wychowana na damę i panią domu, musiała sobie radzić sama.

Wiosna nadeszła nie wiadomo kiedy. Maj przyniósł wreszcie najbardziej pożądaną wiadomość o zakończeniu wojny. Jadzia wyrывała się do Torunia po towary, ale rodzina wciąż ją powstrzymywała. Zwłaszcza Leon protestował i obiecywał, że sam z nią pojedzie.

- Siostra - spytał raz - zaglądałaś ty do kufrów tego majora? Była niedziela, siedzieli u matki razem z Antonami.

- Oszalałeś? - wykrzyknęła przerażona. - Chyba umarłabym ze strachu!

- Zawsze to jednak ciekawe, jaki on ze sobą woził majątek. Dziwny to jakiś major, co na wojnę kochanicę ciągnie i kilkanaście kufrów, nie uważasz?

- Co mnie do tego? Mógł sobie nawet lwa ciągnąć, jak lubił. Ja mu tam po kufrach szperać nie będę.

- Nie trzeba szperać, wystarczy tylko zajrzeć z ciekawości - wtrącił Staś. - A co ciocia zrobi, jak on z wojny nie wróci?

- Jak nie wróci, to zacznę się martwić, na razie klucz dobrze schowałam i nikt tam nie wejdzie. Nikt, rozumiecie!

Rozumieli, jednak kufry nie dawały im spokoju. Jadzia była niewzruszona. Tyle ich, co sobie pogadają, myślała, a kufry stoją w mojej piwnicy i ja za nie odpowiadam. Wreszcie któregoś dnia, już tak w połowie czerwca, przed domem zatrzymała się wojskowa ciężarówka. Jadzia podlewała pelargonie w oknie i domyśliła się, że za chwilę będzie miała gościa. Młody lejtnant musiał być Gruzinem. Równie pięknego mężczyzny chyba jeszcze nie spotkała.

- U was są kufry majora, da?

- Da, da - odpowiedziała, nieźle podszkolona przez rosyjskich oficerów płaczących się po mieszkaniu.

Wzięła klucze i zeszła z lejtnantem do piwnicy. Wcześniej jakoś nie miała okazji zauważyć, że każdy kufer był oznaczony numerem. Major posprawdzał numery, kufry przeliczył i kazał żołnierzom pakować do samochodu. Dziewiąty zostawił.

- E to dla was od majora - powiedział na pożegnanie.

Wreszcie Jadzia mogła odetchnąć. Samochód odjechał, a ona nie musiała drzeć ze strachu przed włamaniem i kradzieżą. W mieście wciąż się słyszało o napadach na mieszkania. Wolała się nie zastanawiać, co by było, gdyby kufry zginęły z jej piwnicy. Tamte wyniesione do samochodu już jej nie interesowały, zajęła się tym, który został. Przeniosły go z Trudą do mieszkania i otworzyły. Był to kufer spożywczo - delikatesowy. Tylu wspaniałości jednocześnie nie pamiętała nawet z najlepszych czasów przedwojennych. Konserwy mięsne i rybne, puszki z owocami, czekolada, kakao, prawdziwa kawa i niewielkie pudełko z zabawkami. Może major miał synka i to dla niego wiozł samochodziki, a także mały blaszany pistolecik? Samochodziki były śliczne, ale pistolet wcale jej się nie spodobał. Bardzo nie chciała, żeby Paweł strzelał nawet do wymyślonemu wroga. Nie chciała, żeby w ogóle strzelał. Ponieważ usłyszała kroki synka na schodach, wrzuciła zabawkę do torebki z myślą, że przy okazji ją wyrzuci.

Po przejrzeniu kufra Jadzia znowu mogła się zabawić w dobrą wróżkę i obdzielić całą rodzinę prezentami.

Leon obiecywał jej towarzyszyć w wyprawie do Torunia, wciąż jednak brakowało mu czasu. Przekładał wyjazd z dnia na dzień, wreszcie Jadzię to zgniewało i pojechała sama.

Łatwo było powiedzieć: przewiozę towar z Łaziennej w Toruniu na Świecką w Tucholi, gorzej wykonać. Pół dnia zmarnowała, zanim znalazła ciężarówkę. Kierowca nawet

specjalnie się nie upierał. Samochód miał poniemiecki, chęci do pracy polskie, ale potrzebował pieniędzy.

- Nie mam pieniędzy - powiedziała Jadzia. - Mogę panu dać porządnej wełny na garnitur i na kostium dla żony.

- Na garnitur to i owszem, ale po co babie kostium? - zdziwił się szczerze. - Niech będzie na garnitur i na palto dla mnie.

Z pomocą Józefa załadował samochód, podsadził Jadzię do szoferki i pojechali. Nie bardzo jej się podobał ten mężczyzna. Za dużo gadał, za dużo wypytywał i wciąż kręcił kudłatą głową, jakby coś sobie kalkulował. Wreszcie stanął w szczerym polu. Minę miał taką, jakby chciał wysadzić Jadzię, tylko się zastanawiał, jak jej o tym powiedzieć. Typowa powojenna hiena, co to zabić, nie zabije, ale jak może okraść, to okradnie bez zmrużenia oka. Jadzia nie zamierzała mu na to pozwolić. Pewnym ruchem włożyła rękę do torebki i namacała zabawkę od majora. Dwa kółka luf odcisnęły się na materiale, nie było wątpliwości, co to takiego.

- Jedź! - rozkazała pewnym, ostrym głosem. - Jedź, bo możesz nigdy do domu nie wrócić i nie włożyć nowego garnituru.

Dał się nabrać, mało tego, tak się przeraził, że pobił chyba wszystkie rekordy prędkości, na jakie stać było przechodzonego grata. Co chwila zerkał na Jadzię, a ona przezornie trzymała rękę w torebce. Tak było pewniej.

- Jak rany! Niechże paniusia nie gmera przy tym instrumencie, bo jakby wypalił, to kto paniusię dowiezie do Tucholi?!

- Jeszcze raz spróbuj stanąć, to na pewno wypali.

Na miejsce dotarli po południu. Anton z Leonem już czekali i rozładunek poszedł sprawnie. Zdziwiło ich tylko, że kierowca odjechał, nie czekając na zapłatę. Sam sobie zapłacił, zabierając dwie bele wełny.

- I tak miałaś szczęście - powiedziała Ola - że nie wysadził cię gdzieś po drodze i nie uciekł ze wszystkim.

- Próbował, ale byłam uzbrojona i się wystraszył.

- Jak byłaś uzbrojona? W co? - przeraził się Anton.

- W zimną krew i zdrowy rozsądek - roześmiała się Jadzia i wyciągnęła z torebki blaszany pistolecik od majora. - Wojna mnie czegoś nauczyła.

Odżałowała te dwie bele, bo nie miała innego wyjścia. Najważniejsze, że sklep zaczął przypominać sklep, a ona mogła stanąć za ladą i spłacić dług Aleksemu. Przez całą wojnę miała wrażenie, że mąż nad nią czuwa, że jest gdzieś obok, odsuwa niebezpieczeństwa i prowadzi ją za rękę, więc teraz z wdzięczności chciała kontynuować dzieło jego życia. Wierzyła, że sobie poradzi.

Może nawet by się udało, bo miała mnóstwo zapasów do pracy, niestety, zmogły ją kradzieże, a przede wszystkim domiary, najgorsza z powojennych hien. Trzy włamania do sklepu przeplącała utratą prawie całego towaru. Za każdym razem policja odzyskiwała jakąś tam, niewielką część. Sąsiad, który cierpiał na bezsenność, pierwszy dopatrzył się wielkiego oszustwa.

- Pani Jadwiga, ten sam samochód, co w nocy wywoził towary ze sklepu, dwa dni później je przywoził, to jak jest?

- Widział pan, że wywożą i nie zaalarmował nikogo?

- Niby jak? Miałem wyjść i krzyczeć, żeby mnie zastrzelili?

Na koniec Jadwiga handlowała samą już tylko pasmanterią i właśnie wtedy zaczęły się wielkie domiary dla prywatnych przedsiębiorców. Tego już nie wytrzymała. Nie tylko ona zresztą. Anton też musiał zamknąć swój sklep, po nim jeszcze kilkunastu innych kupców.

Przyjechał Józef.

- Jadzia - powiedział - wracaj do Torunia. Lebiódowa w przyszłym tygodniu przenosi się do córki i będziesz miała własny kąt. Nie chcę od ciebie ani grosza za czynsz, przeznaczysz te pieniądze na światło, gaz i opał. W dużym mieście łatwiej o pracę. Tutaj tylko nerwy stracisz i nic nie zwojujesz. A my z Cecylką pomożemy ci Pawełka wychować.

Matka spojrzała na Jadzię załzawionymi oczami. I to jej słowa przechyliły szalę.

- Jedź, córka. Nic mądrzejszego nie wymyślimy. A ja się znowu nauczę żyć bez ciebie.

Mijał trzeci rok od zakończenia wojny. Jadwiga miała czterdzieści dwa lata, dziewięcioletniego syna i brakowało jej pomysłu na dalsze życie.

Sanatorium (3)

Mieszkanie przy Łaziennej stało już puste. Wystarczyło odświeżyć ściany, bo ostatnie solidne malowanie było całkiem niedawno, przed setnymi urodzinami matki. Iza poprosiła, żeby Paweł zostawił w oknach firanki. Takie firanki świadczą o zamieszkaniu i nie przyciągają wzroku ciekawskich. Dodatkowo zostawił jeszcze kaktusy na parapecie. Oddał klucze, wyszedł przed dom i serce mu się ścisnęło. Okna wyglądały tak, jak zawsze, jakby za nimi toczyło się normalne życie.

Matka, kiedy mówiła „mój dom”, miała na myśli dom dziadków albo ten przy Świeckiej w Tucholi, a on, mówiąc „mój dom rodzinny”, widział jedynie ten przy Łaziennej. Na pierwszym piętrze mieszkali wuj Józef z ciotką Cecylią, on z matką najpierw na drugim, a od ślubu z Elżbietą na parterze. Zostawił tu młodość i kawał dorosłego życia. Nagle zapragnął też mieć swój „kachel”. Znalazł na Starówce malarza, który sprzedawał obrazy, i po dwóch dniach odebrał od niego bardzo udany pastel. Malarz przyłożył się do pracy i uchwycił nawet antenę na dachu. Paweł wolałby dom bez anteny, jednak nic nie powiedział. Zastanawiał się tylko, czy pokazać obraz matce.

W momencie kiedy Paweł wchodził do pokoju, Jadwiga wyraźnie się ożywiła. Na krótko, co prawda, jednak czasem udawało mu się zamienić z nią kilka sensownych zdań. Znowu był Leonem, nie jakimś obcym człowiekiem z ulicy.

- My, Leon, byliśmy najbardziej podobni do ojca, pamiętasz? Twardzi byliśmy.

- Wszyscy tak mówili - przytaknął.

- Tak było. Ojciec chciał, żebym wyniosła się do Torunia. Ty wiesz, że ja nigdy Torunia nie polubiłam? W Tucholi było mi lepiej.

- Młoda byłaś, to dlatego.

- Teraz też nie jestem stara, tylko zmęczona. Nie miałam dobrego życia w Toruniu. Prawdziwy koszmar, wciąż tylko praca i praca.

Zwiesiła głowę i zamilkła. Pomógł jej usiąść na wózku, obwiózł po korytarzu. O Klarze już nie wspominała. Całkiem obojętnie mijała jej pokój.

Koszmary senne

Jadwiga posłuchała Józefa. Sprzedała mieszkanie i sklep, dostała za nie psie pieniądze, zabrała najpotrzebniejsze rzeczy, w tym trochę mebli, i po raz drugi opuściła rodziną Tucholę. Jedynie nocnika w niebieskie różyczki nie wzięła ze sobą, bo się stłukł w trakcie pakowania.

Józef razem ze znajomym malarzem odświeżył dwa pokoiki z kuchenką po Lebiodowej. Jadzia powiesiła w oknach firanki uszyte przez Trudę, ustawiła meble, rozejrzała się i nie dostrzegła w nowym wnętrzu niczego, co pozwoliłoby jej powiedzieć, że jest u siebie. Nawet ulubiony fotel Aleksego był jakby nie ten sam. Usiadła w nim, zakryła twarz dłońmi i zaczęła się modlić:

- Boże - szeptała - daj mi sił choć na piętnaście lat, żebym syna zdążyła wykształcić. Potem mogę dołączyć do Aleksego.

Sił na szczęście jej nie brakowało, była zdrowa, wciąż jeszcze młoda, potrzebowała jedynie pracy. Chodziła po mieście, pytała po sklepach, czy nie potrzebują sprzedawczyni. Nic innego nie przychodziło jej do głowy, bo też nic innego nigdy nie robiła, a trzy lata stania za ladą czegoś ją nauczyły. Żeby jakoś przeżyć ten pierwszy, najtrudniejszy okres, sprzedała jubilerowi złotą bransoletkę. Już nawet nie pamiętała, z jakiej okazji ojciec podarował jej to cacko. Pierwszy na pewno był naszyjnik z akwamarynów, kupiony przed ślubem Józefa. Darzyła go szczególnym sentymentem, więc nie myślała o sprzedawaniu.

Biegając po sklepach, robiła przy okazji zakupy dla siebie i bratowej. Kupowanie wcale nie było prostym zajęciem, wszędzie straszyły kolejki, na chleb czekało się nieraz pół dnia. Jadzia lubiła chodzić do piekarni na Chełmicką. Kiedyś z nudów zaczęła rozmawiać z jakąś kobietą. Tamta była nawet niebrzydka, ciemnowłosa, warkocz miała upięty w koronę wokół głowy. Mówiła z dziwnym zaśpiewam, zupełnie jak

Nikita Siergiejewicz, kiedy próbował coś tam opowiadać. Tyle tylko, że ta z warkoczem mówiła po polsku.

- Skąd pani jest, bo chyba nie nasza? - zagadnęła Jadwiga.

- Z Lubelszczyzny.

- To znaczy Ruska, ja?

- Pani chyba nigdy nie uczyła się w szkole geografii - odpowiedziała wyniośle obca. - W każdym razie na pewno nie jestem Niemką, jak pani.

Odwróciła się i tyle było rozmowy. Jadwigi nie zabolalo, że jakaś tam Ruska nazwała ją Niemką. Na Pomorzu wiele osób mówiło z twardym akcentem, a jeśli komuś się to nie podobało, mógł sobie śpiewać po lubelsku u siebie.

Dwa tygodnie biegała w poszukiwaniu pracy i pewnie biegałaby dłużej, gdyby Józef nie wynalazł jej miejsca w Zakładach Graficznych. Płacili tyle, co kot napłakał lub jeszcze mniej. Przez osiem godzin dźwigała paki z papierem, pakowała i rozpakowywała. Ręce jej mdlały, kręgosłup pękał, a na życie nie wystarczało. Pawełek wyrastał z ubrań, zanim zdążył je zabrudzić, buty darł w tempie przyśpieszonym, potrzebował na książki, na zeszyty.

- Synek, nieba bym ci przychyliła, ale dwóch złotych na cyrkiel nie dam, bo nie mam - powiedziała kiedyś.

Była bliska załamania. I wtedy przypomniała sobie zaczęta i nigdy nieskończoną firankę. Podobne firanki, oczywiście gotowe, spotkała w jednym ze sklepów, popytała, kto to robi, gdzie, i tak trafiła do spółdzielni Rzut. Rano szarpała się z papierami w Zakładach Graficznych, popołudniami ślęczała nad firanką. Wreszcie ją zrobiła. Potem następną i jeszcze następną. Płacili marnie, kiedy jednak do jednych marnych pieniędzy dołożyła drugie marne, to już cyrkiel synowi mogła kupić, a nawet wystarczyło na książki.

- Ładne? - Paweł pomachał kartonikiem, na którym namalował bukiet róż.

Oderwała się od kołka i iglicy, spojrzała.

- Śliczne! Synek, ty masz talent po ojcu! - zawołała zachwycona. - Pamiętasz, jakie ojciec wystawy robił w sklepie? Tak pięknie materiały poupinął, ozdobił sztucznymi kwiatami, że całość oczy rwała. Pamiętasz?

- Nie bardzo. Chyba nie zwracałem wtedy uwagi na wystawy.

- No racja - przytaknęła. - Miałeś kilka miesięcy, jak wybuchła wojna. Mnie się wydaje, że byłeś ze mną zawsze. Ale talent masz po ojcu, ja ci to mówię.

Pawełek spożytkował swój talent na malowanie okolicznościowych kartek, które brał od niego właściciel sklepu z pamiątkami. Potem wzbogacił asortyment o pudełeczka komunijne wylepiane białym papierem i ładnie ozdabiane. Mogły służyć jako opakowanie do medalików, bo właśnie medaliki były najczęstszym komunijnym prezentem. Próbował pomóc matce, jak umiał, i z tej jego działalności artystycznej jakieś tam pieniądze do domowej kasy wpływały.

Jadwiga nie miała w Toruniu znajomych i z nikim nie utrzymywała kontaktów towarzyskich. Wpadała oczywiście do Józefów i od czasu do czasu, z powodów czysto handlowych, do państwa Robaczyńskich, którzy mieszkali na wprost niej. Tak się mówiło „państwo”, ale tylko przez grzeczność. Ona była córką wozaka, a potem żoną wozaka i dopiero po śmierci pierwszego męża została panią Sylwestrową Robaczyńską. Drugi mąż rzeczywiście miał trochę więcej kontaktów z lepszym towarzystwem, ponieważ przed wojną był kelnerem w hotelowej restauracji Pod Trzema Koronami. Wiadomo, że w eleganckim hotelu, położonym w centrum miasta, zatrzymywali się wyłącznie ludzie zamożni. Podobno sama królowa Marysieńka Sobieska wynajęła tam kiedyś całe piętro, ale to było znacznie wcześniej, nie za czasów Robaczyńskiego, choć on lubił o tym wydarzeniu

opowiadać. Po wojnie, niestety, nie chcieli go już Pod Trzema Koronami, więc przeniósł się do knajpy Pod Kotwicą. Była to ta sama knajpa, do której Józef zapraszał Jadzię na kolację, kiedy pierwszy raz gościła w Toruniu. Naśmiewał się wtedy z siostry, mówił, że jedzenie kiepskie, towarzystwo szemrane, ale jakby chciała oberwać po głowie, to tylko tam. Sylwester Robaczyński nie miał aż tak złego zdania o Kotwicy, nawet przeciwnie, chwalił lokal za możliwości, jakie dawał kelnerom. Nie wyjaśniał bliżej, na czym te możliwości polegały, bo wolał się wpatrywać w Jadwigę. Zapałał do niej wyjątkową sympatią. Mówił wykwintnym językiem: „Rączki całuję”, „Szanowna pani raczy zauważyć”, w ukłonie zginał się jak scyzoryk, włosy miał ulizane i starannie zrobiony przedziałek. Było w nim coś drażniącego. Niewysoki, chudy i aż lepki od uprzejmości wzbudzał jedynie niechęć. Nawet gdyby nie był żonaty, nie miałby u Jadwigi najmniejszych szans.

- Szanowna pani z tą swoją królewską postawą świetnie by się na bufetową nadała - powiedział kiedyś.

Jadwiga wpadła na chwilę do Robaczyńskiej, żeby wymienić kaszę na mąkę. Często tak się wymieniały, bo każda z nich brała w sklepie, co dawali, a dopiero potem martwiła się, jak upłynnić nadmiar.

- Na jaką bufetową, o czym pan mówi, panie Robaczyński? - spytała bez specjalnej ciekawości.

Twarz mu się rozjaśniła w szerokim uśmiechu.

- W naszym lokalu wakuje etat bufetowej - wyjaśnił zwięźle.

- Co to znaczy: wakuje etat?

- To znaczy, że zdzira, która do tej pory oszukiwała na piwie i nie chciała się dzielić z kelnerami, poszła precz. Miejsce za bufetem jest wolne i gdybym tylko szepnął słówko,

gdzie trzeba, szanowna pani miałaby wymarzoną pracę od jutra. Życie za takim bufetem to czysta bajka.

- Ile można zarobić?

- Nie będę szanownej pani oczek mydlił, niewiele. Ale jak się jest człowiekiem i dobrze żyje z kelnerami, na boku wyciąga się trzy razy tyle albo i więcej. Proszę się zastanowić, byle nie za długo. To wyjątkowa gratka.

Jadwiga przed wojną bywała z Aleksym w eleganckich restauracjach Tucholi, Krakowa, Torunia. O knajpach miała pojęcie raczej oglądowe, to znaczy rzuciła okiem i szła dalej. Parę razy, idąc z Pawłem nad Wisłę, przechodziła obok Kotwicy. Przyśpieszała wtedy kroku, żeby jak najszybciej zniknąć z pola widzenia pijaczków. Zawsze ich tam kilku stało przy drzwiach, klócili się, wymachiwali rękami, czasem obejmowali się czule. Ze środka buchał niemiły zapach gorzałki, starego tłuszczu i dymu papierosowego. Z całą pewnością nie było to miejsce dla dobrze urodzonej damy, czas dam kończył się jednak i odchodził w zapomnienie. Nawet słowo „pani” wychodziło z użycia. Szef w Zakładach Graficznych mówił do Jadwigi: „Wy, obywatelko, moglibyście bardziej się postarać”. Starła się, chociaż nigdy dotąd nie musiała tak ciężko pracować. Nie miała wprawy w noszeniu i dźwiganiu. Gdzieś tam, w głębi duszy czuła się jeszcze ciut lepsza od innych, ale tylko ciut. Po ulicach biegały zaafierowane kobiety, ubrane byle jak, przejęte jedną tylko myślą: w której kolejce stanąć, żeby cokolwiek kupić i nakarmić rodzinę. Jadwiga też wchodziła powoli w tę strefę zainteresowań. Dbała, co prawda, o siebie, ściboliła ostatnie grosze, żeby starczyło na przeniebowanie kostiumu i na fryzjera, dla wygody zrobiła sobie trwałą ondulację, ale żyła gorzej niż skromnie. Jeśli więc Robaczyński mówił prawdę, jeśli nie oszukiwał z zarobkami, to może Kotwica była jakąś

szansą. Nie chciała decydować sama, poszła poradzić się Józefa.

- Żartujesz, prawda? Powiedz, że żartujesz? - patrzył na nią przerażony.

- Wcale nie! Dostyc mam taszczenia pakunków z jednego miejsca w drugie po to, żeby ktoś inny przenosił po mnie z drugiego w pierwsze. Tam wszystko jest eine kleine zajączek, bez głowy, bez planu, byle tylko ludzie biegali jak poparzeni. Mówią, że lada dzień zakład padnie i wtedy nawet dźwigać nie będzie co.

- Nie dasz sobie rady - wtrąciła Cecylia. - Za bufetem może tak, ale z pijakami! Miałaś ty kiedy do czynienia z pijanym człowiekiem?

- Miałam. Czterech pijanych Rusków dobijało się do moich drzwi. Na widok majora pospadali ze schodów. Pijak musi się bać, wtedy jest niegroźny. Dam sobie z nimi radę.

- Czy po to cię rodzice na pensję posłali, żebyś teraz była postrachem pijaków? - zgorszyła się bratowa.

- Nie posłali mnie też po to, żebym handlowała pod bokiem Niemców, użerała się z urzędem skarbowym i bawiła w tragarza. O tamtych dobrych czasach trzeba zapomnieć.

- Może o czasach, ale nie o wartościach, jakie wyniosłaś z domu! - upierała się Cecylia.

- Że pijaństwo jest grzechem? Nie idę Pod Kotwicę, żeby się upijać, tylko zarobić na przeżycie.

- Spróbuj - powiedział w końcu Józef. - Jak ci się nie spodoba, masz to rzucić natychmiast.

Nie po raz pierwszy Józef podnosił ją na duchu. Był dla niej jedyną i największą ostoją. Wiedziała, że gdyby coś się nie udało, nie powiodło, to jest jeszcze on ze swoim spokojem, radą i konkretną pomocą. Nie chciała nadużywać dobroci brata, starała się być samowystarczalna, bo była jeszcze Cecylia. Bratowa z każdym rokiem stawała się pobożniejsza i

oszczędniejsza, żeby nie powiedzieć skąpa. Na Jadwigę też nie patrzyła z dawną serdecznością. Pawełka jedynie hołubiła i namawiała, żeby się przeniósł do nich na pierwsze piętro. Paweł chętnie przesiadywał u wujostwa, nawet lekcje u nich odrabiał, ale zawsze wracał do matki.

- Czemu ciocia, jak smaruje chleb masłem, to aż iskry idą? - spytał kiedyś.

Jadwiga wzruszyła ramionami. Pawełek odziedziczył po niej prostolinijność i w najlepszej wierze mógł powtórzyć ciotce, co usłyszał w domu. Nie chciała jeszcze bardziej zadrażniać i tak napiętych stosunków. Wciąż przecież gościła pod dachem brata i nie płaciła za czynsz. Nie darmo Cecylia parę razy narzekała przy niej na straszną drożyznę. Kamienica, z której przed wojną mieli jakieś zyski, po wojnie sprawiała same kłopoty. Właściciel musiał myśleć o remontach i ciekącym dachu, a opłaty były symboliczne. Jeżeli Cecylia zaczynała narzekać przy Józefie, ten bardzo szybko przywoływał ją do porządku, przypominał, że mają z czego żyć i biedy nie klepią. Wprawdzie dostał zakaz stawiania pieców, ale remontować te zabytkowe wciąż mógł. Radził sobie całkiem nieźle i uspokajał żonę, że żebrac nie będzie musiała.

Jadwiga zaczęła królować za bufetem Pod Kotwicą. Królowała dosłownie, bo stali bywalcy właśnie tak się do niej zwracali: „Królowo, setuchnę i śledzika” albo: „Królowo, dwa piwka”. Podawała setę i śledzika, nalewała do kufli piwo, dla kelnerów była człowiekiem, z szefem nie zadzierała i z czasem bardzo sobie zaczęła chwalić nie tyle pracę, ile zarobki. To prawda, że ojciec, nazywając ją w dzieciństwie swoją królową, co innego miał na myśli niż nietrzeźwiejący nigdy Marcinek, ale Jadzia już dawno zapomniała o szczęśliwym dzieciństwie. Tylko czasem jeszcze, wieczorem,

kiedy zmęczona siadała w fotelu Aleksego, przypominał jej się wiersz:

Pamiętam ciche, jasne, złote dni, co mi się dzisiaj cudnym zdają snem, bo był otwarty raj także i mnie w dzieciństwie mem.

Było, minęło, mówiła wtedy i zaczynała planować następny dzień, który nie zapowiadał się na cichy ani złoty, był jednak kolejnym dniem pracowitego życia i należało go jakoś zappełnić.

- Paweł, jutro po szkole wpadnij do mnie na obiad - mówiła. Odkąd została przyjęta do grona pracowników baru, szef

pozwolił, żeby jej syn stołował się w lokalu. W południe było tam pustawo i całkiem bezpiecznie.

- Dobrze, ale dosyć już mam schabowych, chciałbym raz dostać gulasz - marudził.

- Synek, zapamiętaj sobie, w lokalu nigdy nie zamawia się gulaszu, mielonego ani bigosu. Tylko cały kawałek mięsa, rozumiesz ty?

Nawet jeżeli nie rozumiał, musiał zjadać to, co mu podała.

Życie w restauracji Pod Kotwicą zaczynało się w godzinach popołudniowych i trwało do dziesiątej wieczorem, kiedy to bar obowiązkowo był zamykany. Jadwiga, odgradzona od gości lada, czuła się bezpieczna. Nikt jej nie poklepywał, nie podszczypywał, bywalcy mogli najwyżej ślinić się na jej widok i prawić dusery czyli gadać głupoty. Co drugi miał wobec niej plany matrymonialne, przynajmniej do momentu powrotu pod skrzydła prawowitej małżonki. Nauczyła się z nimi rozmawiać, pilnie przy tym bacząc, żeby najpierw zapłacili, a dopiero potem wychylali setunię pod śledzika. Czujność była pierwszym obowiązkiem bufetowej, może nawet ważniejszym niż mycie kufli. Wspólnikom też na ręce patrzyła, inaczej się nie dało. Sylwester Robaczyński

bardzo szybko zrozumiał, że ułatwiając Jadwidze przyjęcie do pracy, nie może liczyć na nic więcej poza wdzięcznością przy podziale zysków. Umiała trzymać mężczyzn na odległość. Zresztą Robaczyński wkrótce znalazł sobie inny obiekt westchnień.

Skoro bar kojarzył się z wodą i pływaniem, a to z racji kotwicy, panie określonego zawodu nazywano mewkami. Mewki albo zaglądały do baru same i łapały okazję, albo przychodziły od razu w towarzystwie. Pamela należała do tych, co przychodziły same. Siadała przy stoliku, Sylwester ją obsługiwał i odstraszał konkurencję.

- Jadzia, gdyby co, to proszę żonie ani słowa! - szeptał jej do ucha.

- Gdyby co? Czy ja jestem twoją niańką? - Wzruszała ramionami, jednak z ciekawości zerknęła od czasu do czasu na stolik Pameli.

Któregoś dnia Robaczński, mimo że miał dzień wolny, pojawił się w knajpie, usiadł przy Pameli i wychylili ze trzy wódki. Jadwigę coś zaintrygowało. Chudy zwykle Robaczyński wyglądał niemal zażywnie. Aż trudno było uwierzyć, żeby z dnia na dzień tak przytył. Rozrosły mu się bary i klatka piersiowa. Nie miała jednak czasu na kontemplowanie sylwetki kelnera, bo ruch był tego dnia spory.

Wieczorem, kiedy już się wykąpała i miała iść do łóżka, zapukała Robaczyńska.

- Pani Jadzia - zawołała z płaczem - mój chyba uciekł!

- E, może się tylko zawieruszył - próbowała pocieszyć zawodzącą kobiecinę.

- Trzy garnitury zginęły z szafy, paltot, bielizna, nasze oszczędności i moje złote kolczyki. Nie mam pojęcia, jak to wyniósł, bo walizka leży w kuchni na kredensie. Cały czas byłam w domu, przecierałam.

Jadwiga wiedziała już, jak on to wyniósł i dlaczego zrobił się taki postawny, natomiast zupełnie nie wiedziała, jak pocieszyć zrozpaczoną sąsiadkę. Sama była zła na Robaczyńskiego, że zostawił żonę bez środków do życia. Nie wróżyła mu długiego szczęścia z Pamelą, ale to była nikła pociecha.

- Trudno, pani Robaczyńska, nie święci garnki lepią. Rozejrzy się pani za jakąś pracą i da sobie radę.

- Kiedy ja nic nie umiem robić.

- Gotować pani umie, a może akurat gdzieś potrzebują kucharki? Niech się pani weźmie w garść i udowodni, że mąż był tylko dodatkiem do pani, nie odwrotnie.

- Niestety, było odwrotnie. Osiem lat młodszy ode mnie, przystojny...

- Pani kochana! - wykrzyknęła Jadwiga. - Gdzie on tam przystojny! Pani jest kobieta do rzeczy, a on suchar taki, ogryzek od jabłka, wypomadowane zero.

Ostatnie słowa bardzo Robaczyńską podbudowały. Była w nastroju, kiedy chętnie się słucha złych opinii o krzywdzicielu. Niestety, nie okazała się lojalną sąsiadką. Po miesiącu Sylwester wrócił do domu, w jednym garniturze, bez paltota, bielizny, wspólnych oszczędności i żoninych kolczyków. Małżonka najpierw go obsobaczyła, a zaraz potem wyrecytowała wszystko, co Jadwiga o nim powiedziała.

- Wypomadowane zero to niby ja? - spytał na schodach.

- Dobrze, że o Pameli nie wspomniałam.

- Nigdy nie wymieniaj przy mnie imienia tej zdziry! Wzruszyła ramionami i zbiegła na dół.

Z domu zaczęły nadchodzić niezbyt pocieszające wiadomości o zdrowiu matki. Pisała Marysia, pisał Anton, ale Jadwiga odkładała wyjazd z dnia na dzień. Wreszcie którejś niedzieli załatwiła sobie wolne i pojechała z Pawełkiem do Tucholi. Znowu była dawną Jadzią, elegancką i zadbaną, choć

nieco bardziej okrągłą niż kiedyś. Wciąż lubiła niebieskie kolory i mogła jeszcze niejednemu mężczyźnie w głowie zawrócić. Jednemu chyba zawróciła. Stawał przy kontuarze, zamawiał piwo, potem sączył je powoli i nie spuszczał z niej oczu. Niebrzydki był, czyściutki, całkiem niepodobny do stałych klientów baru. Jadzia najpierw się wystraszyła, czy to nie jakiś naślany rewident, co udaje zachwyty, a patrzy na miarkę do wódki i kasę. Jedna z kelnerek, Natałka, знаła go wcześniej. „To taki picuś - glancuś, drobny cwaniaczek, co lubi siniaki robić”, powiedziała z lekceważeniem. Niechby sobie był nawet picuś - glancuś, ale patrzył ładnie. Nic tak nie dodaje kobiecie pewności siebie, jak zachwyty w męskim spojrzeniu. Może to ten zachwyty sprawił, że mimo przepracowania znajdowała czas na fryzjera i krawcową. W każdym razie rodzina jednogłośnie orzekła, że Jadzia wygląda kwitnąco.

Matka natomiast wyglądała źle. Ledwie wyszła z jednej choroby, wpadała w drugą, chudła, mizerniała. Kiedyś to matka tuliła Jadzię do siebie i gładziła po głowie, teraz córka spokojnie mogła wziąć ją na ręce. Musiała się mocno nachylić, żeby matkę uściskać.

- Jak ci tam, córka, w tym Toruniu? - pytała cichym głosem Felicja.

- Dobrze, chociaż nielekkko. Józef się nami opiekuje, ja poszłam do pracy i jakoś sobie z Pawełkiem radzimy.

- Ano, takie czasy nastały, że kobiety muszą mężczyzn wyręczać i rodziny utrzymywać. - Mama pokiwała ze smutkiem głową. - Ja tobie, córka, coś dam.

Podreptała do ściany i zdjęła kafel z widokiem domu przy Seminaryjnej. Dawno temu, jeszcze przed ślubem Jadzi, obrazek namalował brat Marysi.

- Weź ten kachel na pamiątkę - powiedziała Felicja. - Ze wszystkich moich dzieci ty chyba najbardziej kochałaś ten dom, co?

- Wszyscy go kochaliśmy - szepnęła Jadzia.

- Wszyscy, ale ty najbardziej. Ojciec lubił ten obrazek i chciał, żebyś go dostała.

Jadwiga pochyliła się do matczynych rąk. To był gest tak normalny, tak naturalny, że nigdy nawet o nim nie myślała. Po prostu całowało się ręce matki i ojca, bo tak było przyjęte. Paweł nigdy nie całował jej po rękach. Nie był tego nauczony. Początkowo Jadzia próbowała przyzwyczaić go, by okazywał uszanowanie wujowi, Józef jednak sam się wycofał z tradycji. Powiedział, że nie trzeba, że całowanie do kobiet się odnosi. Tak oto, na oczach Jadwigi, zagiął ładny obyczaj. W języku też zaszły zmiany. Mówiło się już całkiem inaczej, nie „proszę mamy”, „proszę taty”, tylko „mamo”, „tato”. Prościej było na pewno, tylko czy lepiej?

- Nad czym ty, córka, tak się zamyśliłaś?

- Nad tradycją, proszę mamy, że tak nam zanika.

- A co tu myśleć? - uśmiechnęła się smutno. - Ludzie odchodzą w zapomnienie, co dopiero tradycja.

Zasiedli potem do rodzinnego obiadu. Brakowało tylko Józefów, ale oni wpadali prawie co tydzień. Jadwiga patrzyła zaskoczona na swoich bratanków. Wyrośli, zmężnieli, najstarszy Staś niedługo miał się żenić. Pawełek, najmłodszy w tym gronie, też już nie był malutkim chłopczykiem, chodził do technikum budowlanego i wąż mu się zaczął sypać. Aż trudno było uwierzyć, że pokolenie Oli, Antona, jej, Marysi i Leona powoli zaczynało się zaliczać do grona starszych. Wcale nie czuła się stara, może tylko trochę zmęczona, zgorzkniała, jednak nie stara. Ola wciąż wyglądała jak podłotek, drobna, szczupła, choć już nie tak żywiołowa jak kiedyś. Pracowała w jakiejś spółdzielni i wcale jej się tam nie

podobało. W ogóle nikomu z Jaskólskich nowe czasy się nie podobały. Może jeden Leon nie bardzo narzekał, bo wciąż jeszcze prowadził swój warsztat zduński.

- Chcieli, żebym był w komisji nadającej tytuły mistrzowskie - zaczął opowiadać przy obiedzie. - Co jeden kandydat przychodził, to głupszy, bez pojęcia o fachu.

- Józef odmówił zasiadania w takiej komisji - wtrąciła Jadzia. - Powiedział, że nie będzie przykładac ręki do wyzwalania byle jakich fachowców.

- W dużym mieście mógł odmówić, w takiej Tucholi zaraz by mi warsztat zamknęli - mruknął Leon. - Niedobre czasy nastały, człowiek boi się człowieka.

Ola pokręciła głową.

- Z samego bania się nic nam nie przyjdzie - powiedziała. - Czasem trzeba się postawić. Opowiadano mi, jak ubecy przyszli po naszego dziekana, księdza Wryczę. We trzech wleźli na plebanię, ważni, że zaraz tu wyprowadzą mężczyznę w sukniach kapłańskich, może jeszcze go popchną, poszturchają. Dziekan wyszedł do nich w swoim mundurze podpułkownika. Wyprostowany, energiczny... Chyba nie zasalutował tym draniom? - zastanowiła się. - Na pewno nie. Podobno miny im strasznie zrzędyły. Wciąż się kręcą koło dziekana, tylko zamykać go już chyba nie próbują.

- Wiecie, co mnie pociesza? - odezwał się Anton z uśmiechem. - Że nasz niechlubnej pamięci przyjaciel Karl, razem ze swoją rodziną, wyniósł się do Drezna, a to strefa rosyjska i za wielkiej swobody nie będzie miał.

- Czy ktoś z was wie, co się stało z Marcinem? - spytała Jadzia. - Tym, co się kręcił koło Karla i aresztował Aleksa?

Pamiętali doskonale Marcina, nikt jednak nie wiedział, gdzie się podział i komu teraz służył.

Młodzież zaraz po obiedzie wyniosła się do ogrodu. Pawełek jeszcze chwilę mitrężył przy stole.

- Wybieramy się z Olą do Torunia - powiedział Anton. - Zajrzemy do tej twojej restauracji, żeby zobaczyć, jak sobie radzisz.

- Wujku, to nie jest miejsce dla cioci Oli - roześmiał się Paweł. - To straszna mordownia. Ty sam bałbyś się tam wejść.

- Co on opowiada? - Ola się roześmiała. Jadwiga ręką odgoniła Pawła.

- Prawdę mówi. Grymasić można, jak się ma w rękę maturę. Ja jestem szczęśliwa, że pracuję. Im większa mordownia, tym więcej można zarobić na piwie i na wódce.

- Oszukujecie? - zdziwiła się bratowa.

- Ależ skąd! - oburzyła się Jadwiga. - Jak dołożę więcej piany, to pijak mniej wypije i będzie zdrowszy, nie uważasz? Wyobraź sobie, że robimy to dla ich dobra. Takiemu, co ledwie siedzi, nie można dolewać wódki, bo spadnie i się potłucze. Jemu wystarczy woda. Nie czuje, co pije, rozcieńczy to, co wypił, i będzie zdrowszy.

- Ale za pianę i wodę każecie sobie płacić jak za piwo i wódkę? - wykrzyknęła zgorziona Ola.

- Nauka kosztuje.

- Ty się, siostra, wyrobiłaś! - roześmiał się Leon.

- Ja się tylko nie daję. Życie wyleczyło mnie z sentymentów.

- Byłaś kiedyś sentymentalna? - zdziwiła się Ola.

- Byłam! - odpowiedziała ostro. - Ale już nie jestem.

Wróciła do Torunia dziwnie zasmucona. Nie rozmową przy stole, bo na ładne słówka o uczciwości była uodporniona przez Cecylię, która wciąż próbowała ją umoralniać. Jadwiga martwiła się teraz chorobą matki. Niby nie czuła, że to już ostatnie spotkanie, przeciwnie, planowała sobie, że za miesiąc znowu przyjedzie do domu, i nie zdążyła.

Z chwilą kiedy odchodzą rodzice, nieodwołalnie kończy się dzieciństwo. Nie ma już nikogo, kto by powiedział:

„córko", „synu". Dom, nawet jeśli zostaje, też jest inny. W rodzicielskim domu rządzą teraz Leon z Marysią. Jadwidze został jedynie kachel z obrazkiem namalowanym przez artystę malarza. Obejrzała go i schowała do szuflady. Ona kochała dom, nie obrazek.

Picuś - glancuś naprawdę nazywał się Bolesław Kozłowski. Wpadał do baru niemal codziennie na kufel piwa, nie więcej. Upatrzył sobie jeden stołek barowy i jeśli był zajęty, bez pardonu spędzał każdego, kto odważył się tam usiąść. Mówił: „To moje miejsce, zjeżdżaj pan" i mężczyźni przezywani panami zjeżdżali. Budził respekt: nieźle ubrany, pewny siebie, typowe panisko. Miał oko nie tylko na Jadzię, ale także na cały bufet. Można powiedzieć: pilnował porządku.

- Królowo, mać taka i owaka, to ma być śledzik! - wykrzykiwał jakiś podpity klient.

- Uważaj na słowa, chamie, do kobiety mówisz! - Kozłowski udawał, że schodzi ze stołka.

- O co tyle krzyku, szanowny! - mitygował się podpity. - Ja mówiłem do śledzia, nie do królowej.

Jadwiga spojrzała z wdzięcznością na Kozłowskiego. Bar Pod Kotwicą na pewno nie był ostoją kultury i dobrych obyczajów. Przez cały dzień nasłuchiwała się tylu przekleństw, że nie robiły już na niej wrażenia. Momentami sama zapominała, że jest kobietą, istotą kruchą i zasługującą na szacunek.

- Ja bym to całe chamstwo wystrzelał! Do ostatniego opoja bym wystrzelał! - powiedział kiedyś Kozłowski.

Jadwiga myślała kufle, więc tylko skinęła głową na znak, że towarzystwo rzeczywiście nie jest zbyt eleganckie, chociaż sama uwaga jej się nie spodobała.

- A wtedy ja straciłabym pracę - powiedziała.

- Bez obawy. Znalazłbym pani inną. Ma się trochę tych znajomości na najwyższych szczeblach i przyjaciół, którzy coś są winni człowiekowi w ramach wdzięczności.

- Wolałabym jeszcze tu zostać, zanim syn nie skończy szkół. Wzruszył ramionami, co mogło znaczyć, że na razie nie będzie wykorzystywał swoich znajomości, by szukać jej pracy.

Któregoś dnia doczekał do zamknięcia lokalu i uparł się, że odprowadzi Jadwigę. Roześmiała się, bo do domu miała raptem trzy kroki. Stała przed bramą.

- Dobranoc - powiedziała. - Dziękuję za odprowadzenie. Złapał ją za rękę powyżej łokcia tak silnie, że aż syknęła, przyciągnął do siebie i zaczął całować. Odepchnęła go i uciekła na górę. Chyba szedł za nią po schodach, tak jej się przynajmniej wydawało. Wystraszona wpadła do mieszkania i zamknęła drzwi. Wieczorem przy myciu zobaczyła, że rękę powyżej łokcia ma sinią. Odcisnął jej trzy swoje paluchy. Ognisty chłop, pomyślała. Powinna była raczej pomyśleć: ognisty drań, jednak kobiety często bywają nierozsądne, i to nie tylko te najmłodsze.

Leżała potem z otwartymi oczami, nie mogąc zasnąć, i próbowała jakoś pozbierać myśli. Dobijała do pięćdziesiątki i przestała już liczyć na miłość. Miała jednego tylko mężczyznę, spędziła z nim trzy najszcześniejsze lata życia i drugiego Aleksego nie spodziewała się spotkać. To byłoby zbyt piękne, żeby mogło jej się przydarzyć. Dwadzieścia lat wiodła samotne życie, zapomniała o pieszczotach, nauczyła się pracować i decydować o sobie, więc do czego jej potrzebny mężczyzna? No, może czasem brakowało kogoś, kto zdjąłby z ramion trochę ciężaru, przytulił ją i pochwalił, że świetnie sobie radzi. Ale nie wiedziała nawet, gdzie takiego szukać. Na pewno nie wśród klientów baru Pod Kotwicą. Bolesław Kozłowski nie był takim bywalcem baru, jak reszta.

On jeden przychodził tam wyłącznie dla niej, czyli nie musiała go szukać, to on ją znalazł. Nie wyglądał wprawdzie na mężczyznę skorego do czułości ani do zdejmowania obowiązków z kobiecych barków, pomyślała jednak, że czas pokaże, ile są warte jego zaloty. Usnęła w miarę uspokojona.

Kozłowski miał wobec Jadwigi bardzo poważne zamiary. Zaprosił ją kiedyś na spacer nad Wisłę i wyznał, że szuka przystani, gdzie chciałby zakotwiczyć. Nie w sensie dosłownym, bo miał własny dom na Małych Garbarach, potrzebował jedynie kobiety, która by się zajęła nim i domem. Mówił, że tęskni za rodzinnym ciepłem. Jadwiga pomyślała, że mogłaby spróbować stworzyć taką przystań dla nich dwojga. Nęcił ją zwłaszcza dom, własny dom, w którym byłaby panią. Józef nie musiałby się o nią dłużej troszczyć, a ona nie nadużywałaby jego gościnności.

- Uważaj - ostrzegła Natalka. - Znam jedną, co w szpitalu wylądowała po jego pieściznach. To zboczony facet. Jak ci jeszcze siniaków z miłości nie narobił, to spodziewaj się, że lada dzień będziesz je miała.

Jadwiga dyskretnie pomacała ramię. Siniaki już dawno zeszły, ból ustąpił. Nigdy potem nie umiała tego zrozumieć ani wybaczyć sobie tych kilku miesięcy szaleństwa. Lekceważyła wszystkie przestrogi, zapomniała o Pawle i o pamięci Aleksego, lazała jak ćma do świecy prosto na zatracenie. Widziała szczęśliwy dom, nie widziała pana tego domu.

- To nie jest człowiek dla ciebie, opamiętaj się, Jadzia! - prosił Józef.

- Miałaś wspaniałego męża - perswadowała Cecylia - dobrego, uczciwego człowieka, dlaczego teraz wybrałaś takie nic? Napytasz sobie biedy, zobaczysz.

Natalka, kelnerka z Kotwicy, zakręciła tylko kółko na czole, kiedy Jadwiga poprosiła ją na świadka.

- Lubię cię i nie przyłożę ręki do tego małżeństwa. Jak już musisz, posiedź z nim bez ślubu, zaoszczędzisz sobie wydatków i kłopotów.

Paweł nic nie mówił. Za niego wypowiedział się Bolesław:

- Nie udał ci się ten twój szczeniak, nie wymagaj ode mnie, żebym go tolerował.

Nikt z bliskich Jadwigi nie polubił Bolesława. Nikt. Ten człowiek nie dał się lubić. Gardził ludźmi. Słuchając go, można było pomyśleć, że Panu Bogu nie udał się cały świat, z wyjątkiem jednego Kozłowskiego. Jadwiga to wszystko widziała. Widziała jego chamstwo, brutalność i mówiła: jest szczerzy, przynajmniej niczego nie udaje.

- Rób, jak uważasz - powiedział wreszcie Józef. - Paweł może zostać z nami. Mieszkania nikomu nie wynajmę, bo nie wierzę, żeby to małżeństwo przetrwało nawet rok. Źle ci będzie, wracaj, ale nie licz, że przyjdziemy z Cecylią na ślub.

Jadwiga wyprowadziła się więc na Małe Garbary do męża i przestała bywać na Łaziennej. Do pracy przemykała się zaułkami, żeby nie spotykać znajomych. Paweł codziennie rano, w drodze do technikum, wpadał do matki. Jeśli nie udało jej się ukryć siniaków, mówiła, że uderzyła się o stół, szafę, komodę. Raz znalazł ją zakrwawioną i ledwie żywą. Siedziała na kuchennym stołku, nie mając dość siły, żeby dojść do łazienki, umyć się i zmienić bluzkę. Oparła głowę o blat stołu i zastygła w bezruchu. Na podłodze leżał połamany karnisz od firanek.

Przez całe życie, nie licząc kilku klapsów od ojca, nikt jej nigdy nie uderzył. Musiała dopiero trafić na Kozłowskiego. Jak kiedyś, przed laty Herr Mischke udowodnił staremu Jaskólskiemu, że jest nikim, że można go zabić tylko dlatego, że żyje, tak teraz Kozłowski dokładnie to samo udowadniał Jadwidze. Bił, żeby okazać własną siłę i władzę.

- Wracasz do wujka! - powiedział Paweł.

Tego przedpołudnia on i jego trzej koledzy zrobili sobie wagary. Szybko uwinęli się ze spakowaniem rzeczy, najęli wozaka i parę godzin później zmalretowana Jadwiga wróciła pod opiekuńcze skrzydła brata.

Trzy miesiące była narzeczoną, pół roku żoną i bardzo starannie wymazała ten epizod z życia. Nie załamała się, jak kiedyś Franciszek Jaskólski, tylko zacisnęła zęby i powiedziała sobie, że nie dla niej już marzenia o szczęśliwym domu. Kozłowski, co prawda, próbował przeproszać, coś sklejać, ale pognęła go precz. W pozwie rozwodowym napisała: sadysta.

Czy to możliwe, żeby matka nie zauważyła, że jej syn stał się dorosły? Jadwiga chyba nie zauważyła. Owszem, kupowała coraz większe buty, skarpety i spodnie, mówiła: „Synku, jak ty rośniesz”, wciąż jednak widziała małego chłopaczka, takiego na etapie gubienia zębów. Na rękę by go już nie wzięła, za rękę to on nie dałby się poprowadzić, ale był dzieckiem, jej malutkim Pawełkiem. Rozpieszczała go, kupowała mu czekoladę, bagatelizowała wszystkie przewinienia, kiedy zasypiał, gładziła po jasnych włosach i całowała w czoło. Niestety, na rozmowy nie miała za dużo czasu. Wracała z pracy skonana i nawet była zadowolona, że Paweł lubił przesiadywać u wujostwa. Zwłaszcza Józef umiał z nim rozmawiać, kładł chłopakowi do głowy różne prawdy, o których Jadwiga nie za bardzo miała pojęcie. Nawet jeśli Paweł coś zmalował, a zdarzało się to wcale nie tak rzadko, Józef wiedział, jak postąpić, jak do niego trafić. Wychowywał go niejako poza plecami matki, o co Jadwiga bynajmniej nie miała pretensji. Chłopcu potrzebny był męski autorytet. Ona, dawno temu, przy matce uczyła się gotowania, prowadzenia domu, i to umiała. Ale czego mogła nauczyć syna? Lepienia pierogów, wietrzenia pościeli? Jego to ani interesowało, ani

mu było potrzebne. On chciał wiedzieć, czy naprawdę nie istnieją na świecie inne, lepsze stroje niż ten, w którym przyszło im żyć. Wiedzę szkolną, gazetową i tę zdobytą na obowiązkowych masówkach, łączył ze wspomnieniami matki, z opowiadaniem wujostwa, kombinował tak i siak i zaczynał mieć coraz więcej wątpliwości. Jadwiga mogła mu powiedzieć tylko tyle: „Synku, gdyby nie wojna i gdyby nie ten nowy strój, którego ja zupełnie nie rozumiem, nie musiałabym stać po dziesięć godzin w zaplутym barze i usługiwać pijakom, a ty miałbyś równie piękne dzieciństwo, jak ja miałam”. Józef tę samą prawdę potrafił ubrać w inne słowa i wytłumaczyć dogłębniej. Paweł dorastał między dwoma ideologiami: tą oficjalną szkolno - radiową i tą wyniesioną z domu wujostwa. Jakoś się w tym wszystkim nie pogubił i do matury dobrnął.

Po raz pierwszy zauważyła, że jej syn nie jest już dzieckiem, kiedy znalazł ją pobitą w domu Kozłowskiego. Sam wtedy podjął decyzję o przeprowadzce matki na Łazienną. Miał w sobie tyle determinacji i zaciętości, że gdyby Kozłowski się wtedy nawinał, doszłoby do bójk. Przy młodym, silnym Pawle i jego kolegach tamten nie miałby szans.

- Synku - poprosiła - jak go kiedy spotkasz, przejdź na drugą stronę, nie rób mu nic złego.

- Jeszcze się o niego boisz? - spytał ze złością.

- O ciebie się boję, jego niech piekło pochłonie. Ty jesteś wszystkim, co mam na tym świecie.

Przytulił ją i nic nie powiedział. W ogóle niewiele mówił o Kozłowskim i wcześniej, i później. Pewnie tak jak Józef i Cecylia, miał matce za złe, że na stare lata straciła głowę. Ona też miała sobie to za złe, więc nawet nie bardzo się dziwiła. Z ulgą wróciła na Łazienną i zamieszkała z synem. Paweł zaczął wtedy więcej przesiadywać w domu. Może ze strachu o nią, może z powodu matury. Sporo się uczył, bo umyślił sobie, że

po technikum spróbuje zdawać na politechnikę. Józef bardzo te plany popierał, Jadwiga też, chociaż wolałaby zatrzymać syna w Toruniu. Gdyby poszedł na uniwersytet, nie musiałby wyjeżdżać z miasta. Dziwne, ale dopóki widziała w nim dziecko, mniej się bała. Niebezpieczeństwa czyhające na chłopca nie były aż takie groźne: wagary, dwóje, jakieś bójki, to wszystko dawało się przeżyć i nie odbierało matce syna. Strach przyszedł wówczas, kiedy spostrzegła, że Paweł jest już mężczyzną. Obawiała się innej kobiety w jego życiu. Jeszcze jej nie było, lecz mogła się pojawić w każdej chwili: młoda, pewna siebie i zaborcza.

Po wyjeździe syna na studia Jadwiga nie umiała sobie znaleźć miejsca. Bodaj wolała stać za bufetem w obskurnym barze, niż siedzieć w pustym domu. W pracy nie miała głowy na myślenie; nalewała, kasowała, pohukiwała na pijaczków i czas sam leciał. Paweł przyjeżdżał rzadko, choć pisywał często. Nie jakieś tam długie listy, zwykłe kartki pocztowe, takie z gotowym znaczkem. Zamykał się w kilku słowach, że zdrowy, że zdał egzamin. O dodatkowe pieniądze nie musiał prosić, bo co rusz mu podsyłała przekaz, żeby tylko dobrze się odżywiał i za bardzo nie musiał oszczędzać. Dopóki pracowała, nie narzekała na brak pieniędzy. Świętej pamięci Robaczyński nie skłamał mówiąc, że na boku wyciągało się trzy albo i cztery pensje. Kłopot zaczynał się dopiero z chwilą przejścia na emeryturę, kiedy kończyły się boki, a pozostawała goła pensja, pomniejszona o ileś tam procent. To były grosze, które nie pozwalały przeżyć nawet dziesięciu dni, gdy tymczasem miesiąc miał ich trochę więcej. Dlatego Jadwiga nie śpieszyła się z emeryturą. Postanowiła wytrwać przynajmniej do czasu, aż Paweł skończy studia. Posyłała mu pieniądze i wszystko, czego potrzebował z domu, jakieś książki albo zapomniane buty. Kiedyś poprosił pilnie o zaświadczenie z urzędu miejskiego. Nigdy nie lekceważyła

jego próśb. Chciał zaświadczenie, więc wybrała się rano do magistratu, żeby zdążyć przed otwarciem baru. Liczyła, że uwinie się raz dwa, co już z założeń było czystą naiwnością. Rzadko teraz bywała w mieście, więc zdążyła zapomnieć, że niczego nie załatwia się od ręki. W sklepach, w urzędach, przy budce z lodami wszędzie trzeba było swoje odstać. Nawet w barze Pod Kotwicą. Z boku mogło to wyglądać tak, jakby stanie w kolejkach było ulubioną pasją rodaków. Obowiązkowo też każda kolejka musiała się ślimaczyć, bo - z wyjątkiem klientów i petentów - nikomu się nie śpieszyło, najmniej urzędnikom. W magistracie wcale nie było inaczej. Okienko wycięte w drzwiach, w okienku głowa kobiety, przed drzwiami spory tłumek. Dopchała się wreszcie, podała dowód osobisty.

- Kozłowska, z domu Jaskólska? - spytała urzędniczka.

- Tak.

- Jadwiga Jaskólska?

Tego już było za dużo. Jadwiga śpieszyła się i nie miała czasu na poświadczanie rzeczy zupełnie oczywistych. Zadziarać jednak nie chciała, bo bardziej jej zależało na zaświadczeniu niż na wychowywaniu urzędnika miejskiego.

- Tak.

- Urodzona w Tucholi?

Spojrzała ze złością.

- Tak.

Dostała druczek, z którym musiała zejść na parter po poświadczenie i pieczętkę, by potem wrócić do tego samego okienka.

Wszystko się w niej zagotowało. Chwyliła druk i nim zdążyła odejść, w okienku pojawiła się kartka: „Przerwa”. Pomyślała, że i tak szczęście jej sprzyjało.

Urzędniczka dogoniła ją na schodach.

- Widzę, Jaskólska, że mnie nie poznajesz?

Jadwidze mało oczy nie wyszły z orbit. Głos już wcześniej wydawał jej się znany, teraz patrzyła na uśmiech, na ciemne bystre oczy i coś jej majaczyło, ale nie do końca. Pokręciła głową. Nie poznawała.

- Wal prosto z mostu, że się postarzałam. Odwdzięczę ci się tym samym.

Głos. To był głos z dalekiej przeszłości.

- Agnieszka Kuźmińska? - spytała niepewnie.

- Chwała Bogu! Widać jeszcze nie tak źle ze mną! - odrzekła z ulgą Agnieszka.

- Tusza cię tak zmieniła. Byłaś chuda jak kij od szczotki

- zauważyła Jadwiga z wrodzoną szczerością. - Włosy za to miałaś ładne, a teraz... Co ty z nimi zrobiłaś?

- Wylazły ze zmartwień. Chodź! - Agnieszka pociągnęła ją za rękaw. - Nie ma tu okien z niszą jak na pensji, ale jest stolik.

Ciemnawo było w kącie ze stolikiem, śmierdziało petami i pyłochłonem (Powojenny środek chemiczny do odkażania podłóg w szkołach i urzędach, mający bardzo silny zapach.). Wpatrywały się w siebie, jakby chciały odnaleźć tamte młode panny, które zapamiętały. Trzydzieści pięć lat minęło, odkąd po raz ostatni się widziały, było więc co odgrzebywać.

- Postarzałaś się, Jaskólska, ale wyglądasz całkiem nieźle. Ani siwizny, ani zmarszczek. Jak ty to robisz?

- Codziennie się wędzę. Dawno już odkryłam, że nic tak nie konserwuje cery, jak dym od papierochów i opary alkoholu - uśmiechnęła się - pod warunkiem że się samemu nie pali i nie pije.

- Masz jakieś wieści o koleżankach? - spytała Agnieszka.

- Tylko o Marcie i Stefanii. Owdowiałyśmy jednocześnie, na początku wojny. O innych nic nie wiem.

- O Klarze też nie? Dlaczego nie odpisywałaś na jej listy? Bardzo nad tym bolała. W przeciwieństwie do mnie miała

złudzenia co do ciebie, myślała, że umiesz odwzajemnić przyjaźń.

- Bo odwzajemniałam. Bardzo ją lubiłam.

- Prawdziwą przyjaźń trzeba pielęgnować, a ty zawsze byłaś egoistką.

- Jeżeli uparłaś się, żeby mnie obrazać, możemy się pożegnać - zdenerwowała się Jadwiga.

- Czy ja cię obrażam, Jaskólska? Odwróciłaś się od Klary, kiedy najbardziej cię potrzebowała. Czytałaś chociaż listy od niej, czy też ci się nie chciało?

- Skąd ty to wszystko wiesz?

- Po skończeniu pensji zrobiłam jeszcze maturę, podobnie jak Klara. W dwudziestym siódmym roku spotkałyśmy się w Kamieniu Krajeńskim. Obie pracowałyśmy w magistracie. Klara wzięła matkę do siebie, bo dobroć dziadków wciąż potykała się o niemieckiego męża i matka nie wytrzymała tego psychicznie, dopadła ją bodaj depresja. Klara miała z nią krzyż pański, za to narzeczony trafił jej się wspaniały. Powiem ci, że oboje na siebie zasługiwali. Matka zmarła rok przed wojną, ślub był wyznaczony na październik trzydziestego dziewiątego. Zaczęła się wojna, do Klary dotarła wiadomość, że ojciec wrócił. Jedno, co mogła zrobić, to wyjechać możliwie najdalej. Szła z narzeczonym na dworzec, natknęli się na patrol, zaczęli uciekać i ślub już chyba wzięli w niebie.

- Mój Boże, nie wiedziałam o tym! - westchnęła Jadwiga.

- O tym akurat nie mogłaś wiedzieć. Dużo później usłyszałam, że przez rok czy dwa ojciec Klary działał gdzieś na twoim terenie. Podobno wyjątkowy skurczybyk.

- Ojciec próbował ratować mojego męża i zdrowiem przepłacił spotkanie z panem Mischke. Nie znoszę tamtych wspomnień, wolę już mówić o pensji. Masz jakieś wieści o Róży?

- O naszej romantycznej Rózi? Cały czas miałam. Kiedy my zdawałyśmy egzaminy na pensji, ona z mężem odpływała do Australii. Aż tak daleko musiał ją wywieźć ze strachu przed kochającymi rodzicami, a przy okazji też przed nazistami, co wyszło kilka lat później. Pewnie nie wiesz, że Róża była Żydówką. Cała jej polska rodzina zginęła, ona szczęśliwie żyje do dzisiaj. I podobno wciąż kochają się z mężem, myślisz, że to możliwe? Popatrz, jak to nigdy nie można układać dziecku życia! - Agnieszka uśmiechnęła się niezbyt wesoło.

- Nie wiem, czy odważyłabym się aż na taki sprzeciw wobec rodziców - zamyśliła się Jadwiga.

- Pewnie nigdy nie byłaś do niczego zmuszana. Byłaś? - Nie.

- To nic nie mów. Przez całe życie się pilnuję, żeby nie mieszać w życiu moich córek tak, jak rodzice mieszały w moim. Nasze dzieci też mają prawo do własnych błędów i własnych decyzji. Zgadzasz się ze mną?

- Oczywiście, że tak. Ja też unikam mieszania się w życie syna - powiedziała Jadwiga z pełnym przekonaniem.

- Marysia Sobótkówna - ciągnęła Agnieszka - została aktorką. Skończyła jakieś kursy i grała na zawodowych scenach. Rzuciło ją bodaj do Lwowa. Wojnę przeżyła, ale umarła w czterdziestym dziewiątym na żółtaczkę.

- A co się działo z tobą? Powiedz coś o sobie - poprosiła Jadwiga.

- Pracuję, jak widzisz, wydaję nikomu niepotrzebne kwitki i nie widzę sensu w tym, co robię. Powiedzmy, że zarabiam na życie. Mój mąż był lekarzem, mam dwie córki, w maju zostałam babcią.

- Mąż też zginął na wojnie?

- Odszedł z inną kobietą. Podobno ze mną trudno wytrzymać. Ty się chyba z tą opinią nie zgadzasz, co? - roześmiała się całkiem jak kiedyś.

Jadwiga spoważniała.

- Ile razy myślę o pensji, przypominają mi się słowa panny Agaty. Pamiętasz, jak powiedziała o Trębickiej, że uczy nas tego, co jej samej nie przyniosło szczęścia? Wspominam sobie Trębicką, kiedy w knajpie pompuję piwo do kufli. Tak się złożyło, że powieliłam jej los. Mnie też Niemcy zabili męża, potem zabrali majątek, nie bez udziału Polaków zresztą, i zostałam z garstką nikomu niepotrzebnych umiejętności. Nie poddałam się, jakoś żyję, tylko wciąż się zastanawiam, co nam przyszło z tej naszej edukacji. Mnie na pewno nic. Jestem ciekawa, czy choć jednej z nas udało się zostać szczęśliwą panią domu, rozmodloną i gospodarną?

- No, no, Jaskólska, co za głęboka refleksja! Masz rację, ale ja nigdy nie chciałam być panią domu. Jednej na pewno się udało, Wandzi Kordonównie. Co do rozmodlenia, wolę się nie wypowiadać, w każdym razie życie nieźle sobie ułożyła. Wyszła za masarza i urodziła mu troje dzieci. Stracili prywatny zakład, jak prawie wszyscy, Wanda jednak twierdzi, że mięsa i wędlin nie kupują, bo mąż załatwia w społecznym, tam gdzie pracuje. Tak to można żyć!

- Pewnie łatwiej ją przeskoczyć, niż obejść - roześmiała się Jadwiga. - Pamiętasz, jak wyłudzała od nas desery?

- A jak spała na notatkach, bo taka jedna w miasteczku mówiła... Przestańmy, to niepoważnie, żeby dwie starsze panie kulały się ze śmiechu. Trzeba zachować trochę godności, to wszystko, co nam zostało z dawnego wychowania. Czeka, czeka Jaskólska, a mówiąc po twojemu, to ile my lat jesteśmy stare?

- W grudniu skończę pięćdziesiąt jeden.

- Ja już skończyłam. Najpiękniejsze lata za nami, nie ma się co oszukiwać. A po zaświadczenie wpadnij jutro rano, podam ci bez kolejki. Z tymi pieczętkami to był blef.

Nie umówiły się na następne spotkanie. Widać powiedziały sobie wszystko, co miały do powiedzenia.

Jeżeli człowiek bardzo się czegoś boi i wciąż myśli o zagrożeniu, to powinien przestać myśleć i zacząć czekać. Wykracze sobie to zło albo ściągnie na głowę, obojętnie jak to nazwać, w każdym razie w dziewięciu przypadkach na dziesięć zło na pewno go dopadnie. Jadwiga wciąż się bała, że w życiu jej syna pojawi się kobieta. Nie matka, nie ciotka, tylko jakaś młoda, zaborcza dziewczyna, która nim zawładnie na resztę życia. Prawdę mówiąc, powinna się raczej bać, że w życiu syna nie pojawi się żadna kobieta, z którą chciałby się związać, ale na to nie wpadła. Gdzieś, w dalekiej przyszłości, widziała oczywiście u boku Pawełka jakąś żonę, niezwykłą oczywiście i jakieś genialne dziecko, jednak ta przyszłość była naprawdę bardzo odległa. Najpierw powinien korzystać z życia, wyszumieć się, jak to mężczyzna. Zbyt wczesne związki z kobietami mogły mu tylko pokrzyżować plany i przysporzyć zmartwień. Myślała tak, bo nigdy za bardzo nie lubiła kobiet. Wyjątkiem była Klara, o której ostatnio często myślała, zwłaszcza po spotkaniu z Agnieszką, pewnie też Marta i Stefania, a kiedyś jeszcze Helga. Nie mogła powiedzieć, że nie lubiła Oli, ale nie mogła też powiedzieć, że ją lubiła. To samo odnosiło się do Cecylii, która z każdym rokiem coraz bardziej dziwaczała. Wciąż kochała Józieńka, podkładała mu poduszki pod plecy, lecz porozmawiać z nią nie było o czym. Nie akceptowała nowej rzeczywistości, uciekała od życia i kryła się w kościele Świętego Jana. Wzięła pod opiekę jeden z bocznych ołtarzy, stroiła go, kupowała kwiaty, i to było jej główne zajęcie.

Jadwiga prawie nie знаła młodych kobiet, starszych też widywała niewiele, bo nie miała czasu na życie towarzyskie. Jej kontakty ograniczały się do personelu zatrudnionego w barze. Odkąd stanęła za bufetem, cała obsługa się wymieniła, z wyjątkiem szefa. Odeszli kelnerzy, a ich miejsce zajęły kobiety: dwie nieco starsze i trzy całkiem młode, chociaż jakieś takie bez wdzięku i bez klasy. Były nawet miłe, w interesach lojalne, ale życiowo bardzo naiwne. Myślały o jednym, jak zdobyć mężczyznę, który dałby się zaciągnąć do ołtarza.

- Za moich czasów kobiety miały więcej godności - tłumaczyła im w wolnych chwilach, kiedy bar nie pękał w szwach. - Przed wojną to my czekałyśmy, aż właściwy mężczyzna nas znajdzie.

- E, pani Jadwigo, to tylko takie gadanie. Teraz czasy inne, kobiety są równe mężczyznom.

- To spróbuj wysikać się na stojąco! - odpowiedziała zła, że lekceważą jej dobre rady. - Kobieta nigdy nie będzie równa mężczyźnie, nawet jeżeli ubierze się w spodnie i zacznie budować dom. Ona nie będzie murarzem, tylko babą w spodniach, która murarza udaje. Zamiast pchać się tam, gdzie nie musimy, lepiej pozwolić się trochę porozpieszczać.

- Jak ty Kozłowskiemu - mruknęła jej złośliwie do ucha Natałka.

Przysłuchiwała się rozmowie i brała raczej stronę młodych, bo sama jeszcze nie czuła się stara. Kobiety pracujące w barze wszystkie były samotne i czekały na swoją wielką miłość. Oczekiwanie przedłużało się, więc skracaly sobie czas, podając do stolików wódkę i gulasz.

Jadwiga zachnęła się, bo wspomnienie Kozłowskiego za każdym razem przebijało ją jak sztylet. O nim nie chciała rozmawiać, uważała natomiast, że i bez Kozłowskiego jej

życie było wystarczająco bogate i mogła niejednej rady udzielić młodym.

O tych młodych i porządnych mówiło się teraz: dziewczyny. „Panienci” to były te, które szlajały się po takich przybytkach, jak bar Pod Kotwicą. Jadwiga połapała się w tych językowych subtelnościach dopiero wtedy, kiedy obraziła kelnerki. Kłóciły się o coś na zapleczu, zamiast biegać między stolikami, więc krzyknęła: „Panienci, ruszcie tyłki, goście czekają!”. Podniosły wielki jazgot, a ona, zamiast rozlewać wódkę do kieliszków, musiała się tłumaczyć, że nic złego nie miała na myśli. I naprawdę nie miała. Nawet je lubiła, bo przecież żadna z nich nie zagrażała Pawłowi. Nie te sfery. One były prościutkie jak dodawanie do dziesięciu i nie miały szansy wejść do dobrej, przedwojennej rodziny. Stojąc za barem, można było czasem zapomnieć, że się jest kobietą, ale nigdy, że było się chowaną na prawdziwą damę. Tak przynajmniej utrzymywała Jadwiga, rozmawiając choćby z Cecylią.

Na pięćdziesiąte trzecie urodziny Paweł przysłał matce wyjątkowo ładną kartkę. Takiej nie dostała od niego nawet na okrągłą rocznicę. Natychmiast zeszła na pierwsze piętro, żeby się pochwalić przed bratem i bratową.

- Jesteśmy z Józieńkiem bardzo ciekawi narzeczonej Pawełka - powiedziała Cecylia.

- To będziecie musieli jeszcze trochę poczekać z tą ciekawością - mruknęła Jadwiga.

- Och, zaledwie dwa tygodnie! Jakoś to wytrzymamy.

- Nie wiem, o czym mówisz? - wybąkała.

- To Pawełek ci nie napisał? Zakochał się, zaręczył i chce nam przedstawić swoją narzeczoną. Doszliśmy z Józieńkiem do wniosku, że święta będą dobrą okazją. Nie mamy nic przeciwko temu, żeby zamieszkała u nas przez te kilka dni. Pawełek będzie spał u ciebie.

Gdyby grom z nieba trzasnął obok Jadwigi, nie byłaby bardziej zaskoczona i przerażona.

- Zapraszacie do domu obcą kobietę, nic o niej nie wiedząc? - wybuchnęła, bo najłatwiej jej było przelać złość na Cecylię.

- Jaką obcą? To narzeczona Pawełka.

- Ciekawam, co to za dom, co za rodzina? Czy oni naprawdę nie widzą nic niestosownego w wysłaniu panny z młodym mężczyzną na całe święta? Za naszych czasów byłoby to nie do pomyślenia!

- Tante czasy już nie wrócą. Tych wprowadzie nie pochwalam, ale w sferze towarzyskiej niektóre zwyczaje bardzo się uprościły, co może nie jest takie złe.

Jadwiga wolałaby bodaj, żeby te święta nigdy nie nadeszły. Chodziła po swoim mieszkaniu jak po klatce, od drzwi do okna. Z góry czuła, że nie polubi dziewczyny, która zjawiała się w jej domu od razu jako narzeczona.

Stało się jednak coś, przy czym zbladła nawet wizyta Pawła z dziewczyną. Wszyscy żyli świętami. Co prawda nowa władza nie uznawała świąt kościelnych i zaprzeczała narodzinom Jezusa, ale kelnerki w barze wiedziały swoje. Dzieliły się najlepszymi przepisami na wigilijne uszka. Jedna upierała się, że powinny być gotowane, druga, że smażone w oleju i chrupiące. Jadwiga była za gotowanymi, bo choć w domu Jaskólskich nie lepiło się uszek, to pierogi musiały być obowiązkowo gotowane i okraszone masłem. W knajpie gości było sporo, więc i rozmowa się rwała. Co rusz któraś kelnerka biegła do stolika. Jadwiga koniecznie chciała powiedzieć dziewczynom o kiszce ziemniaczanej, zajrzała więc na zaplecze, a kiedy wróciła, dwaj nowi goście sadowili się na stołkach. Nie byli to starzy bywalcy baru, choć ubrani bez specjalnej elegancji w wymięte, byle jakie garnitury. Nie rozmawiali cicho, mieli już trochę w czubie i głos jednego z

nich wydał jej się znajomy. Bardzo znajomy i bardzo nienawistny. W końcu Agnieszkę Kuźmińską też poznała tylko po głosie, choć nie widziała jej dłużej niż drania, siedzącego teraz na przeciwko. Wyłysiał, zdziadział, ale z całą pewnością to był on. Szrama mu tylko na policzku przybyła. Jadwiga nie umiała ukryć drżenia rąk. Patrzyła i żałowała, że nie ma pistoletu, w ostateczności nawet noża. Tamten wytrzymał jej spojrzenie, stracił jednak pewność siebie. Szarpnął kolegę za rękaw i głową wskazał drzwi z miną, która świadczyła, że lokal nie bardzo mu się podoba. Koledze za to bardzo się spodobał.

- Dzie cie niesie? Z klasą robotniczą nam trza zostać! Popatrz na te szczere gęby dookoła, toż to sam lud pracujący.

Lud chwilowo nie pracował, tylko żłopał gorzałę. Jadzia zastanawiała się, co robić. Same dziewczyny nie dałyby rady przytrzymać sporego chłopa, a na pijaków liczyć nie mogła. Pora była późna i niewielu z nich trzymało się jeszcze na nogach. Telefonu oczywiście Pod Kotwicą nie było.

- Wynocha! - krzyknęła. - W tym lokalu nie obsługujemy gestapowskich konfidentów. Wynocha, bo zaraz zadzwonię po milicję.

Zmierzył ją wzrokiem, od którego powinna paść na miejscu.

- Idziemy! - warknął do kolegi. - Ta obłąkana suka gotowa nas denaturatem uraczyć.

Odwrócił się na pięcie i z podniesioną głową, jak ktoś niesłusznie obrażony, wyszedł lub raczej wybiegł. Pośpiech, z jakim opuszczał bar, nie za bardzo pasował do dumnie podniesionej głowy. Jego kolega nie wiedział, czy też wyjść, czy raczej huknąć na bufetową, że obraża klientów. Przez chwilę gapił się na nią z głupią miną.

- Co wy tu o jakimś konfidentzie?

- Niech pan go spyta, co robił w trzydziestym dziewiątym roku w Tucholi i ilu ludzi wydał gestapowcom! Mojego męża na pewno. Był przyjacielem domu, więc niech pan nie docieka, czy się nie pomyliłam. Nie myślę się na pewno.

Wytrzeźwiał momentalnie. Zamrugał ze zdziwienia i podrapał się po nieogolonej szczęce.

- Jesteście pewni? Potwierdźcie to, jak będzie trzeba?

- Nie tylko potwierdzę, ale przywiozę panu kilkunastu świadków, którzy powiedzą to samo. To gestapowski konfident, szuja i świnią.

Podawała mu swoje imię i nazwisko.

- Jestem w barze codziennie, tu mnie pan znajdzie. Myślała, że odezwą się szybko, na drugi albo na trzeci dzień.

Minął tydzień i jakoś nikogo więcej nie interesowała przeszłość Marcina Biszty. Jadwiga tylko przestała sypiać po nocach. Zastanawiała się, do kogo iść, gdzie uderzyć, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Przegrała tę sprawę, nie wiedziała nawet, gdzie szukać człowieka, który wydał na śmierć jej męża. Wyszedł z baru i mógł się udać do stu różnych miejsc. Próbowwała jakoś uporać się z tą nową porażką. Od szesnastu lat, od śmierci Aleksego, kiedy całe ustabilizowane życie Jadwigi legło w gruzach, a przyjazny świat przestał istnieć, spotykały ją same porażki. Powoli przyzwyczajala się do nich i kamieniała w środku, żeby tylko się nie dać i nie zwariować. Przy życiu trzymała ją jedynie myśl o Pawle. Wierzyła, że jemu wciąż jest potrzebna.

Paweł przyjechał w Wigilię rano. Jadwiga zobaczyła zza firanki, jak szedł z tą swoją Elżbietą. Spojrzał w okna, ale nie dostrzegł matki, bo nieźle się ukryła. Myślała, że najpierw wejdą do niej, uchyliła drzwi, nasłuchując. Zatrzymali się na pierwszym piętrze u wujostwa. Do drzwi na drugim piętrze zapukali jakąś godzinę później.

Jadwiga nie była tak naiwna, jak Cecylia, do syna miała duże, jednak ograniczone zaufanie. Przemaglowała Elżbietę dokładnie, bodaj jeszcze dokładniej niż kiedyś Franciszek Jaskólski Aleksego. Widziała, że Paweł aż się zwijał ze złości. Mógł się zwijać, robiła to dla jego dobra. Historia Elżbiety nie była długa: dziewczyna skończyła szkołę pielęgniarstwa i pracowała w szpitalu. Matka zginęła w Oświęcimiu, ojciec nie wrócił z wojny, wychowywała się u przyszywanej ciotka, która żyła z repasacji pończoch. Niewiele więcej mogła powiedzieć o sobie; Jadwidze to nie wystarczało.

- Czym rodzice zajmowali się przed wojną?

- Tatuś był rządcą w majątku Pusztów, mamusia prowadziła ochronkę na wsi.

- A co to za twór: ochronka na wsi? - prychnęła Jadwiga.

- Mamo - wtrącił Paweł - my teraz wychodzimy. Pokażę Eli Toruń.

Wyprowadził dziewczynę z mieszkania w połowie rozmowy. Gdyby ona odważyła się coś takiego zrobić ojcu... Nawet nie było sensu zastanawiać się, co by było, ponieważ nigdy by czegoś podobnego nie zrobiła. Paweł należał do innego pokolenia, dużo gorzej wychowanego. Kto miał wychowywać dzieci, jeżeli matki zmuszone były pracować? Tak sobie myślała, zapominając chwilowo o cioci Cecylii.

Przez święta Jadwiga obserwowała Elę i coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że to nie jest dziewczyna dla Pawła. Przede wszystkim starsza od niego o całe dwa lata i dużo bardziej cwana. Cecylia o niej mówiła: „Miła dziewczyna”. Musiała być miła, jeżeli chciała usidlić młodego chłopca.

Paweł wysłuchał uważnie wszystkiego, co miała mu do powiedzenia o różnicy wieku, usidlaniu, konieczności wyszumienia się i studiach. Odezwał się dopiero, kiedy skończyła.

- Mamo, ja już jestem pełnoletni - powiedział.

- Tak? To utrzymuj się sam!

- Zgoda.

Pocałował matkę w czoło i zbiegł na pierwsze piętro, gdzie czekała Elżbieta.

Znała jego determinację i upór. To był upór Jaskólskich.

Paweł poślubił Elżbietę na Wielkanoc następnego roku. Ślub wzięli cichy, cywilny, bo Elżbieta, choć w dzieciństwie ochrzczona, uważała się za ateistkę. Jadwidze było to nawet na rękę. Taki świecki ślub niewiele znaczył i łatwo dawał się rozwiązać. Miała nawet własne doświadczenia, choćby z Kozłowskim. Tylko Cecylia i Józef cierpieli na myśl, że Pawełek wybrał życie w grzechu. Akurat tym najmniej się przejmował. Zamieszkał z żoną w Warszawie. Wynajmowali jakiś niewielki pokój, ona pracowała, on studiował. Matka nie spełniła groźby, nie przestała mu wysyłać pieniędzy. Bardzo się bała, żeby nie został na stałe w stolicy, namawiała do powrotu.

- Toruń się rozrasta, buduje, łatwiej ci będzie o pracę - kusiała. - Możecie zamieszkać u mnie, przynajmniej na początku.

Dał się skusić. Wuj Józef wyremontował lokal po dawnym magazynku, znacznie większy od tego na drugim piętrze, i Jadwiga przeniosła się na parter. To mieszkanie było wygodniejsze. Do każdego pokoju wchodziło się z korytarza i nikt nikomu nie musiał deptać po piętach ani zaglądać w bety, oczywiście przy założeniu, że nie chciał deptać ani zaglądać. Jadwiga niby uznawała niezależność nowej rodziny, jednak lubiła bez zapowiedzi wpadać do pokoju młodych. Miała sporo czasu, przeszła wreszcie na emeryturę i po całych dniach siedziała w domu. Z tego jej siedzenia i nadmiaru czasu nic dobrego nie wyszło. To nie było tak, że chciała synowej życie zatruwać, że ułożyła sobie jakiś plan i

koniecznie musiała go wykonać. Zatrucie brało się z niechęci, której nie umiała w sobie zwalczyć. Nic jej się w Elżbiecie nie podobało: ani jej porządki, ani gotowanie, ani nocne zmiany. Nie umiała gryźć się w język i nic nie mówić, przeciwnie, mówiła to, co widziała, i to, co jej się tylko zdawało.

- Ja się nie chce do was wtrącać, ale czy Elżbieta nie powinna...

Paweł nie wiedział, czy powinna, czy nie. Wciąż był między młotem a kowadłem. Elżbieta też nie pozwalała sobie jeździć po głowie. Po trzech latach wszyscy mieli dosyć takiego życia, nawet Jadwiga. Tyle było jej, co napsuła krwi synowej, ale dzień w dzień musiała na nią patrzeć. Nawet nie za bardzo protestowała, kiedy Paweł wynajął mieszkanie na Mickiewicza i wyniósł się z żoną. Przez kilka dni porządkowała pokoje i nawet cieszyła się, że nikt obcy nie zagląda jej w kąty. Kiedy już wszystko ułożyła po swojemu, usiadła w fotelu Aleksego i poczuła wielką pustkę. Nie umiała żyć z dala od syna, musiała go widzieć, sprawdzać, co je, czy ma wyprasowaną bieliznę, czy jest zdrowy. Jediną pociechą była myśl, że na Mickiewicza nie jest daleko. Wybrała się tam raz i drugi, z czasem zaczęła wpadać codziennie.

- Ja się nie chcę do was wtrącać, ale przyjmij do wiadomości, że twoja żona nie umie pracować. Zapuściła ci całą bieliznę. Przynoś swoje rzeczy do mnie, sama je wypiorę.

Paweł nie przynosił, a Jadwiga obrażała się nie na syna, tylko na jego żonę. Uprzykrzała życie młodym na wszystkie sposoby i bardzo była rozgoryczona, kiedy Paweł robił jej wymówki. Dała im trochę spokoju, kiedy zachorował Józef. Doglądały brata na spółkę z Cecylią. Zwykle choroba w rodzinie jednoczy jej członków, ale tu było inaczej. Jadwiga tak przywykła do krytykowania synowej, że i Cecylii wciąż

przypinała jakąś łatkę. Kiedy zostawała tylko z Józefem, nie umiała przestać mówić o nieudanym małżeństwie Pawła.

- Ja się nie chcę do nich wtrącać, ale ona, ta Elżbieta, wszystko robi eine kleine zajaczek, nic porządnie, nic do końca. Paweł tego nienauczony.

- Jadzia, daj ty odetchnąć Pawłowi. Nie widzisz, że niszczysz mu życie? - powiedział cicho Józef. - Jesteś podobna do ojca, tylko jeszcze bardziej zatwardziała. Pamiętasz, jak ojciec nie chciał, żebyś wyszła za Aleksa? Nie polubił go za poglądy na polskość i bohaterstwo, bał się, żeby Aleks nie wymawiał ci niemieckiego akcentu i braku tradycji patriotycznych w naszej rodzinie. Kiedy jednak zobaczył, że to porządny człowiek, że cię kocha i szanuje, odpuścił mu wszystkie wymyślone winy. Nie mogłabyś ty też odpuścić Elżbietce?

- Nie można porównywać Aleksego do Elżbiety! - obruszyła się Jadwiga.

- Ja tylko porównałem ciebie do ojca. On był uparty, jednak sprawiedliwy.

Nie odpowiedziała, bo brat przymknął oczy i wydawał się bardzo zmęczony. Bolała nad jego chorobą. Zawsze go kochała, a od czasów wojny i śmierci ojca był jedyną jej podporą. Łzy cisnęły się same do oczu. Dawno już tak gorzko nie płakała.

Dopiero śmierć Józefa połączyła ją w bólu z bratową, niestety, na krótko.

Na pogrzeb zjechała cała tucholska rodzina. Józef był seniorem rodu, ogólnie szanowanym i kochanym. Z cmentarza wszyscy wrócili do domu. Cały obiad był na głowie Jadwigi. Cecylia, co chwila się zrywała, chciała pomagać, ale niewiele z niej było pożytku, bo też niewiele do niej docierało, poza tym, że Józieńka już nie ma. Trudno jej było nie współczuć. Została na świecie zupełnie sama. Jej rodzina dawno się

wykruszyła i poza bratanicą Izą nie miała chyba nikogo. Iza kręciła się w kuchni razem z Jadwigą i Marysią. Jadwiga też była oszołomiona. Nie docierała do niej myśl, że Józef umarł naprawdę i nieodwracalnie.

Staś, najstarszy syn Leona, zajrzał na chwilę do kuchni.

- Ciociu, ciocia miała taki kachel, który namalował brat mojej matki.

- Jaki kachel? Nic takiego nie miałam - odpowiedziała Jadwiga, bo całkiem co innego zaprzątneło jej uwagę.

Nachyliła się do Marysi.

- Zauważyłaś - spytała - jak źle wygląda nasz Anton? Ola za to kwitnie.

- Ola jest poważnie chora. Anton ze zmartwienia tak chudnie.

- Niemożliwe, skąd to wiesz?

- Od niego.

- Tobie powiedział, a mnie nie?

Marysia wzruszyła ramionami. Nie mogła dyktować Antonowi, komu powinien się zwierzać.

Tydzień po pogrzebie Cecylia zeszła do Jadwigi. Była spięta, nie chciała nawet wypić herbaty. Siedziała przez chwilę i bawiła się frędzlami od serwety. Wreszcie przemówiła.

- Wybacz, ale wszystko drożeje i nie stać mnie na oddanie ci mieszkania za darmo. Po śmierci Józieńka sama jestem w trudnych warunkach. Od następnego miesiąca będziesz musiała płacić czynsz jak wszyscy lokatorzy. Masz to mieszkanie zapisane dożywotnio i tego zapisu nie neguję. Niech się stanie zgodnie z wolą Józieńka.

Do Jadwigi wreszcie dotarło, że Józef naprawdę umarł.

Brata zabrakło, z bratową nie potrafiła się dogadać, znajomych nie miała, więc dzień w dzień odwiedzała syna. Łaknęła nie tyle towarzystwa, ile jego obecności. Poza nim nie

miała już nikogo na świecie, bo nawet z rodziną w Tucholi kontakty mocno się rozluźniły. Kiedyś Anton i Ola byli jej bardzo bliscy, teraz nawet nie wiedziała, co się u nich dzieje, poza tym, że Ola chorowała.

- Nie pojechałabyś do Tucholi? - spytał kiedyś Paweł. - Może wujowi Antonowi przydałaby się twoja pomoc?

- Każdy ma jakieś zmartwienia - powiedziała. - Jeżeli to prawda, że Ola choruje, to co im z mojej pomocy? Czy ja się znam na chorobach?

Nie znała się na chorobach i była okazem zdrowia. Nic jej nie dolegało, biegała jak fryga i nawet nie bardzo umiała współczuć chorym. Ola zmarła jesienią, rok po Józefie. Znowu cała rodzina spotkała się na pogrzebie. Jadwiga pojechała tylko z Pawłem, bo jego Ela nie mogła wziąć wolnego dnia.

- Czy to nie smutne, że spotykamy się tylko wtedy, kiedy kogoś ubywa? - powiedziała Marysia. - Za każdym razem jest nas mniej.

- Mniej starych, więcej młodych, takie życie - zauważyła filozoficznie Jadwiga.

Powiedziała prawdę. Dzieci Leonów i Antona miały już swoje rodziny i swoje dzieci, które biegały między nogami dorosłych. Z wielkim żalem patrzyła na Antona. Aż się wierzyć nie chciało, że ten złamany bólem, starszy mężczyzna miał kiedyś osiemnaście lat i bez wysiłku przepływał Głębozec. Dotrzymywał jej towarzystwa w wakacje, pierwszy raz zabrał ją do ogródka wiedeńskiego, a ona ułatwiała mu nocne eskapady i mocowała się z ciężką sztabą w drzwiach domu. Zateśniła nagle do tamtych beztroskich lat. Bezwiednie zaczęła szeptać jedyny wiersz, który raz na zawsze wbiła sobie do głowy jeszcze na pensji. Wszystkie inne jej uciekły, ten wciąż pamiętała:

I czasem myślę, że ja tylko spał, że całe życie moje było snem - zbudzę się, raj ten odnajdę, com miał w dzieciństwie mem...

- Modlisz się, ciociu? - spytał Stanisław, ten sam, który kiedyś ratował ją przed zalotami Nikity Siergiejewicza. Siedział teraz obok i patrzył, jak poruszała ustami.

- Nie, coś sobie przypomniałam.

- Ciociu, u babki był taki kachel z naszym domem, co go wuj namalował. Podobno ty go wzięłaś?

- Dałbyś mamie spokój ze swoim kachlem - fuknął na niego Paweł.

Najmłodsze pokolenie Jaskólskich nie znajdowało już wspólnego języka. Rośli z dala od siebie i nie wytworzyła się między nimi serdeczna, rodzinna więź. Nie było jej nawet między dziećmi Leona i Antona. Smutne to, bo wszyscy mieszkali w jednym niewielkim mieście, kilka ulic od siebie.

Jadzia nawet nie dosłyszała rozmowy o kachlu. Wciąż patrzyła na Antona. Nie chciała go teraz męczyć, obiecała sobie, że specjalnie przyjedzie do Tucholi, tylko do niego. Pogadają sobie, powspominają dawne czasy.

Nie zdążyła. Siedem miesięcy po śmierci żony, wiosną następnego roku odszedł również Anton. Przysięgając kiedyś Oli, że nie opuści jej aż do śmierci, musiał chyba dodać, że nie opuści jej także po śmierci, a jeżeli, to na bardzo krótko. Bez żony nie było dla niego życia.

Znowu cała rodzina spotkała się na pogrzebie. Z pokolenia Jadwigi została już tylko czwórka: Leon z żoną i dwie wdowy. Paweł znowu przyjechał sam. Tym razem to nie szpitalny dyżur zatrzymał Elżbietę w Toruniu. Jakiś miesiąc wcześniej zdecydowała, że dłużej nie wytrzyma małżeństwa z Jadwigą. Co z tego, że wychodziła za męża za Pawła, jeżeli nie on, a teściowa chciała decydować o jej życiu. Za Elżbietę nikt nie musiał decydować, była bardzo samodzielna i broniła swojej

niezależności. Dość miała fochów teściowej i dość męża, który nie potrafił sprzeciwić się matce. Cecylia mówiła, że to Jadwiga rozbiła małżeństwo syna. Jadwiga mówiła, że Cecylia próbuje ją oczernić w oczach syna. Paweł milczał.

- Jadzia, czemu ty tak wiecznie fukasz na Cecylię? - spytała Marysia. - Zostałyście tylko we dwie, w jednej kamienicy, nie możecie się jakoś dogadać? I tobie byłoby łatwiej, i jej chyba też.

- Mnie obcy ludzie nie są potrzebni do szczęścia. Wyrosłam już z sentymentów.

- Jaka ona obca? Przecież to bratowa.

- Bratowa? Ledwie Józef oczy zamknął, zaraz przybiegła do mnie po czynsz. Cały majątek po Józefie wzięła, z kamienicy ciągnie zyski i dobrze wie, ile ja mam emerytury. Grosze dostaję, marne grosze.

- Ja tam nie wiem, jak z tym płaceniem, ale dogadać się chyba można.

Czasem było można, czasem nie. Odwiedzały się codziennie i albo rozmawiały ze sobą normalnie, albo wsadzały sobie szpile prosto w serce. Mimo wszystko Cecylia miała łagodniejszy charakter i czasem dla świętego spokoju ustępowała szwagierce w sprawach drobnych, codziennych. Nie darowała jej tylko czynszu i rozbicia małżeństwa Pawła.

- Od początku mówiłam, że to nie jest kobieta dla Pawełka - odpowiadała Jadwiga. - Wszystko przewidziałam, a kiedy na moje wyszło, lecisz do mnie z pretensjami. O co? O to, że miałam rację?

- Będę się za ciebie modlić, bo ty w swojej zatwardziałości gubisz właściwą ocenę rzeczy - westchnęła Cecylia. - Ja patrzę z boku, mam dystans i wiem, że z taką teściową jak ty nie wytrzymałabym miesiąca. Nie wzięłaś nic ze swojej matki, zupełnie nic. Szkoda, bo to była mądra kobieta.

Po takiej przemowie Jadzia nie pokazywała się u bratowej ze dwa tygodnie. W końcu jednak poszła do niej, bo mimo wszystko potrzebowała kogoś, z kim mogłaby się posprzeczać lub zwyczajnie porozmawiać.

Sanatorium (4)

Paweł dał do oprawy pastel z domem przy Łaziennej i zawiesił obraz w swoim pokoju. Nie pokazał go matce, nie chciał budzić jej wspomnień ani tęsknoty za mieszkaniem, do którego nie miała nigdy wrócić. Przyzwyczaiła się chyba do sanatorium, przestała nalegać, żeby zabrał ją do domu.

Od czasu kiedy zamiast Pawła pojawił się Leon, nigdy nie wspominała o synu. Było to co najmniej zastanawiające. Wcześniej zawsze powtarzała, że ma tylko Pawła, i nagle co? Wymazała go z pamięci, wyklęła? Żyła coraz bardziej w swoim świecie, to prawda, pamiętała jednak tyle drobiazgów z przeszłości, że było nieprawdopodobieństwem, by zapomniała o najważniejszym mężczyźnie swojego życia, a w każdym razie o tym, który najdłużej jej towarzyszył. Początkowo Paweł próbował tłumaczyć, że nie jest Leonem, ale to na nic się nie zdało. Kiwała głową, powtarzała swoje ja, ja i za chwilę znowu był Leonem.

- Słuchaj, Jadzia - spytał kiedyś - czy mnie się zdaje, czy ty miałaś syna?

- Ja, Pawełka.

- I co, nie odwiedza cię, nie przychodzi?

- Nie - pokręciła głową. - Ojciec mówił, że dzieci się chowa dla ludzi, to go oddałam żonie. Nie wtrącam do jego życia. Niedobrze jest się wtrącać.

- Tęsknisz za nim?

- Jakbym nie miała ciebie, to bym tęskniła. Niech on lepiej żony pilnuje.

Pokiwała głową i nie powiedziała już nic więcej.

Przebudzenie

Jadwiga myślała, że Paweł po rozwodzie zamieszka z nią, syn jednak nawet nie chciał słyszeć o sprowadzeniu się na Łazienną. Dostał mieszkanie na Rubinkowie i tam się wyniósł. Matkę odwiedzał często, co drugi dzień albo i codziennie, ale nie dał jej kluczy od swojego nowego mieszkania.

- Sprzątnęłabym ci, synek, wyprała, byłoby ci łatwiej.

- Jestem sam, nie ma mi kto nabałaganić - odpowiadał. Jadwiga milkła, zamykała się w sobie, a po kilku dniach znowu proponowała mu pranie i sprząkanie. Trudno było pogodzić się z myślą, że rodzony syn nie chce jej widzieć w swoim mieszkaniu.

Kiedyś przyjechał do niej bardzo czymś przejęty.

- Pamiętasz Sielskich z Tucholi? - spytał.

- No ja, pewnie, że pamiętam. Ich chłopak robił u twojego ojca za słupek ogłoszeniowy. Biegał w tubie z napisem „Kupuj tylko u Jastańskiego”.

- To ten sam. Jest robotnikiem na mojej budowie, sam mi się przedstawił i spytał o ojca. On utrzymuje, że ojciec żyje, że uciekł z obozu Selbstschutzu. Nie chce mi się wierzyć, żeby to było możliwe.

Matka posmutniała.

- Twój ojciec, gdyby żył, przekopałby ziemię, żeby odnaleźć mnie i ciebie. A przecież nie musiałby nawet kopać. Znał bardzo dobrze ten adres.

- Też mi się tak wydaje, jednak facet bardzo się upierał, że wie lepiej.

Jadwiga pogłaskała syna po głowie.

- Może na premię liczył albo na lepsze traktowanie. Młodziutki jesteś, naiwny, nie znasz ludzi.

Młodziutki, naiwny Pawełek skończył właśnie trzydzieści cztery lata, kierował budową osiedla mieszkaniowego i przeżył miłość zakończoną nieudanym małżeństwem. Jeżeli

nawet miał do matki pretensje o to rozbite małżeństwo, nie mówił jej o tym. Raz tylko zdobył się na szczerą rozmowę z ciotką.

- Paweł - tłumaczyła mu Cecylia - nie pozwól matce wejść sobie na głowę. Ona cię bardzo kocha, jednak z miłości gotowa cię udusić.

- Ela też tak mówiła i sama próbowała mnie dusić. Robiła to nie tyle z miłości, ile z chęci podkreślenia, że żona ma większe prawa niż matka.

- Mężczyzna zakłada rodzinę i o nią musi się troszczyć, taka jest kolej rzeczy.

- Wiem. Tylko widzisz, nie umiem się uwolnić od najwcześniejszych wspomnień. Mogłem mieć ze trzy lata, kiedy zrozumiałem, że ojciec zginął, a ja mam tylko mamę. Była piękna, elegancka, lubiłem na nią patrzeć i drętwiałem ze strachu na myśl, że może odejść jak ojciec. Umrzeć, zginąć. To był strach ponad wszystkie inne, bo poza tym przy mamie niczego się nie bałem. Mogłem się za nią schować, mogłem wejść jej na kolana i byłem bezpieczny. Teraz sytuacja się odwróciła. Ona jest sama, straciła męża, przyjaciół nie ma, strach ją zżera i próbuje schować się za mnie. Przyznaję, nie umiem sobie z tym poradzić, mama niczego mi nie ułatwia. Czasem jestem zły, a za chwilę mi jej żal, powoli jednak dorastam do tego, żeby trzymać ją z dala od mojego życia.

- Pawełku, nie z dala, tylko jak najdalej. Nie ona jedna jest samotną matką, a że nie ma przyjaciół, wybaczone, to już wyłącznie jej zasługa.

Nie dał więc Paweł matce kluczy od nowego mieszkania, nie pozwolił jej tam sprzątać, gotować ani się szarogęścić. To był jego azyl. Ona miała swój na Łaziennej. Kupił jej telewizor, żeby znalazła sobie jakieś zajęcie oprócz rozwiązywania krzyżówek. Owszem, telewizję oglądała z wielką przyjemnością, potem jednak koniecznie chciała z

kimś porozmawiać o tym, co obejrzała. Lubiła opowiadać Pawłowi filmy, nawet te, które on też znał. Bardzo się cieszyła, kiedy przychodził, i wypuszczała go z wielkim trudem.

- Naprawdę nie chcesz, żebym ci posprzątała mieszkanie? Brudem zarośniesz, synek.

- Dziękuję, nie chcę. I nie zarosnę.

- Chyba kobiet tam nie sprowadzasz? - pytała przerażona.

- Jak znajdę taką, którą warto sprowadzić, na pewno to zrobię.

- Nie, no pewnie... zrobisz, synu, jak będziesz uważał - mówiła uspokajająco, a co sobie myślała, to myślała.

Paweł poznał Leokadię na wiosnę tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku. Spotkali się w Szczyrku na wczasach i dość późno odkryli, że oboje są z Torunia. To było trochę jak znak od losu. Wracali już razem. Paweł był wówczas szczęśliwym posiadaczem syrenki sto pięć. Można było o niej mówić, co się chciało, że skarpeta, że brzydkie kaczątko polskiej motoryzacji, ale dach był, cztery koła były i jakiś silnik też, więc dało się jechać nawet z dziewczyną.

- Masz dzieci? - spytała Leokadia.

- Nie. Mam matkę.

- Każdy ma matkę.

- Nie mów nic, dopóki nie poznasz mojej.

Paweł nie od razu odważył się przyprowadzić Leokadię na Łazienną. On miał swoją politykę, Jadwiga swoją. Była czujna i dość szybko się zorientowała, że coraz krótsze wizyty syna muszą się wiązać z nową kobietą. Trochę chyba wzięła sobie do serca słowa brata, może i bratowej, bo o nic nie pytała, tylko zastygła w oczekiwaniu.

- Chciałbym, żebyś kogoś poznała - powiedział wreszcie Paweł. - Możesz mi obiecać, że postarasz się być miłą?

- No pewnie. Przecież wychowali mnie na kobietę kulturalną - zapewniła i natychmiast dodała: - Pod warunkiem, że osoby, z którymi się spotykam, zasługują na kulturalne traktowanie. Musisz pamiętać, synek, że Pod Kotwicą nie miałam do czynienia z dżentelmenami i też musiałam jakoś się z nimi dogadać.

- Bez obawy, mamó. To nikt spod Kotwicy.

W niedzielę po południu Paweł przyszedł do matki w towarzystwie Leokadii. Weszli. Panie uściśniły sobie dłonie, Jadwidze udało się uniknąć wyświechtanych zwrotów typu: „Miło mi”, bo miło jej nie było. Wprowadziła gości do pokoju i usiadła z nimi przy stole. Obiecała Pawłowi, że nie będzie o nic wypytywać Leokadii, więc milczała przez chwilę. On coś tam zagadywał, coś próbował opowiadać, bo nie ma chyba gorszej rzeczy jak ciężkie milczenie na początku wizyty. Wreszcie Jadwiga poruszyła się i sapnęła gniewnie.

- Bist du toll? (Czyś ty oszalał? (niem.)) - spytała taktownie i dalej już ciągnęła po niemiecku: - Przecież to jeszcze smarkula. Zanim ona spoważnieje, ty się zestarzejesz i dopiero zaczniesz ci rogi przyprawiać!

Paweł nie liczył, że matka otworzy szeroko ramiona i przygarnie Leokadię do piersi, miał jednak nadzieję, że obejdzie się bez zadrażnień, a już na pewno bez uwag wygłaszanych po niemiecku. Jednak Leokadia zaskoczyła go jeszcze bardziej. Nie siliła się na niemiecki, odpowiedziała po polsku i nawet zdobyła się na lekki uśmiech.

- Próbuję zrozumieć pani obawy i tę wstawkę o rogach, myślę jednak, że za wcześnie dzisiaj o tym mówić. To jest zwykła towarzyska wizyta, nie zaręczyny.

Jadwiga posapała chwilę, pomyślała i zaproponowała herbatę.

- Może innym razem - powiedział Paweł.

I choć wydawało się, że Leokadia nie miałaby nic przeciwko wypiciu herbaty w towarzystwie niezbyt miłej pani domu, pożegnali się i wyszli. Jadwiga nie była z siebie zadowolona. Oni wyszli, ona została sama, a wcale nie tak sobie zakładała. Spojrzała na dziewczynę, zobaczyła, że to straszna smarkula, i wypaliła, co myśli. Pobiegnęła na piętro do Cecylii.

- Był Paweł z nową dziewczyną - powiedziała bez zbędnych wstępów. - Oszalał! Pierwszą wziął sobie staruchę, druga jest chyba ze dwadzieścia lat młodsza.

- Piętnastolatka? - zdziwiła się całkiem poważnie Cecylia.

- Zaraz piętnastolatka! Ma ze dwadzieścia trzy, może dwadzieścia cztery lata.

- To znaczy dziewięć, dziesięć lat młodsza, czyli dokładnie tyle, ile ja od Józieńka. Uważam, że to dobra różnica wieku.

Nie wyszła Jadwidze ta wizyta, skarga też się nie powiodła. Bratowa nie zrozumiała jej obaw.

Paweł trzymał Leokadię jak najdalej od matki. Na Łazienną wpadał sam, na krótko, zostawiał pieniądze albo robił zakupy i jechał do siebie.

- Posiedziałyś, synek. Wciąż jestem sama i sama.

- Czyja to wina, że zostałeś sama? Nie lubisz ludzi, to i nie masz znajomych.

- Niemożliwe. Kiedyś zawsze miałam ludzi wokół siebie.

- Nic na to nie poradzę. I pamiętaj, nie pozwolę ci obrażać kobiety, którą kocham. Drugi raz nie będziesz już wchodziła w moje życie i mieszała po swojemu.

- A nie mógłbyś, synek, poczekać ze ślubem, aż ja umrę? To już niedługo. Wszystko mnie boli, wszystko wysiada.

Przeraził się nie na żarty. Matka nigdy wprawdzie nie chorowała, leków nie zażywała żadnych, wyglądała

doskonale, jednak sześćdziesiąt osiem lat trudno było nazwać pierwszą młodością.

Skorzystał ze starych znajomości i załatwił Jadwidze miejsce w szpitalu. Chodziło o gruntowne przebadanie, o nic więcej. Z wielkimi oporami dała się zaciągnąć na oddział. A wydziwiała przy tym, a narzekała, że ją chce wysłać na tamten świat, całkiem jakby tamten świat obowiązkowo musiał się zaczynać w szpitalu.

- Wie pan co? Jestem dwadzieścia lat młodszy, ale chciałbym mieć takie zdrowie jak pańska matka - powiedział lekarz.

Paweł odetchnął.

Przygotowania do ślubu toczyły się poza Jadwigą. Tym razem miał to być ślub kościelny. Po ślubie skromne przyjęcie Pod Modrym Fartuchem, z udziałem najbliższej rodziny i kilku przyjaciół. Jadwiga dała się porwać wydarzeniom. Odwiedziła fryzjera, kupiła w Modzie Polskiej elegancką bluzkę, która pochłonęła połowę jej skromnych oszczędności, za to pasowała jak ulał do naszyjnika z akwamarynów. Pomyślała też o kryształowym wazonie na prezent.

- Chciałabym - zwierzała się Cecylii - żeby wreszcie Pawełek ułożył sobie życie.

- Ułoży sobie. Jeśli tylko nie będziesz się do nich mieszać, to na pewno sobie ułoży.

- Co wy wszyscy z tym mieszaniem! - wykrzyknęła ze złością.

Ani w kościele, ani na przyjęciu weselnym Jadwiga nie płonęła ze szczęścia, ale też nie mówiła wszystkiego, co sobie myślała. Przyjęcie było w salce na drugim piętrze. Siedziała obok syna, po drugiej stronie miała Leona, Cecylię i Marysię. Rozmawiała głównie z nimi, im mogła się zwierzyć, że nie uważa synowej za wymarzoną partię dla swojego jedynaka. Wykształcenie to jeszcze nie wszystko. Skończyła niby prawo,

nie była brzydka, za to pochodziła z rodziny, która wcale nie przypadła Jadwidze do gustu.

- Chwalą się, że pracują w oświacie - szeptała z przekąsem do Leona. - Matka jest w szkole kucharką, ojciec woźnym, to ja pytam, jaka to oświata? O takich się teraz mówi, że to awans społeczny. No to nieźle mój syn awansował.

- Co tam, Jadzia, Paweł żeni się z panną, nie z jej rodziną!

- To się tylko tak mówi. A jak rodzina zacznie im się wtrącać, dyktować swoje prawa, to, co?

- Wtrącać się nie należy - przytaknął.

- Właśnie mówię.

Rodzina Leokadii nie miała czasu, żeby wtrącać się do życia młodych. Jadzia, co prawda, miała bardzo dużo czasu, Paweł jednak zabronił jej bywania na Rubinkowie bez wyraźnego zaproszenia. Co którąś niedzielę przyjeżdżał po nią dużym fiatem i po dwóch godzinach odwoził do domu. Sam zaglądał na Łazienną kilka razy w tygodniu. Leokadia chyba nie paliła się do odwiedzin, wpadała rzadko i wyłącznie z mężem. Jadwiga spędzała czas na oglądaniu telewizji i rozwiązywaniu krzyżówek. Pod ręką zawsze miała niemiecki Lexikon z trzydziestego ósmego roku, znaleziony po wojnie w tucholskim mieszkaniu.

- Najśłynniejsza opera Pucciniego? - spytała kiedyś i nim Paweł zdążył się zastanowić, sama odnalazła „Toscę”.

Wertowała Lexikon z prawdziwą przyjemnością.

- O Mickiewiczu jest tu tyle, co kot napłakał, za to o Piłsudskim bardzo dużo. Od razu widać, kto był większym człowiekiem - mówiła.

- Mama, to nie tak. Trzeba spojrzeć jeszcze, kto to pisał i kiedy.

Zgadzała się z nim, lecz następnym razem znowu wyносиła Piłsudskiego nad Słowackiego i Marię Skłodowską.

- Niemcy to mądry naród, oni dobrze wiedzieli, co piszą w takim słowniku. Sam pomyśl, czy nam źle było za zaborów?

- Nie żyłem w czasie zaborów.

- Wiem, że nie, ale matce możesz wierzyć na słowo. Mój ojciec dom wielki wybudował, miał pracę, żyło się dużo łatwiej, bo Niemcy potrafili utrzymać porządek.

- Zwłaszcza w trzydziestym dziewiątym roku. Tak mówisz, mama, jakby to nie Niemcy zabili twojego męża.

Milkła, kiwała w zamyśleniu głową. Trzydziesty dziewiąty rok rzeczywiście zburzył jej dobrą opinię o Niemcach, dlatego nie wspominała czasów wojennych, tylko te wcześniejsze. Przypominała sobie Nastkę, figle braci i wędzone półgęski.

- Ty wiesz, że ja kiedyś na własne oczy diabła zobaczyłam. Siedział na Kazalnicy, i to on wywróżył twojemu ojcu śmierć. Widziałam go tak, jak ciebie teraz. Nie wierzysz?

Paweł słyszał o tym diable wiele razy. Mruknął, że wierzy, i dalej szukał w komodzie choćby jednej pary całych pończoch, bo matka, zajęta wspomnianiem, zaczęła się trochę zaniedbywać.

- Co to takiego? - spytał.

Trzymał w ręku kafel oprawiony w ramki.

- To? - machnęła ręką. - Taki tam obrazeczek namalowany przez brata Marysi.

- Czy to nie tego kachla szuka Stasiek?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Dostałam go od matki.

- Wbiję haczyk i powiesimy na ścianie.

- Lepiej niech zostanie w szufladzie. Do domu modlić się nie będę.

Jadwiga modliła się tyle, ile należało: pacierz rano, pacierz wieczorem i każdej niedzieli msza u Świętego Jana. Cecylia natomiast pogrzyżyła się w dewocji. Zamówiła u stolarza

klęcznik z miękką poduszką pod kolana i spędzała na nim wiele godzin. Sześć lat mijało od śmierci Józieńka, a ona wciąż nosiła wdowie szaty i nie umiała się odnaleźć w samotnym życiu. Nie miała już komu usługiwać ani o kogo się troszczyć, więc zajęła się zbawieniem własnej duszy.

- Strasznie ty zawracasz Panu Bogu głowę - mówiła Jadwiga, spoglądając z niechęcią na klęcznik. - Może znalazłabyś sobie jakieś zajęcie?

- Opiekuję się ołtarzem w kościele, co innego mogłabym jeszcze robić?

Jadwiga nie bardzo wiedziała, co innego mogłaby robić bratowa. Nie wiedziała też, co począć z wolnym czasem. Była zdrowa, nie musiała przesiadywać u lekarzy jak choćby Robaczyńska z drugiego piętra, nie ciągnęło jej do leżenia plackiem w kościele, zakupów wielkich nie potrzebowała i poza krzyżówkami nie miała zajęcia. Aż raz zeszła po coś do piwnicy i w pomieszczeniu, gdzie kiedyś leżały towary z tucholskiego sklepu, natknęła się na sporą stertę książek, papierów i map. Wzięła je do domu, porządnie odkurzyła i zaczęła przeglądać. Niemieckie mapy i plany miasta od razu położyła przy piecu, przeznaczając je na spalenie. Interesowały ją tylko książki. Wszystkie były po niemiecku. Nazwiska autorów niewiele jej mówiły: Vicki Baum, Hedwig Courths - Mahler, Karl May, Carl Ferdynand Hauptmann. Usiadła w fotelu Aleksego i najpierw zaczęła przeglądać Mein Leben und Streben (Autobiografia Karola Maya z 1910 r.) Maya, a potem czytać kartka po kartce. Nie oderwała się aż do kolacji. Przypomniła sobie stare dobre czasy, kiedy za namową Klary zaczęła naprawdę dużo czytać po polsku. Miało jej to pomóc w opanowaniu języka. Teraz nie musiała już niczego opanowywać, polskich książek nie kupowała, te niemieckie zaś dostarczyły jej mnóstwa wzruszeń. Zwłaszcza powieści dwóch jej imienniczek, Baum i Courths - Mahler.

Znalazła w nich niemiecką uporządkowaną rzeczywistość, z silnymi mężczyznami i słabymi kobietami. I znowu wspomniała własną młodość, kiedy to ona była słabą kobietką i czekała na swojego siłacza. Próbowała to wytłumaczyć Cecylii.

- Przecież ty nigdy nie byłaś słabą kobietką! - zaprotestowała bratowa. - Lepiej poczytałabyś Biblię, zamiast na starość zaśmiecać mózg bredniami.

Nie było rozmowy z Cecylią. Na szczęście Paweł bardzo się ucieszył, że matka znalazła sobie ciekawe zajęcie. Jadwiga też się cieszyła, ponieważ wielką przyjemność sprawiało jej nie tylko śledzenie cudzych losów, ale także obcowanie z językiem dzieciństwa.

Poszła kiedyś do sklepu, poprosiła o chleb, żółty ser i na śmierć zapomniała, co jeszcze powinna kupić. W głowie miała czarną dziurę.

- Proszę... proszę... - powtarzała bezradnie, w końcu sobie przypomniała: - Die Butter, bitte! (Masło, poproszę! (niem.))

Młoda dziewczyna za ladą wytrzeszczyła oczy.

- Co niby?

Przygoda w sklepie trochę ją zmartwiła. Czyżby to początek sklerozy? - zastanawiała się w drodze do domu.

Na razie jednak skleroza jej nie atakowała. Zdarzało się, że miała jakiś wyraz na końcu języka i nie mogła go sobie przypomnieć, to samo jednak przytrafiało się też Pawłowi, choć jego trudno było posądzać o zanik pamięci. Przyszedł do matki któregoś dnia, wiosna już była na świecie, i przyniósł jej bukietik kwiatów. Znanych wiosennych kwiatów, za nic jednak nie mógł sobie przypomnieć nazwy. Śmiał się, że na straganie musiał pokazać palcem.

- Toż to narcyzy! - wykrzyknęła.

- A widzisz! Narcyzy - ucieszył się, bo nazwa odnaleziona przestaje męczyć. Patrzył przez chwilę na matkę.

- Nie chciałabyś zaprosić nas w niedzielę na podwieczorek? - spytał.

- Przyjdźcie, czemu nie - zgodziła się bez wielkiego entuzjazmu. Wolała, jeśli Paweł przychodził sam, bez żony.

- To może upiekłabyś ten swój słynny kuch?

- Nie, nie, synek, nie mam kiedy. Kupię ciasto u Wejny.

W niedzielę przygotowała się do wizyty, nakryła stół, ułożyła ciasto na paterze, a potem zadbała o własny wygląd. Paweł bardzo się zżymał na jej codzienny strój, wypchaną spódnicę i bluzkę bez guzików. Chciał, żeby matka zawsze była elegancka. Ona też niby chciała, tylko nikt jej w domu nie oglądał, więc i starać się nie było potrzeby.

Już w drzwiach zauważyła, że Leokadia ma podkrążone oczy, Paweł schudł, oboje zaś są dziwnie rozpromienieni, całkiem jakby trafili milion w totolotka.

- Przyszliśmy ci powiedzieć - zaczął Paweł, ledwie usiedli za stołem - że na swoje siedemdziesiąte urodziny dostaniesz od nas najpiękniejszy prezent. Lekarz wyliczył, że nasze dziecko urodzi się dziesiątego grudnia. To chyba niesamowite, prawda? Babka i wnuk przychodzą na świat dokładnie w tym samym dniu.

Zaskoczyli ją i zastanawiała się, co powinna odpowiedzieć.

- Pięknie, bardzo się cieszę! - zaczęła i po chwili skończyła całkiem niefortunnie. - Ale czy ty nie jesteś już za stary na dzieci?

W jej głosie brzmiała szczerza troska.

- Ile ojciec miał lat, kiedy ja się urodziłem? - spytał Paweł. - Trzydzieści pięć, prawda? Jestem od niego tylko dwa lata starszy.

- No tak, ale sam wiesz, że ojciec nie zdążył cię wychować. Paweł zerknął na Leokadię, ona na niego i oboje przygryźli usta.

- Doprawdy, mama jest mistrzem w odwracaniu kota ogonem. Kraj wiele stracił, że mama nie została adwokatem - zauważyła Leokadia i już dłużej nie zdołała zachować powagi.

Jadwiga nie rozumiała nagłego wybuchu ich wesołości. Wzruszyła ramionami, nawet zamierzała się obrazić.

- Daj sobie, mama, spokój z liczeniem lat i dąsami - powiedział wreszcie Paweł. - Ciesz się, że będziesz miała wnuka.

- Czy ja mówię, że się nie cieszę? - mruknęła.

Cieszyła się, lecz nie tak bardzo, jak oczekiwał Paweł. Syn należał do niej i do Aleksego. Z wnukiem nie było to takie oczywiste. Miał się narodzić z jej ukochanego Pawła i z - bądź co bądź - obcej kobiety. W jakiej więc części miał należeć do babki: w jednej czwartej, czy może w jednej ósmej? Sama się pogubiła w wyliczeniach.

W maju do Torunia przyjechali Leon z Marysią. Leon zaczął chorować, miał się położyć do szpitala na kilka dni, a żona towarzyszyła mu, żeby nie czuł się zbyt samotny.

- Bardzo troskliwa się zrobiłaś na stare lata - zauważyła z lekkim przekąsem Jadwiga.

- I co ty za głupstwa gadasz! - fuknął Leon. - Jeśli z nas dwojga ktoś był troskliwy, to na pewno nie ja, tylko ona. Miałem bardzo dobrą żonę.

- Wciąż ją masz. Chyba nie chcesz się na starość rozwodzić.

- Coś mi się wydaje, że niedługo już tego szczęścia - powiedział ze smutkiem. - Jak ktoś dobija do osiemdziesiątki, to musi się szykować na tamten brzeg.

Marysia zamieszkała u Jadwigi. W przeszłości połączyły je meble ze złotej brzozy, które Jadwiga zostawiła bratowej, i sklep z bławatami, który Marysia ofiarnie prowadziła pod nieobecność Aleksego. Poza tym nie lubiły się za bardzo, a odkąd Marysia zawładnęła całym ojcowskim domem, Jadwiga

czuła do niej żal. Pawłowi mówiła, że nie jeździ do Tucholi, żeby nie oglądać Marysinych porządków. Nie wnikał, ile w tych słowach było prawdy, ile zaś matczynego gadania. Goszcząc jednak bratową u siebie, starała się nie uprzykrzać jej życia. Sama też była zmartwiona chorobą Leona. Przed południem jechały obie do szpitala, potem pichciły sobie jakiś obiad i szły na spacer lub - jeśli był to dzień odwiedzin - znowu zaglądały do szpitala.

- Biedny człowiek to nic nie ma z życia - powiedziała kiedyś Marysia.

- Biedny może i nie ma, ale ty nie jesteś biedna.

- No to popatrz: gdzie ja byłam, co widziałam? Tuchola nie jest chyba najpiękniejszym miastem świata, a ja znam tylko Tucholę. Jak czasem patrzę w telewizor, to żal mi tych wszystkich miejsc, których nigdy nie zobaczę. Tobie nie?

- Wszędzie i tak nie dałabym rady pojechać, nawet mając pieniądze. Masz dobrego męża, dom i narzekasz. To co ja mam powiedzieć? Dostałam od życia jedynie trzy szczęśliwe lata.

- Więcej, bo trzeba w to wliczyć dzieciństwo i młodość. Nie miałaś źle.

- Niech ci będzie! To i tak dłużej żyję nieszczęśliwa, niż byłam szczęśliwa. A jeszcze teraz małżeństwo Pawła mnie dobija.

- Co ty chcesz od tego małżeństwa! - wykrzyknęła Marysia. - Kochają się, będą mieli dziecko, co cię tam może dobijać. Paweł ma bardzo miłą żonę.

- Miłą! - prychnęła Jadzia. - Już ona wiedziała, koło kogo się zakręcić, żeby jej było dobrze. Nie zauważyłaś jak Paweł zmizerniał? O niej tylko myśli, bo ona w ciąży. Jakbym ja o nim nie pomyślała, zginąłby jak złamany kwiat.

Marysia nic nie odpowiedziała, bo co tu było do mówienia. Jeśli Jadwiga wbiła sobie do głowy, że synowi jest

źle, to nawet sam Paweł nie mógł jej przekonać, że się myli. Tak mniej więcej powiedziała wcześniej Cecylia, która lepiej знаła układy Jadwigi z synem i synową. Marysia miała poważniejsze zmartwienia niż wymyślone kłopoty szwagierki. Leon wychodził ze szpitala z wyrokiem i musiała się z tym jakoś oswoić. Nie był może najczulszym mężem, wrodził się w swojego ojca, jednak troje dzieci wychowali i przeżyli razem pół wieku.

Jadwiga pojechała z nimi na dworzec. Na pożegnanie objęła brata i przez sweter wyczuła żebra.

- Do szybkiego zobaczenia! - powiedziała.

Pokręcił głową z rezygnacją, jakby dawał do zrozumienia, że żadnego spotkania już nie będzie.

Zmarł półtora miesiąca później. Znowu cała rodzina spotkała się w Tucholi. Z czwórki rodzeństwa została tylko Jadwiga. Leon odchodził jako ostatni z męskiej linii - po ojcu, Józefie i Antonie. Pamięć o ojcu przez lata trochę zbladła, pamięć o Józefie zatrąła jej Cecylia, więc z Antonem uległa rozluźnieniu na długo przed jego śmiercią, Leon natomiast wciąż był. I choć za życia Jadwiga nie czuła się z nim specjalnie związana, po śmierci opłakiwała go bodaj najbardziej jako ostatniego z jej rodu. Już więcej nie będzie mogła sobie powiedzieć: nie jestem sama na świecie, mam jeszcze brata.

Z cmentarza pojechali do domu. Wzięła Pawła pod rękę i na moment wyszła z nim do ogrodu. Nie było już stołu pod orzechem i nie było orzecha. Staszek, syn Leona, sprzeczał się o coś z Kaziem, synem Antonów.

- Dlaczego wycięliście drzewo? - spytała ze zgrozą.

- Kilka lat temu strzelił piorun i pękło na pół - odpowiedział Stanisław.

- I rabatek z nagietkami już nie ma. Wiesz, synku - zwróciła się do Pawła - pamiętam taki upalny dzień tuż przed

wojną. Wyszedł ci wtedy pierwszy ząbek. Siedziałam pod orzechem z matką, karmiłam cię tartym jabłkiem, a na talerzyku usiadł piękny motyl. Nie chciało się wierzyć, że ten spokojny, cichy świat może zginąć.

Oczy jej się zaszklily i wróciła do mieszkania. Paweł doszedł do kuzynów.

- Słuchaj - zagadał Staszek - u was powinien gdzieś być taki kachel z namalowanym domem. Babka bezprawnie oddała go twojej matce.

- Dlaczego bezprawnie?

- Bo to mój wuj namalował, więc kachel powinien być mój.

- Namalował i dał babce. Mogła zrobić z nim, co chciała.

- Paweł, co ty mówisz? - wtrącił Kazik. - Posłuchaj tylko: „mój wuj, mój kachel, moje prawo”. Widać wcale nie znasz Stasia. Nie spocznie, dopóki jego kachel, od jego wuja nie znajdzie się w jego domu.

- To co, macie ten kachel?

- Nie. Nie mamy.

Stanisław machnął ręką i wrócił do mieszkania. Paweł został z Kazikiem. Ze wszystkich kuzynów jego chyba lubił najbardziej, chociaż też mało znał. Przez chwilę w milczeniu palili papierosy. Pierwszy odezwał się Kazik.

- A ja sobie umyśliłem, żeby pozbierać rodzinne pamiątki i stworzyć coś w rodzaju izby pamięci. Mam trochę zdjęć i papierów po rodzicach. Coś tam obiecała mi ciotka Cecylia. Może i u ciebie się znajdują jakieś fotografie? Szkoda, żeby po tej naszej rodzinie nie został żaden ślad.

- Kachel chcesz? - uśmiechnął się Paweł.

- Jasne, stary! - zawołał uradowany Kazik.

- To go dostaniesz.

W drodze powrotnej Jadwiga prawie się nie odzywała. Zwykle milczała w samotności, ledwie jednak pojawiał się

Paweł, musiała mówić, to było silniejsze od niej. Dzieliła się swoimi przemyśleniami i urojeniami, opowiadała, co w sklepie spożywczym, co u rzeźnika, a tu nic, tylko cisza. Próbował raz i drugi zagadać, ale matka chyba nawet go nie usłyszała. Weszła we wspomnienia. Tylko tam mogła odnaleźć wszystkich najbliższych. Ojciec gładził ją po białych włosach, mama uczyła, jak postępować ze służbą, Józef nie dawał się uwieść Marcie i Stefanii, Anton z Olą przekomarzali się na Diabelskiej Kazalnicy, a Aleks objął ją mocno, żeby nie spadła w piekielną otchłań. Najmniej wspomnień wiązało się z Leonem. Zajął się nią trochę, kiedy po wojnie wróciła do Tucholi. Teraz z całej wielkiej rodziny zostały jej tylko Marysia i Cecylia.

- Bratowe to nie rodzina - powiedziała nieoczekiwanie i dotknęła ręką kierownicy. - Teraz oprócz ciebie nie mam już nikogo na świecie.

„Teraz oprócz ciebie...” to były słowa, które Paweł zapamiętał z najwcześniejszego dzieciństwa. Miał zaledwie trzy lata, siedział w domu z ciocią Cecylią. Coś się musiało złego wydarzyć, bo ciocia płakała. Nagle zjawiła się mama. Weszła do mieszkania z dużą walizką, rzuciła okiem na jakiś papierek i porwała Pawła w objęcia. Ścisnęła go mocno, aż do bólu i kilka razy powtórzyła, że oprócz niego nie ma już nikogo na świecie.

Leokadia świetnie znosiła ciążę i wyglądała bardzo ładnie.

- Chudym kobietom ciąża służy, bo wreszcie zaczynają wyglądać jak kobiety - mówiła Jadwiga, co w jej ustach było połowicznym komplementem.

Cecylia na przykład uważała Leokadię za piękność. Ale czy można było wierzyć Cecylii, jeżeli wpatrywała się tylko w święte obrazy? Jadwiga oglądała telewizję i widywała tam naprawdę ładne kobiety. O Leokadii mogła powiedzieć: niebrzydka. I dodać: zwłaszcza niebrzydka w ciąży.

Wnuk jeszcze nie zdążył się urodzić, a już pokrzyżował plany Jadwidze. Wymyśliła sobie, że zaprosi parę osób na swoje siedemdziesiąte urodziny, może już ostatnie takie okrągłe. Spisała nawet na kartce, kogo by chętnie zobaczyła: Pawła z żoną, Cecylię, Marysię z Tucholi, jej syna Stasia, którego wciąż pamiętała jako swojego obrońcę, może jeszcze Kazika Antonów, oczywiście obu z żonami. Razem przyszłoby dziewięć osób i dla tylu bez kłopotu przygotowałyby porządny obiad. Urodziny wypadały w piątek, więc obiad spokojnie mógłby być w niedzielę dwunastego, ale nie wcześniej, bo z wcześniejszym wyprawianiem urodzin wiązał się stary przesąd. I wszystko bardzo pięknie, gdyby nie prezent urodzinowy od Pawła i Leokadii. Prezent miał się pojawić na świecie w piątek, czyli jubileusz musiałby się obejść bez synowej i - niestety - bez syna. Paweł tak był przejęty, że na krok nie opuszczał żony.

- I o co ty się tak kłopotujesz? - perswadowała jej Cecylia.
- Wyprawisz urodziny w święta i będziesz miała wszystkich razem.

- Z Tucholi nie przyjadą w święta. A nawet jak przyjadą, to gotowi się zasiedzieć. Nie stać mnie, żeby ich podejmować przez dwa dni.

- To przełoż uroczystość o dziesięć lat. Wyprawisz osiemdziesiątkę. Tylko na mnie już nie licz. Każdy dzień wydaje mi się trudniejszy do przeżycia.

Jadwiga zrezygnowała z wyprawiania urodzin. Bez syna wszystko traciło sens. Wpadł do niej dzień wcześniej, w czwartek.

- No to zgadnij - wołał już od progu - kto nam się urodził?
- Dziecko?
- Pewnie, że dziecko! Pytam o płeć. - Syn.
- Anetka! Trzy i pół kilograma, pięćdziesiąt trzy centymetry. Cudo!

- Jaka Anetka? - zdziwiła się, całując go w czoło. - Co to za imię? Ja takiego nie znam.

- Jest w kalendarzu. Wybraliśmy razem z Leokadią.

- Leokadia brzmi wystarczająco cudaczne, ale Aneta chyba jeszcze bardziej. Mało to ładnych imion...

- Mamo! Mogłabyś przestać!

Przestała. Tak naprawdę wcale mu nie chciała dokuczyć, czuła się tylko rozczarowana, że to dziewczynka. Wolałaby chłopca. O tym akurat próbowała nie mówić, więc wyskoczyła z imieniem.

- Cieszę się, synku, naprawdę się cieszę - powiedziała. - To wspaniale mieć wnuczkę młodszą o siedemdziesiąt lat i jeden dzień.

Jak tylko Leokadia wróciła z dzieckiem do domu, Paweł przyjechał na Łazienną i zabrał matkę z ciotką do siebie, na Rubinkowo. Jadwiga stanęła nad łóżeczkiem, spojrzała na małe zawiniątko otulone w kocyk i przypomniało jej się, co powiedział mały Anton na jej widok. Nie, wcale nie miała ochoty powtórzyć słów brata. Przeciwnie, dziecko, choć czerwone jeszcze i pomarszczone, wydało jej się piękne, poczuła niemal fizycznie, że to nie jakaś Anetka tam leży, tylko mała Jadzia, która narodziła się po raz drugi. To było dziwne uczucie. Rozdwoiła się, była w łóżeczku i przy łóżeczku, leżała i stała.

- Wiecie co - powiedziała, przechodząc wreszcie do drugiego pokoju - kiedy jeszcze byłam dzieckiem, bardzo długo mi się wydawało, że doskonale pamiętam swoje narodziny. Kąpiel, ubieranie i łzy radości ojca, wszystko to pamiętałam.

- I to, że dla Antona byłaś fuj, też zapamiętałaś - uśmiechnęła się Cecylia.

- Oczywiście. Urośliśmy, a jeszcze mu wypominałam. Coś dziwnego i cudownego jest w narodzinach.

Leokadia patrzyła na Jadwigę zaskoczona. Nie знаła takiej teściowej, która mówi o cudach, nie wsadza szpilek i nie dyszy złością.

Jadwidze dość szybko minął refleksyjny nastrój.

- Powinniście sprawić dziecku prawdziwy becik. Dziecko to nie naleśnik, żeby je w kocyki owijać.

- Zmieniły się czasy, mamó - wyjaśnił spokojnie Paweł. - Najnowsza medycyna jest przeciwko becikom z pierza.

- Najnowsza medycyna powinna zająć się rakiem, a nie zmieniać to, co przez lata ludziom dobrze służyło. Wychowałeś się w beciku i jakoś szczęśliwie nigdy nie chorowałeś.

Wróciła do domu poirytowana.

Paweł, zajęty teraz domem i dzieckiem, miał dla matki coraz mniej czasu. Jego żona podobno chorowała, leżała w łóżku i wspólne święta stanęły pod znakiem zapytania. Poprzednie Wigilie były na Rubinkowie. Schodziła się rodzina Leokadii, Paweł przywoził matkę z ciotką i świętowali ten dzień wspólnie. Teraz, od narodzin wnuczki, w mieszkaniu młodych szarogęsiła się szkolna kucharka i dla Jadwigi nie było tam miejsca.

- Synek, to może, chociaż pierogów wam nalepię? - pytała.

- Mamó, nie wyprawiamy świąt, przestaniemy na złożeniu sobie życzeń. Trudno, jeden rok będzie nietypowy.

- Nie to nie! - powiedziała ze złością.

W duchu dodała jeszcze: „Świętuj sobie z kucharką i woźnym, skoro są ci bliżsi niż rodzona matka”. Głośno nie odważyła się tego powiedzieć. Nie tyle z subtelności, ile ze strachu, że obrazi się i nie wpadnie nawet z życzeniami.

W Wigilię Paweł zajrzał w południe i podarował matce piękną apaszkę. Aż jej się serce ścisnęło, taki był wymizerowany. Pogładziła go po głowie, bo cóż mu mogła

poradzić. Miał takie życie, jakie sobie wybrał. Zaraz potem poszła do Cecylii, żeby pomóc w przygotowaniu kolacji. Bratowa się uparła i zaprosiła też Robaczyńską, sąsiadkę z drugiego piętra. Plotła coś o samotnych ludziach, którzy powinni się wspierać, i nie spytała Jadwigi o zdanie. Siedziały potem przy stole i słuchały, jak sąsiadka z wielkim znanstwem opowiada o swoich licznych chorobach. Przyszła z całą apteką, mało jadła, dużo natomiast zażywała. Kapsułki czerwone były na jedno, żółte na drugie, białe miały dopomóc w przyswojeniu tamtych, jednym słowem urządziła im fascynujący wieczór i odebrała apetyt nawet na smażonego karpia. Jadwiga w ogóle niewiele jadła. Dręczyła ją myśl, że wnuczka, ledwie pojawiła się na świecie, z miejsca pozbawiła babkę nielicznych przyjemności, jakie jej zostały. Nie dość, że pokrzyżowała plany z wyprawieniem urodzin, to jeszcze zmusiła do spędzenia Wigilii w towarzystwie chorej z urojenia nudziary.

Przypomniała sobie o sąsiadce zaraz po Nowym Roku. Nadal nic jej nie dolegało, pomyślała tylko, że skoro taka Robaczyńska zjada leki kilogramami, to może warto by o siebie też zadbać. Paweł był przeczulony na punkcie chorób, więc widok medykamentów na matczynej komodzie mógł na niego podziałać zbawiennie. Zarejestrowała się w przychodni, odczekała w kolejce, wreszcie weszła do gabinetu. Ledwie weszła, natychmiast zapragnęła uciec. Nie знаła wielu lekarzy, zapadł jej w pamięć tylko doktor Gollnik z Tucholi. Chodziła do niego, zanim urodziła Pawełka, i wyrobiła sobie dziwne przekonanie, że każdy lekarz powinien być równie ciepły i przyjazny. Kobieta w białym kitlu nie wyglądała na ciepłą, a przyjazna nie była ani trochę. Zasznurowane usta, mars na czole, ostre jak brzytwa: „Co pani dolega?”.

Jadwidze tak naprawdę dolegały lata, nic więcej. Poszła do lekarza po to, żeby sprawdzić, czy to na pewno same lata, a

nie coś więcej. Jędza w lekarskim fartuchu uniosła tyłek ze stołka, machnęła słuchawkami trzy razy i zasiadła do wypisywania recept. Pisała i pisała. Przy dziesiątym druczku Jadwiga nie wytrzymała:

- Pytała pani, co mi dolega. Teraz ja pytam: czy coś mi dolega?

- W pani wieku wszystko już musi dolegać. To jest na nerki, to na wątrobę, to na trzustkę - machała receptami - to na serce. Wykupić leki i zażywać, a jak się skończą, przyjść do powtórki.

Jadwiga pokazała recepty Cecylii, która lepiej się znała na medycynie, bo od dłuższego czasu już niedomagała.

- Też masz nadciśnienie? - zmartwiła się bratowa.

- Skąd mogę wiedzieć? Aparat był popsuty i baba mi nie zmierzyła. Innych badań też nie robiłam. Ona musi być albo geniuszem, albo kompletną idiotką. Na geniusza mi nie wyglądała, więc nie będę się truć.

Starannie podarła wszystkie recepty i podpaliła nimi pod kuchnię. Z wrażenia zapomniała nawet pokazać Pawłowi.

Anetka pierwszy raz odwiedziła babkę w marcu. Wniosła do domu trochę krzyku, zapach mleka i pieluch. Jadwiga odwykła od maleńkich dzieci, wizyta ją zmęczyła i z ulgą pożegnała gości. Ledwie odjechali, poszła na górę, żeby zmienić Izę, która siedziała z Cecylią. Nowy rok zaczął się dla bratowej bardzo niefortunnie. Na początku lutego, porządkując ołtarz w kościele, poślizgnęła się i złamała nogę. Nie na ulicy, nie w domu, tylko właśnie w świątyni. Jadwiga z miejsca pomyślała, że Pan Bóg dość już miał Cecylii z jej wiecznymi modłami, głośno jednak nic podobnego nie powiedziała. Do spółki z Izą zajęła się bratową, bo co miała robić. Cecylia w chorobie zrobiła się niezaradna jak dziecko, nawet szuranie nogami przy balkoniku sprawiało jej trudność. Jadwiga miała więc pełne ręce roboty a głowę pełną

niewesołych myśli. Cecylia skończyła siedemdziesiąt sześć lat, wcale jeszcze nie była stara, jednak z dnia na dzień traciła wolę życia. Choroba przygniotła ją ostatecznie i bratowa coraz częściej mówiła, że powoli odchodzi do Józieńka. Ona odchodziła, a kamienica zostawała. I właśnie przyszłość kamienicy bardzo nurtowała Jadwigę. Wyglądało na to, że los po raz kolejny srodze z niej zakpił. Gdyby sytuacja była odwrotna, gdyby to brat owdowiał pierwszy, kamienica w połowie należałaby do Pawła, w połowie do Izy. Józef nieraz o tym wspominał i na słowach się skończyło. W testamencie zabrakło odpowiedniego zapisu, majątek odziedziczyła Cecylia. Niechby sobie odziedziczyła, niechby przekazała go w całości kuzynce, ona jednak zaczęła przebąkiwać, że wszystko, co ma, zostawi kościołowi. Jadwiga czarno widziała swój los i los innych lokatorów. Kościół niewątpliwie troszczył się o zbawienie dusz wiernych, ale o swój majątek też potrafił zadbać i w tej materii próżno było liczyć na miłosierdzie. Tłumaczyła więc Cecylii, jak umiała, żeby nie robiła głupstw.

- Chcesz nas wszystkich na bruk wyrzucić? - pytała.

- Tylko niedowiarek może coś takiego powiedzieć. Kościół przygarnia, a nie wyrzuca.

Ostatecznie chyba Paweł ją przekonał. Na wszelki wypadek poradziła się jeszcze swojego prawnika i przestała wspominać o darowiźnie.

Cecylia połączyła się z Józieńkiem w połowie roku. W czwartek wieczorem położyła się spać, w piątek rano już nie wstała. Umarła cicho, spokojnie, tak jak żyła. I znowu rodzina spotkała się na pogrzebie. Marysia, Jadwiga i sami młodzi, którzy też już swoje lata mieli. Paweł, najmłodszy z nich, dobijał do czterdziestki.

Tym razem to już Iza, bratanica Cecylii, zadbała o skromny poczęstunek. Odziedziczyła całą kamienicę i czuła

się w obowiązku odwdzięczyć ciotce. Przykro było tak jeść obiad w mieszkaniu opuszczonym przez gospodarzy, całkiem jakby się było intruzem, nie gościem. Jadwiga siedziała jak na szpilkach, wciąż jej się zdawało, że Cecylia za chwilę ją zawoła. Jakoś nie umiała się jeszcze pogodzić ze śmiercią bratowej. Zwłaszcza ostatnie miesiące, naznaczone chorobą, trochę je do siebie zbliżyły.

- No tak - westchnęła Marysia. - Najpierw były nasze wesela, potem chrzciny, a teraz jak zaczęły nam się pogrzeby, to nie ustaną, dopóki i my nie odejdziemy. Na pogrzebie Józefa byli jeszcze Anton z żoną, mój Leon, no i Cecylia. Teraz chyba kolej na mnie.

- A kto to może wiedzieć, komu najpierw z brzegu - mruknęła Jadwiga.

- Ty z nas byłaś najmłodsza.

- Kiedy to było! Oglądałam wczoraj zdjęcia i powiem wam, że najpiękniej wyglądają ci, co umarli najwcześniej. Mój Aleksy na wszystkich fotografiach jest młody, elegancki. Gdybyśmy się teraz spotkali, tamten on i ja dzisiejsza, nawet by na mnie nie spojrział. Próbuję sobie wyobrazić, jak on by teraz wyglądał, i nie umiem. Łysy, może gruby? Nie, ani łysy, ani gruby. Paweł ma jego włosy i figurę, po Pawle najlepiej widać, jakby wyglądał.

- Paweł z rysów jest podobny do ciebie - powiedziała Marysia.

Posiedzieli dwie godziny i rozjechali się, bo zaczęło im brakować tematów do rozmowy. Wraz z odejściem najstarszego pokolenia Jaskólskich ostatecznie rozpadły się więzi. Jeden tylko Kazik wierzył, że warto zbierać pamiątki i uwieczniać historię rodziny. Wywoził z Torunia cenny kafel i bardzo się z tego cieszył.

Wyszli wszyscy razem. Jadwiga została, żeby pomóc Izie w sprzątaniu.

- Pani Jadwigo, od następnego miesiąca nie płaci pani już czynszu. Będzie tak, jak było za życia wujka. Wiem, że on by sobie tego życzył.

W tym momencie Jadwiga zrozumiała, że Cecylia naprawdę odeszła. Nastąpiła nowa właścicielka, wraz z nią nowe porządki, o wiele sprawiedliwsze, tylko pogadać nie było już z kim. Bardziej przeżyła śmierć bratowej, niż kiedykolwiek mogłaby przypuszczać.

Cecylia była od niej starsza zaledwie pięć lat. Jadwiga zastanawiała się, czy dożyje jej wieku.

Pierwsze zdjęcie Jadwigi, jakie się zachowało, a chyba w ogóle pierwsze w życiu, zostało zrobione w atelier fotograficznym „R. Schreiber. Bromberg”. Odpowiedni napis widnieje pod fotografią i na odwrocie. Trzyletnia puciołowata i pulchna blondyneczka siedzi na niskiej ławce, z lewej strony ma ozdobny murek, na którym opiera rękę, z drugiej jakąś wybujałą roślinę przypominającą kaktus. Po co ją rodzice zawieźli wtedy do Bydgoszczy? Nigdy nie spytała, ale mało prawdopodobne, żeby chodziło tylko o zrobienie zdjęcia.

Paweł kupił rosyjską zorkę, zanim jeszcze został szczęśliwym ojcem. Z wielkim upodobaniem uwieczniał na kliszy wszystkie etapy rozwoju Anety: niemowlęctwo, karmienie, pierwszy uśmiech, ząbek, pierwsze posiedzenie na nocniku. Kiedy Aneta skończyła trzy lata, zrobił jej zdjęcie bardzo podobne do tego, na którym siedemdziesiąt lat wcześniej bydgoski fotograf uwiecznił jej babkę. Zamiast atelier był plener z naturalnym murem po prawej stronie i wielkim ostem po lewej.

- Przecież to ja! - powiedziała Jadwiga.

Zaraz też wyciągnęła z komody swoje zdjęcie i zaczęła porównywać. Podobieństwo było uderzające. Wszyscy musieli to przyznać, nawet Leokadia, że Aneta wrodziła się w babkę. Z urody na pewno, o charakterze za wcześnie było mówić.

Jadwiga nawet się cieszyła, że wnuczka jest do niej podobna, jednak małe dziecko wyraźnie ją drażniło.

- Dlaczego ona tak biega? Każ jej usiąść!

Aneta biegała, zaglądała w każdy kąt, bo wszystko w nowym mieszkaniu bardzo ją ciekawiło. Do ojca miała zawsze sto pytań.

- Dlaczego ona przerywa dorosłym? Twoja żona bardzo źle ją chowa.

Po kilku próbach zbliżenia babki z wnuczką Paweł musiał się poddać. Anecie nie spodobało się ani mieszkanie, ani babka, babka z kolei nie domagała się wizyt wnuczki. Czasem, dwa, trzy razy do roku, najczęściej z okazji świąt, pojawiała się na Rubinkowie. Czy u siebie, czy u syna wciąż była ze wszystkiego niezadowolona.

- Ładną mam sukienkę? - pytała Anetka.

- Nieładną, za gruba jesteś do takich sukienek. Powinnaś mniej jeść, bo dzieciaki będą się z ciebie śmiały.

Aneta wykrzywiła buzię w podkówkę, bo ani rodzice, ani drudzy dziadkowie nigdy jej takich przykrych rzeczy nie mówili.

- Jak możesz być taką złą babcią?! - denerwował się Paweł. - Przecież to jeszcze małe dziecko.

- Małe, ale za grube. Od razu widać, że w rodzinie jest kucharka. Nie pozwól, żeby przekarmiła małą.

- Też byłaś gruba w jej wieku. Kto wie, czy nie grubsza. Popatrz na zdjęcie.

- Widocznie cierpiałam z tego powodu i teraz chcę dla wnuczki dobrze - odpowiadała po swojemu. - Poza tym nie wiem, co to znaczy być babką, bo nigdy nie miałam dziadków. Odkąd pamiętam, byli tylko rodzice.

Jadwiga znajdowała odpowiedź na każdy zarzut, natomiast nie znajdowała recepty na życie w rodzinie, przynajmniej odkąd Paweł się ożenił. Raniła wszystkich: Leokadię i Anetę z

czystej niechęci, Pawła natomiast przy okazji. I tylko on jeden próbował ją tłumaczyć, bagatelizował złośliwości i łatał to, co było nie do załatania. Aneta nie lubiła babki, Leokadia zaś całkiem serio mówiła o uczuleniu na teściową. Początkowo starała się robić dobrą minę, puszczała mimo uszu zaczepki, ale jej wysiłki na nic się nie zdały. Bardzo szybko zrozumiała, że Jadwiga jest matką jedyne go syna i nikogo więcej nie pragnie kochać. Synowa i wnuczka były niewiele znaczącymi dodatkami do Pawła. Samego Pawła bardzo to drażniło, nic więc dziwnego, że przywoził matkę na Rubinkowo tylko wtedy, kiedy nie dało się tego uniknąć, za to sam bywał u niej tak często, jak mógł. Końcówka lat siedemdziesiątych nie sprzyjała ani młodym, ani tym bardziej starszym ludziom. Puste sklepy, kartki, kolejki. Trzy dni po siedemdziesiątych piątym urodzinach, w niedzielę, Paweł przywiózł matce wiadomość o wprowadzeniu stanu wojennego.

- To znaczy, że Niemcy już zajęli Toruń? - spytała przerażona.

Nie bardzo orientowała się w polityce. Nowa władza nigdy nie przypadła jej do gustu; Jadwiga w niuanse się nie bawiła, nie odróżniała rządów poszczególnych ekip, bo wszystkie uważała za chybione. Obiecała sobie, że wojnę przesiedzi w domu, ale już następnego dnia pobiegła do miasta. Niczego wielkiego nie zauważyła poza śliskimi chodnikami. Wróciła do domu, żeby przypadkiem się nie przewrócić i nie skończyć tak, jak biedna Cecylia.

Wraz z upływem lat coraz bardziej wsłuchiwała się w siebie. Nadal była okazem zdrowia. Łykała witaminy, gimnastykowała się i mierzyła temperaturę. W domu sprzątała, prała i gotowała sobie obiady. Osiemdziesiąte urodziny zastały ją w doskonałej kondycji. Miała nawet ochotę upiec kuch, w końcu jednak zrezygnowała, bo piekarnik trochę szwankował. Czekala na gości drepcąc po

całym mieszkaniu. Wreszcie przyjechali. Paweł ledwie był widoczny zza wielkiego bukietu.

- Kiepsko, synek, wyglądasz - powiedziała, odbierając kwiaty. - Połóż się w drugim pokoju i odpocznij.

- Mam przespać twoje osiemdziesiąte urodziny? - spytał.

Nie był zaskoczony. Odkąd się ożenił, wciąż mu powtarzała, że wygląda marnie, źle lub kiepsko. Ostatnio wpadła na pomysł, że powinien u niej odpoczywać. Ciągnęła go na tapczan, chciała przykrywać kocem - Wielkie rzeczy, urodziny! - Wzruszyła ramionami. - Wyspać się trzeba, odpocząć. Ty przecież pracujesz na cały dom.

- Moja żona też pracuje.

Pokiwała głową z powątpiewaniem i zajęła się podawaniem herbaty.

- A może napiłbyś się, synek, kawy?

Leokadii nawet nie spytała. Rozglądała się czujnie, szukając zaczepki. Kto szuka, z reguły znajduje.

- Dlaczego to Aneta chodzi w spodniach?

- Mamo, mogłabyś wreszcie podać tę herbatę? - spytał Paweł.

- Już podaję. Nie pozwól jej udawać chłopaka, miej, chociaż ty, trochę oleju w głowie.

Synowa wierciła się, jakby teściowa posadziła ją na szpilkach. W tak miłej urodzinowej atmosferze wytrzymali całą godzinę.

Jadwidze dokuczała samotność. Odkąd odeszła Cecylia, a krótko po niej Robaczyńska, nie został już nikt, z kim mogłaby posiedzieć, pogadać i wypić herbatę. Czasem wpadała do niej Iza. Była całkiem sympatyczną kobietą, tylko bardzo smarkatą. Miała najwyżej pięćdziesiąt lat i często nie wiedziała, o czym Jadwiga mówi. Nie знаła przedwojennej mody, nigdy nie była w Tucholi ani na pensji w Chojnicach.

Samotność daje się oswoić, trzeba tylko wiedzieć, jak to zrobić. Jadwiga długo nie wiedziała, aż raz, całkiem przypadkowo, wpadła na pomysł wycieczek w głąb siebie. Powoli, z dnia na dzień, zaczynała żyć do tyłu. Jak człowiek skończy osiemdziesiąt czy osiemdziesiąt pięć lat, każdy dzień może być ostatnim z darowanych. Trudno więc robić wielkie plany na przyszłość. Ot, wystarczy się zastanowić, co na obiad, co na kolację i jakie zakupy potrzebne do domu. Natomiast swoją przeszłość każdy nosi w sobie i może po niej buszować do woli. Siadała więc w fotelu Aleksiego i zaczynała opowiadać o minionych latach. Nie myśleć, tylko opowiadać, tak jakby na wprost siebie miała słuchacza. Opowiadając, przerywała ciszę panującą wokół. Potem Paweł się dziwił, dlaczego matka coraz chętniej wplata do swoich wypowiedzi niemieckie słowa. Wplatała, ponieważ w opowieściach docierała aż do dzieciństwa. O dzieciństwie nie dało się opowiadać inaczej jak tylko po niemiecku. Kiedy Jadwiga skończyła osiemdziesiąt pięć lat, zaczęły się drobne kłopoty ze zdrowiem. Przytyła, nogi nie bardzo chciały ją nosić, a i serce też jakby było nie to samo.

- Będzie do ciebie przychodziła kobieta z opieki społecznej - powiedział kiedyś Paweł.

- Ja, ja. A po co?

- Posprząta, zrobi zakupy.

- Madchen fur alles? Truda, ja? (Służąca do wszystkiego? Truda, tak? (niem.))

- Nie Truda. Będzie ci pomagała w domu, czasem wyjdzie z tobą na spacer, ale nie jest twoją służącą.

Paweł załatwił opiekunkę w najlepszej wierze i nie przeczuwał, w jak wielkie pakuje się tarapaty. Dla Jadwigi kobieta, która sprząta i robi zakupy, nie mogła być nikim innym niż tylko służącą. Doskonale pamiętała Nastkę, Gawronową, zwłaszcza swoją Trudę. Wiedziała, czego należy

wymagać, i tego się trzymała. A że nigdy nie wyznawała zasady eine kleine zajączek, więc opiekunki miały z nią urwanie głowy. Dreptała za taką krok w krok, pouczała, wydzielala pieniądze na zakupy i wreszcie miała się kogo czepiać. Kobiety wytrzymały miesiąc i odchodziły jedna po drugiej.

- Tej Baśki więcej już nie chcę widzieć! - mówiła Jadwiga zdecydowanym tonem. - Oszukuje na zakupach. Mówi, że za kurze udko zapłaciła pięć złotych, a zapłaciła cztery dwadzieścia.

- Udka są na wagę, skąd wiesz, ile zapłaciła? Zawahała się przez moment.

- Rzeźnik mi powiedział. Spytał, jak mi smakowało udko, które wczoraj służąca kupiła dla mnie za cztery dwadzieścia.

Odwracać kota ogonem zawsze potrafiła, co bynajmniej nie ułatwiało życia Pawłowi. Słynny upór Jaskólskich w jej wydaniu osiągnął szczyt. Wciąż powtarzała, że sama sobie poradzi, nie potrzebuje nikogo i dopóki siedziała w fotelu, dopóty czuła się silna.

- Czy ojciec nie tłumaczył ci kiedyś, że kobieta powinna być posłuszna najpierw ojcu, potem mężowi, a jak tych dwóch zabraknie, to synowi, bo on zostaje głową rodziny? - spytał raz Paweł.

- No, ja, tłumaczył - przyznała dość niechętnie.

- Zdecydowałem, że od jutra będzie przychodziła do ciebie nowa opiekunka. Nie masz nic do gadania, musisz się podporządkować.

- Skoro tak zdecydowałeś... niech tak będzie. Następnego dnia w mieszkaniu na Łaziennej pojawiła się

pani Jola. Nie była już młodką, dobiegała pięćdziesiątki, miała spore doświadczenie w pracy ze starszami i pewnie dlatego dość szybko znalazła straszaka na Jadwigę: „Mam poskarżyć panu Pawłowi, mam go zmartwić?” - pytała.

Zwykle skutkowało. Jeśli Jadwiga czuła przed kimś respekt, to jedynie przed synem. Był mężczyzną, jej jedynym mężczyzną, i należał mu się posłuch, przynajmniej u niej w domu, o czym sam niedawno przypomniał.

Jola okazała się bardzo pomocna, chociaż Jadwiga wiedziała, że nie można jej spuszczać z oka ani pozwalać na wszystko.

- Co mi Truda każe jeść? Kto to je gotowaną rybę? Rybę się panieruje i smaży, można też zalać ją octem.

- Proszę jeść. Gotowana jest równie dobra i dużo zdrowsza. Pani ma wysoki cholesterol.

- Mam smak, a nie cholesterol!

Jadwiga, jeżeli słyszała o cholesterolu, to najwyżej od Robaczyńskiej, kto by się jednak Robaczyńską przejmował. Zawsze lubiła dobrze zjeść. Już jako dziecko była wielkim łasuchem, na starość zrobiła się bodaj jeszcze większym. Nie gardziła tłustym mięsem, chętnie podjadała słodycze. Kiedy listonosz przynosił emeryturę, obowiązkowo kupowała czekoladę i trzymała ją dla Pawelka. Martwiła się, że syn jest mizerny, i próbowała go dokarmiać. Ledwie się zjawiał, dreptała do kuchni, zaczynała odgrzewać, podgrzewać, parzyć herbatę. Na te kilka chwil wychodziła ze swojej skorupki i wyraźnie ożywała, więc nawet jeśli nie był głodny, dziobał coś tam, żeby utwierdzić matkę w przekonaniu, jak bardzo jest potrzebna.

- Ta twoja Leokadia chyba w ogóle nie umie gotować, ja?

- Przecież wiesz, że umie. Jadłaś u nas i bardzo ci smakowało.

- To może gotować jej się nie chce? Młode kobiety zrobiły się teraz bardzo wygodne.

- Gotuje codziennie.

- Ale nie patrzy, czy zjadłeś? Nie pyta, czy ci smakowało?

- Mamo, Leokadia wyszła za mąż za mnie, nie za ciebie, i naprawdę jakoś sobie radzimy.

- Takie tam radzenie, przecież ty wiecznie chodzisz głodny.

Wiosną pani Jola zaczęła towarzyszyć Jadwidze w spacerach. Czasem były to bardzo długie spacery. Raz doszły obie aż pod teatr. Dla młodych nóg to z dziesięć minut drogi, ale Jadwiga nie miała już młodych nóg. Szły i szły, najpierw Łazienną, potem kawałek Szeroką i całą Chełmińską aż stanęły na wprost wielkiego gmachu.

- A gdzie orły? - spytała bardzo zaskoczona.

- Jakie orły?

- Na dachu siedziały dwa wielkie orły, wydawało się, że lada moment sfruną. Musiała Truda je widzieć.

- Żadnych orłów nigdy tu nie widziałam. - Jola pokręciła głową.

Orły nie dawały Jadwidze spokoju. Mogła nie pamiętać, gdzie położyła przed chwilą Lexikon, ale orły pamiętała jak żywe z pierwszej wizyty w Toruniu. Potem nigdy o nich nie myślała, więc nie umiała powiedzieć, czy zginęły przed pięciu czy dziesięciu laty. Zmusiła Pawła do poszperania w starych książkach i okazało się, że miała rację. Gmach teatru został przebudowany we wczesnych latach czterdziestych, kiedy jeszcze trwała wojna, i to właśnie wtedy orły odfrunęły w nieznane.

- Widzisz! - wykrzyknęła z dumą. - Nie mam sklerozy, dobrze pamiętam. A swoją drogą ci Niemcy to zapobiegliwy i mądry naród, jeżeli w czasie wojny potrafili myśleć o teatrze. Tylko nie wiem, co im orły zawiniły?

Nadszedł grudzień, a wraz z nim dziewięćdziesiąte urodziny. Przyszła Iza z pięknym bukietem róż. Krótco po niej zadzwonił do drzwi Paweł. Zawsze wchodził pierwszy, żeby nastawić matkę przychylnie, za nim pojawiła się Leokadia.

Więcej gości Jadwiga nie oczekiwała. Marysia od dziewięciu lat nie żyła, wnuczka studiowała w Warszawie. Jak człowiek kończy dziewięćdziesiąt lat, to nie może już liczyć na tłum znajomych. A jednak w drzwiach pojawiła się jeszcze jedna osoba.

- Grosser Gott! Jadzia? - wykrzyknęła zaskoczona Jadwiga i aż ręce złożyła ze zdziwienia.

W drzwiach zobaczyła siebie odmłodzoną o wiele lat. Stała jednocześnie w drzwiach i w korytarzu, tak jak kiedyś stała nad łóżeczkiem kilkudniowej Anetki i jednocześnie leżała zawinięta w kocyk.

- Aneta przyjechała specjalnie na twoje urodziny - powiedział Paweł.

- Wygląda całkiem jak ja kiedyś. Sama bym się pomyliła. Jaka ona stara?

- Wczoraj skończyła dwadzieścia lat.

- No, ja, ja, dwadzieścia. Ale za mąż się nie wybiera?

- Porozmawiaj z nią, popytaj.

Jadwiga nie spuszczała oczu z Anety, śledziła każdy uśmiech tamtej, każdy gest, jednak do rozmowy się nie paliła. Kto mógł wiedzieć, co taka młoda kobieta zacznie jej opowiadać. Podobna była, ale życie musiała mieć inne. Jadwiga nie za bardzo była ciekawa tego innego życia. Patrzyła, jak Paweł rozplątywał się z zachwytem, jak wodził oczami za córką, i zazdrość zaczęła jej szeptać do ucha brzydkie rzeczy. Do obecności żony już przywykła, jednak taka dorosła córka mogła jej odebrać Pawła. Zawsze ją rozpieszczał, traktował jak księżniczkę, co wcale nie było dobre.

- Za tłusta jesteś do spodni, powinnaś chodzić w sukienkach! - powiedziała dość nieoczekiwanie i bez większego sensu, bo rozmowa przy stole kręciła się wokół przedsiębiorczości i nowych szans dla polskiej gospodarki.

- A ty wciąż straszysz wdziękiem nierozgarniętego Kłapouszka - roześmiała się Aneta. - Minęły czasy, kiedy się bałam każdej twojej uwagi. Wał śmiało wszystko, co ci leży na wątrobie. Na pewno mnie nie obrazisz.

- Jak ona do mnie mówi? - Zaskoczona Jadwiga szukała ratunku u syna i chyba nie znalazła..

- Zwyczajnie i bezpośrednio, jak wszyscy młodzi teraz - odparł spokojnie.

- Ale ja mam już dziewięćdziesiąt lat!

- O tym akurat pamiętamy - mruknęła Leokadia. Jadwiga mocno się zasepiła. Liczyła, że w tym dniu wszyscy będą dla niej bardzo mili.

Pani Jola wniosła urodzinowy tort z dziewięcioma świeczkami.

- Nie dam rady dmuchnąć. Serce mi pęknie z wysiłku! - zaprotestowała jubilatka.

- To ja ci pomogę!

Aneta stanęła obok babki i wspólnie zdmuchnęły świeczki.

- Za mąż ty się nie wybierasz? - spytała Jadwiga, przytrzymując wnuczkę za rękę.

- O nie! Mam chłopca, na razie to wystarczy - odpowiedziała.

- Nikt mi nie mówił, że masz syna!

- Broń Boże, żadnych dzieci! Mam swojego chłopaka.

- Narzeczonego, ja?

- Nie! Jesteśmy razem, ale nie planujemy ślubu. Najpierw trzeba się w życiu urządzić, znaleźć dobrą pracę, potem ewentualnie można pomyśleć o wiązaniu się na stałe.

- Nic z tego nie rozumiem - westchnęła Jadwiga. - Nic. Po wyjściu gości skuliła się w fotelu Aleksego i wpadła

w zadumę. Była już stara, lecz nie tak bardzo, żeby nie odróżniać dobra od zła, przynajmniej w sensie ogólnym. Na

jej oczach świat wyraźnie wariował. Kobiety nie myślały o rodzinie i dzieciach, rwały się do pracy, za nic miały śluby. Kim byli ci, jacyś tam, chłopcy? Nie narzeczonymi, to pewne. W takim świecie, gdzie wszystko stanęło na głowie, Jadwiga nie widziała już dla siebie miejsca. Tylko co miała robić, skoro Pan Bóg najwyraźniej o niej zapomniał? Musiała żyć dalej. Dopóki był Paweł, miało to jakiś sens.

Trwała dzielnie i mimo dziewięćdziesiątki cieszyła się nadspodziewanie dobrym wzrokiem. Okulary wkładała jedynie do czytania. Gazety jej nie interesowały, bo to, co godne uwagi, zdarzyło się już wcześniej. Chętnie przeglądała swój Lexikon i wertowała stare książki, odnalezione w piwnicy Józefa. Paweł podrzucił jej kilka polskich, ale nawet do nich nie zajrzała. Nie potrzebowała nowych opowieści, wolała te stare, dobrze znane, które nie mogły jej zaskoczyć niczym złym. To nic, że w kółko czytała o tym samym. Kiedy zaczynała rozmawiać z osobami zaludniającymi jej pamięć, obracała się w kręgu wydarzeń znanych od początku do końca i wcale się przy tym nie nudziła. Mało tego, słyszała każde ich słowo, a Pawła czasem nie słyszała. Zaczęła się bać, czy syn nie choruje na gardło.

- Powtórz jeszcze raz, bo nie wiem, o jakie bąbelki pytasz? - prosiła.

- Pytam, gdzie są te butelki po soku? - krzyknął.

- A, butelki! Nie wiem.

Mówił bardzo cicho i krzyczał na nią, że nie odpowiada. Wreszcie zaczął się dopytywać, czy ona aby dobrze słyszy. Powtarzała niezmiennie, że bardzo dobrze, uparł się jednak i zaprowadził ją do laryngologa. Długo rozmawiał z lekarzem, jednak wyszli z gabinetu bez recept. Trudno, żeby od samej wizyty słuch jej się nie poprawił. Wracali taksówką. Jadwiga wybrała miejsce obok kierowcy.

- Tu mi wygodniej wsiąść - powiedziała - bo wie pan, jak się skończy dziewięćdziesiąt lat, to człowiek już tylko o wygodach myśli.

- Ile? - zdziwił się taksówkarz i nawet zerknął do tyłu na Pawła, żeby się upewnić, że dobrze zrozumiał.

- Skończyłam dziewięćdziesiąt trzy - wyznała z dumą Jadwiga, dodając sobie prawie dwa lata dla lepszego efektu.

- W życiu bym nie powiedział! Wspaniale pani wygląda! Nazwała go miłym człowiekiem, a jego komplementem karmiła się przez kilka tygodni. Wciąż jeszcze wyglądała całkiem nieźle. Tusza, która przeszkadzała w chodzeniu, dobrze wpływała na cerę. Może tylko owal twarzy nie był już taki, jak dziesięć lat temu.

Niestety, po dziewięćdziesiątych urodzinach powoli zaczęła niedomagać.

- Z czego się robi nadciśnienie? - spytała Pawła. - To chyba nie jest śmiertelne?

Kupił jej ciśnieniomierz, łatwy w obsłudze, zakładany na nadgarstek. Jadwiga dość szybko pojęła, jak się nim posługiwać i mierzenie stało się jej obsesją. Zakładała aparat i zdejmowała po kilkanaście razy z rzędu, coraz bardziej przerażona, że ciśnienie rośnie. Wreszcie Jola znalazła i na to sposób.

- Nie pamięta pani, co mówił lekarz? Rano i wieczorem, nie częściej, bo mierzenie bardzo szkodzi na serce.

Poskutkowało. Jadwiga nie chciała szkodzić sobie ani swojemu sercu. Wsłuchiwała się w słabnący organizm i wciąż coś ją niepokoiło: suchy język, zatwardzenie, łzawiące oko i za każdym razem gotowa była wzywać pogotowie, a najlepiej Pawła.

- A co pan Paweł pomoże na zatwardzenie? - dziwiła się Jola. - Ziółka trzeba wypić i koniec.

W tym wieku nawet niewinny katar mógł okazać się groźny, jednak tego ani Jola, ani Paweł nie mówili głośno, żeby niepotrzebnie nie denerwować Jadwigi. Na razie jakoś się trzymała. Nie miała skłonności do przeziębień, jadła z apetytem i chyba największy kłopot sprawiały jej nogi. W dzień puchły, w nocy bolały. Na spacery wychodziła już tylko z Pawłem. Czasem doszli do Szerokiej, czasem nie, choć to był zaledwie kawałek.

- Popatrz, synek, jak to dobrze, że mnie masz - tłumaczyła mu, kiedy odpoczywali przy pomniku Kopernika. - Byłbyś na świecie sam, gdyby nie matka.

- Mam żonę i córkę - przypomniał.

- Córka daleko, a żona? Żona to obca kobieta, zwłaszcza ta twoja.

- Obca dla ciebie, bo ją odtrąciłaś.

- Niemożliwe. Jakbym widziała, że jest dla ciebie dobra, to bym ją pokochała.

- Mama, a czy niedobra kobieta wytrzymałaby tyle czasu bez męża? Całe popołudnia jestem z tobą, a ona nie narzeka.

- No widzisz! Nie narzeka, bo woli być sama niż z tobą. Całe życie ci tłumaczę, że ona na ciebie nie zasługuje.

Jadwidze sił ubywało, ale niechęć do Leokadii pozostawała niezmienna. Wygodnie jej było nigdy nie pytać o synową, przestała nawet o niej mówić, bo wtedy mogła sobie roić, że tamtej po prostu nie ma. Paweł był tylko jej i nie musiała się z nikim dzielić synem. Rzadko też wspominała Anetę. Nieraz Paweł sam zaczynał opowiadać o córce i wtedy słuchała nawet z zainteresowaniem.

- To co ona takiego robi, że nie ma czasu wyjść za mąż?

- Jest asystentką polskiego szefa w dużej firmie należącej do Szwedów.

- A ten szef, jaki jest stary?

- Ma córkę w wieku Anety.

- Stary i żonaty. To czego ona u niego szuka?

- U niego pewnie nic nie szuka, a w pracy wyręcza go, w czym może, odbiera listy, pilnuje terminów, umawia spotkania, jak trzeba, przynosi mu jedzenie, sam nie wiem, co jeszcze, bo nigdy asystentki nie miałem.

- Wiesz, co ci powiem: twoja córka ma bardzo głupią pracę. Jakby wyszła za męża, mogłaby to samo robić przy mężu i jeszcze miałaby z tego dzieci.

- A tak ma pieniądze. Po co ty się zamartwiasz o męża Anety? Z góry wiem, że go nie polubisz, podobnie jak Leokadii. Ty lubisz tylko siebie, może trochę mnie, ale coraz bardziej w to wątpię.

Jadwiga była już zbyt zmęczona, żeby odpowiadać. Wyczerpywały ją dłuższe rozmowy, zaczynała mieć kłopoty ze skupieniem uwagi, poza tym z każdym dniem coraz gorzej słyszała.

- Jak to dobrze - mówiła do Pawła - że mieszkam przy takiej cichej ulicy.

Łazienna wcale nie była cicha, samochód przejeżdżał za samochodem i hałas wdzierał się nawet przez zamknięte okna. Nie słyszała warkotu na ulicy, w mieszkaniu trzeba było do niej krzyczeć, za to w nocy wyraźnie wychwytywała szmery przy drzwiach. Ledwie Paweł wchodził, zaczynała się skarżyć, że nad ranem znowu ktoś gmerał kluczem i próbował się włamać. Była przy tym mocno wystraszona.

- Skąd wiesz? - pytał.

- Słyszałam przecież. Gmerał i gmerał. Nie zostanę sama na noc, dopóki nie założysz takiej sztaby, jaka była u dziadków.

- Tylko sztaby nam tu brakuje - westchnął z rezygnacją. - Zamkniesz się i już nikt do ciebie nie wejdzie, ani ja, ani pani Jola.

- Zapukacie i wam otworzę.

Uparła się i Paweł nie miał wyjścia. Na szczęście znalazł bystrego ślusarza i razem wymyślili sztabę, która nie przeszkadzała w otwieraniu drzwi z zewnątrz. Był to rzeczywiście majstersztyk ślusarskiego rzemiosła. Jadwiga wreszcie się uspokoiła. Zostawała sama, zakładała sztabę i nie bała się nocnych gości. To, że nie musiała otwierać drzwi Joli ani Pawłowi, wcale jej nie zastanawiało. Oni zawsze wchodzili do mieszkania sami, więc mogli wchodzić i teraz.

Jola od początku musiała się pogodzić ze zmianą imienia. Nie protestowała, bo z góry dało się przewidzieć, że dla Jadwigi i tak zostanie Truda. Paweł mówił:

- Dlaczego nie pozwalasz pani Joli, żeby cię wykąpała?

- Głupoty ci Truda opowiada, a ty jej wierzysz. Mówili o tej samej osobie, a jakby o dwu różnych.

Z myciem, szczególnie zaś z kąpaniem, zaczęły się kłopoty nie dlatego, że Jadwiga zagustowała w brudzie, tylko dlatego, że bała się wchodzić do wanny. Był to lęk całkiem uzasadniony. Jola przychodziła przed południem, ale Jadwiga jej nie ufała.

- Truda jest mała i chuda. Poślizgnę się, polecę i kto mnie przytrzyma? Wieczorem wejdę do wanny, przy Pawle - mówiła stanowczo.

Na Pawła spadł całkiem nowy obowiązek, wcale niełatwy. Dużo już się przy matce nauczył: zakrapiał lekarstwo do oczu, pomagał jej się ubierać, nacierał nogi maścią, jednak kąpiel to była konieczność pokonania bariery wstydu. Nie jego wstydu, bo był dojrzałym mężczyzną, lecz matczynego. Myślał, że nie zechce się przy nim rozebrać, a zmuszać jej nie miał odwagi. Nawet nie bardzo wiedział, jak się do tej kąpieli zabrać. Odkąd Aneta wyrosła z pieluch, nie mył żadnej kobiety i doświadczenia wielkiego nie miał. Napuścił wody i czekał. Jadwiga rozebrała się sama bez oporów. Pomógł jej wejść do wanny.

- Kąpiesz mnie tak samo, jak kiedyś matka - mówiła. - Najpierw mieliśmy metalową wanienkę, wiesz? Łazienka była dopiero potem. W wanience też było dobrze i tu jest dobrze.

Pluskała się z wielką przyjemnością i niemal na siłę musiał ją wyciągać z wody, bo gotowa była się zaziębić.

Przyszedł w końcu taki moment, że postaci zaludniające pamięć Jadwigi zaczęły przenikać na zewnątrz. Już nie tylko Jola była Trudą.

- Leon? - wykrzyknęła kiedyś na widok Pawła. - Chodźże, chodź, dawno nie rozmawialiśmy.

- Mama, to ja, Paweł!

Spojrzała uważnie, zastanowiła się moment.

- No, ja, ja! Paweł - przytaknęła. - Coś mi się ubzdurało, że Leon. Przecież on chyba nie żyje?

- I to ładnych kilka lat. Byliśmy na pogrzebie w Tucholi, pamiętasz?

Po jakimś czasie znowu nazwała go Leonem. Wyciągnął wtedy z komody kilka zdjęć. Wynałazł takie, na którym była cała rodzina. To było zdjęcie z czasów wojny, zrobione po pogrzebie Franciszka Jaskólskiego. W centrum siedziała babka Felicja i Jadwiga z trzyletnim synem na kolanach, wokół bracia z żonami.

- Poznajesz tu kogoś? - spytał.

- No, ja! To jesteś ty. - Pokazała na Leona. Paweł zaprzeczył.

- To jest Leon, a ja siedzę u ciebie na kolanach. Rozpromieniła się i długo wpatrywała w zdjęcie. Powoli rozpoznała wszystkich.

Przez jakiś czas Paweł był Pawłem, potem raz Pawłem, raz Leonem, wreszcie został tylko Leonem. Kiedy znowu pokazał jej zdjęcie zrobione po pogrzebie Franciszka, poznała już tylko Leona.

- A to, kto? - spytał, pokazując młodą Jadwigę z synem na kolanach.

- Aneta ze swoim chłopakiem. Nigdy mi nie mówiliście, że ona ma syna - zauważyła z pretensją w głosie.

Kiedyś Jadwiga miała pomysł na uroczyste obchody siedemdziesięciolecia i Aneta pokrzyżowała te plany. Babka jednak dociągnęła do setki i marzenie się spełniło, tyle że trochę przesunięte w czasie.

- Wiesz, mama, zawiadomimy władze miasta o twoich urodzinach - powiedział Paweł. - Może dostaniesz dyplom albo medal.

- A ja wcale nie chcę, żebyś ty biegał do Gomółki. Nigdy go nie lubiłam.

- Gomółki już nie ma.

- To kto jest teraz, Brezniew? Daj spokój, Leon. Ta władza jest do niczego, jak nie zabierze, to na pewno nic nie da.

Powojenna historia zatrzymała się dla niej gdzieś na latach sześćdziesiątych, może siedemdziesiątych i była mocno wyrwykowa. W latach osiemdziesiątych Jadwiga kibicowała jeszcze Solidarności, czekała na zmianę ustroju, a jak się zmienił, całkiem o nim zapomniała.

- Mama, ty pamiętasz Latzkego z Tucholi? - zagadnął Paweł.

- No, jak mam nie pamiętać? - wykrzyknęła zgorziona. - Zawsze kupowało się chleb u Latzkego, Ola brała też od niego ciasto. Potem stary Jan umarł i pani Anastazja musiała oddać sklep folksdojczowi.

- Wyobraź sobie, że wnuk Jana odzyskał sklep i piekarnię.

- I ten cały dom blisko kościoła?

W przeciwieństwie do powojennej, przedwojenna historia, zwłaszcza ta dotycząca Tucholi, wciąż była dla niej żywa.

Jadwiga pamiętała nazwiska i fakty, chętnie do nich wracała, tylko sił z każdym dniem jej ubywało. W dzień drzemała w fotelu, czasem patrzyła przed siebie i nie wiadomo było, czy śpi z otwartymi oczami, czy coś tam sobie w głowie układa. Przygotowania do setnych urodzin trochę wyciągnęły ją z odrętwienia. W domu zaczęło się sporo dziać. Paweł wynajął malarzy i kazał odnowić mieszkanie. Kilka razy zajrzała też Leokadia. Kupiła Jadwidze bardzo ładną bluzkę i nową spódnicę.

- Po co ty tracisz pieniądze? - gderała Jadwiga. - Mogłabym włożyć bławatkową sukienkę ze ślubu Józefa i te czerwone sztyfle. Czy to ja nie mam się w co ubrać?

Co mówiła to mówiła, ale bluzka wyraźnie przypadła jej do gustu. Przymierzyła ją z chęcią i całkiem po kobiecemu obejrzała się w lustrze. Kazała też podać sobie szkatułkę z biżuterią. Zabrzmiało ładnie i bogato: szkatułka z biżuterią. W drewnianym pudełku z szarotką na wieczku został już tylko naszyjnik z akwamarynów i zaręczynowy pierścionek z szafirem. Spróbowała wsunąć pierścionek na spuchnięty palec. Nie zmieścił się, niestety. Nic więcej do przymierzania nie było. Złote bransoletki sprzedała w trudnych latach powojennych. Przez chwilę ważyła szkatułkę w ręku, jakby się nad czymś głęboko zastanawiała. Wreszcie oddała ją Pawłowi do schowania.

Jadwiga bardzo przeżywała swój jubileusz.

- Leon, nie wiesz czasem, czy młodzi z Tucholi przyjadą?
- zaczęła się dopytywać.

- Jacy młodzi?

- Jacy?! - fuknęła. - Twój synowie i od Antona Kazik z tą, no... z siostrą.

- Z Zosią?

- Zosia jej dali na imię? Ja, ja, Zosia.

- Wysłaliśmy zaproszenia, pewnie przyjadą. Tylko, jacy oni młodzi! Wnuk Stasia niedługo będzie się żenił.

- Co ty powiesz? A ja pamiętam twojego Stasia, jak po całych nocach wrzeszczał mi za ścianą. No tak, czas leci. Ty się nieźle trzymasz, chociaż jesteś całe sześć lat starszy ode mnie. I powiem ci jeszcze jedno: cieszę, że ich wszystkich zobaczę.

Zobaczyła prawie wszystkich, z wyjątkiem Zosi; nie poznała nikogo, nawet Izy, którą widywała często. Zasypała Pawła wymówkami, że się wykpił, urządził jej eine kleine zajączek i nie wysłał zaproszeń. Była przekonana, że goście ściągnięci są z ulicznej łapanki. Poweselała dopiero na widok Anety.

- Jadzia! - wykrzyknęła z ulgą. - Siadaj koło mnie, mamy sobie dużo do opowiadania. Z mężem przyjechałaś?

Aneta wyglądała pięknie. Chyba chciała sprawić babce przyjemność, bo włożyła bluzkę z żabocikiem, a jasne, gęste włosy upięła tak, jak podpatrzyła na starej fotografii. W wieku trzydziestu lat była bardzo atrakcyjną kobietą, świadomą swojej urody. Okrągłości nie pozwalały pomylić jej z chłopcem, cerę miała porcelanową, a wyraźny nos Jaskólskich nadawał twarzy wyraz stanowczości. Obok niej pojawił się młody mężczyzna, nieznaną nawet rodzicom. Aneta nie pracowała już w polskiej filii szwedzkiego przedsiębiorstwa, tylko w samej centrali. Wyjechała z Polski, zamieszkała w Goteborgu i stamtąd przywiozła sobie towarzysza.

- Mieszkaś w Bonn? - dopytywała się Jadwiga. - Kto to wyjechał od nas do Bonn? Czy przypadkiem nie Karl Kornmahler? Poznałaś go może?

- Mama - uśmiechnął się Paweł - zawsze cieszyłaś się, że Karl osiadł w Dreźnie i dostał od Ruskich za swoje. On był ze dwa lata starszy od ciebie, myślisz, że miałby teraz dość siły

na podrywanie trzydziestolatki, nawet gdyby się przeniósł do Goteborga?

- I co z tego, że starszy! - prychnęła. - Ja się mogłam drugi raz urodzić, to i on mógł. Ten jegomość jest nawet do niego podobny. - Pokazała palcem mężczyznę, który towarzyszył Anecie.

- Mówiłam ci już, że to jest Carl Hannsen. Pracujemy razem i bardzo się przyjaźnimy - przypomniała Aneta.

- Od razu wiedziałam, że Karl! - wykrzyknęła ze zgrozą. - To zdrajca! Ty go, Jadzia, zostaw, każ mu wracać, skąd przyjechał.

- Coś ci się pokręciło - uśmiechnęła się Aneta. - Wracamy razem, zdecydowałam, że zostanę w Szwecji. Tam bardziej cenią ludzi za wiedzę niż w Polsce i lepiej wynagradzają. Trzeba tylko wiedzieć, co się chce osiągnąć, i spokojnie można robić karierę.

- Ty, Polka, chcesz zostać u Niemców? - zgorszyła się Jadwiga.

- Wspaniały zarzut w twoich ustach! - roześmiała się Aneta. - Z trudem mówisz po polsku, a masz coś przeciwko Niemcom? Ja chcę zostać w Szwecji, nie w Niemczech. Znalazłam tam wszystko, co mi potrzebne do życia. To, gdzie się mieszka, nie ma teraz najmniejszego znaczenia.

Jadzia pokręciła słabo głową. Nie wszystko rozumiała, choć Aneta krzyczała całkiem wyraźnie. Była coraz bardziej zmęczona. Rano dostała wielki bukiet kwiatów od gości z urzędu, potem stale ktoś obcy kręcił się po mieszkaniu i nie miała chwili wytchnienia. Podparła głowę na rękę i przymknęła oczy. Zebrany to nie przeszkadzało, jakoś sobie radzili bez jubilatki.

Paweł stanął w otwartym oknie i zapalił papierosa. Obok niego wyrósł Stasiek.

- To co - zagadał - słyszałem, że córka ucieka ci za granicę? Mądrze robi. Moi chłopcy dawno już wyjechali do Niemiec i bardzo sobie chwalą. Dogodzili nam z tym zniesieniem granic, no nie?

- My z Leokadią nie jesteśmy zachwyceni, ale to życie Anety i sama musi wybrać.

- Dobrze robi. Ty wiesz, ilu Polaków siedzi teraz za granicą? Pchają się jak muchy do miodu. Nasi walą do Niemców, Niemcy z kolei chcą kupować domy u nas, jest jakiś ruch. Ja też znalazłem kupca na chałupę. A skoro już o domu mowa... nie znalazł się przypadkiem ten kachel, co go mój wuj...

- Nie! - przerwał mu Paweł. - Często ty bywasz u Kazika?

- Po co niby? My się nie odwiedzamy.

- Tak myślałem - mruknął Paweł.

Nie dodał, że niedawno widział ten poszukiwany od lat kafeł między rodzinnymi pamiątkami zebranymi przez Kazika. W samym środku, na ścianie.

Aneta podeszła do babki i otuliła ją wełnianą chustą. Od okna trochę wiało. Jadwiga poruszała ustami, jakby wciąż coś powtarzała. Wnuczka przez moment nasłuchiwała. Zrozumiała niewiele, coś jakby: „Trwać, gdzie dom. Uciec do obcych to...”. Uśmiechnęła się i pomyślała, że starym ludziom wszystko się już w głowach miesza. Żal jej było tylko ojca. Schudł, zmizerniał, zaniedbał żonę i poświęcając się dziecienniejszej staruszce, dwa życia, swoje i matki, podporządkował jednemu. Podeszła do okna.

- Nigdy nie myślałeś, tato, że są domy starców? - spytała.

- Jeszcze trochę, a tobie przyda się niańka.

- Dom starców brzmi fatalnie.

- Nazwij go domem seniora albo zachodzącego słońca, nazwij jak chcesz, tylko pomyśl o matce i o sobie. Wiem, że to trudna decyzja, ale babka wysysa z was życie.

- Jest w Toruniu na Podgórzu dobry dom opieki prowadzony przez zakonnice. Byłem, rozmawiałem i jestem zdecydowany, tylko trzeba czekać na miejsce. Już sobie nie radzę. Tu trzeba tkwić całą dobę. Spóźniłem się godzinę i zastałem babkę na ulicy. Dreptała przy ścianie w różowej koszuli nocnej i w skarpetach. Wyszła mnie szukać, bo za długo już czekała. Nie wiem, jak dała radę przejść te dziesięć metrów, bo z powrotem musiałem ją prawie nieść.

- Jakby co, to ja chętnie się dołożę do opłat - zaproponowała Aneta.

- Nie chodzi o pieniądze. Najgorsze jest podjęcie decyzji.

- To już masz za sobą.

- Wiesz, czego najbardziej się boję? Twoja babka nie umie żyć z ludźmi, a tam będzie musiała pogodzić się z ich stałą obecnością.

- Skąd wiesz, może właśnie to dobrze jej zrobi? Musisz pamiętać, że lepiej to już było, teraz może być tylko gorzej. Swoją drogą, jak mi ktoś spróbuje życzyć stu lat, bez wahania nazwę go swoim wrogiem albo i walnę czymś ciężkim - powiedziała, uśmiechając się do ojca.

Uroczystości jubileuszowe bardzo Jadwigę zmęczyły. Narzekała, że odwykła od obcych, że nie znosi tłumów. Było raptem dziewięć osób i widać o całe osiem za dużo. Wciąż wracała do rozmowy z Anetą. Ubzdurzyła sobie, że ktoś chce ją, Jadwigę, zmusić do wyjazdu z kraju. Ze trzy dni tylko o tym mówiła.

- Leon, ja nie wyjadę! Ty im nie pozwól wysyłać mnie do Niemców. Niech mnie lepiej od razu otrują.

- Jesteś u siebie w domu, siedzisz tu ze mną i nigdzie cię nie wysyłam.

- Tłumaczę ci, że wysyłają mnie do pracy. Widać w barze Pod Kotwicą jest wymiana personelu. Nie chcę pracować, ja byłam chowana na damę i patriotkę. Tu moje miejsce, gdzie

mój dom. Pamiętasz, co mówił ojciec? „Duszy diabłu nie sprzedawaj i ojczystego kraju nie rzucaj, bo to zdrada i grzech”.

Proste argumenty Pawła do niej nie trafiały, denerwowała się, zaczęła mieć kłopoty z ciśnieniem. W końcu strach tak ją zmęczył, że zastygła w odrętwieniu, jakby cała moc z niej wyciekła. Tylko przy zmianie pampersów znajdowała dość siły, żeby się szarpać. Jeszcze na jubileuszu rozmawiała przytomnie i z sensem, dwa tygodnie później Paweł nie był nawet Leonem, tylko obcym mężczyzną, a obcemu nie pozwoliła się dotykać. Reagowała jedynie na krzyk. W niedzielę rano na nią nakrzyczał, że jest niedobra, nie chce wstać, nie pozwala się umyć, po południu spojrzał na jej szponiaste paznokcie u nóg, przyniósł miskę z wodą i wziął się do pedikiuru. Pogładziła go po włosach dawnym, ciepłym ruchem.

- Ty to jesteś dobry chłopak, ale ten, co rano tu był, niech mi się więcej nie pokazuje na oczy. Ty możesz przychodzić. Smutno tak samej, nikt mnie nie odwiedza.

- Nikt cię nie odwiedza, bo trudno z tobą wytrzymać.

- E, niemożliwe. Z moich już nikt nie żyje, a ze smarkaczami nie mam o czym rozmawiać - odpowiedziała całkiem przytomnie.

Kiedyś w końcu odwiedziła ją Leokadia. Nie z sympatii do teściowej, tylko z litości nad mężem. Paweł po przejściu na emeryturę dniami i nocami przesiadywał z matką, ale miał jeszcze swoje sprawy zawodowe, które też wymagały czasu. Jadwiga bardzo się ucieszyła, że ktoś jeszcze w końcu do niej wpadł. Miała dobry dzień i garnęła się do rozmowy.

- Smutno tak samej po całych dniach siedzieć - powiedziała z utyskiwaniem. - Gdyby nie mój brat Leon, nie miałby mi kto szklanki wody podać. Pani wie, że ja miałam syna? Sama go urodziłam, sama wychowałam, a ona mi

zabrała dziecko na zgubę, ta Leokadia. Głupie imię, co? Jaka rodzina, takie imię. Prostactwo ukradło mi syna.

Mówiła z coraz większą furją, a Leokadia nie śmiała się poruszyć ani odezwać. Pierwszy raz w życiu usłyszała, co teściowa naprawdę o niej myśli. Wysłuchiwała hymnu nienawiści gromadzonej latami. To nie były bredzenia kobiety zdjętej starczą demencją, to był w miarę spójny wywód, który odzierał Leokadię z dobroci i uczciwości, stawiał w rzędzie sekutnic żerujących na mężczyznach, złodziejek kradnących matkom synów, życiowych oszustek i bezwartościowych zer.

Ta prawda nie była jej do niczego potrzebna, Leokadia wolałaby nadal się łudzić, że jest tylko nie lubiana, ale nie aż tak znienawidzona.

Kiedy Paweł wrócił, matka spokojnie spała w łóżku. Żona siedziała w fotelu zgnębiona i zapłakana.

- Wiedziałam, że to niedobra kobieta, ale o taką podłość jej nie podejrzewałam - szepnęła.

- Codziennie muszę sobie przypominać, jaka była kiedyś piękna i dzielna, jak walczyła o mnie i o siebie, inaczej też bym chyba tu nie wrócił - powiedział cicho Paweł.

- Nie wierzę, że ona mnie nie poznała. - Leokadia westchnęła. - Udawała z całą perfidią, bo tak było najwygodniej wylać cały ten brud prosto na mnie.

- Na pewno cię nie poznała - odpowiedział z przekonaniem. Nie chciał bardziej ranić żony, więc nie dodał, że zna ten

tekst na pamięć, podobnie jak pani Jola. Przesiedzieli w fotelach do rana, każde pogrążone w swoich niewesołych myślach. Wreszcie któregoś dnia zadzwoniła siostra dyrektorka z domu opieki. W ciągu trzech dni Paweł musiał się uporać z papierkowymi formalnościami i przywieźć matkę. Kłopoty zaczęły się już przy pierwszym druczku, gdzie potrzebne było nazwisko panięskie matki, czyli Felicji

Jaskólskiej. Jadwiga siedziała w fotelu, bawiła się łyżeczką i najwyraźniej tkwiła w swoim świecie. Dwa razy tylko spytała, czy już jest po śniadaniu. Paweł zaryzykował.

- Mama! - krzyknął - pamiętasz, jak twoja matka nazywała się z domu?

Wyraźnie ożyła, nawet starczyło jej sił na drobną złośliwość.

- Kłosowska, a jak niby inaczej!? Ciebie, Leon, to już skleroza bierze, jeśli tego nie pamiętasz.

Trzy dni później, w nowej bluzce i spódnicy, z niewielką walizką, pojechała do sanatorium leczyć nogi.

Sanatorium (5)

Młody geograf zadzwonił ponownie, ale Paweł zdecydowanie odradził mu rozmowę z matką. Jadwiga, po okresie euforii, wróciła już z pensji i zamieszkała w sanatorium. Z tego, czego mógł się domyślić, przerobiła całe życie jeszcze raz, od szczęśliwego dzieciństwa po wojnę, może nawet dalej. Wszystko, co najlepsze, miała za sobą i powoli popadała w apatię.

- To może pan mi opowie coś o matce? Jak żyła? - spytał młody człowiek.

- Niezdrowo, przynajmniej w rozumieniu dzisiejszych kanonów. Lubiała zjeść dobrze i niezbyt chudo. Nie piła, nie paliła.

- Dbała o siebie jakoś szczególnie?

- Rzadko chodziła do lekarzy i unikała lekarstw, co pomogło jej zachować zdrowie i kondycję.

- Sto lat jednak przeżyła - przypomniał geograf.

- Matka, proszę pana, odziedziczyła charakter, upór i niezłomność po swoim ojcu. Postanowiła sobie, że się nie podda i w tym postanowieniu trwa.